



Susan Sussman

*To wspaniała powieść,
inteligentna i bardzo
wzruszająca.*

Susan Isaacs

ZACZNIJ OD NOWA

Prószyński i S-ka

Susan Sussman

ZACZNIJ OD NOWA

Przełożyła
Xenia Wiśniewska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

THE DIETER

Copyright © 1989 by Susan Sussman

All rights reserved

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© Irene Lamprakou/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Michał Załuska

Zofia Firek

ISBN 978-83-8097-605-4

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla Barry'ego

Podziękowania

Dziękuję moim przyjaciołom, anorektycznym i otyłym, toczącym walkę z kilogramami, którzy przez ponad dwa lata hojnie dzielili się ze mną osobistymi i często przejmującymi opowieściami o swoich zmaganiach.

Specjalnie podziękowania należą się mecenasowi Arthurowi Rissmanowi, prywatnemu detektywowi Joemu Mahrowi, Francess Dincin, socjolog Sandrze Hochman, Karen Lee i informatorkom z terenu, Susi Goldstein i Sharon Bland, za zapewnienie mi profesjonalnych danych. Jestem też wdzięczna autorce Mary Shurze Craig, agentce Jane Jordan Browne i redaktorce Jane Chelius za ich wnikliwe uwagi i, jak zawsze, pozostaję dłużniczką Barry'ego Sussmana, mojego cudownego i pełnego entuzjazmu pierwszego czytelnika.

Luty. 48 kg

Zamarłam jak każdego ranka, z dłonią zaciśniętą na metalowej klamce drzwi do pokoju numer dwieście trzydzieści pięć, ze wzrokiem wbitym w tabliczkę z nazwiskiem: Pacjent QUINLIN, SARAJANE. Chciało mi się palić. Musiałam poczekać. Dochodziła ósma rano, a smak mojego szóstego benson, wypalonego łączywie do samego filtra, gdy czekałam na szpitalną windę, zamieniał się w zatęchłe wspomnienie.

No dobrze, ciało, cała naprzód. Hop, dwa, trzy, cztery. Hej, chłopaki, pora na ćwiczenia z Barbarą. Hop, dwa, trzy, cztery. Strach, Cierpienie, Nienawiść – zbiórka. Hop, dwa... hej, Złość, wracaj do szeregu. Grzeczne demony. Nie ruszać się stąd. Zabiorę was, jak będę wychodziła. Czy kiedyś o was zapomniałam?

Ciemny pokój cuchnął śmiercią. Wstrzymując oddech, przeszłam na palcach obok łóżka Saryjane do okna, by wpuścić trochę mroźnego lutowego powietrza. W pudełku, które ukryłam za zasłoną, zostały tylko trzy pachnące stożki. Będę musiała kupić nowe. Proszę, Boże. Postawiłam jeden stożek na parapecie i przytknęłam drżącą zapałkę do czubka. W podmuchu lodowatego wiatru rozjarzył się czerwienią, a ja wciąż-nęłam głęboko w płuca słodki, piżmowy dym.

Cień jej głosu podkradł się do mnie od tyłu.

– Przez ciebie... wykopią stąd... nas obie.

– Jeszcze nie wstałaś?

– Miałam wczoraj... ważną randkę. – Po wypowiedzeniu dwóch pełnych zdań jej powieki opadły z wysiłku. Podeszłam do obciążonych skórą kości i pogładziłam rozpalone czoło mojej przyjaciółki.

– Robert Redford? – zapytałam.

Pokręciła głową. Miejsce grubych rudych loków zajęły sterczące cienkie kosmyki.

– Nie? W takim razie kto? Selleck? Reynolds? Arnold Schwarzwielkiejjanegger?

Otworzyła zapadnięte oczy. Lśniły. Sarajane wciąż walczyła. Jej głos zaszeleścił niczym opadłe liście.

– Woody Allen.

– Masz spaczony gust. – Wzięłam z nocnego stolika miękką szczotkę do włosów dla niemowląt. Musiałam coś zrobić, bólowi trudniej trafić w ruchomy cel. Wężykiem. Wężykiem.

– Wiesz, że uroda mnie nuuudzi – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiały echa dzieciństwa spędzonego w Luizjanie.

– Wielkie dzięki. – Delikatnie gładziłam szczotką kępki włosów.

– Nie zadzieraj nosa. Pamiętam, jak twój kinol sięgał ci za brodę.

– W takim razie nie zapominaj łaskawie – pociągnęłam wyniośle nosem, odwracając się do niej lepszym profilem – że ta przymusowa operacja była niezbędnym elementem korekty przegrody nosowej.

– Wielkie słowa.

– To był wielki nos.

Stary żart. Stare przyjaciółki. Sarajane ułożyła wąskie wargi w grymas, który teraz był jej uśmiechem. Na jego widok pękało mi serce.

– No dobrze, mądralo – wyszeptala – powiedzmy po prostu, że męska uroda mnie nudzi.

– Powtórzę to Stanfordowi.

– Najpierw musisz go znaleźć. Jest bardzo zajęty.

Znów opadły jej powieki. Moje trzy minuty dobiegły końca. Proszę, daj mi kolejne... kolejne co? Potrzebowałam więcej czasu. Proszę. Cieszyłam się, że Sarajane odpoczywa, ale byłam zazdrosna o kradziony nam czas.

Cicho odłożyłam szczotkę na stolik i rozpoczęłam poranny rytuał. Jeśli uporządkuję pokój tak, żeby wyglądał dokładnie jak poprzedniego ranka, Sarajane przeżyje jeszcze jeden dzień. Ustawić obszyte piórami marabuta kapcie – skierowane wyciętymi palcami w stronę Bloomingdale’s1 – dwa i pół centymetra od łóżka. Złożyć na trzy satynowy szlafrok od Christiana Diora i umieścić go w nogach łóżka. Od wczoraj nic nie było ruszane, ale ja i tak robiłam porządki. Franklin utrzymywał, że to kompulsja, a ja tłumaczyłam, że lubię ład. Przez te wszystkie lata starałam się nie sprzątać, kiedy był w domu, lecz Sarajane nie miała nic przeciwko moim porządkom, nawet kiedy czuła się wystarczająco dobrze, żeby je zauważyć.

Sprawdziłam zawartość szuflady nocnego stolika. Niewydane pieniądze na gazety, których nie miała siły utrzymać w ręku, i telewizję, której nie dostrzegała. Nieotwarty karton cameli. Pragnienie, by wciągnąć w płuca dym, zatrzęsło mną jak śmiertelne drgawki. Hej, Pawłow, to działa. Nie miałam fajki w ustach przez cały kwadrans, czyli mniej więcej przez stulecie. Mogę wytrzymać jeszcze chwilę bez papierosa. Uważam, że mogę, myślę, że mogę. Pod kartonem leżały cztery wycinki z gazety z moją kolumną „Zapytaj Barbarę”, po jednym z każdego tygodnia, który tu spędziła. Sarajane była poza mną jedyną osobą, która czytała każde moje wydrukowane słowo. Teraz zostałam już tylko ja.

– Wygląda na to, że dziś mamy dzień niebieskiej wstążki – powiedziałam, wyjmując pudełko po butach, wypełnione drobiazgami, które znosiłam przez ostatni miesiąc.

Dary na przebłaganie boga Raka Płuc. Wstążki do włosów. *Proszę, nie zabieraj mojej przyjaciółki.* Matujący podkład, który miał zamaskować szarość jej cery. *Nigdy przedtem o nic nie prosiłam.* Tania biżuteria dla rozweselenia duszy.

To jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką kiedykolwiek miałam.

Wyszukałam w pudełku odznaki Klubu Detektywistycznego Dicka Tracy'ego i przypięłam nam po jednej.

– No dobrze, detektywi – powiedziałam, wyjmując dwie cienkie, żółte wstążki z satyny. – Musimy się przebrać.

– Mówiłaś, że dziś jest dzień niebieskiej wstążki.

– Te są niebieskie.

– Są żółte.

– Mój Boże, pogorszył ci się wzrok! Wezwijcie medyków! I speców od koloroskopii. Skup się! – Pomachałam wstążkami przed jej nosem. – Powąchaj. – Powąchała.

– Masz rację – zgodziła się. – Niebieskie.

– Nigdy nie ufaj swoim oczom, Sarojane. Życie jest iluzją.

Pokryte cienkimi żyłkami powieki zatrzepotały niczym skrzydełka ćmy.

– Jest taka kultura – wychrypiała – w której umierający człowiek zamienia się na ubrania z kimś zdrowym. Dzięki temu – przerwała, żeby złapać oddech – Śmierć, kiedy przychodzi, nie rozpoznaje właściwego człowieka. Mija go bez mrugnięcia okiem.

Przesunęłam w palcach kilka kosmyków jej włosów.

– A dlaczego nie zabiera tej drugiej osoby?

– Nie może. Ten ktoś jest zdrowy. Śmierć dochodzi do wniosku, że się pomyliła i daje nogę.

Wstążka, którą wplatałam jej we włosy, rozmazała mi się przed oczami.

– Sarojane Quinlin, wiedziałam, że cały ten szpital to podpucha. – Delikatnie pociągnęłam ją za warkoczyk. – Polujesz na mój nowy kostium. Chcesz, żebym zamieniła mój pierwszy w życiu kostium od Ungaro na znoszoną szpitalną koszulę.

– Zabrałam się do drugiego warkoczka. – Spryziula z ciebie.

Przekręciła głowę w stronę pluszowego misia w goglach i z szalem zawiązanym na szyi, zrywającego się do lotu ze stojaka na kroplówki.

– Pierwszy raz od trzydziestu lat mieszczę się w ubrania mojej najlepszej przyjaciółki – szepnęła do niedźwiadka. – Miałam nadzieję, że coś mi pożyczysz.

Miś zakołysał się współczująco.

Złożyłam dłonie w błagalnym geście.

– Weź mojego męża, moje dzieci. I mój przepis na orientalną sałatkę z kurczakiem. Powiedz tylko, co chcesz, a jest twoje.

– Kostium.

– Bóg mnie karze za to, że dostałam zniżkę.

– Kostium.

– Zawsze byłaś uparta.

Znowu ten uśmiech. Pozbawione koloru wargi, rozciągnięte na pięknych

zębach.

– Wyobraź sobie mnie, mogącą zmieścić więcej niż lewe udo w jedną z twoich spódnic... Cóż, zawsze mówiłam, że mogłabym umrzeć za kości policzkowe... – Opadły jej powieki.

Jutro przyniosę jej kostium.

Sarajane cicho mlasnęła wargami. Zanurzyłam palce w szklance z wodą i przesunęłam nimi po jej pergaminowych ustach. Dziś jeszcze nie wymiotowała. Ale będzie. Usiadłam wygodniej na krześle obok łóżka, wsunęłam rękę pod jej dłoń i czekałam.

– Klasa, uwaga, dzisiaj poznamy dwie nowe uczennice. Barbara, Sarajane, wyjdźcie na środek.

Wysunęłam się z ławki zwinnie niczym kot, udając afektowaną dziewczynę z *West Side Story*, jak gdyby świat nie wirował wokół mnie, a głowa nie miała mi zaraz eksplodować. Kiedy maszerowałam naprzód w jednej ze starych koszul ojca i obcisłych džinsach, czułam na sobie spojrzenia nowych kolegów z czwartej klasy. Już ja dam tym środkowozachodnim ćwokom lekcję stylu.

Dwa rzędy przede mną druga nowa obijała się o ławki, zrzucając po drodze ołówki i zeszyty. Biała i bezkształtna niczym surowa pyza, szła wciśnięta w błękitną satynową sukienkę z bufkami. Szarfa, która powinna znajdować się w pasie, unosiła brzeg spódnicy, ukazując białą koronkę. Grube, rude włosy dziewczynki, zmuszone torturami do skręcenia się w setki loczków, opadły smętnie w wilgotnym, wiosennym powietrzu. To była jedna z tych rzadkich chwil, kiedy nie żałowałam, że nie mam matki. Chociaż nie wiem, czy jakakolwiek matka mogła zrobić mi to, co zrobiła matka tej biedaczce. Zaczepiłam kciuki o szlufki džinsów i stanęłam z boku, żeby nikt z mojej nowej klasy nie łączył mnie z tym pletwalem błękitnym.

– Barbara Marlow przyjechała z Nowego Jorku – powiedziała nauczycielka. Przeniosłam ciężar ciała na jedną nogę, starając się wyglądać niedbale i światowo, kiedy ta kobieta czytała, co napisałam w karcie ucznia. – Barbara lubi pisać, uprawiać sport, robić zakupy w Bloomies i oglądać filmy eksperymentalne. Jej hobby to unikanie kieszonkowców.

Uśmiechnęłam się, lecz nikt nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Skuliłam się, czując, jak płoną mi policzki. „Unikanie kieszonkowców” wydawało mi się takie wyrafinowane, kiedy wypełniałam kartę w Nowym Jorku, było jednak pewne jak cholera, że w Peorii nie zrobiło to na nikim wrażenia.

– Sarajane Thomson przyjechała z Nowego Orleanu, gdzie...

Gwałtownie obróciłam głowę. A co z moim ojcem? Dlaczego pominęła fragment, w którym napisałam, że mój ojciec został głównym wydawcą ich

codziennego szmatławca? Skąd ktokolwiek ma wiedzieć, kim jestem?!

Wracając do domu, odkryłam, że Sarajane też mieszka na Astor Street. Postanowiłam sprawdzić, o której wychodzi do szkoły, żeby wybiegać z domu dobrych dziesięć minut przed nią.

– Podobało mi się to zdanie o unikaniu kieszonkowców – powiedziała. – Szkoda, że ja nie napisałam nic oryginalnego.

Cóż, może przez pierwszy tydzień będę chodziła z nią do szkoły, dopóki nie zdecyduję, do której paczki się przyłączyć.

Odtąd stałyśmy się tak nierozłączne, jakby ktoś nas skleił klejem epoksydowym. Szwendałyśmy się razem po mieście, poznawałyśmy chłopców, w wieku czternastu lat wypaliłyśmy razem pierwszego papierosa. W college'u obie uznałyśmy, że zarówno papierosy, jak i chłopcy są przereklamowani i przekonaliśmy się, że tylko jedno z nich uzależnia. W wieku dwudziestu pięciu lat obie wyszłyśmy za mąż i zamieszkałyśmy kilka przecznic od siebie w wychodzących na jezioro minirezydencjach w północnym Chicago. Codziennie ze sobą rozmawiałyśmy, jadłyśmy razem lunch przynajmniej trzy razy w tygodniu, a dwa razy w roku jeździłyśmy do spa w Kalifornii.

W ciągu tych wszystkich lat wybaczyłam Sarze-jane jej południową miękkość, a ona mnie wschodnią arogancję. Wtapiając się w siebie, przestawałyśmy być osobami, jakimi byłyśmy PC – Przed Chicago.

Sarajane jęknęła. Jej ręka na mojej była pozbawiona ciała, zgięte haczykowate palce nic nie ważyły, tak samo jak pająkowate, długie nogi. Jej naga dłoń, zbyt skurczona, by udźwignąć pierścionki z kamieniami, składała się z błękitnych żyłek, przezroczystych naczyń, żółtej skóry i starych śladów po igłach. Sarajane uniosła lekko powieki.

– Wciąż tu jesteś?

Stanford zadzwonił o północy.

Stałam w garderobie i płacząc, próbowałam znaleźć pokrowiec na kostium. W pokoju za moimi plecami *Wyglupy zwierząt* Lettermana mieszały się z chrapaniem Franklina. Wykończyłam go dawką seksu zwykle zarezerwowaną na urodziny, rocznice i podziękowania za prezenty. Franklin by nie zrozumiał, dlaczego chcę oddać jedwabny kostium, o którego cenie wciąż udawało mu się wspomnieć w niemal każdej rozmowie ze znajomymi. „No tak, właśnie zapłaciłem miesięczny czynsz za willę Ungaro”. Ha, ha. „Z radością spotkamy się z wami na kolacji. Może w Burger Kingu? Moja żona właśnie kupiła sobie Ungaro”. He, he.

– Barbara? – W słuchawce rozległ się przyprawiający o mdłości nosowy głos

Stanforda. – Dzwonili ze szpitala. – Pauza, dwa, trzy. Westchnienie, dwa, trzy. Trzeciorzędny aktor odgrywający żałobę i spokojną rozpacz. – Sarajane odeszła.

– Dokąd?

– Co?

– Nic. – Żart, synu. Powinam się wstydzić. Zapaliłam papierosa, bezwzględnie zakazanego w sypialni. Przykro mi, Franklin. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Cóż, przede wszystkim... – Byłam absolutnie pewna, że miał starannie wydrukowaną listę, ułożoną w porządku alfabetycznym. Zapiłam wszystko, rozgniatając miękki czubek flamastra, którego strzępki pozostawiły smugi na prawie nieczytelnych słowach.

Noc spędziłam w salonie, wpatrzona w ogromne balkonowe okno, ze szklaneczką whisky w jednej ręce i papierosem w drugiej. Poszarpana krawędź lodu otaczała jezioro Michigan niczym pognieciona koronka. Niekończące się, skąpane w księżycowym świetle fale obmywały lód. Kazałam im przestać, zatrzymać się, choć na chwilę. Byłby to mały znak, że Sarajane tędy przeszła. Ale nie przestawały pluskać.

– Zatrzymajcie się, do cholery! – Fale napływały i napływały, i napływały.

Śmierć wbiła swoje szpony i wyrwała kawałek mnie, powodując ból nie do zniesienia. Obecność Sarajane na tym świecie, w moim życiu, nie mogła przejść bez echa. Wyjęłam papierosa z paczki i wzięłam ze stołu ciężką zapalniczkę Ronsona. Śmierć mojej przyjaciółki wymagała hołdu równie doniosłego jak nasza przyjaźń. Ręce mi się trzęsły. Nacisnęłam przycisk zapalniczki raz, drugi. Pstryk. Pstryk. Żadnego ognia.

– No dawaj, już. – Papieros zaciśnięty w zębach, całe ciało napięte w oczekiwaniu. – No kurwa. Dawaj. – Pstryk... Pstryk... Buuch! Przytknęłam płomień do czubka papierosa i nagle zrozumiałam. Nie chciałam, ale wiedziałam, co powinnam zrobić. Co muszę zrobić. To jedyny gest wystarczająco istotny, by pokazać, jak bardzo ją kochałam.

Zgasiłam zapalniczkę, przełamałam papierosa na pół i do otwartej paczki nalałam szkockiej. Drżącymi dłońmi utopiłam pety, wylewające się z popielniczki. Chwiejnym krokiem poszłam do kuchni, gdzie ze spiżarni wyjęłam dwa nietknięte kartony, a z szuflady ze sztućcami jeszcze jedną, wypełnioną do połowy paczkę.

Gdy otworzyłam kuchenne drzwi, uderzyło mnie lodowate powietrze. Tuląc kartony do piersi, przeszłam przez prowizoryczne lodowisko dla dzieci i wspięłam się po niskim brzegu jeziora. Moje kapcie ślizgały się na lodzie, szczypiące podmuchy wciskały się pod koszulę nocną, chwytając skórę w mroźny uścisk. Jednak nie miałam odwrotu. Nie mogłam się zatrzymać. Musiałam wykorzystać tę

chwilę. Teraz albo nigdy. Poślizgnęłam się i upadłam na lód, ale zmusiłam się, żeby wstać. Zachwiałam się znowu. Cała zdrętwiała, z pulsującymi kolanami i zeszywniałymi palcami dotarłam do krawędzi lodu. I z wrzaskiem cisnęłam pierwszy karton do jeziora.

– Mam nadzieję, że teraz jesteś szczęśliwa, Saro-jane Quinlin. – Słowa podskoczyły kilka razy na falach i ucichły. Karton uderzył w wodę i popłynął. – Tylko co ja mam, do cholery, robić przez następnych trzydzieści lat? – Drugi karton zahaczył o krawędź lodu, jednak nadpłynęła kolejna fala i zmyła go do wody. Rozerwałam wypełnioną do połowy paczkę, rozsypując tytoń.

– Z prochu powstałaś – powiedziałam, szlochając; łzy zamarzały mi na twarzy – i w proch się obrócisz. – Zgniotłam pustą paczkę i rzuciłam do wody. – Sarojane Quinlin, ty cholerna egoistko, która porzucasz przyjaciół, powierzam twoją słodką, południową duszę wodzie. – Moim ciałem wstrząsnęły niekontrolowane spazmy. Po części z zimna, ale przede wszystkim z udręki i paniki na myśl, że jednej nocy straciłam dwoje najlepszych przyjaciół. Jak mam bez nich stawić czoło następnemu dniu?

Patrzyłam na kartony podskakujące na falach. Były jeszcze na tyle blisko, że mogłabym ich dosięgnąć. Paczki w środku na pewno są suche. Gdybym położyła się płasko na lodzie i wyciągnęła ręce przed siebie... Zrobiłam dwa kroki w ich kierunku, lecz po chwili odwróciłam się i poszłam do domu.

1 Ekskluzywny dom towarowy.

Marzec. 52–59 kg

Już wróciłaś? – Franklin, przepasany ręcznikiem, stał przed ścianą zaparowanych luster.

Wciągnęłam w nozdrza wilgotne powietrze łazienki. Jakbym oddychała owsianką. Brązowy cukier, mleko, kilka rodzynek. Nie będę myślała o jedzeniu. Nie chcę myśleć. Nie będę. Z moich ubrań parował chłód marcowego poranka. Kostka lodu w rosole. I talerzyk krakersów na przekąskę. Nie będę myślała. Zdjęłam czapkę i rękawiczki. Franklin włączył suszarkę i zrobił zgrabne koło w parze pokrywającej lustro nad umywalką. Widok jego przystojnej twarzy nadal zapierał mi dech w piersiach. Podeszłam od tyłu i objęłam go w pasie.

– Hej. – Wzdrygnął się i odsunął. – Jesteś zimna i spocona.

– Nie jestem – zaprzeczyłam, czując, że muszę się do niego przytulić. Zdjęłam ledwo wilgotną bluzę, legginsy, sportowy stanik i majtki i przylgnęłam całym ciałem do jego pleców, jakbym chciała się w niego wtopić.

– Daj spokój, Barbaro. – Wtarł sobie piankę we włosy.

– Dzieciaki są w szkole. – Dmuchnęłam mu w kark.

– Skarbie, zaraz mam ważne spotkanie.

Rozczesał i ułożył włosy. Z zeszlórocznych przeszczepów wyrastała gęsta blond czupryna. Powoli, delikatnie niczym motyl, zsunęłam się po jego plecach w dół, jednocześnie odwiązując ręcznik.

– Bałbała! – Skończył czyścić zęby i wypluł pastę. Irygator dentystyczny, niewoskowana nić, płyn do płukania ust, paski wybielające. Mój mąż wiedział, jak dbać o zęby. Czubkiem języka delikatnie zatoczyłam koło wokół dołeczka u podstawy jego kręgosłupa. Smakował lekko mydłem. Moje dłonie głaskały, łaskotały go i pieściły. Bez efektu. Nie jego wina. Franklin po prostu nie należał do rannych ptaszków.

Odwrócił się i podniósł mnie za łokcie. Przycisnął ciepłe dłonie do moich zimnych policzków i pocałował szybko w usta.

– Pamiętaj, na czym skończyłaś – powiedział.

Uwiedziona i porzucona. No dobrze, tylko to drugie. Franklin rozpoczął etap golenia i dezodorantu. Usiadłam na brzegu wanny i przekręciłam poślacane skrzydła, a z dzioba łabędzia popłynęła woda. Franklin namydlił połowę twarzy, co oznaczało, że o ile się nie zatnie, miałam jakieś dwie minuty jego wyłącznej uwagi.

– Zamierzam zrezygnować z porannego marszu – powiedziałam cicho.

– Ummmm?

– To nudne.

– Jesteś pewna, że to nie wymówka? – Zdjął plastikową osłonkę

z jednorazowej maszynki Bic. Srebrna maszynka od Elsy Peretti² leżała, szczelnie owinięta plastikiem dla ochrony przed nalotem, w kosmetyczce Gucciego, schowanej na górnej półce szafy. Franklin miał eleganckie gadzety, które trzymał na specjalne okazje, i takie, których używał na co dzień. To było dziedziczne. Ozdobiony koralikami kaszmirowy sweter, który podarowałam jego matce z okazji naszego ślubu, leżał szczelnie owinięty w folię na górnej półce szafy w sypialni mojej teściowej. Przez te wszystkie lata miała go na sobie siedemnaście razy, kiedy zapraszała nas na obiad z okazji rocznicy ślubu. Podawała wtedy specjalnie zamawiane u rzeźnika żeberka w jabłkowym sosie, dwukrotnie pieczone ziemniaki, bułeczki na zakwasie z domowymi ogórkami ze słoika i czekoladowy sernik według tajnego przepisu babci Avers, okraszając jedzenie uwagami w stylu: „Przez cały dzień uwijałam się w rozgrzanej kuchni, a wy skubiecie jedzenie jak ptaszki”.

– To żadna wymówka – zaprotestowałam. – Spacerzy bez Saryjane to nie to samo.

– Mmmhhmm! – mruknął współczująco Frank-lin, gójąc sobie jabłko Adama.

– Są pozbawione magii. Pamiętasz tych dwoje włamywaczy, których zauważyła, tych, co to pod przykrywką porannych spacerów namierzali domy do rabunku? Widziałam ich dzisiaj. – Przesunęłam palcami pod strumieniem prawie wrzącej wody. Ból przyniósł mi ulgę. – Bez Saryjane wyglądali jak para staruszków na spacerze. – Lewa brew mojego męża uniosła się ze zrozumieniem.

Świeża para mieszała się ze starą. Niemal czułam, jak skręcają mi się włosy. Na wpół ogolona twarz Franklina w lustrze zaszła mgłą. W jego oczach zatańczyły duchy niezapłaconych rachunków za prąd, gdy włączył wywietrznik i lampę grzejącą. Wyciągnęłam się na grubym białym dywaniku i spojrzałam na siebie w wyłaniającym się z pary lustrzanym suficie. Pięć nowych kilogramów rozlokowało się równomiernie na moim ciele – tak, że prawie wcale nie było ich widać. Co nie powstrzymywało hysterii, w jaką wpadałam każdego ranka, gdy wskazówka wagi niestrudzenie pełzła w górę. Nigdy nie pozwalałam sobie utyć więcej niż kilogram. Gdy tylko strzałka sięgała czterdziestu dziewięciu kilo, rezygnowałam z wina do kolacji albo z całej kolacji, dopóki nie wróciłam do normy. Musiałam coś zrobić, zanim Franklin zauważy. Żywił głęboką pogardę dla tłustych kobiet, takich jak jego matka i siostra. Nigdy nie rozumiał, jak mogłam kochać Saryjane.

Kuszącym ruchem położyłam ręce nad głową i uniosłam biodra. Scena z filmu porno wysokiej klasy, ponętne ciało w luksusowym otoczeniu. Franklin zeskrobywał zarost z prawego policzka. Och, brakowało tylko zamaskowanego mężczyzny w czarnych skarpetkach z podwiązkami i reżysera wrzeszczącego: „Akcja!”. Skrzyżowałam ramiona na piersi, ugięłam kolana i zrobiłam pierwszy z moich pięćdziesięciu brzusków.

– Najgorsze w maszerowaniu bez Saryjane... jest to, że przejście o połowę krótszego dystansu... zabiera mi... dwa razy więcej czasu.

– Ćwiczysz za szybko – zganił mnie Franklin, zakręcając wodę, lejącą się do w połowie wypełnionej wanny.

Zwolniłam.

– Dziś rano skracałam drogę przez trawniki... a ulice przecinałam po skosie.

– To bez sensu. – Teraz golił lewy policzek. – Maszerujesz dla kondycji, a nie po to, żeby pokonać dystans w jak najkrótszym czasie.

– Sarajane... nie ma jej ze mną, żeby o tym przypominać.

Wylał trochę płynu po goleniu na dłoń i delikatnie wklepał w policzki.

– Może sobie znajdziesz kogoś innego do towarzystwa?

– Ciebie?

– Barb, przecież wiesz, że nie mam czasu. – Nigdy go nie miał i nigdy mieć nie będzie. Podłubał małym palcem w uchu, usuwając resztkę pianki. – Sprawa Fitzpatricka zaraz wchodzi na wokandę. Mam tyle roboty przy tym procesie kampanii, że jestem szczęśliwy, jeśli w porze lunchu uda mi się wyrwać na godzinę na siłownię. Może dołączysz do jednej z kobiet, które widuję co rano na Sheridan Road? Lydia Collins codziennie tam spaceruje ze swoim psem.

– Widziałam konie mniejsze niż ten doberman. – Podbrzusze bolało mnie od dźwigania z podłogi dodatkowych pięciu kilogramów. – Poza tym nie mam ochoty spędzać godziny dziennie z kobietą, która wykupiła ze sklepów cały zapas czarnej skóry. Wiesz, Sarajane miała kilka intrygujących teorii na temat Lydii i jej psa.

– Sarajane miała wiele intrygujących teorii na każdy temat. – Jej śmierć nie złagodziła pogardy Franklina, ale na pewno nie można mu było zarzucić hipokryzji. Teraz wciągnął nieistniejący brzuch, przyjął pozę greckiego dyskobola i obrócił się powoli, oglądając pod każdym kątem swoje umięśnione ciało. – No dobrze, a Rita Frantz?

– Ona galopuje. W cztery minuty przechodzi półtora kilometra. Ta kobieta ma jakiś problem ze sobą. Ja nie trenuję do olimpiady.

Franklin spojrzał mi prosto w oczy: stał z dłońmi opartymi na smukłych biodrach i rodowymi klejnotami, dyndającymi tuż poza moim zasięgiem.

– Betsy Gollub?

– Ona jest zbyt powooolna. Kroczy z królewskim majestatem.

Uklęknął między moimi nogami, więc pocałowałam go przy następnym spięciu mięśni.

– Barbaro, wiem, że ci ciężko bez Saryjane. – Poczulałam jeszcze mocniejszy ucisk w piersi. – Ale nie możesz rezygnować ze swojego życia. To ostatnia rzecz, jakiej ona by chciała. Nie rezygnuj ze spacerów. – Oparł rękę na wewnętrznej stronie mojego uda, ale zanim zdążyłam się podniecić, chwycił kawałek ciała dwoma palcami. – To twój jedyny wysiłek fizyczny.

Objęłam go za szyję i pociągnęłam na siebie.

– Nie jedyny. – Zlizalam płyn po goleniu z jego lewego ucha. Chciałam czuć na sobie jego ciężar, siłę.

– Barb...

– Mhm?

– Nie mam...

– To nie potrwa długo.

I nie trwało.

Leżąc później w wannie, próbowałam zaplanować sobie dzień, jednak nie mogłam zebrać myśli. Potrzebowałam papierosa. Pchnęłam stopą lewe skrzydło łabędzia, aż wrzątek oblał mi nogi. Odkryłam już, że ból odwraca uwagę. Odchyliłam głowę, wpatrując się w swoje ciało, odbite w lustrze na suficie. Tego wieczoru, kiedy Franklin oświadczył mi się w restauracji podczas kolacji, wyjął z portfela złożoną stronę, wyrwaną z gazety.

– Jeśli jesteś najstarszym z dziesięciorga dzieci i wychowujesz się w mieszkaniu z jedną łazienką, masz bardzo konkretne marzenia – powiedział, ostrożnie rozkładając podniszczone zdjęcie.

Spodziewałam się fotografii przedstawiającej elegancką rezydencję, luksusowy samochód albo pokój w jakimś egzotycznym hotelu, a zobaczyłam wielkie zdjęcie łazienki Louisa Armstronga. Uśmiechnięta twarz Satchmo odbijała się w niezliczonych lustrach, pokrywających każdy centymetr pomieszczenia. Zrozumiałam wtedy, że Franklin i pozłacany sedes są w pakiecie. Nie przeszkadzało mi to. Spotykałam się z facetami, którzy mieli obsesję na punkcie drogich aut czy też należących od wieków do rodziny obślinionych psów albo rynków zagranicznych, nieznanych oper, nadopiekuńczych matek, meczów koszykówki trzech na trzech, piwniczek z winami, polowań na lisy, artystycznych filmów, rozgrywek softballu, turniejów brydżowych, budowania masy mięśniowej, żeglowania, strzelania do rzutków, grup samorozwoju i fug Bacha. Umawiałam się z przystojniejszymi od niego, z mężczyznami o większym poczuciu humoru, wrażliwości i majątku. Franklin Avers odznaczał się jednak rzadką cechą, którą dostrzegłam u czterech, może pięciu ludzi, jakich spotkałam w życiu: miał w sobie moc, emanował siłą. Płynęła z niego niczym gwałtowna fala, usuwając wszystkich i wszystko z drogi. Był bystry i przedsiębiorczy, wprawiał świat w ruch i działał, a ja zawsze uważałam ową moc za cholernie podniecającą. Jeśli mogłam mieć Franklina Aversa tylko w komplecie z łazienką wyłożoną lustrami, to zgoda. Poklepałam go uspokajająco po ręku, powiedziałam „tak” i zamówiłam całe wyposażenie.

Franklin, już prawie ubrany, wrócił do łazienki na naszą poranną konferencję, roztaczając wokół siebie woń Gianfranco Ferre.

– Tęsknię za Old Spice'em – powiedziałam.

– Nie używałem go od liceum – odparł, podając mi notes i ołówek. – Jest zbyt staroświecki.

– Nie dla mnie.

– Ty nie jesteś moim doradcą do spraw wizerunku. – Położył listę spraw do załatwienia na krawędzi umywalki i zaczął wiązać krawat. Przez całe lata właśnie w tej chwili zapalałam papierosa. Przycisnęłam ołówek do papieru, przygotowując się na atak głodu nikotynowego.

– Moja marynarka i spodnie powinny być już gotowe do odebrania od krawca – zaczął Franklin. – Na łóżku położyłem dwie koszule, trzeba je zwrócić do pralni. Na tej w paski zostały plamy, a niebieska jest zagnieciona z przodu. – Recytując swoją listę, stawiał przy każdym odczytanym punkcie małe, schludne ptaszki. – Zrób rezerwację w Springfield na czerwiec, lipiec i sierpień. Bilety na samolot, noclegi. Tu mam zapisane daty i hotele. – Kolejny ptaszek.

– W lipcu i sierpniu dzieciaki będą na obozie – wtrąciłam. – Może pojedę z tobą?

– Zbieranie funduszy na kampanię to obłąd, zamierzam ganiać ze spotkania na spotkanie, a ty nie będziesz miała co robić. Zacziesz się wściekać, a potem mnie doprowadzisz do szału.

Zassałam czubek ołówka i zaciągnęłam się jak papierosem.

– Jedziesz sam?

– Oczywiście, że nie. – Poluzował węzeł i ściągnął krawat. – Będę miał przy sobie cały zespół od PR-u. Trzeba nakręcić spoty wyborcze. – Jeszcze raz założył krawat i zaczął go wiązać od nowa.

Wciąż ssałam ołówek. Bez efektu.

– A jeśli w hotelach będą chcieli depozyt? Zapłacisz ze służbowego konta czy...?

– Tutaj. – Ponieważ ręce miał zajęte krawatem, wskazał podbródkiem trzy czekki, leżące na umywalce. – Weź je i otwórz w Highland Bank nowe konto pod nazwą „Avers na senatora”. Niech wydrukują na czekach adres i numer telefonu biura kampanii.

– Nie łatwiej byłoby pójść do Stone Federal?

– Ich nowy system komputerowy to kpina, średnio jeden błąd na wyciąg. Nie mogę ryzykować, że pomylą moje konto służbowe z kontem kampanii. Ostatnie, czego mi potrzeba, to skandal związany ze sprzeniewierzeniem funduszy.

Przejrzałam notatki, żeby się upewnić, że wszystko zapisałam. Cała strona pokryta była zawijasami i kreskami, pamiątka po latach spędzonych w redakcji „-Globe”. „Tylko byle pismaki zdają się na łaskę kapryśnych baterii w magnetofonach i maszynach do stenotypii”, ostrzegął mój ojciec. On nie zatrudniał byle pismaków, nawet jeśli chodziło o jego córkę. Zwłaszcza jeśli chodziło o mnie, dlatego będąc w college’u, spędzałam wakacje, łącząc staż

w redakcji z kursem stenografii.

Franklin poruszył węzłem na boki, wygładzając krawat wybrany do grafitowej koszuli. Siedemnaście lat pastelowych koszul i ciemnych krawatów odeszło w zapomnienie na jedno mrugnięcie oka specjalisty do spraw wizerunku. Sprawdził swoją listę.

– To chyba wszystko.

– Proszę. – Podałam mu notes i ołówek, które położył obok trzech czeków na umywalce. Ciałem wciąż był obecny w łazience, ale czułam, że myślami wybiegł już do przodu w czekający go dzień. – Franklin? – Przywołałam go z powrotem. – Pamiętasz, że Rikki występuje dziś wieczorem?

Skrzywił się.

– Dzisiaj?

– O ósmej.

– Cholera. W takim razie spotkamy się w szkole. Jem dziś kolację z Samem Rosenthalem i ekipą od PR-u, będziemy rozmawiać o projektach plakatów i ulotek.

– Bilety leżą na toaletce, lepiej zabierz swój. – Franklin i ja rzadko jeździliśmy razem na wszelkie uroczystości. Mogłam się tego spodziewać, w końcu wpadł mi w oko nadaktywny łowca sukcesów. Sarajane mówiła, że wszystkie wychodzimy za mąż za swoich ojców. Czemu nie pamiętałam, że mojego taty nigdy nie było w domu?

Franklin wyszedł do pracy, a całe moje ciało zebrało o papierosa. Sięgnęłam dłonią obok wanny. Pusto. I nie znajdę nic w całym domu. Zanurzyłam się pod wodę i powoli wypuściłam powietrze nosem. Nie zaciągnęłam się dymem ani razu od tej nocy, kiedy umarła Sarajane, i od tamtego czasu nie minęła ani jedna sekunda, w której by mi tego nie brakowało. Nie bawiłam się zbyt dobrze.

Zeszłam do kuchni później niż zwykle. Sophia posprzątała już naczynia po śniadaniu dzieci i poszła na zakupy. No dobrze, grubasie, będziesz musiała skończyć z jedzeniem ciastek czekoladowych na śniadanie. Chyba są odrobinę bardziej tuczące niż sześć papierosów i dzbanek czarnej kawy. Jeśli miałam odzyskać kontrolę nad swoją wagą, musiałam zacząć się zdrowo odżywiać. Posiekałam w blenderze zieloną paprykę i cebulę, rozpuściłam na teflonowej patelni kawałek margaryny, wrzuciłam warzywa i zabrałam się do parzenia kawy. Och, zapach świeżej kawy i podsmażanej cebulki. Ślina pociekła mi po języku, więc ugryzłam kawałek bajgla, żeby zaspokoić pierwszy głód. Gdy warzywa się przyrumieniły, roztrzepałam w misce dwa jajka, do których dodałam kilka kostek ostrego cheddara. Gdy tylko wlałam je na patelnię, zadzwonił telefon.

– Pani Avers? – Cichy głos potrzebował wieczności, by wypowiedzieć każde słowo. – Mówi George -Payne. – Z patelni uniósł się dym. Z telefonem przy uchu

podeszłam do kuchenki i wyłączyłam palnik.

– Tak?

– Przepraszam, że niepokoję panią w domu – zapaliłam pod patelnią mały płomień, ugryzłam drugi kęs bajgla i przesunęłam szpatułką omlet, żeby się nie przypalił – ale nie mogę skontaktować się z panem Aversem. – George Payne.

Skojarzyłam nazwisko; stary nudziarz, jak go nazywał Franklin. Jego żona, klientka mojego męża, śmiertelnie zachorowała po dwudziestu latach wdychania chemikaliów przy taśmie montażowej. Wyglądało na to, że właściciele firmy wiedzieli o toksyczności tych świństw, lecz zapomnieli poinformować o tym pracowników.

– Ach tak, pan Payne. – Połknęłam bajgla. – Franklin dużo mi o panu opowiadał. Ostatnio jest bardzo zajęty. Wie pan, startuje w wyborach do senatu stanowego. – Nie wiedział. – Chciałby pan zostawić dla niego wiadomość? – Chciałby.

Usiadłam przy kuchennym stole, odsunęłam na bok nieotwarte listy do „Zapytaj Barbarę” i zapisałam wiadomość. Słowa sączyły się niczym zimny miód, mówił zbyt wolno, żebym mogła stenografować. Cholera, zbyt wolno, żeby kaligrafować. Przykro mu, że nie zwrócił jeszcze pożyczki. Żona ma nawrót choroby. Ma nadzieję oddać chociaż część pieniędzy jak najszybciej. Znałam przypadek żony Payne’a i wiedziałam, że ból w jego głosie jest szczerzy. Jednak wiedziałam też, że facet czuje się samotny i, jak twierdził Franklin, będzie wisiał na słuchawce godzinami, jeśli mu na to pozwolę. Próbowałam go pocieszyć, nie zachęcając do dalszej rozmowy. Ołówek złamał się w połowie kolejnego zawijasa, więc wzięłam nowy. Ten również się złamał. Rzuciłam wyzwanie wszystkim siłom natury, żeby spróbowały bez papierosa prowadzić rozmowę telefoniczną z George’em Payne’em.

Kiedy wreszcie wróciłam do kuchenki, omlet pozwijał się na brzegach i zakrzepł wokół podwiedłych warzyw, a jego powierzchnię upstrzyły na pół roztopione kostki sera. Wyglądał jak sztuczne wymiociny. Przerzuciłam go spodem do góry na talerz, nalałam sobie kawy i włączyłam Oprah. Trafiłam na reklamę ciasta w proszku. Pochyliłam się nad talerzem i odkrawałam mikroskopijne kęsy, a potem żułam każdy dwadzieścia siedem razy, jak w aśramie. Razem z Sarajane śmiałyśmy się do rozpuku, próbując naśladować poważnych wyznawców, którzy naprawdę potrafili rzuć brązowy ryż z twarogiem sojowym dwadzieścia siedem razy. Nam szło o wiele lepiej z przemyconą pizzą, splukaną tanim czerwonym winem. Hotel Dwudziestu Siedmiu Przeżuć był jednym z kilku ośrodków odchudzania, z których wyproszono nas przez te wszystkie lata.

Telewizyjne ciasto zostało zmiksowane, upieczone, polane lukrem i zjedzone. Brawo dla mamusi, ona nas kocha. Następna reklama zachwalała mrożone obiady. Brawo dla naszej pracującej mamusi, ona nas kocha. Żułam coraz

szybciej. Zabawna sprawa z tym telefonem od pana Payne'a; wydawało mi się, że ta sprawa została zamknięta. Kiedyś Franklin bez przerwy narzekał na starego nudziarza, ale od tygodni o nim nie wspominał. Będę musiała go zapytać. Tak czy inaczej cieszyłam się, że pożyczył biednemu Payne'owi pieniądze. Czasami martwiłam się, że lata spędzone nad sprawami o uszkodzenia ciała zupełnie znieczuliły Franklina na ludzkie nieszczęście. Potrafił być brutalnie uszczypliwy, kiedy opowiadał o niektórych klientach.

Chociaż jadłam małymi kęsami, pochłonęłam śniadanie w dwie minuty. Oprah wróciła, kiedy wkładałam naczynia do zlewu. Ładna kobieta. Pełna energii. W porównaniu ze świeżo odchudzoną Oprah i połową jej publiczności nadal byłam szczupła. Temat dzisiejszego odcinka brzmiał „Ty i twoja matka”. Oprah krążyła między rzędami, wyciągając publiczność na spytki. Mnie to nie dotyczyło. Wyłączyłam telewizor i wychodząc z kuchni, złapałam czekoladowe ciastko z galaretką. Jedno na drogę. Próbowалаm wypełnić tę pojedzeniową dziurę w żołądku, którą zwykle zapełniałam dymem.

Na odmianę kopiarka w banku działała, wyjęłam więc trzy czekie, które dał mi Franklin. Wszystkie pochodziły od towarzystw ubezpieczeniowych i w prawym górnym rogu nosiły mały znak zrobiony przez mojego męża, oznaczający, że sprawa została zamknięta. Były wystawione na niego, nazwisko klienta wypisano na dole. Marcia Hoffman. Laurence Spagnoli. Thomas Cadbury. Cadbury! Batoniki przy kasie w sklepie, migdałowe, słodko-gorzkie. Położyłam czekie na szkle kopiarki.

– Proszę o uśmiech – powiedziałam, naciskając guzik.

Kopie włożę do segregatora „Fundusze kampanii”. Sprawna archiwizacja dokumentów była jedną z umiejętności, jakie wniosłam do naszego małżeństwa. Jeśli Franklin uważał, że dobra organizacja i wydajność jest seksowna, to kim byłam, by się z nim spierać?

Osobisty doradca bankowy powtarzał wszystko trzy razy.

– Proszę, aby pani mąż i każdy poza wami dwojgiem, kto będzie wypłacał pieniądze z tego konta, wypełnił ten dokument, abyśmy mieli w aktach wzór jego podpisu. Każdy musi wypełnić ten formularz. Musimy mieć wzory podpisu w aktach. Każdego, kto będzie wypłacał środki z tego konta. – Na jego biurku stała nieużywana popielniczka w idealnym stanie.

– Bardzo panu dziękuję – odpowiedziałam. – Bardzo. Dziękuję.

Moje rzadkie wizyty w banku zawsze kończyły się krótkimi odwiedzinami u matki. Gdy szłam po schodach, w moje kości wciskał się piwniczny chłód. Stara pani Whittiker, siedząca za biurkiem w obramowaniu ogromnych drzwi od skarbcza, drżała w jednym ze swoich ręcznie robionych swetrów. Poumieszczane na chybił

trafił szwy wznosiły się i opadały, tworząc dziwaczny wzór, a włóczka, którą został przyszyty lewy rękaw, różniła się kolorem od reszty. „Dzieło kochających rąk”, powiedziała moja babcia. Czy moja matka robiła na drutach? Nigdy nie pomyślałam, żeby o to zapytać, a teraz nie miałam kogo. Ojciec zmarł pięć lat temu, zabierając do grobu odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie mogłabym mu zadać na temat matki. Wyjęłam z sejfu kasetkę i poszłam za panią Whittiker do jednego z maleńkich pomieszczeń.

– Zawołaj mnie, kochana, gdybyś czegokolwiek potrzebowała – powiedziała.

– Zjadłabym lazanie z żytnim makaronem i korniszonami.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Brzmi smakowicie, kochana. Po prostu zawołaj.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, lampy na suficie zamigotały. W pokoju pachniało stęchlizną i papierosami, chociaż w popielniczce nie leżały żadne niedopałki, a kosz był pusty. Muszę pochwalić panią Whittiker przed kierownictwem banku. Cholera. Wysunęłam krzesło, położyłam na stole zamkniętą kasetkę i wpatrywałam się w nią przez długą chwilę.

– Sarajane nie żyje – powiedziałam, przesuwając palcami po zimnym metalu.

Odsunęłam zasuwkę, uniosłam pokrywkę i wyciągnęłam plik udziałów i polis ubezpieczeniowych Frank-lina, stertę kopert przeróżnych rozmiarów, kolorów i grubości. Mój mąż stale grzebał w tych papierach, zawsze w pośpiechu. Delikatnie wyjęłam ze spodu kasetki obite czerwonym aksamitem i ustawiłam je przed sobą według wielkości. Po kolei uniosłam wieczka.

– Dobrze wyglądacie – pochwaliłam. Diamenty, rubiny, szafiry i szmaragdy błyszcząły i lśniły. Wsunęłam na nadgarstek kilka bransoletek. – Obawiam się, że trochę przytyłam od naszego ostatniego spotkania. Widać to po mnie? Masz coś przeciwko? Tata mówił, że tobie nigdy nie przybyło ani grama. Oczywiście dopóki ja się nie pojawiłam. – Podłoga za drzwiami zaskrzypiała. Pani Whittiker nigdy nie wiedziała, z kim rozmawiam. – „Smutny człowiek śpiewa smutną piosenkę”³ – zanuciłam i usłyszałam cichnące człapanie jej butów. – Wiem, mówiłam, że podaruję jedno z was Rikki na jej szesnaste urodziny. Może pierścionek albo bransoletkę. Ale nie mogłam tego zrobić. Ona jest za młoda. W dzisiejszych czasach dziewczęta nie noszą eleganckiej biżuterii. Może jak skończy osiemnaście lat. A nawet dwadzieścia jeden. Albo kiedy urodzi pierwsze dziecko. – Płakałam. Jak zawsze. Zazwyczaj właśnie w tej chwili zapalałam papierosa. Włożyłam rękę do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu chusteczki. – Powinnaś być ze mnie dumna, rzuciłam palenie. I to z dnia na dzień. W ramach pożegnalnego hołdu dla Saryjane. Wydaje mi się, iż nikogo innego nie obchodzi, że odeszła. Nie mogłam nic zrobić. Kto wie, może przedłużam sobie życie o rok lub dwa. Chociaż nie mogę powiedzieć – wydmuchałam głośno nos – żeby było ono tak wiele warte bez

Saryjane i papierosów. – Delikatnie odłożyłam biżuterię do wykładanych satyną futerałów. – Obiecuję, że dam kilka z was Rikki, kiedy będzie na to gotowa. Kiedy ja będę gotowa. Poza tym – dodałam, umieszczając pudełeczka w kasetce – wszystko układa się wprost idealnie. Rikki występuje dziś wieczorem w szkolnym przedstawieniu, gra Amandę w *Szklanej menażerii*. I robi prawo jazdy. Franklin nie pozwala, żeby ćwiczyła w jego samochodzie, a ponieważ nie lubi prowadzić mojego, to ja muszę z nią jeździć. Nie miałam nic przeciwko temu, dopóki nie rzuciłam palenia. Teraz cały czas wciskam stopą niewidzialny hamulec i podskakuję, kiedy podjeżdża za blisko samochodów po mojej stronie. Ona narzeka, że to ją denerwuje. Ostatnim razem wypłam kieliszek szkockiej, zanim wsiadłam, i Rikki powiedziała, że zachowywałam się o wiele spokojniej. Zobaczymy. Nadal piszę co tydzień tę kolumnę w „Globe”. Tata ostrzegał mnie, że farba drukarska już na zawsze pozostanie w moich żyłach.

Zamknęłam kasetkę i przycisnęłam do piersi. Nie chciałam jej zostawiać.

– Twój wnuk zrobił się ostatnio trochę nerwowy. Jego gang twardej urządził głosowanie i większość uznała, że od teraz mogą rozmawiać z dziewczynami. Jason wołał, jak dziewczyny były wrogami. Biedny dzieciak jest przerażony, bo myśli, że rozmowa prowadzi do całowania. Nie mam serca powiedzieć mu, co się dzieje potem. Kampania Franklina nabiera rozpędu i jestem pewna, że koniec końców będę dla niego pracowała na pełny etat. Pod pewnymi względami dobrze jest mieć zajęcie. Odkąd umarła Sarajane i rzuciłam palenie, z trudem potrafię sklecić sensowne zdanie. Myślałby kto, że po tych wszystkich latach w „-Globe” powinnam umieć napisać kilkaset marnych słów na tydzień. Chociaż właściwie marnych słów mi nie brakuje, tylko sensownych nie mogę znaleźć.

Łzy spłynęły z moich policzków na kasetkę. Roztarłam je palcem.

– Chyba trochę rozumiem, jak się czuł tata po twojej śmierci. Jakby człowiek nagle wpadł na mieliznę. Albo dryfował. Czuję się trochę samotna. – Narysowałam wilgotnym palcem kilka serc na wieku. – Właściwie czuję się bardzo samotna. I z dnia na dzień wcale nie jest mi lepiej. Zupełnie nie wiem, co mam, u diabła, z tym zrobić.

2 Elsa Peretti – włoska projektantka biżuterii.

3 *It takes a worried man to sing a worried song* – słowa popularnej piosenki *Worried Man Blues*.

Przepraszam, gdzie się odbywa spotkanie Strażników Wagi?

– Pani szuka Strażników Wagi? – Siedząca za biurkiem zawodniczka sumo zlizwała z palców resztki lukru i obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Na szafce za jej plecami stało otwarte pudełko pączków.

– Tak. – I przy okazji poproszę o słownie jeden maleńki kawałeczek pączka.

– Do końca korytarza – machnęła ręką w powietrzu – i schodami w dół.

Dołączyłam do szeregu większych i mniejszych kobiet, które poruszały się jak mrówki na pikniku. Hej, a co jest w koszyku? Pasztet z kaczki z pistacjami, chrupiąca bagietka, kremowy krążek brie, butelka białego wina o lekko owocowym smaku i kiść czerwonych winogron bez pestek. Jedzenie. Ostatnio nie myślałam o niczym innym – chyba że o papierosach. Cholernie ciężko jest zerwać z dwudziestopięcioletnim nałogiem palenia trzech paczek dziennie.

Idąc za tamtymi kobietami, próbowałam wyczuć ich nastrój. Ekscytacja? Lęk? Entuzjazm? Przygnębienie? Nie mogłam odgadnąć. No dalej, moje panie, wy już widziałyście to przedstawienie, więc dajcie mi jakąś odpowiedź. Czy powinnam wyłożyć kasę na wstęp czy może wycofać się tyłem do drzwi i wrócić do domu, do dobrej książki? Niewzruszony szereg grubasek poruszał się powoli, a ja człapałam wraz z nimi po wąskich krętych schodach.

– Czuję się jak Orfeusz schodzący do Tartaru – odezwałam się do kobiety przede mną, która odpowiedziała mi uprzejmym uśmiechem. Hej, to nie było aż tak wysublimowane. Tęskniłam za Sarajane.

– Zabawne – powiedział piękny, przypominający dzwon głos za moimi plecami.

Odwróciłam się. Kobieta robiła piorunujące wrażenie. Góra o niezliczonych podbródkach zajmowała prawie całą szerokość dwuosobowych schodów. Owinięta w lejącą się, wełnianą pelerynę wyglądała niczym pomnik oczekujący na odsłonięcie.

Idąc, kołysała się na boki. Poruszałam się w ten sposób przez dwie cięższe. To musiało być straszne permanentnie czuć się jak w dziewiątym miesiącu. Przystanąła, żeby złapać oddech, a ja poczułam niecierpliwość grupy, która utknęła za nią na schodach.

– Myślisz, że Orfeusz szedł na spotkanie Strażników Wagi? – zapytałam.

– To bez znaczenia – odpowiedziała, rozkołysawszy się do startu. – Moim zdaniem schodzenie do każdego piekła wygląda mniej więcej tak samo.

Na dole znowu przystanąła i straciłam ją z oczu, podążając wąskim korytarzem za pozostałymi kobietami. Wilgotne powietrze przenikał zapach „Eau

de beton”. Z wielkich rur, krzyżujących się na niskim suficie, kapłała rdzawa woda, a nad nimi migotała jarzeniówka, rzucając dziwaczne cienie na naszą procesję. Zadrżałam, próbując otrząsnąć się ze złych przeczuc. Nie wyjdę stąd żywa.

Dlaczego nie zostawiłam słów pożegnania – na przykład: „Zmarłam w walce o mój podbródek” – wypisanych czekoladowym lukrem na urodzinowym torcie Jasona? Problem polegał na tym, że cały lukier zjadłam. Chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru. Dwunastka wyszła mi nierówno, więc musiałam ją zeszkrobać i zjeść, a na jej miejscu wypisać nową liczbę. Mój żołądek jednak błagał o więcej cukru. Już wylizałam miskę i ubijaczki, więc przesunęłam koniuszkiem kciuka po gęstej czekoladzie na spodzie tortu, a potem z jednej strony i z drugiej; następnie zjadłam trochę z wierzchu i nagle nie było już ani odrobiny lukru, żeby zakryć dziury. Nie będę miała czasu, żeby zrobić nowy przed kolacją, więc muszę pamiętać, żeby w drodze powrotnej kupić gotowy lukier. O ile przeżyję.

Wreszcie dotarłam do dużego pomieszczenia, w którym zmęczona kobieta koło pięćdziesiątki obserwowała niekończącą się kolejkę, nerwowo rozkładając coraz więcej krzeseł, które ustawiała w równych rzędach. Przy stojącym z boku długim stole pulchna, młoda kobieta odbierała czekci, wyjmowała z segregatora jakieś kartki i lizała znaczki, które wklejała do małych książeczek. Potem starannie zapisywała w nich ciężar każdej kobiety, którą ważyła.

Stojąca przede mną blondynka odwróciła się i przemówiła konspiracyjnie jedną stroną ust:

– Czy to nie najbardziej przygnębiające spotkanie Strażników, na jakim kiedykolwiek byłeś?

– Rety, tak. – Westchnęłam, przyciskając grzbiet dłoni do czoła. – Chyba zaraz wyjdę. Nie sądzę, żebym dała radę dłużej to znosić.

– Jestem Florence. – Wyciągnęła do mnie dłoń. Miała mocny uścisk, pozbawiony kobiecej rezerwy. Raczej przyjacielski, uznałam. – Z Kenoshy. Zwykle staram się nie przychodzić w dni ważenia, ale moja córka wychodzi za mąż i musiałam kupić materiał na jej suknię, a w Vogue Fabrics w Evanston mają po prostu idealną koronkę, dlatego przyjechałam i...

Uśmiechnęłam się, skinęłam głową i przestałam jej słuchać. Byłam pewna, że tego nie zauważy. Moja babcia, która mówiła bez przerwy, nigdy się nie zorientowała przez te wszystkie lata, a twarda z niej była sztuka. Twarda jak suchar. Albo stare ciastko. Ciastko z kawałkami czekolady. Czy też owsiane ciasteczka z rodzynkami. Kolejka powoli posuwała się do przodu. Wiele uczestniczek spotkania przystawało, żeby pogawędzić z kobietą, która sprawdzała wagę. Mówiły o wszystkim, o ślubach, bar micwach, restauracjach, w których jadły i były „grzeczne”. Stolik przy wadze służył jako werbalny śmietnik. Jeszcze nie było za późno, jeszcze mogłam stamtąd wyjść.

Florence przerwała. Czuję, że zadała mi pytanie, które zawisło

w powietrzu, i czekała na moją odpowiedź. Trzeba grać na zwłokę. Zgięłam się w pół i przycisnęłam dłoń do lewego oka.

Florence głośno nabrała tchu.

– Co się stało?

– Coś mi wpadło do oka. – Odrzuciłam głowę w tył, mrugając jak szalona. Naprawdę zaczęłam czuć ów wyimaginowany paproch.

– Poczekaj, daj mi zobaczyć. – Wyrwała chusteczkę z paczki i skręciła ciasno róg. Tak jak na martini i czkawkę, każdy ma także swój sposób na ten kłopot. Pozwoliłam jej przez chwilę dłużyć w moim oku. – Nic nie widzę – powiedziała przepaszającym tonem.

– Tak. – Mrugnęłam kilka razy. – To światło jest do niczego.

– Słuchaj, naciągnij górną powiekę w dół, na gałkę oczną. – Dzisiaj Florence z pewnością jadła cebulę. – Właśnie tak. Teraz ją przytrzymaj i szybko zamrugaj. O tak. Właśnie tak. – W końcu odważyłam się puścić powiekę. Zamrugalam jeszcze raz i rozejrzałam się dookoła. Uzdrawiony kaleka w Lourdes.

– Wypadł – powiedziałam. – Florence, jesteś niesamowita.

– Och, to nic takiego. Naprawdę. W rodzinie nazywają mnie Florence Nightingale⁴. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu...

Tylko jeden papieros, żebym mogła skupić myśli! Obiecuję, że zaciągnę się jedynie raz. Inaczej nie dam rady. Przeczesałam wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu palaczy. Wszędzie wisały tabliczki „Prosimy nie palić” i w sali nie znalazła się ani jedna buntowniczką. Będę musiała obejść całe zgromadzenie i wachać wszystkich obecnych, żeby wyczuć ten obiecujący, zastarzały smrodek, a potem bezwstydnie błagać o poratowanie.

– Tak? – Wyczułam, że te słowa są do mnie. Kobieta za stołem uśmiechała się wyczekująco. – Jesteś nowa?

Nie, używana.

– Tak, to mój pierwszy raz.

– Przyszłaś z przyjaciółką? – Nie przestając się uśmiechać, kobieta wskazała głową Florence, która zdejmowała bransoletki, pierścionki, spódnice i buty i układała wszystko, czego mogła się pozbyć, na stole przed wagą.

– Nie – powiedziałam. – Przyszłam sama.

– W takim razie witaj. – Wskazała na cennik. – Wypisz, proszę, czek na Strażników Wagi. Ta kwota na górze to opłata wstępna, stawki tygodniowe są niższe. Chyba że opuścisz jakieś spotkanie, wtedy musisz zapłacić za oba, pominięte i kolejne. – Zmarszczyła nos w grymasie, który, jak przypuszczałam, miał być słodkim uśmiechem króliczka. – To taka mała motywacja z naszej strony, żebyś przychodziła na każde spotkanie.

Przed wejściem na wagę nic z siebie nie zdjęłam. Uznałam, że dzięki temu przyszłotygodniowa utrata wagi będzie bardziej spektakularna. Pokażę im

wszystkim, co może działać odrobina samokontroli. Wskazówka zatrzymała się na pięćdziesięciu sześciu kilogramach. Po porażce z lukrem zjadłam solidny pożegnalny posiłek w lokalnej naleśnikarni: dzbanek kawy, duży sok pomarańczowy, jajko sadzone, grzanek z żytniego chleba z masłem i dżemem oraz kielbaski na gorąco. Jeszcze mi było mało. Próbowałam zapełnić dziurę przeznaczoną na papierosa gorącą bułeczką z orzeszkami pekanowymi z grubą warstwą masła – ale nie odniosłam najmniejszego sukcesu.

Pierwszy rząd okupowała grupa ożywionych kobiet. Wszystkie były ubrane w różne wersje dresów i żadna nie wyglądała na ani odrobinę otyłą. Przycupnęłam w rzędzie za nimi i zaczęłam podsłuchiwać.

- Lunch w Lyles?
- Ich bar sałatkowy śmierdzi.
- Mają dobrego kurczaka.

Mój żołądek fiknął kozła. Każda wzmianka o jedzeniu wywoływała we mnie ochotę na papierosa, a ta wzbudzała pragnienie, by coś zjeść. Przestałam ich słuchać i zaczęłam studiować broszurę, którą mi wręczono. Strażnicy Wagi uznali, że powinnam ważyć między pięćdziesiąt dwa a sześćdziesiąt jeden kilogramów. Każdy wynik mieszczący się w tym przedziale był akceptowalny. Spróbowałam sobie wyobrazić siebie, ważącą sześćdziesiąt jeden kilo. Akceptowalna dla kogo? Jako wagę docelową wpisałam pięćdziesiąt dwa. Sama sobie wróć do czterdziestu ośmiu.

Czytałam broszurę, która zawierała listę produktów, jakie mogłam jeść w pierwszym tygodniu. Brakowało kilku moich ulubionych: wytrawnego białego wina, chrupiących cebularzy na ciepło, batoników Dove z mlecznej czekolady. Będę musiała znaleźć jakieś substytuty. W broszurze opisano też diabolicznie skomplikowany system przeliczania, który próbowałam rozpracować. Jeśli pięćdziesiąt gramów kurczaka odpowiada jednej miarce protein, a mnie wolno zjeść sześć miarek protein dziennie, to ilu akrobatów potrzeba, by przesunąć buicka z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego w maju? Na horyzoncie ujrzałam ponure widmo zaawansowanej księgowości. Przeglądając broszurę, zastanawiałam się, czy jednak Franklin nie miał racji. Zapytał, po co, do cholery, potrzebni mi Strażnicy Wagi, skoro do zrzucenia tych kilku kilogramów wystarczyłoby odrobina samokontroli.

Obok mojego rzędu przeszła statua w pelerynie z szumem materiału, brzękiem bransoletek i otoczona obłokiem wody Joy. Jej twarz, chociaż pełna i bez śladu kości policzkowych, zwracała uwagę. Promienna cera, błyszczące, błękitne oczy, czarne, gęste brwi. Piękne rysy podkreślała nieujarzmiona grzywa czarnych włosów. Nosila się jak kobieta świadoma swojej urody. Hej, laska, co masz pod tą pelerynką? Nagle poczułam ogromną radość, że postanowiła przyjść na spotkanie Strażników Wagi i uczynić swoje ciało równie pięknym jak twarz.

Usiadła na krześle obok mnie. Długo mościła się i poprawiała, po czym uwolniła z fałd peleryny wielką, tkaną torbę. Odłożyła ją na podłogę, podniosła, wyciągnęła ze środka długopis, odświeżacz do ust i mały notes na spirali, potem znowu odłożyła torbę, kopnęła ją pod swoje krzesło, aż w końcu powiesiła na oparciu krzesła obok.

Byłam wyczerpana.

Odwróciła się gwałtownie i przyłapała mnie, jak gapiłam się na nią z otwartymi ustami. I natychmiast obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem.

– Zajmuje mi chwilę, żeby się usadowić. Jestem Kathlyn.

– Barbara – powiedziałam.

– To twoje pierwsze spotkanie?

– Widać?

Wskazała na broszurkę „Pierwszy tydzień”, leżącą na moich kolanach.

– Nietrudno się domyślić. Nie sądzę, żeby ktoś z własnej woli czytał to dwa razy.

– Długo tu przychodzisz?

Jej oczy wypełnił smutek.

– Kilka miesięcy.

– I?

Wzruszyła ramionami, odpływając spojrzeniem w dal. Nie moja sprawa. Przesadziłam.

– Dzień dobry. – Rozkładaczka krzesel usiłowała zwrócić naszą uwagę.

– Dzień dobry – odpowiedziałyśmy chórem.

– Wszystkie wyglądacie dziś pięknie. – Otworzyła zniszczony segregator, z którego wystawały wycinki z gazet i przepisy. Odnalazła właściwą stronę i umieściła otwarty segregator na stole przed sobą. Spojrzałam na błyszczące zdjęcie grubej kobiety. – Dla tych z was, które są z nami po raz pierwszy: oto ja osiemnaście kilo temu. – Burzliwe oklaski. – Wyglądam tak, jak teraz – obróciła się wolno wokół własnej osi – od dziewięciu lat, dziewięciu miesięcy i dwudziestu dni. – Znowu brawa. – Ten program działa, jestem na to żywym dowodem.

Słuchałam uważnie, starannie notując. Właściwa pora roku na utratę wagi. Przed nami lato, pogoda na kostium kąpielowy. Dobra motywacja. Grubym jest gorąco. Kathlyn siedziała z długopisem w dłoni, na kolanach miała otwarty notes – patrzyła w niego, pochyliwszy głowę. Czułam, jak ogarnia mnie entuzjazm pierwszego dnia w szkole. Byłam gotowa. Nigdy wcześniej nie próbowałam diety, ale mogę to zrobić. Chcę to zrobić. Niepotrzebnie tak bardzo się martwiłam tymi kilkoma nic nieznaczącymi kilo-gramami.

– No dobrze. – Prowadząca radośnie klasnęła w dłonie. – Teraz odwróćmy się do osoby, siedzącej obok nas i porozmawiajmy o ćwiczeniach, jakie chciałbyśmy wykonywać... jakie wykonamy.

Odwróciłam się.

– Jakie...

Kathlyn miała zamknięte oczy, jej peleryna wznosiła się i opadała przy każdym głębokim oddechu. Rozejrzałam się po sali za inną partnerką, jednak nie miałam szczęścia, wszystkie miały parę. Znowu spojrzałam na Kathlyn. Tak spokojnie spała. Ale w końcu nie straci tych wszystkich kilogramów podczas drzemki.

Wstałam, przeszłam obok niej, bezpardonowo trącając jej nogi i podeszłam do stolika na środku sali po długopis. Kiedy wróciłam, Kathlyn patrzyła szeroko otwartymi oczami studenta na pierwszym porannym wykładzie. Jeszcze nie do końca wiedziała, gdzie się znajduje.

Z promiennym uśmiechem usiadłam na swoim miejscu.

– Ja mam zacząć czy ty?

– Ty – powiedziała zachrypniętym głosem.

– Cóż, zastanówmy się. – Zawahałam się, stukając długopisem w brodę. – Jaki sport chciałabym uprawiać?

Kathlyn przetworzyła informację i natychmiast zorientowała się, o co chodzi. Bystra dziewczyna.

– Chyba najbardziej lubię marsz. Przynajmniej lubiłam, dopóki nie straciłam... – to nadal tak bardzo bolało – dopóki nie straciłam towarzyski spacerów.

Kathlyn ziewnęła.

– A aerobik? – spytała.

– Nudy.

– Jogging?

– Mam słabe kolana.

– Pływanie? – Musiała mieć praktykę w roli adwokata diabła.

– Próbowalam – przyznałam. – Samo pływanie nie było najgorsze, ale nie mogę znieść tego ułamka sekundy, kiedy moje przyjemnie rozgrzane ciało zanurza się w zimnej wodzie.

– W miejskim basenie woda ma dwadzieścia siedem stopni.

– Tam właśnie byłam. – Roześmiałyśmy się. – Twoja kolej – powiedziałam.

– Och, ja chyba nienawidzę wszystkich form aktywności fizycznej. – Otworzyła i zamknęła notes, kliknęła kilka razy długopisem, odchyliła głowę do tyłu i potrząsnęła czarną grzywą. – Po prostu nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Nie przychodzi mi do głowy rodzaj aktywności, który nie byłby bolesny, nudny i nie byłby stratą czasu i pieniędzy.

– A seks?

Jej brwi aż podskoczyły, uniosła kąciki ust.

– Co najmniej pół godziny bez przerwy, trzy razy w tygodniu? –

zapropnowałam.

Pomyślałam o Franklinie. Ostatnio miał tak napięty grafik, że nie znalazłby trzydziestu minut w ciągu dnia, chyba że mógłby wejść na mnie i na rower stacjonarny jednocześnie.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Jeszcze dwie minuty, moje panie! – zawołała prowadząca. – A potem rozpoczniemy dyskusję na forum.

– Szybko – powiedziałam. – Wymień ćwiczenie, którego najmniej nienawidzisz.

– Jakbyś kazała mi wybierać między cykutą a arsenikiem. – Kathlyn z namysłem zaczęła żuć wewnętrzną stronę policzka.

Jej uroda mnie intrygowała. Sarajane też miała piękną twarz. Gdybym ja miała ich urodę, na pewno zadbałabym, żeby ciało było dopasowane do reszty. Sarajane nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo mnie zawiodła swoim brakiem silnej woli. Na litość boską, ona paliła papierosy. Dlaczego musiała jeszcze jeść? Kathlyn westchnęła, wierząc się na krześle.

– Nie chcę być mało oryginalna, ale chyba tylko chodzenie nie doprowadziłoby mnie do skrajnej rozpacz.

– No dobrze, moje panie – odezwała się liderka – teraz sobie porozmawiamy. Na odmianę zacznijmy od tylnych rzędów.

Obróciłam się na krześle. Poza Kathlyn wszystkie najgrubsze kobiety siedziały z tyłu sali. Wyglądały jak żywcem wyjęte z rodzinnego albumu Franklina. Taki układ przypominał mi podstawówkę, gdzie najlepsi uczniowie siedzieli z przodu, a pozostali próbowali zniknąć z tyłu klasy. Może to oznaczało, że duża Kathlyn z drugiego rzędu była jedynie cieniem dawnej siebie.

Kobiety, siedzące w ostatnich dwóch rzędach, roześmiały się chórem.

– Cóż, jedno jest pewne. Wcześniej czy później wszystkie wykupiłyśmy członkostwa w którymś z klubów fitness i żadna z nas nie poszła tam ani razu.

– Myślałam, że tylko ja – szepnęła Kathlyn.

– Ale czułyście się lepiej, kiedy się tam zapisałyście? – zapytała prowadząca. – Jakbyście wykonały pierwszy krok? – Kobiety skinęły głowami. – Ponieważ go zrobiłyście.

Ktoś parsknął.

– Jak możemy się zmotywować, żeby wykonać drugi krok, a potem następne? Jak możemy zacząć?

Dał się słyszeć pomruk zrozumienia.

– Ktoś ma jakieś pomysły?

Cisza. Z wahaniem uniosłam dłoń.

– Mnie pomagało, kiedy miałam z kim ćwiczyć – powiedziałam. – Samej mi nie wychodzi.

– Doskonale! – Liderka zaklaskała, a ja uśmiechnęłam się promiennie. – Dlatego wszystkie spróbujecie znaleźć kogoś, kto pójdzie z wami poćwiczyć. To wasze zadanie na ten tydzień. Niech każda zapisze numer telefonu swojej partnerki i zadzwoni do niej za dwa dni, żeby sprawdzić, czy zabrała się do roboty.

Spotkanie dobiegło końca w znacznie żywszej i bardziej przyjaznej atmosferze, niż się zaczęło. Jedna z kobiet z pierwszego rzędu odwróciła się do mnie z uśmiechem i włożyła mi w dłonie kartkę. Druga podała coś Kathlyn.

– Przeczytaj to później – szepnęła. – Jest rewelacyjna.

Wymieniłyśmy się z Kathlyn numerami telefonów i wyruszyłam na poszukiwanie puszek lukru do tortu Jasona. Może dwóch puszek. Wchodząc po schodach, zerknęłam na kartkę. Pod nagłówkiem „Dieta jajeczna kliniki Mayo5” widniał dzienny jadłospis. Czy ta dieta nie była popularna kilka lat temu? Wydawało mi się, że pamiętałam, jak ktoś dawał ją Sarzejane. Oczywiście nie przyniosła żadnych efektów. Ale w sumie nic nigdy ich nie przynosiło.

O ósmej dwadzieścia dziewięć we wtorkowy poranek siedziałam przy biurku w kuchni, wpatrzona w kursor migający na ekranie. Włączony komputer, kawa w termosie, palce przygotowane na klawiaturze, sterta listów od czytelników, którzy pytali Barbarę, gdzie znaleźć odpowiedź na każde pytanie. Na biurku, tam gdzie powinna stać popielniczka i papierosy – puste miejsce. Właściwie nie tyle miejsce, ile czarna dziura, która wysysała ze mnie każdy przebłysk kreatywności, jaki mogłabym mieć. Zegar wybił ósmą trzydzieści. Siedziałam tak dokładnie od godziny. Pora na przerwę. Przynajmniej byłam już we właściwym pomieszczeniu.

Pokroiłam cebularz, wrzuciłam do tosterka i rozpakowałam topiony ser. Niezupełnie klasyczny posiłek Strażników Wagi, ale pomyślałam, że zjem na śniadanie to, na co mam ochotę, a potem będę pościła przez cały dzień. Cebularz, który zjadłam wcześniej, tak naprawdę się nie liczył, ponieważ tylko dotrzymywałam towarzystwa dzieciom, jedzącym przed wyjściem do szkoły. Dlatego teraz to nie była przekąska, tylko śniadanie, część druga. Cebularz wyskoczył z tosterka i smarowałam go topionym serem, kiedy zadzwonił telefon. Zostałam przyłapaną na gorącym uczynku!

– Ta dieta jajeczna kliniki Mayo to oszustwo.

Upłynęła chwila, zanim połączyłam słowa z głosem. Roześmiałam się.

– I tobie również dzień dobry, Kathlyn. Co się stało? Nie schudłaś na niej?

– Nigdy nie stosowałam jej wystarczająco długo. – Melodyjny głos Kathlyn z trudem przebijał się przez dzwoniące w tle telefony.

– Gdzie jesteś? – zapytałam.

– W pracy.

– Tak wcześniej?

– Tak. Rano mogę działać więcej. W każdym razie, jeśli chodzi o tę dietę, to moim zdaniem każdy, kto twierdzi, że ilość pożywienia nie ma znaczenia, ale musisz jeść konkretne produkty w dokładnie taki a nie inny sposób albo zsinieją ci paznokcie u stóp...

– Paznokcie u stóp? U mnie nic nie było o paznokciach. U ciebie było coś o paznokciach u stóp?

– ...jest co najmniej podejrzany. I jak, na litość boską, ludzie obeznani z medycyną mogliby zalecać jedzenie siedmiu jajek dziennie?

– Kathlyn, wiem, że nie znamy się zbyt dobrze – oblizałam z cebularza trochę sera – ale podawanie w wątpliwość diety z Mayo jest nieamerykańskie.

– Dlatego zadzwoniłam do kliniki.

– Zadzwoniłaś do tej kliniki Mayo? W Rochester? – Wgryzłam się w cebularz, przesuwając słuchawkę aż na czoło, żeby spokojnie go przeżuć.

– Od razu wiedzieli, o jaką dietę mi chodzi, ona jest w obiegu już całe lata świetlne. To podróbka. Oszustwo. Ściema. Co jesz?

Nie powinna była słyszeć! Przełknęłam i opuściłam słuchawkę.

– Pamiętam, że wiele kobiet rzeczywiście na niej schudło.

– Oczywiście, jadły mniej kalorii, więc chudły. Ale to nie miało nic wspólnego z napychaniem się jajkami ani magicznymi zaleceniami, że musisz połknąć jedno ziarnko kminku po każdym kęsie fenkułu.

– Ale ja lubię zakąsić fenkuła kminkiem. – Bezgłośnie ugryzłam następną kęs.

– Co ty jesz? To mi wygląda na coś, co pozwalają jeść Strażnicy Wagi. Poczekaj chwilkę. – Powiedziała kilka słów do kogoś, ale było zbyt głośno, żebym mogła zrozumieć. Pewnie pracowała w jednym z tych punktów obsługi klienta albo miała inne zajęcie, przy którym jej piękny głos liczył się bardziej niż wygląd. Ilu dzwoniących klientów już się w niej zakochało? – Przepraszam – powiedziała. – Rankami mamy tu urwanie głowy. Dlaczego nie jesteś na spacerze?

– Myślę o tym – skłamałam.

– Och, to wspaniale. Słyszałam, że spaliśmy więcej kalorii, myśląc o bieganiu, niż o czytaniu książki.

– A jeśli to książka o bieganiu?

Kathlyn się roześmiała.

– Interesująca kwestia.

– A ty? – Posmarowałam serem resztę cebularza. – Spacerujesz?

– Tylko do lodówki. – Wyczułam jej oczekiwanie.

– Chcesz, żebyśmy spróbowały chodzić razem? – zapytałam, natychmiast tego żałując. Na pierwszą randkę nie umawiaj się na nic, poza kawą. – Może tylko w tym tygodniu. Zobaczmy, jak nam będzie szło.

– Może. – Nie była do końca przekonana. – Tylko w tym tygodniu.

Umówiliśmy się na siódmą następnego ranka. Odłożyłam słuchawkę i zmusiłam się do powrotu do komputera. Musiałam być gotowa na wypadek niespodziewanej wizyty natchnienia. Położyłam cebularz na miejscu przeznaczonym na popielniczkę, zamknęłam oczy i na chybił trafił wyciągnęłam ze sterty jeden z listów.

Droga Barbaro,

Planuję przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin męża. On uwielbia cyrk, dlatego chciałabym, aby taki był temat imprezy. Chciałabym też wynająć żywego słonia, na którym goście będą mogli się przejechać.

Ugryzłam cebularz i zajrzałam do notatek. Dam radę to zrobić. Pewnie napisanie cotygodniowej kolumny zajmie mi dwa dni zamiast czterech godzin, a moje słowa będą nieskładne i puste, ale dam radę. Odkąd rzuciłam palenie, „Globe” musiał włożyć sporo wysiłku w redakcję moich tekstów. Z faktami było wszystko w porządku, ale słowa, które je łączyły, sprawiały wrażenie, jakby pisał je dyletant. Może, jeśli będę miała odrobinę szczęścia, Cameron nie zdąży mnie zwolnić, zanim odzyskam dawną siebie.

4 Florence Nightingale (1820–1910) – angielska pielęgniarka, uważana za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa.

5 Jedna z pierwszych klinik piękności w USA.

Kwiecień. 59–66 kg

Stałam przy zlewie i płukałam surową pierś kurczaka. Doktor psychologii Toni Grant skrzeczał w moim kuchennym radioodbiorniku, zgrabnie rozkładając psychikę rozmówcy na czynniki pierwsze.

Nie, powiedział mężczyzna, nigdy nie był na żadnym przesłuchaniu do roli. Przyznał, że tak naprawdę nie uczył się aktorstwa. Szkoły są dobre dla wyrobników, a on miał naturalny talent. Zostanie gwiazdą, kiedy tylko porzuci obecną absorbującą pracę seksera kurcząt.

Zadzwoił telefon. Stanford. Niechętnie ściszyłam doktora Toniego i przycisnęłam ramieniem słuchawkę do ucha. Zacisnęłam zęby, słysząc nosowe jęczenie.

– Strasznie mi przykro, że zawracam ci głowę, Barb. – Łgał w żywe oczy. – Ale czy nie miałabyś czasu, żeby przyjechać w tym tygodniu i uporządkować szafę Saryjane.

No dobra, chłopaki, pakować archaiczne namioty. Wprowadza się rozmiar trzydzieści cztery!

Ściągnęłam skórę ze śliskiej piersi kurczaka i wbiłam nóż w różowe mięso. Wszedł jak w masło.

– Przepraszam cię, Stanford. Już dawno miałam się tym zająć...

– Ja bym to zrobił – wydał z siebie efektowny, krótki szloch – ale to dla mnie wciąż zbyt bolesne. Poza tym, ty będziesz wiedziała, co zrobić z jej ubraniami. Jestem pewien, że przydadzą się jakiejś organizacji charytatywnej.

– O tak. Na pewno chętnie...

– Tylko pamiętaj, żeby przysłać mi rachunek, dobrze? – Miał tyle przyzwoitości, by nie wspomnieć o potrąceniu od podatku.

– Przyjadę w tym tygodniu – obiecałam, łżąc w żywe oczy.

– Mhm... a czy mogłabyś najpierw zadzwonić? Żebym na pewno był w domu?

– Och, pewnie przyjadę, jak będziesz w pracy. Nie chcę ci przeszkadzać. – Chyba nie zniosłabym jego widoku. – Nadal mam klucz.

– Dobrze, że mi przypomniałaś – powiedział, jakby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy. – Mogłabyś go zostawić na stole w kuchni? Sprzątaczką... eee... zgubiła swój.

Oczywiście nie chciał, żebym pętała się po jego domu i przypadkiem nakryła go z nową dziewczyną miesiąca. Raczej źle by to wyglądało jak na pogrążonego w żałobie wdowca. Jakby kogokolwiek to obchodziło. Poza mną.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. W tym domu nie było dla mnie już nic

interesującego.

Odłożyłam słuchawkę, wrzuciłam nóż do zlewu i wyjęłam tasak, który kupiłam, kiedy chodziłam na zajęcia z kuchni syczańskiej, zaraz po tym, jak uczęszczałam na lekcje kuchni kreolskiej, *nouvelle cuisine*, dekorowania ciast i... Rąbnęłam tasakiem w mięso, czując, jak ogarnia mnie dawna złość.

Niewierność Stanforda mierzyła mnie bardziej niż Sarajane. Jak wtedy, kiedy poleciałyśmy razem na weekend do ich apartamentu na Florydzie, a ona znalazła w suszarce koronkowe majtki, pamiątkę po jednym z „weekendów golfowych Stanforda z chłopakami”.

– Nikt na świecie – upierała się – nie nosi rozmiaru trzydzieści cztery. – Ostatnie słowo wymawiała „czteeyy”. Kiedy była zła, powracał jej południowy akcent. – Ta sytuacja wymaga rytualnego spalania gaci. – Pierścionki na jej palcach zamigotały, gdy otwierała serwantkę, w której stał zbiór starorzemych naczyń Stanforda. Kupił tę kolekcję pewnego popołudnia na aukcji w Nowym Jorku i zorientował się, jak bardzo przepłacił, dopiero wtedy, kiedy odmówiło mu każde muzeum, któremu usiłował ją podarować. Teraz antyczne skorupy stały w apartamencie na Florydzie w zwykłej serwantce, wartej więcej niż jej zawartość.

– Posłuchaj, Sarajane...

– Chyba wezmę tę – powiedziała, delikatnie wyjmując cienką jak papier miskę. – To jedno z ulubionych naczyń Stanforda. On po prostu uwielbia przedmioty, które są... dmuchane.

Znałam ten jej uśmiech wystarczająco dobrze, żeby się odsunąć i zamknąć. Sarajane podniosła majtki kciukiem i palcem wskazującym, upuściła je do miski i postawiła niczym rytualną ofiarę na środku jedwabnego dywanika do modłów, który również należał do jej męża.

Podpaliła kartkę wyrwaną z rocznego raportu firmy niewiernego małżonka i upuściła płonący papier na majtki, nucąc wysokim głosem inkantację, która do złudzenia przypominała melodię z reklamy McDonalda. Z miski buchnęły kłęby czarnego dymu, co tłumaczyło wielokrotne użycie słowa „poliester” w ostatniej zwrotce. Miska, cienka niczym skorupka jajka, pękła, a rozżarzona masa wypadła na podłogę. Majtki stopiły się, pozostawiając na środku dywanika wypaloną, czarną plamę.

– Zadowolona? – spytałam.

– To, moja doogaa, była tylko przystawka. – Główne danie planowała zaserwować Stanfordowi w Chicago pod postacią dwukaratowych diamentowych kolczyków od Cartiera, idealnych na zakupy w galerii lub sobotnią wyprawę na targ.

Na półmisku rosła sterta kotletów z piersi kurczaka. Lubiałam czuć w dłoni

ciężar tasaka, który kupiłam bezpośrednio od kucharza w Chinatown. Moim największym talentem była umiejętność wyszukiwania przydatnych rzeczy, efekt uboczny tych wszystkich lat, które spędziłyśmy z Sarajane na myszkowaniu po zakątkach i zaułkach miasta. A więc mówisz, że szukasz obrotowego widelca do spaghetti, firmy cateringowej dostarczającej koszerne chińskie jedzenie, obcinacza do paznokci dla leworęcznych, miejsca do relaksu po liftingu twarzy, zamszowych kostek do gry, które pasowałyby do twojego porsche? Żaden problem, Barbara Avers znajdzie ci wszystko. Ma do tego prawdziwy talent.

Dziesięć minut później zawołałam rodzinę na kolację.

– Voilà! – powiedziałam, stawiając na stole kolorowy półmisek pełen kurczaka smażonego w woku z warzywami, i ukloniłam się z dumą.

Nikt nawet nie drgnął. Martwa natura z rodziną. Franklin siedział bokiem, z prawą ręką przerzuconą przez oparcie krzesła i lewą opartą na stole. Jason półleżał z dłońmi wbitymi w kieszenie i ponurym wzrokiem Clinta Eastwooda taksował plasterki cukinii. Rikki pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stole, z głową wspartą na pięściach. Nalałam im do szklanek wody z lodem.

– Tęsknię za kuchnią Sophii – powiedział Jason.

– Usiądź prosto – poleciłam.

Wyprostował się niechętnie. Dwunastoletni chłopcy nie mają kręgosłupów.

– Zwłaszcza za jej tacos z wołowiną – dodała Rikki.

Jason westchnął.

– O tak.

Położyłam mu warzywa z jednej strony na talerzu, a kurczaka zsunęłam daleko z drugiej, żeby przypadkiem obie rzeczy się nie dotykały.

– Wszystko, co gotuje Sophia, jest ciężkostrawne – powiedziałam. – Jemy za dużo wołowiny, sera i smażonych dań.

Rikki zakryła talerz dłońmi.

– Nie jestem głodna.

– Musisz coś zjeść – upierałam się, walcząc z poczuciem winy i machając łyżką, upaprana sosem sojowym o obniżonej ilości sodu. – Chociaż trochę?

– Nie zmuszaj jej do jedzenia. – Franklin odwrócił się przodem i przysunął krzesło do stołu. – Zachowujesz się jak moja matka.

– Nieprawda. – Prawda. – Zachowuję się jak moja babcia. – Nałożyłam mu na talerz kopczyk warzyw, który zwieńczyłam porcją kurczaka.

– Tak czy inaczej, przestań. Prawdopodobnie masz teraz problemy z wagą właśnie przez to, że w dzieciństwie zmuszano cię do jedzenia.

No i proszę. Zauważył. Tak przypuszczałam, ale przecież nic nie mówił. Każdego ranka, kiedy wchodziłam na wagę i krzywiłam się na widok pełznającej w górę wskazówki, modliłam się, żeby jakimś cudem nie było po mnie widać tych dodatkowych kilogramów. Dopóki Franklin nic nie mówił, byłam bezpieczna.

– Nie mam problemów z wagą. – Z hukiem odstawiłam półmisek na stół. – Każdy, kto rzuca palenie, ma prawo przytyć kilka kilogramów. – Podobnie jak każdy, kto je masło orzechowe łyżkami, resztki po całej rodzinie, słodczyce, jakie tylko nawiną się pod rękę...

– Barbara, minęły dwa miesiące. Jak długo jeszcze zamierzasz wykorzystywać tę wymówkę?

– To nie jest żadna wymówka, Franklin, tylko fakt.

– A to oznacza?

Skąd te ostre nuty w jego głosie? Poczułam, że pali mnie twarz.

– To oznacza, że nigdy w życiu nie miałam problemów z wagą. – Usiadłam, ignorując jęk delikatnego, skandynawskiego krzesła. – I teraz też nie mam. To tylko przejściowy kryzys. Chwilowe odchylenie krzywej na wykresie wagi. Jak w ciąży.

– Chcesz powiedzieć – Franklin puścił oko do dzieci – że to potrwa dziewięć miesięcy? – Och, jakże się świetnie bawił.

Dlaczego robił to przy nich? Spojrzałam na Rikki i Jasona, szukając współczucia. Obserwowali nas zafascynowani. Kiedy rzuciłam palenie, a jeszcze w miarę racjonalnie myślałam, zwołałam zebranie całej rodziny.

– Prawdopodobnie będę teraz trochę rozdrażniona – uprzedziłam ich. – Wiecie, że nie mam w zwyczaju krzyczeć, możliwe jednak, że będę musiała werbalizować uczucia, które dotychczas tłumiłam papierosem.

Przez pewien czas dzieciaki chodziły wokół mnie na palcach, czekając i nasłuchując z nadzieją. Wydałam kilka groźnych pomruków, ziemia lekko zdrząła, lecz żaden wybuch nie nastąpił. Nie, doktorze Toni, nigdy nie byłam skłonna do konfrontacji. Nie, nigdy nie wszczynałam kłótni. Nie, nie umiem się spierać, ani konstruktywnie, ani w żaden inny sposób. Ale po prostu wiem, że kiedy ta chwila nadejdzie, będę fantastyczna.

– Po urodzeniu tych dwojga wróciłam do czterdziestu ośmiu kilo – odparłam – i teraz też mi się uda.

– Barbara, wtedy byłaś o wiele młodsza.

– Jak miło z twojej strony, że mi o tym przypomniłeś. No dobrze... – Żołądek skręcał mi się na myśl, że muszę się bronić. – Teraz, kiedy czuję, że zostałam niesłusznie zaatakowana – daruj sobie te subtelności, ty tchórze – kiedy jestem niesłusznie atakowana, po tym jak zaplanowałam obiad, zrobiłam zakupy, ugotowałam i podałam ten zbilansowany, wyjątkowo zdrowy i wizualnie atrakcyjny odżywczy posiłek. – Ach, ta pełna dramatyzmu przesada! – Ta chwila wydaje mi się doskonałym momentem na papierosa. A ponieważ nie mogę zapalić, więc chyba coś zjem. – Rozłożyłam serwetkę, oczekując aplauzu.

– Mamo, wiem, że próbujesz schudnąć – Rikki miała na tyle rozsądku, żeby na mnie nie patrzeć – ale nie rozumiem, dlaczego my musimy cierpieć.

Franklin poklepał ją po dłoni.

– Jedzenie zdrowych posiłków to żadna kara – powiedział.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością za to niespodziewane wsparcie, a on odpowiedział mi uśmiechem.

– Chociaż, Barbaro, może powinniśmy się zastanowić, czy nie moglibyśmy mieć w domu normalnych przekąsek dla dzieci, jak chipsy czy słodycze.

Bóg dał i Bóg wziął.

– Są niezdrowe – zaprotestowałam. – To tylko puste kalorie. Poza tym wiesz, jak ciężko mi się powstrzymać, kiedy mam takie rzeczy pod ręką.

– Cóż, może powinniśmy zacząć ćwiczyć siłę woli. – Wszyscy wiedzieliśmy, kogo oznaczało owo „my”.

Łypnęłam na cztery jednostki protein i cztery jednostki warzyw, zanim nałożyłam je sobie na talerz. Zapomniałam kupić wagę kuchenną. Znowu. Porcje wydały mi się nad wyraz skąpe, więc dołożyłam sobie po trochu jednego i drugiego.

– Matka Nicka Turnera też rzuciła palenie – obwieścił Jason, z chirurgiczną precyzją oddzielając grzyby od reszty jedzenia – i przytyła tylko dwa i pół kilo.

– Ciężko dostrzec dwa dodatkowe kilogramy u kogoś o gabarytach Joelle Turner – zauważyłam, nalewając sobie wieczorny kielich białego wina, który odrobinę łagodził wymogi diety. – Poza tym, skąd Nick może wiedzieć, ile waży jego matka?

Uważaj, Jason, to podstępne pytanie. Czy ty wiesz, ile ja ważę?

– Ona trzyma taki wykres w pudełku z czopkami na hemoroidy w apteczce. Przytyła z sześćdziesięciu sześciu kilo do sześćdziesięciu ośmiu i pół, a potem wróciła do poprzedniej wagi.

– Faj! – skrzywiła się Rikki, wyławiając z półmiska plasterek wodnego kasztana, który oblizwała z soi i zaczęła obgryzać. – Po co Nick szperał w tym obrzydliwym pudełku z czopkami?

– Szukał prochów. Jego matka zawsze trzyma w apteczce działkę.

– Przestań mówić jak gliniarz z serialu – zganiał go Franklin.

Przeżuwałam powoli, starając się, żeby jedzenie wystarczyło mi na jak najdłużej. Ledwo zaczęłam jeść, a już wiedziałam, że wstanę od stołu głodna.

– Myślałam, że Joelle Turner waży o wiele więcej niż sześćdziesiąt sześć kilo – wtrąciłam.

– Nie bądź złośliwa – powiedział Franklin.

Od razu się najeżyłam.

– Poczyńłam tylko pewną obserwację. Gdybym była szczupła, nie oskarżałbyś mnie o złośliwość. Chudzi ludzie są wiarygodni.

– Tak – zgodził się – zwłaszcza w kwestii wagi.

Jedliśmy w milczeniu. Kiedy widziałam Joelle dwa miesiące temu,

wyglądała raczej na siedemdziesiąt pięć kilo. Była jedną z tych kobiet, które nie kupowały ubrań w większym rozmiarze nawet wtedy, kiedy ten większy stawał się za mały. Nosiła dobre dla nastolątek obcisłe ciuszki, podkreślające jej wszystkie fałdy i obwisłości – kobieta, która wyrosła, ale nie dorosła. Wełniane bluzeczki, rozciągnięte do granic możliwości na jej biuście, deformowały wypchane wkładkami staniki, nadając piersiom nienaturalny kształt. W swoich obcisłych spodniach wyglądała, jakby cała była tylko talią i brzuchem. Jeśli miała w domu duże lustro, na pewno nigdy w nie nie spójrzała. Nie, żebym ja ostatnio spędzała dużo czasu na wpatrywaniu się we własne odbicie. Zaczęłam korzystać z maleńkiej łazienki dla gości, gdzie nad umywalką wisiało tylko małe lustro. Od szyi w górę nadal robiłam wrażenie.

Franklin szerokim ruchem rozłożył swoją serwetkę i przykrył nią jedzenie na talerzu.

– Coś nie tak? – zapytałam.

– Wszystko w absolutnym porządku. – Wydłubał z zębów kawałek kurczaka.

– Po prostu zdałem sobie sprawę, że zjadam wszystko, co mam na talerzu. Małe porcje. Wielkie porcje. Nawet jeśli nie jestem głodny. – Odchylił się na krzesło, poklepując obiema dłońmi swój twardy brzuch. – Muszę zacząć się pilnować.

Maczając chleb Strażników Wagi w pozostałym na półmisku sosie, poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Franklin chciał dobrze. Próbował podsunąć mi dobre pomysły w taki sposób, żebym nie czuła się krytykowana. Ach, Franklin, zbyt wiele czasu spędzasz ze swoimi groupies. Zapomniałeś, że ożeniłeś się z kobietą, która używa też części ciała znajdujących się ponad szyją. Przełknęłam nasiąknięty sosem chleb i splukałam go winem. Przykryłam serwetką pusty talerz i poklepałam się po coraz okrąglejszym brzuchu.

– Ktoś ma ochotę na spacer? – zapytałam.

– Ja idę grać w piłkę – ogłosił Jason.

– Muszę odrobić lekcje – odparła z westchnieniem Rikki.

Zadzwoił telefon, który zdążyła odebrać po pierwszym sygnale.

– To do ciebie – powiedziała zirytowana i wyciągnęła słuchawkę w stronę Franklina. – Jakaś pani.

Czyżby mój mąż podszedł do telefonu lekko tanecznym krokiem?

– Halo? Och, witam, panno Pembroke.

„Och witaaaaaaaam panno Pembroke”?

– Nie, proszę nawet nie myśleć o ponoszeniu takiego wydatku. To żaden problem.

Nigdy nie słyszałam, żeby mówił komukolwiek, aby nie myślał o ponoszeniu jakiegoś wydatku. Bez względu na to, ile mieliśmy pieniędzy, Franklinowi nigdy nie było dosyć. Uwielbiał drogie samochody, ubrania i domy, ale w kwestii wydatków, których nie widać, był bardziej skąpy od Scrooge’a. Był dumny ze

swojego bogactwa, a jednocześnie panicznie się bał, że znowu zostanie biedakiem. Teraz nie mówił już przygaszonym głosem, który słyszałam przy stole.

– Nie, dlaczego, mogę je obejrzeć.

Królestwo za papierosa! Nie miałam papierosów. I nawet nie mogłam wyjść do drugiego pokoju, żeby zadzwonić do Saryjane. Wyjadałam kawałki kasztana wodnego z talerza Jasona, dopóki Franklin się nie rozłączył.

– Muszę na chwilę pojechać do biura wyborczego – oznajmił.

– Och? Kto dzwonił?

– Ashley Pembroke, nasz nowy spec od wizerunku, Rosenthal ją zatrudnił.

Przygotowała projekty plakatów, które powinienem obejrzeć.

– Świetnie! Pojadę z tobą, przydam się jako tania siła robocza.

– Nie, dzięki. To nie potrwa długo.

– Pewnie masz tony kopert, które trzeba napełnić. Mogę też coś przepisać.

Franklin wsparł ręce na biodrach i przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Myślałem, że nienawidzisz polityki.

– Nie nienawidzę polityki, tylko jestem apolityczna. Ale właśnie niedawno myślałam, że powinnam sobie znaleźć jakieś zajęcie poza domem.

– Niezły pomysł. Może zostać wolontariuszką w szpitalu albo gotuj posiłki dla niepełnosprawnych, którzy nie mogą wychodzić z domu. Ja w tej chwili mam wystarczająco dużo ludzi. Poza tym siedzenie przy biurku to raczej nie jest zajęcie, jakie teraz jest ci najbardziej potrzebne.

Zadzwoniłam po Sophie, żeby posprzątała ze stołu, i prawie natychmiast usłyszałam, jak schodzi ze swojego mieszkania na strychu.

Franklin włożył kurtkę z kozłowej skóry. Tę, którą trzymał na specjalne okazje.

– Co to za okazja? – spytałam.

– Okazja? Och, masz na myśli kurtkę? – Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i sprawdził swoje odbicie w czarnych drzwiczkach mikrofalówki. – Wiesz, mam ją od tylu lat i prawie wcale jej nie nosiłem. Dzisiaj zapytałem sam siebie, po co ją tak oszczędzam. I wiesz co? – Pocałował mnie lekko w czoło. – Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. – Ruszył do drzwi.

– Poczekaj! – zawołałam. Znieruchomiał przy drzwiach. Włożyłam kurtkę i złapałam torebkę. – Podrzucisz mnie do drogerii.

– Myślałem, że wybierasz się na spacer.

– Wrócę piechotą. Muszę kupić kilka drobiazów.

Tabletki na odchudzanie stały na półce z tyłu drogerii, wciśnięte między podpaski i irygatory. Biedne grubasy. Jeśli nie liczyć kasjera i mnie, sklep był

pusty. Uważnie obejrzałam pudełka, ale wszystkie wydawały się takie same. Przyjechał wieczorny pociąg z centrum i do sklepu wbiegła horda znękanymi ludźmi pracy, szukających papierosów, baterii i gazet. Podglądałam ich zza półek. Czy cały świat stał się nagle elegancki, pewny siebie i szczupły? Ja już do niego nie należałam, a stanie z boku wcale nie było zabawne. Próbom znalezienia się tam z powrotem towarzyszyły raczej jęki niż śmiech.

Poczekaliśmy, aż tłum klientów załatwi swoje sprawunki, po czym wzięłam z półki opakowanie tabletek, wsunęłam je między „Vogue” i „Bazaar” i niespiesznie podeszłam do kasy. Na szklanej ladzie, której pęknięcia od wieków zalepiano taśmą klejącą, stała wystawa gum do żucia, miętówek i długopisów. Zniknęły stamtąd miniaturowe butelki syropu Ipecac, który, jak odkryliśmy z innymi matkami, wlewały w siebie nasze nastoletnie córki, żeby zwymiotować pizzę. Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli zagroziło drogerii bojkotem, jeśli kierownik nie usunie tych małych buteleczek, pomagającym sprytnym obżarciuchom opróżnić żołądek z kolorowych kalorii.

Miejsce syropu zajęło pudełko batoników Chunky6. Mały żarcik kierownika. Widok owiniętej w sreberko czekoladki przypomniał mi drogerię Steinwaya, którą miałyśmy z Sarajane w drodze ze szkoły. Każda z nas kupowała sobie czekoladkę do wiśniowej coli. Te nowe chunky wyglądały na cieńsze. „Jeszcze lepsze” – obiecywał napis umieszczony na żółtym tle. „Oryginalne chunky”. Wzięłam batonik do ręki, wając jego ciężar w dłoni. Stare kubki smakowe czujnie uniosły łby.

– Pamiętam te prawdziwe, oryginalne – powie-działam.

Korpulentny sprzedawca uniósł wzrok znad „Pent-house’a” i poprawił pośladki na krześle. Co za okropny zwyczaj. Pokazałam mu czekoladkę, trzymając ją między palcem wskazującym a kciukiem. – Te naprawdę oryginalne miały kształt piramidek. – Przełknęłam potoki śliny. – I były opakowane w grube sreberko, otwierane na dole. – Szarpnęłam szczelnie zamknięte opakowanie. – Miały w sobie orzechy i rodzynki. – Rozerwałam zębami cienką folię. Czekoladka w środku była podzielona na cztery małe kwadraty. – Jak oni mogą nazywać to oryginalnym? – zapytałam.

W oczach sprzedawcy pojawił się przebłysk świadczący, że tę planetę zamieszkiwała jakaś rozumna istota. Zacharczał.

– Myśli pani, że to okropne? Przez chwilę robili je płaskie jak batoniki. – Pochylił się ku mnie konspiracyjnie z miną: „A wystarczyło, żeby mnie zapytali”, i znowu zacharczał. – Sprzedaż poleciała na łeb na szyję. Jak z coca-colą. Nie wiem, dlaczego ci ich spece przed dokonaniem takich dupnych zmian nie wyjdą na ulice i nie pogadają z ludźmi. Pościągali spojlerzy z aut. Wymyślili dmuchane wafle, które smakują jak tektura.

Uśmiechnęłam się, kiwając głową, a moje świeżo zmartwychwstałe kubki

smakowe błagały o chunky. Drżącymi dłońmi przełamałam czekoladkę na pół.

– Chce pan kawałek? – Spytałam zawstydzona, że nie miałam nawet tyle samokontroli, żeby poczekać z pochłonięciem przysmaku.

Sukinsyn wziął kawałek, a potem wrzucił go w swoje rybie usta jak gdyby nigdy nic. Ja złamałam swoje pół na pół i położyłam jedną kosteczkę na języku, który zatonął w powodzi smaku. Zamknęłam oczy. Nie pamiętałam już tej magii. Czy była taka sama? Wydawała się znajoma. Rodzynki, orzechy, czekolada. Tak. Chyba tak. Zaczynałam sobie przypominać. – Nie kupiłam batonika od dwudziestu lat – powiedziałam. – A może dłużej.

– Tak? – Zmierzył mnie spojrzeniem.

Cóż, nie miałam wymiarów z „Penthouse’a”. Obciągnęłam bluzkę.

– To wszystko?

Skinęłam głowę. Za czekoladkę zapłaciłam czterdzieści centów. Ostatnia kosztowała mnie pięć i zjadłam ją całą. Przydałaby się cherry cola do popicia. Tylko z kim miałabym ją wypić? I z kim się pośmiać? Z kim wydmuchiwać bąbelki przez słomkę? Tylko ludzie z problemami piją w samotności. Wsunęłam do ust ostatni kawałek chunky i natychmiast zapragnęłam jeszcze.

Sprzedawca podliczał moje zakupy na antycznej kasie, a mój wzrok padł na ścianę papierosów za jego plecami. Nawet przez celofan czułam zapach tytoniu. Ten stan nie musi dłużej trwać. Poczulałam między wargami chłodny, twardy filtr. Mogę natychmiast zakończyć to szaleństwo. Wciągnęłam dym głęboko do płuc. Jedna paczka i żegnajcie problemy z wagą.

– Dobre są? – zachrypiął sprzedawca, machając mi przed twarzą opakowaniem z tabletkami.

Rozejrzałam się nerwowo, jak dziewczyna kupująca prezerwatywy.

– Dam panu znać.

Pakował moje zakupy, a ja dusiłam się, wbijając wzrok w papierosy. Pękła torba; sprzedawca zaklął, wyjął moje zakupy. Czułam, jak pot spływa mi pod pachami. Oczy zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, wszystkie marki zwały się w jedną. Zaczęłyśmy palić z Sarajane, kiedy miałyśmy po czternaście lat. Schowałyśmy się w łazience, gdzie na spółkę wypaliłyśmy kenta mojej babci. Potem wyruszyłyśmy wraz z modą na zachód, do krainy Marlboro, później przerzuciłyśmy się na salemy i more’y. Ja skończyłam na mentolowych benson and hedges, które Sarajane nazywała patyczkami dla mięczaków, ale mnie wystarczały. Słyszałam, jak łomocze mi serce. Tu-dum. Tu-dum. Tu-dum.

Zacznę od paczki cameli. Tak, doskonała myśl. To dopiero będzie prawdziwy hołd dla Saryjane, jak przerzucę się na jej markę. Ona by nie chciała, żebym rzuciła palenie. Na pewno nie. Co to był w ogóle za niemądry pomysł. Nie mam pojęcia, co mnie opętało. A co mi tam, zrobię sobie minimaraton, będąc odpalając jednego camela od drugiego. Albo zapalę dwa naraz. Wypełnię tę pustkę,

tę dziurę, tę otchłań.

– Tak, niech mi pani da znać co do tych pigułek. – Sapiąc z wysiłku, pchnął torbę z zakupami w moją stronę i zapalił marlboro. Przynieść mi tu kowbojski kapelusz i przyprowadzić cholernie narowistego konia. – Sam myślałem o zrzuceniu kilku kilogramów. – Zacisnęłam palce na siatce, razem z nim wdychając dym. Zakasłał, wciągnął powietrze i umościł swój tyłek na stołku. Kot z Cheshire⁷, cierpiący na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. Uciekłam. A jeśli znowu zacznę palić i... nie przestanę jeść? Jedyłą bardziej obrzydliwą istotą od grubej kobiety jest gruba kobieta śmierząca papierosami. Ja kochałam Sarę Jane bez względu na wszystko, ale kto będzie kochał mnie? Odepchnęłam od siebie natrętne myśli o Franklinie, wychodzącym na spotkanie w kurtce na specjalne okazje.

Mój spacer do domu zakończył się przy krawężniku. Autobus, który jeździł w dniu Guya Fawkesa⁸, stanął przede mną i otworzył ze świstem drzwi. Przeliczyłam szybko resztę, którą ścisnęłam w dłoni. Akurat starczy na bilet. Niektóre znaki są zbyt oczywiste, by je zignorować. Poczekam na jutrzejszy spacer z Kathlyn. Nie muszę od razu stać się fanatykiem sportu. Poza tym podczas jazdy będę mogła przeczytać instrukcję na opakowaniu pigułek na odchudzanie.

⁶ *Chunky* (ang.) – krępy, gruby.

⁷ Kot z Cheshire – postać z powieści *Alicja w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla.

⁸ Dzień Guya Fawkesa – święto obchodzone hucznie 5 listopada w rocznicę wykrycia tzw. spisku prochowego – zamachu na życie króla Anglii i Szkocji Jakuba I w 1605 roku.

Miłego wieczoru. Proszę uważać przy wysiadaniu. – Drzwi otworzyły się i wyszłam prosto w gęstą mgłę, nadpływającą znad jeziora. Miękka aureola, przypominająca temperę na mokrym papierze, otaczała stylizowane na staroświeckie lampy uliczne. Ta mgła przywiodła mi na myśl zupę z odrobiną pieprzu i grzankami.

Wstrzymałam oddech, dopóki autobus nie odjechał razem ze swoimi spalinami. Kiedy znów wciągnęłam powietrze, nie miałam wątpliwości, jaki zapach czuję. Byłam dwie przecznicie od domu i wyraźnie czułam woń tacos Sophii. Chunky zaspokoił mój pierwszy głód, ale zawsze miałam miejsce na więcej jedzenia. I na jeszcze więcej. Ostatnimi czasy czułam się tak, jakbym bez przerwy spodziewała się okresu.

Jeśli będę szła wystarczająco wolno, może tacos przejdą do historii, zanim stanę w drzwiach. Ruszyłam w stronę domu otoczona wilgotną ciemnością. Poradzę sobie z tymi paroma kilogramami. Muszę. Zaczynało mi brakować ubrań, które pomieściłyby moje biodra. Nie było mowy, żebym w takim stanie spędziła lato w naszym klubie. Już słyszałam te poszeptywania nad basenem: „Widziałas Barbarę? Co jej się stało? Niewiarygodne, że aż tak się zapuściła”.

Sama często wyciągałam się na leżaku i zapalałam papierosa. Puf, puf. I zastanawiałam się, jak kobieta może się doprowadzić do takiego stanu. Puf. Na głos. Puf. Jako wyraz sympatii. Puf, puf. Na wypadek, gdyby te otyłe nie zauważyły swojej nadwagi. Puf, puf. Żeby dać im znać, że nie są mi obojętne i że mam nadzieję, iż wkrótce się pozbierają. Puf, puf, puf. Sarajane, owinięta w luźne szaty, w ogromnym kapeluszu, siedziała obok mnie, kiwając głową, jakby sama była szczupła. Ale ona przynajmniej ukrywała swój tłuszcz przed światem, nie jak Ramona Salter, która wystawiała wszystkie fałdy na widok publiczny. Bo Ramona była we Francji, gdzie stutrzydziestokilogramowe kobiety w bikini grają w siatkówkę na plażach Riwiery. Topless.

We mgle przede mną zamajaczyły dwa cienie. Zwolniłam. Jeden z nich potknął się, a drugi wyciągnął do niego rękę. Pijani? Ćpuny? Słyszałam ich ciężkie oddechy, przypominające świst powietrza w masce do nurkowania. Od domu dzieliła mnie jedna przecznicca. Jeszcze wiele mogło się wydarzyć.

Tamci dwaj szli blisko siebie w ciemności, która zalegała między lampami. Chwyciłam mocniej swoje zakupy. No dobrze, panie rabusiu, możesz dostać moją torebkę i gazety, ale wyciągnij tylko łapę po pigułki, a pożałujesz! Rozchwiany cień wysunął się do przodu, kuśtykając jak spętany niedźwiedź.

Ojciec nauczył mnie, jak się zachowywać w ciemnej ulicy. Maszerować

pewnym krokiem prosto przed siebie, jakbym wiedziała, dokąd idę, jakby te spowite mgłą postacie nie były Kubą Rozpruwaczem i Dusicielem z Bostonu, jakby ten niedźwiedź nie pochylał się właśnie, żeby wygrawerować na nożu moje imię. Przywołałam swoje wewnętrzne dziecko, małą tupeciarę z Nowego Jorku, która w drodze do szkoły przeskakiwała przez leżących na ulicy pijaków. To ona kazała mi wyprostować plecy, unieść podbródek i przyspieszyć kroku.

– Wystarczy – warknął niedźwiedź.

Jego kumpel wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam.

– Dwie minuty czy dwie godziny, do cholery, co to za różnica? Jak mówię, że dosyć, to dosyć. Wracam do domu!

Minęłam ich, kiedy niedźwiedź zaczął się obracać.

– Wieczór – mruknął.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam, nie patrząc na niego, kątem oka dostrzegłam tylko błysk kuli inwalidzkiej. To pułapka. Chcą mnie wziąć na litość, zmylić moją czujność. Szłam dalej, przygotowując się na cios kulą, wymierzony w mój kark.

– Barbara? – zapytał jego towarzysz. – To ty?

Obróciłam się gwałtownie.

– Cameron? – Roześmiałam się z ulgą. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to ty. Nie uwierzyłbyś, jakie sztuczki płata wyobraźnia w tej mgle.

Odwróciłam się do jego przyjaciela i poczułam, jak idiotyczny, szeroki uśmiech zamiera mi na ustach. Czarne szwy spinały ranę od czoła aż do brwi, potem znikwały pod ciemną opaską na oko, po czym biegły w dół po policzku. Czarne loki, lśniąco niczym metalowe opiłki, okalały wykrzywioną bólem twarz mężczyzny. Indianin? Włoch? Trzydzieści pięć lat, a może czterdzieści pięć? Cokolwiek spotkało tego człowieka, miał szczęście, bo udało mu się zachować drugie oko, tak blade, że prawie znikowało we mgle. Coś w nim błysnęło, jakby próbował mnie zmusić, bym odwróciła wzrok. Nie mogłam.

– Barbaro, to jest Mac Parker, mój stary przyjaciel.

Zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

– Miło cię poznać – powiedziałam, wyciągając rękę. Przeniósł ciężar ciała na jedną kulę, ujął moją dłoń i uniósł do ust.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział, gładząc kciukiem kostki mojej dłoni, zanim ją pocałował. I potem. – A ty jesteś...?

Jestem, jestem, jestem...

– To Barbara Avers – przedstawił mnie Cameron. – Pani Barbara Avers. Szczęśliwie zamężna matka dwójki dzieci.

Mac nie odrywał oczu od mojej twarzy.

– Jak miło – powiedział.

– Zachowuj się – ostrzegł go Cameron. – Chodź, Barb, odprowadzę cię do

domu.

– Przecież masz towarzystwo.

– Tak – wtrącił Mac – masz towarzystwo.

– Mac właśnie narzekał, jak bardzo jest zmęczony. – Cameron ujął mnie pod łokieć i maszerując spiesznie ulicą, mówił coraz głośniej: – Zbyt zmęczony na dalszy spacer. Sam znajdzie powrotną drogę do mojego domu.

– Naprawdę nie trzeba – szepnęłam – pójdę sama. – Tak niegrzeczne zachowanie nie było w stylu Camerona.

Delikatnie ścisnął mój łokieć.

– Zaufaj mi, Barbaro.

Zza naszych pleców rozległ się głos Maca.

– Jak daleko jest ten twój dom, Szczęśliwie Zameżna Pani Avers?

– Dla ciebie zbyt daleko – odparł Cameron, nie zwalniając. Słyszałam szuranie stóp Maca i metaliczny brzęk jego kuli.

– Czyli jak daleko?

– Nie aż tak, jak każą ci spacerować lekarze, ale dalej, niż miałbyś ochotę iść.

– Wiesz, chyba czuję, jak przybywa mi sił.

Zaczekaliśmy na niego na rogu. Mac z wysiłkiem targał swoje ciało do przodu. Widok był zbyt bolesny, więc odwróciłam wzrok.

– Nie pytaj go, co się stało – poradził mi Cameron. – Nie proponuj pomocy. Ani w żadnym wypadku nie okazuj współczucia.

– A zatem – uciekłam na bezpieczne terytorium – jak radzą sobie Niedźwiedzie9?

Cameron trącił mnie lekko pięścią w szczękę.

– Dobry pomysł, sport, ale nie ta pora roku.

– No dobrze. Jak się miewa Myrna? – I co, u diabła, przydarzyło się twojemu kumplowi z seksownym okiem?

– Zajęta. Ciągłe biega na jakieś uroczyste kolacje i obiady. Wszystkie jej organizacje zamykają się na lato.

– Nie wiem, jakim cudem ona znajduje czas na to wszystko. – Kroki Maca na chwilę zamilkły, po czym znów usłyszałam szuranie. – Wydaje się, że jej doba ma więcej godzin niż moja.

– To prawda, jest niesamowita. – Ten facet naprawdę kochał swoją żonę. Sarajane nigdy w to nie wierzyła. Czekwała, aż Cameron i Myrna rozstaną się po długim i smakowicie brzydkim rozwodzie. Zastanowiłam się, jak Franklin mówił o mnie. Z dumą? Z miłością? I czy w ogóle o mnie mówił?

Mac wreszcie nas dogonił. Powstrzymałam się przed otarciem mu z czoła kropli potu, kiedy przystanął, próbując złapać oddech.

– Jeszcze tylko jeden dom – pocieszyłam go, ruszając posłusznie za

Cameronem, który ciągnął mnie za łokieć.

– Tylko – powtórzył Mac, unosząc twarz do nieba. – Bardzo śmieszne, panienko, to znaczy pani Avers.

Czekałam, by usłyszeć szuranie jego stóp.

– Dlaczego czuję się jak marchewka przed końskim pyskiem? – mruknęłam.

– On raczej przypomina muła – powiedział Cameron. – Jest strasznie uparty.

Nie podchodź za blisko, Barbaro. On gryzie. – Wciągnął nosem powietrze. – Mmmm... co to za zapach?

– Tacos Sophii.

W jego oczach błysnęło czyste pożądanie. Znałam to uczucie.

Nie jedliście jeszcze?

– Mac i ja jesteśmy dziś zdani na siebie. Mieliśmy zamiar zamówić pizzę.

– Cóż, równie dobrze możecie zajść do nas i sprawdzić, czy cokolwiek zostało. Poza tym wydaje mi się, że twój przyjaciel i tak będzie musiał odpocząć. – Podeszliśmy do kuchennych drzwi.

Armia Zapaty¹⁰ nie pochłonęłaby jedzenia, która piętrzyło się na kuchennym stole. Sophia włączyła wszystkie palniki i sprawnie zamieniała surowe tortille w chrupiące skorupy, które umieszczała na specjalnych stojakach. Rikki z przyjaciółką kładły do środka przyprawioną wołowinę i kurczaka, a potem przekazywały Jasonowi, który wraz ze swoim gangiem dodawał pokrojone w kostki pomidory i posiekaną sałatę.

– Zróbcie nam trochę miejsca! – zawołałam, waląc w siatkowe drzwi.

Rikki podniosła wzrok i na jej twarzy odmalowało się poczucie winy.

– Och, cześć, mamo. Dzień dobry, panie Brady.

– Cześć, dzieciaki – przywitał ich Cameron, przerzucając patykowatą nogę przez oparcie krzesła i sadowiąc wygodnie.

Sophia unikała moich wściekłych spojrzeń, które jej posyłałam, wycierając kawałek stołu i wyjmując talerze dla moich gości. Wzruszyła ramionami. Co miała zrobić? Traktowała Rikki i Jasona jak własne dzieci. Jak mogła ich nie nakarmić, kiedy byli głodni? Moja nowa dieta nie miała dla niej żadnego sensu. Jak człowiek może żyć bez cukru, białej mąki czy potraw smażonych w głębokim tłuszczu? I po co w ogóle ktoś chciałby tak żyć? Nie była w stanie gotować posiłków, o jakie prosiłam. Jakich żądałam. Odkąd przejęłam stery w kuchni, patrzyła, jak moje dania Strażników Wagi, „którymi będzie się zajadała cała rodzina”, wędrują ze stołu do lodówki, a potem są przesuwane na sam jej tył, gdzie pleśnieją, aż w końcu lądują w śmieciach.

Wracając do stołu, trąciłam Rikki łokciem.

– Mamo, my tylko pomagaliśmy Sophii...

– Oszczędź mi szczegółów – przerwałam jej. – Jason, wydaje mi się, że zjadłeś już kolację. Podaj, proszę, ten stojak z tacos panu Brady'emu. Rikki,

przynies z lodówki z piwnicy dwa zimne piwa.

Córka posłała mi swoje najbardziej wściekłe spojrzenie, po czym ruszyła w stronę siatkowych drzwi. Jej wrzask sparaliżował wszystkich w kuchni. Mac! Zupełnie o nim zapomniałam. Popędziłam do drzwi, przy których stał z najsmutniejszą miną, jaką w życiu widziałam. Najwidoczniej dziś po raz pierwszy pokazał publicznie swoje rany. Cameron powinien być mnie o tym uprzedzić, żebym mogła ostrzec dzieci. Rikki schowała się za moimi plecami i chwyciła mnie za koszulę.

– Czy mogę panu pomóc? – zapytałam, a na jego twarzy odmalowała się bezbrzeżna wdzięczność.

– Tak, poproszę. Właśnie zostałem zmuszony do pokonania Sahary na piechotę i chętnie zjadłbym jakieś tacos.

– Oczywiście. – Otworzyłam szeroko drzwi. Rikki patrzyła z otwartymi ustami, jak Mac kuśtyka obok niej.

– Niegrzecznie jest tak się gapić – szepnęłam. – Lepiej przynieś trzy piwa.

Jason i jego gang, trącąc się łokciami, obserwowali, jak Mac z trudem kuśtyka przez kuchnię. Nie mogli oderwać wzroku od jego szwów. Rikki wróciła z piwnicy, niosąc trzy piwa. Nie spuszczać oczu z nowego gościa, zajęła swoje miejsce. On też usiadł, z głośnym jękiem bólu. Był to jedyny dźwięk w kuchni poza skwierczeniem tacos w oleju.

– Myślałam, że musisz odrabiać lekcje – powiedziałam, biorąc od Rikki butelki.

– Och, musimy uczyć się z Sarną do testu.

– Skoro miałaś czas na robienie tacos, to równie dobrze mogłaś pójść ze mną na spacer. – To twoja wina, że zjadłam chunky. Jestem ofiarą. Gdybyś poszła ze mną, wróciłabym na piechotę zamiast autobusem. Jesteś winna, winna, winna.

– Przepraszam.

Rikki i Sarna złapały stojak z tacos oraz dwie pepsi z zapasów Sophii i chichocząc, pobiegły na górę. Spóźniłam się. Poczucie winy trzeba wpajać dzieciom od urodzenia. Sarajane miała swoje z kościoła, ja dostałam moje w prezencie od babci. Tak bardzo się starałam być idealną matką, że zapomniałam przekazać je dalej.

Jason z kolegami wybiegli przez kuchenne drzwi, żeby dokończyć jakąś grę. Przysiadłam obok mężczyzn, którzy już pochłaniali swoje tacos. Mac odgryzł ogromny kęs i z zachwytem zamknął oczy. Na brodę spłynęła mu cienka strużka sosu salsa.

– To jest niebiańskie – powiedział.

Czułam, jak Sophia promienieje za moimi plecami. Ugryzłam kęs i czekałam na ten ułamek sekundy, kiedy moje kubki smakowe eksplodują. Jutro rano obudzę się, wyglądając jak Budda. Spuchnięte powieki, stopy, palce. Odkąd skończyłam

trzydzieści pięć lat, mój organizm zamieniał się w balon za każdym razem, kiedy jadłam glutaminian sodu, coś słonego lub cokolwiek pikantnego. Zamiast oczu miałam wąskie szparki. Po jednym potrząśnięciu słóiczkiem z vegetą zamieniałam się w mieszkankę Kaukazu lub Dalekiego Wschodu.

Jedliśmy w przyjaznej ciszy. Dopiero kiedy zaspokoiliśmy głód, zaczęliśmy rozmawiać. Dałam znak Sophii, żeby przestała smażyć placki.

– Co u ciebie słychać? – zapytał Cameron.

– Och, nic nowego. Franklin zaczął swoją kampanię do senatu.

– Słyszałem. Powodzenia. Dużo masz z tym pracy?

– Nie bardzo. Jak na razie jeszcze o nic mnie nie prosił. – Nie cierpiałam tej żalostnej nuty w moim głosie, ale nie mogłam nic poradzić. Miło by było czuć się potrzebną. Albo użyteczną. Albo w ogóle kimś.

Mac polał pikantnym sosem kolejne taco.

– A czym ty wypełniasz swoje dni, pani Avers, kiedy twój mąż prowadzi kampanię?

Wzięłam serwetkę i zaczęłam rwać ją na strzępy. Co ludzie, którzy nie palą, robią z rękami?

– Mam swoją kolumnę w sobotnim wydaniu gazety Camerona.

– Czy wszyscy w tej okolicy piszą do „Globe”?

– Poznał Francine i Ronalda – wyjaśnił Cameron.

– Cameron i ja byliśmy tu pierwsi – powiedziałam. – Ale wydaje mi się, że dziennikarze lubią trzymać się razem. Zawsze wielu ich mieszkało w Evanston i Hyde Parku. Chociaż ja już nie pracuję na cały etat. Cameron zlitował się nad starą przyjaciółką, żebym tak zupełnie nie wypadła z obiegu.

– Cameron nie ma nad nikim litości – stwierdził Mac. – Będę musiał przeczytać twoje artykuły.

– Tylko lepiej cofnij się o kilka miesięcy. – Zerknęłam na Camerona, ale ten nawet nie wspomniał o zmierzchu i upadku11 mojej kolumny. – Odkąd zmarła mi przyjaciółka, jestem trochę nie w formie,.

– Słyszałem o Sarzejane. – Cameron poklepał mnie po dłoni. – Przykro mi. Była wyjątkową kobietą.

Oczy wypełniły mi się łzami. Znowu. Jeszcze. Otarłam je, pociągając nosem.

– Poza tym – zebrałam strzępy serwetki na kupkę – staram się nie palić.

– To dobrze – pochwalił mnie Cameron. – Podobno trudniej rzucić papierosy niż heroinę.

– Właśnie to chciałam usłyszeć. – Obciągnęłam bluzkę. – Problem polega na tym, że jak nie palę, to jem.

– To na tym polega różnica! – Przełknęłam ślinę, wierząc się z zażenowaniem. – Miałem ci powiedzieć, że doskonale wyglądasz! Tylko nie mogłem dojść, dlaczego.

Mac otaksował mnie spojrzeniem.

– Wcześniej musiałaś być za chuda.

– Wy dwaj właśnie rozjaśniliście mój dzień.

Bardzo chciałam pokazać Macowi, jak naprawdę wyglądam, ale nie przychodziła mi do głowy żadna zgrabna wymówka, żeby przynieść do kuchni album ze zdjęciami.

– Tak bardzo bym chciał, żeby moja córka przytyła parę kilogramów – powiedział Cameron. – Oszalała na punkcie swojej wagi.

– Ugryź się w język – poradziłam. – Michelle dostałaby zawału, gdyby przytyła.

– W zeszłym tygodniu miała pójść na imprezę. Została w domu, ponieważ z wagą czterdziestu ośmiu kilo jest zbyt gruba, by się pokazywać publicznie.

Zadrzałam.

– Ile Michelle ma wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt pięć. – Skinęliśmy ze smutkiem głowami, każde z nas z innego powodu.

– Nie martwiłabym się tym zbyt – powiedziałam. – Wszystkie szesnastolatki mają obsesję na punkcie wagi.

Mac zapalił camela, nawet nie pytając, czy nikt nie ma nic przeciwko temu. Będę musiała kupić tabliczki: „Dziękujemy za niepalenie” i porozwieszać je po całym domu. Sophia postawiła przed nim popielniczkę, a ja starałam się wdychać dym.

– Osobiście – powiedział – uważam, że krągłości dodają kobiecie uroku.

– Szkoda, że reszta świata ma na ten temat inne zdanie.

– Czy to ważne?

– Tak. – Nie czułam się komfortowo, rozmawiając na ten temat. – Powiedz mi, Mac, skąd znasz Camerona?

– Chcesz powiedzieć, że on nigdy o mnie nie opowiadał? Pisaliśmy razem z Wietnamu.

– Jesteś dziennikarzem?

– Reporterem kryminalnym w „Daily” w Phoenix.

– Ach. – Pokiwałam głową. Ojciec ostrzegał mnie przed reporterami kryminalnymi. W każdym zawodzie zdarzali się szaleńcy, a reporterzy kryminalni byli najgorsi lub najlepsi z dziennikarskiej braci, zależy od punktu widzenia. Ojciec mówił, że zostają nimi skaczący o tyczce, spadochroniarze, amatorzy ślizgów lodowych i ekstremalnych zjazdów rowerem. Twierdził, że ci ludzie mają w sobie dążenie do autodestrukcji, toteż obcowanie z nimi nie było dla mnie wskazane. – A co cię sprowadza do Chicago?

– W zeszłym miesiącu zmarł mój przyjaciel.

– Przykro mi.

– Mnie też. Był jednym z piękniejszych ludzi tego świata. Przyjechałam na pogrzeb, a zaraz potem miałem małe spotkanie z ciężarówką, po którym aż do wczoraj leżałem w Luthern General.

Cameron niedbałym gestem przerzucił rękę przez oparcie mojego krzesła i ścisnął mnie za ramię, dając znak, żebym na tym poprzestała. Posłuchałam go, chociaż w opowieści Maca ziały ogromne dziury, które ktoś powinien wypełnić. Obiecałam sobie, że jutro zadzwonię do mojego szefa.

– Będziemy się zbierać – powiedział Cameron. zaproponowałam, że ich podwożę, a on nie miał serca zmuszać Maca do spaceru.

Kiedy ich pożegnałam, wsunęłam do odtwarzacza samochodowego kasetę Milesa Davisa i podkręciłam głośność. Cameron i Mac podbudowali moje ego. Jeśli można im wierzyć, nie wyglądałam aż tak obrzydliwie. Poczułam, jak kiełkuje we mnie nadzieja. Jutro zacznę brać odchudzające pigułki, które pomogą mi nie oszukiwać i sprawią, że dieta Strażników Wagi wreszcie zacznie działać.

Około północy usłyszałam, jak mercedes Franklina parkuje na podjeździe. Włożyłam satynową koszulkę, którą lubił, tę z przejrzystą koronką na biuście. Nie mogłam mieć do niego pretensji, że nie podniecały go ogromne płachty, które ostatnio nosiłam. Skropiłam opium nadgarstki i rowek między piersiami. Może wszystko, czego mi potrzeba, żeby być seksowną, to myśleć, że jestem seksowna. Kathlyn, ze swoimi czarnymi, rozwianymi włosami i artystycznym ubraniem była równie zmysłowa, jak każda kobieta, jaką znałam, a przecież ważyła o wiele więcej ode mnie. Chociaż ona już straciła ze Strażnikami Wagi dwa razy tyle kilogramów, ile ja przytyłam. Gdybym przestrzegała diety równie konsekwentnie jak ona, wróciłabym już do swojej wagi wyjściowej. Cóż, nigdy nie jest za późno, żeby zacząć od nowa. Wtarłam trochę opium we wnętrze ud i sutki, po czym zgasiłam światło i czekałam.

Franklin nie przyszedł na górę. Usłyszałam stukot otwieranych drzwi do gabinetu i skrzypienie krzesła. Moja wina. Przez ostatnie miesiące raczej nie byłam wesołą towarzyszką, a przecież miał tak wiele ważnych spraw na głowie. Oparłam się pokusie, by do niego pójść. Nie mogłam ryzykować udania się na dół, bo zaraz chciałabym coś zjeść. Kuchnia stawała się moim głównym wrogiem. Lepiej za wszelką cenę jej unikać, dopóki nie odzyskam kontroli nad sobą. Znow i na zawsze.

9 Chicago Bears – znana drużyna futbolu amerykańskiego.

10 Emiliano Zapata (1879–1919) – meksykański rewolucjonista.

11 Nawiązanie do tytułu dzieła Edwarda Gibbona *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego*.

Zaciskałam kurczowo palce na klamce i wciskałam stopę w podłogę, tam gdzie – gdybym siedziała na miejscu kierowcy – znajdowałby się hamulec. Rikki włączyła kierunkowskaz o przecznicę za wcześnie; wciskając się na pas do skrętu w lewo, zajęła drogę gigantycznemu tirowi i stanęła, czekając, aż minie ją jadący z przeciwka samochód. To ja powinnam prowadzić. Sarajane i ja doszliśmy do takiego mistrzostwa, że potrafiłyśmy pokonać drogę z domu do galerii handlowej dokładnie w siedem i pół minuty, licząc od drzwi do drzwi. Precyzyjnie obmyślona trasa prowadziła bocznymi uliczkami, przy światłach, które już miały się zmienić na czerwone, i przez mało uczęszczaną alejkę, którą trzeba było pokonać, jadąc sto na godzinę.

Rikki ostrożnie wprowadziła na ogromny parking naszego pontiaca wielkości łodzi. Wyjechaliśmy dwadzieścia minut wcześniej, żeby nie musiała się spieszyć, ale i tak dotarliśmy na miejsce dopiero dziesięć minut po otwarciu sklepów. Gdybym to ja prowadziła, byłibyśmy już w połowie zakupów i zaraz mogłybyśmy się stąd wynosić. Jednak moja córka była taka podekscytowana swoim nowym prawem jazdy, że nie miałam siły na kłótnie. Nie w sobotni poranek. Nie przed moją pierwszą wyprawą do galerii, odkąd umarła Sarajane, a ja rzuciłam palenie i przytyłam kilka lub kilkanaście kilo. Rikki wjechała między dwie żółte linie, przełożyła dźwignię na parking, wyłączyła silnik i wyjęła kluczyki ze stacyjki. Dokładnie tak, jak uczono ją na kursie.

– Jesteśmy – obwieściła triumfalnie. – Możesz oddychać. – Głośno wypuściłam powietrze.

Rikki i Jason szturchali się przez całą drogę do eleganckiego budynku z marmuru i szkła. Wlekłam się za nimi ze spuszczoną głową i skulonymi ramionami, skradając się jak Quasimodo, pełen obaw, że ktoś go rozpozna i wyśmieje. Chciałam poczekać z przyjazdem tutaj do czasu, aż wrócę do czterdziestu ośmiu kilogramów i na pewno nie byłoby mnie w galerii, gdyby dzieciaki nie potrzebowały ubrań na obóz.

Po sklepie sportowym przewalały się tłumy. W efekcie jakiejś diabolicznej zmowy wszyscy uczestnicy letnich obozów w całych Stanach Zjednoczonych otrzymywali listę niezbędnych rzeczy tego samego dnia. Przeczesałam sklep wzrokiem w poszukiwaniu znajomych twarzy. Nikogo. Jak na razie nieźle. Kupujący rozpychali się łokciami w wąskich alejkach, porywając ubrania z przeładowanych stołów, póki coś jeszcze na nich zostało. Wprawione w boju matki okupowały nieliczne przebieralnie. Wpychały dzieci do środka i kazały im się rozbierać, a same dorzucały górą kolejne ciuchy do przymiarki. Nasza chwila

nadeszła, kiedy jedna z córek, oznajmiwszy, że sama chce sobie wybrać potrzebne rzeczy, na polecenie matki zamknęła się od środka, a gdy tylko kobieta zniknęła z pola widzenia, dziewczyna dała drapaką przez dziurę pod drzwiami. Jason, znudzony pięciominutowym oczekiwaniem, natychmiast zajął miejsce uciekinierki.

– Jasse – syknęła Rikki – ta przebieralnia jest za-jęta.

– Już nie – odpowiedział, zrzucając nike'i i ściągając spodnie. – Prawo stoi po stronie tego, kto ma. Dajcie mi jakieś ciuchy.

– Maaamo – błagała Rikki – zrób coś.

– W życiu nie widziałam tego dziecka na oczy – powiedziałam – ale podoba mi się jego asertywność.

Czując się jak współwinna, szybko rzuciłam mu koszulki i szorty, które Jason powiesił na drzwiach, żeby oznaczyć swoje terytorium.

– Zawołaj mnie, jeśli będę ci potrzebna – powiedziałam. – Idę szukać dalej.

Wciąż nie widziałam w sklepie żadnej znajomej twarzy. Zanurkowałam w tłum, porwana corocznym obozowym szaleństwem. Po bokach długich stołów leżały nietknięte sterty rzeczy w mikroskopijnych i ogromnych rozmiarach, zamykając te w najczęściej kupowanych numeracjach niczym okładki książkę. Między nimi wały się rozpakowane koszulki i szorty, spływając aż na podłogę, skąd zbierali je zaganiani sprzedawcy. Kupujący rozrywali przezroczystą folię i wyciągali z torebek ubrania, a jeśli im się spodobały, zostawiali je, by wziąć identyczne nierozpakowane.

Powietrze wypełniał słowny ping-pong podniesionych głosów.

– A te ci się podobają? – wrzeszczała Wszechmatka, machając parą białych szortów.

Pięć stołów dalej Wszechcórka przewracała mocno umalowanymi oczami.

– Maaamo!

– Tylko na obóz, później nie będziesz musiała ich nosić. – Znaczyło to: kosztują mniej niż dziesięć dolarów.

– Możesz je kupić, ale ja ich nie włożę. – Znaczyło to: kosztują mniej niż dziesięć dolarów.

Wyposażenie Jasona było proste. Do diabła z kolorem, fasonem czy ceną, jeśli rzeczy pasowały, to je brał. Miałam zamiar najpierw obkupić jego, po czym odesłać go do gier wideo i zabrać w porze karmienia. Hamburger z frytkami i gęstym napojem czekoladowym, do tego ciastko na drogę.

Dieta Strażników Wagi nie była dla mnie. Wymagała podejmowania zbyt wielu decyzji, za dużo ważenia i zakupów. Za dużo czasu spędzonego w kuchni. Potrzebowałam posiłków, przy których nie musiałabym myśleć. Jedzenia, które nie wymagałyby kombinowania i planowania. Nawet Kathlyn, chociaż straciła ze Strażnikami ponad osiemnaście kilo, wykazała zrozumienie. W końcu łatwiej zgubić osiemnaście kilo, jeśli wcześniej ważyło się ponad sto. Dużo ponad.

Sprawdziłam ofertę dietetycznego cateringu Nutrisystem dla nas obu i z radością zanurzyliśmy się w świat jedzenia, dostarczanego w pojemnikach. Już pierwszego dnia schudłam pół kilo. W końcu byłam na właściwej drodze.

Teraz szybko przedzierałam się przez pierwszą alejkę.

– Cześć, Rikki! – zawołały nastolatki, stojące po drugiej stronie stołu. – Na jaki obóz jedziesz?

Odwróciłam głowę, prac na przód, i wstrzymałam oddech przerażona, że zaraz usłyszę, jak ktoś mnie woła i będę musiała się odwrócić. Dziewczęta piszczały, rozmawiały, żartowały i plotkowały. Zniosłam Jasonowi kolejne naręcze ubrań. Pod drzwiami kabiny stały wyeksmitowane przed chwilą matka z córką, wściekłe. Podałam Jasonowi nowe rzeczy i odebrałam te, których nie chciał.

Kobieta posłała mi mordercze spojrzenie, a jej zielone szkła kontaktowe zaślśniły niczym mokra papryka. Miała skórę koloru rozmrożonej czekolady, ten odcień z północnego wybrzeża, który się zdobywa, spędzając święta Bożego Narodzenia w Puerto Vialarta, zimę w Boca Raton, a wiosnę w Palm Springs. Lubiłam te miejsca, kiedy jeszcze mogłam publicznie się pokazać w kostiumie kąpielowym. Jeśli nie wrócę do formy, będę spędzała styczeń na Alasce.

– Wie pani, my byliśmy tu pierwsze – wycedziła.

– Och? – Udałam zaskoczone niewiniątko. Nachyliłam się do drzwi. – Jason, zająłeś komuś tę przebieralnię?

– Nie, mam. Była pusta. – Wszak to szczerą prawdą.

– Była pusta – powtórzyłam, wzruszając ramionami. Kobieta poczerwieniała ze złości i frustracji. Nie mogła przecież się przyznać, że sama zamknęła kabinę, żeby inni z niej nie skorzystali. Są pewne zalety okradania złodzieja.

– Czy pani syn długo tam będzie?

– Moja córka też będzie mierzyć – powiedziałam, a kobieta schwyciła córkę za rękę i pociągnęła ją do innej kolejki. – Jak ci idzie, Jase?

– Prawie skończyłem.

– Nie wychodź. Przyślę do ciebie twoją siostrę.

Chwilę później wyposażyłam go w garść dwudziestopięciocentówek na gry wideo i zabrałam się za Rikki.

Stałam chwilę bez ruchu, obserwując sklep i obmyślając najszybszy sposób zdobycia tego, czego potrzebowałam. Serce mi przyspieszyło, ogarnęło mnie dobrze znane podekscytowanie. W moim wykonaniu proces zakupów był szybki, zorganizowany i sprawny. Początek, środek i koniec. Potrzeba, poszukiwanie, znalezienie. Dlaczego wszystko w życiu nie mogło być tak proste? Sarajane nigdy nie rozumiała mojej nienawiści do oper mydlanych i wszelkiego rodzaju miniseriali. Moja pogarda dla spraw niedokończonych rozciągała się na wszystkie aspekty własnego życia. Nie zaczęłabym czytać trylogii, gdybym nie miała w ręku

kompletu trzech tomów, jakbym zanim jeszcze zacznę, potrzebowała gwarancji, że na pewno nastąpi koniec. Odkąd tylko sięgam pamięcią, wiedziałam, że wyjdę za mąż za człowieka sukcesu i zamieszkać w prawdziwym domu, że stworzę rodzinę, w której będzie mama, tata i dwoje dzieci (choć Rikki stanowiła dla mnie pewne zaskoczenie, ponieważ wydawało mi się, że pierwszy urodzi się chłopiec). Sarajane twierdziła, że moja obsesja na punkcie porządku była przekleństwem wyniesionym z dzieciństwa spędzonego bez matki. Ja nazywałam ją błogosławieństwem.

Przemierzałam sklep, sprawnie wyciągając, odsuwając i przerzucając ubrania. Do diabła z metkami, potrafiłam rozpoznać rozmiar Rikki bez względu na to, jak określił go producent. Trzydzieści sześć, osiem, czterdzieści, S-ka, L-ka – gromadziłam wszystkie potrzebne rzeczy na ramieniu przekonana, że będą pasowały i idealnie podkreślą jej wąską talię i rozkwitające biodra. Boże, jak bardzo za tym tęskniłam. Tutaj czułam, że żyję, byłam jak drapieżnik na polowaniu. Moje nozdrza rozszerzały się, chwytając zapach świeżej bawełny, palce mi mrowiły od dotyku grubego płótna. Strzygłam uszami, podchwytyjąc urywki rozmów i dzwoniące kas. To moje terytorium. Kiedy znowu będę na tyle chuda, żeby tu wrócić? Zalała mnie fala nostalgii tak intensywnej, że musiałam oprzeć się na stercie koszulek w kolorach kamuflażu.

– Przepraszam – usłyszałam za sobą niski głos palaczki – ale my też chcielibyśmy je zobaczyć.

Yvonne Rosin. Czterdziestolatka w rozmiarze trzydzieści sześć z mojego klubu książki! Poczułam, jak jeża mi się włosy na karku.

Odsunęłam się, nie odwracając głowy.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Trochę... trochę tu ciasno.

Umknęłam do Rikki i rzuciłam jej ubrania. Nagle zaczęło mi brakować powietrza. Wsparłam się ciężko o drzwi kabiny, próbując złapać oddech. W głowie mi łomotało od rockowej muzyki i pokrzykiwań. Zaryzykowałam i podniosłam wzrok. Zajęta zakupami Yvonne nawet na mnie nie spojrzała.

– Stanę w kolejce do kasy! – zawołałam do córki – a ty się pospiesz.

Wąż oczekujących ciągnął się w nieskończoność. Czułam się jak łatwy cel, stojąc na środku sklepu, gdzie każdy mógł mnie widzieć. Kilka kobiet, które wydały mi się znajome, spojrzało na mnie i dalej rozmawiały z przechylnymi głowami. Niech mnie nie rozpoznają, proszę! Odwróciłam się do dwóch nastoletnich, żujących gumę sprzedawczyń, które plotkowały głośno, ostrożnie zdejmując z ubrań zabezpieczenia i szpilki, by nie połamać sobie krwistoczerwonych, ośmiocentymetrowych paznokci. Kręciło mi się w głowie, wszystkie dźwięki docierały do mnie jakby z oddali. Próbowałam się skupić na wyłowieniu sensu rozmowy pomiędzy ich „no wiesz”, „serio” i „no mówię ci”, ale nie mogłam wychwycić żadnych informacji. „No wiesz, serio, no mówię ci”. Sama zaprawa, żadnej cegły. Dasz radę to przetrwać, powtarzałam sobie. Kobiety, które

miały pół godziny, żeby wypełnić czeki albo znaleźć karty płatnicze, czekały cierpliwie, aż ich rachunki zostaną podsumowane, a zakupy zapakowane w torby. Tylko nie krzycz, upominałam się w myślach. Przyszła Rikki. Wcisnęłam jej kartę w dłoń i zostawiłam moją córkę w kolejce, a sama uciekłam na ławkę przed sklepem.

Czułam się tak źle między innymi dlatego, że noc wcześniej nie zmrużyłam oka. Za bardzo się denerwowałam tą wyprawą. To była moja galeria. Sarajane i ja codziennie przychodziłyśmy popatrzeć, jak ją budowali i przejeżdżałyśmy obok, kiedy tylko miałyśmy okazję. Moja rodzina, która czerpała największe zyski z naszego umiłowania zakupów, drwiła bezlitośnie z owej ekscytacji czymś tak głupim, dlatego kiedyś przy obiedzie ogłosiłam:

– Sarajane powiedziała mi dziś, że firma Stanforda dostała kontrakt na wybudowanie krytego stadionu Niedźwiedzi piętnaście minut drogi od nas.

Jason i Franklin oszaleli z radości, zaczęli skakać i krzyczeć, klepiąc się po plecach i przybijając piątki nad stołem. Pozwoliłam im na to przez kilka minut.

– Tylko żartowałam – powiedziałam w końcu. – Ale może teraz zrozumiecie, jak ja się czuję w związku z tą galerią.

Nie byli zachwyceni, jednak przestali się ze mnie naśmiewać.

Przez siedem lat robiłam tu zakupy co najmniej trzy razy w tygodniu i stawałam się nieznośna, jeśli z jakiegoś powodu nie mogłam przyjechać. Znałam asortyment wszystkich liczących się sklepów, których główni sprzedawcy mieli listę, zawierającą rozmiar moich ubrań, preferowane przeze mnie kolory i marki, poprzednie nabytki oraz rzeczy, jakich akurat szukałam. Kilka razy w tygodniu odbierałam telefon: „Pani Avers, mam dla pani coś fantastycznego”, „Pani Avers, ta Anna Klein właśnie jest na wyprzedaży. Mogę zatrzymać ją dla pani do jutra”.

Jednak zbyt długo mnie tu nie było, za bardzo się zmieniłam i perspektywa powrotu do galerii nie pozwoliła mi zmrużyć oka. O drugiej nad ranem porzuciłam myśl o śnie, wstałam z łóżka, zeszłam na palcach na dół i wyciągnęłam z zamrażarki połowę pizzy na grubym cieście. Oglądałam w telewizji *Żonę biskupa*, z zadowoleniem ssąc zamrożone kawałki kielbasy Naprawdę sądziłam, że David Niven był biskupem, i z radością zaakceptowałam Cary’ego Granta jako anioła, lecz ani przez chwilę nie wierzyłam w obwód pasa Loretty Young. Jej widok boleśnie mi uświadamiał, co robi pizza z moją talią, lecz nie mogłam się powstrzymać.

Zawroty głowy nie przechodziły. Wystawy sklepowe płaśły mi przed oczami. Próbowalam odczytać nagłówki gazet, wyłożonych na stojaku przed kioskiem.

NARKOTYKOWY KRÓL ARESZTOWANY W ZWIĄZKU ZE

ŚMIERCIA HANDLARZA!

Cameron nigdy nie używał na pierwszej stronie tak wielkiej czcionki. Zastanawiałam się, jak bardzo Mac był zaangażowany w tę sprawę. Kilka razy spotkaliśmy się podczas jego porannych przechadzek po okolicy i zapraszałam go wtedy na kawę. Sophia krzątała się wokół Maca, karmiąc go słodkimi bułkami. Lubiła mężczyzn, którym dopisywał apetyt. Mac umiał opowiadać, a ja uwielbiałam słuchać. Mówił o przygodach swoich i Camerona w Wietnamie, o ludziach z kryminalnego półświatka Phoenix. Kiedyś zapytałam go o przyjaciela, na którego pogrzeb przyjechał do Chicago. To handlarz, odpowiedział Mac, który zmarł po przedawkowaniu kokainy. Widać było, że ten temat sprawia mu ból, więc nie drążyłam dalej. Znałam cierpienie, jakie wywołuje śmierć przyjaciela.

Wreszcie przestało mi się kręcić w głowie. Na wystawie sklepu naprzeciwko mnie o nazwie Butik Roxanne, wystawiono prążkowane, obcisłe spódnice do kostek. Były w pastelowych kolorach, a ubrane w nie długonogie manekiny przypominały lody na patykach. Poczułam, jak ślina napływa mi do ust. Moje kolory. Mój styl. Czternaście kilo temu. Butik Roxanne był moim ulubionym sklepem, specjalnie dla mnie zamawiali całe zestawy. Właścicielka zadbała nawet, żebym miała popielniczkę w przebieralni. Teraz już nie potrzebowałam popielniczki. Ani Roxanne. Nie byłam w stanie stawić czoła brutalnej szczeroci potrójnych lusterek. Sprowadzanie odzieży dla kobiet, które miały biodra i uda, było sprzeczne z jej etyką. Sprzedawała głównie ubrania Azzedine Alaia, szyte tak, by obcisnąć ciało, a pupę chwytać niczym dłoń. „Moje ubrania falują, kiedy pierdzisz” – mawiała Roxanne, pociągając chesterfielda ze złotej lufki i lekko unosząc górną wargę. – Jeśli kobiety chcą u mnie kupować, to niech najpierw idą i zrobią sobie tyłki”.

Zadrzałam. Strużki potu spływały mi po karku, pod pachami, po plecach. Na mojej głowie zacisnęło się imadło, tłumiąc odgłosy galerii. Na wystawie sklepu sportowego obok Roxanne wisiało kilka ubrań, które mogłyby mi się przydać. Próbowałam skoncentrować się na fiołkoworóżowym dresie, ze skarpetkami i opaską w tym samym kolorze. Potrzebuję jakiegoś ubrania na poniedziałek, kiedy zaczynamy z Kathlyn treningi na siłowni. „Włóżcie cokolwiek, co macie w szafie” – powiedział trener podczas bezpłatnej sesji wstępnej, ale ja nie mieściłam się w nic, co miałam w szafie. Potrzebowałam czegoś nowego. Nagle między moimi uszami rozległ się pisk, który przypominał sygnał szpitalnego monitora, obwieszczającego śmierć pacjenta, więc pochyliłam się gwałtownie w przód, wciskając głowę między kolana.

– Mamo? – Z odległości wielu kilometrów usłyszałam przestraszony głos

Rikki. Na zlanych potem plecach poczułam jej chłodną dłoń. – Nic ci nie jest? Mamo? Mam wezwać pomoc?

Próbowałam nabrać powietrza w płuca.

– Nic mi nie jest. – Język miałam sztywny jak kołek. – Wody.

– Zaraz ci przyniosę. Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, zaraz wracam.

Stopniowo uczucie słabości minęło i odważyłam się podnieść głowę. Rikki wcisnęła mi w dłoń papierowy kubek z wodą, a potem usiadła sztywno na ławce obok mnie.

– Nic mi nie jest, kochanie. Naprawdę. Po prostu zakręciło mi się w głowie. Strasznie tu gorąco.

– Chcesz jechać do domu?

– Dobry pomysł.

– Pójdę po Jasona.

Opadłam na tylne siedzenie pontiaca, położyłam głowę na oparciu i zamknęłam oczy. Minęła pora lunchu i Rikki, nie mogąc słuchać jęków Jasona, podjechała do McDonalda. Ostatnio straciłam odporność na śmieciowe jedzenie, wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że nie mogłam się oprzeć niczemu, co było smażone, słodzone cukrem lub słone. Jednak kiedy uchyliłam powieki i zerknęłam na tablicę z menu, okazało się, że na nic nie mam ochoty. Może brała mnie grypa. Może będę mogła chorować, dopóki nie zgubię czternastu kilogramów.

Kiedy dojechalismy do domu, Rikki zaparkowała w garażu i razem z Jasonem poszli zanieść nowe ubrania na górę. Wszędzie w garażu leżały stosy plakatów wyborczych Franklina. Na górze wielkimi, niebieskimi literami wypisano FRANKLIN AVERS, niżej widniało zbliżenie jego szczerzej twarzy, a na dole hasło: SILNY POLITYK – ZDROWE SPOŁECZEŃSTWO.

– Wygram właśnie dzięki sile fizycznej, Barbaro. Spójrz tylko, z kim mam się zmierzyć. Wszystko, co dotyczy Kurtza, jest rozlazłe. Jego wygląd, to, jak prowadzi swoje biuro. Sprawność będzie kluczem do sukcesu mojej kampanii.

Spoglądał na mnie z plakatów. Taki przystojny mężczyzna, z każdym rokiem coraz przystojniejszy. Gdzieś w szafie z pewnością miał ukryty portret, na którym się starzał¹². Gdybym tylko potrafiła przegonić smutek, jaki ostatnio widziałam w jego oczach, kiedy na mnie patrzył. Nie, nie smutek. Pustkę. Może postanowił, że nie będzie tak naprawdę mnie widział, dopóki nie wrócę do właściwej wagi.

– Ja, Franklin Avers, przysięgam, że nigdy nie będę palił cygar ani gadał w kinie – zadeklarował w ramach naszej werbalnej intercyzy przedślubnej.

– A ja, Barbara Marlow, zbuduję ci łazienkę z luster i nigdy nie utyję. Tak nam dopomóż Bóg. – Dotrzymanie tej obietnicy wydawało się takie proste. Puff-puff...

– Ach, Franklin – powiedziałam do jego twarzy – dlaczego nie możesz mieć grubej matki, którą byś kochał zamiast jej nienawidzić?

Portrety nie udzieliły mi odpowiedzi. Zebrałam z przedniego siedzenia torby od McDonalda, dojadając zimne frytki i resztki kanapek. Przy tej grypie i tak na pewno zaraz zwymiotuję, więc co mi tam.

12 Aluzja do powieści Oscara Wilde'a *Portret Doriana Graya*.

Maj. 66–71 kg

Też tak robiłam – szepnęła Kathlyn.

Otworzyła torebkę, wyjęła długopis, zamknęła torebkę, znów ją otworzyła, wyłowiła okulary, zamknęła ją ponownie, po czym pochyliła się nad formularzem zamówienia cateringu.

Siedziałam obok niej w recepcji Nutrisystem i studiując menu, zastanawiałam się, czy dam radę zmierzyć się z kolejnym kartonem zupy pomidorowej w proszku.

– Co robiłaś?

– Obserwuj tamtą babkę z dzieckiem.

Do biurka recepcjonistki podeszła otyła młoda kobieta z elegancką blond fryzurą i nieskazitelnym makijażem. Jej bawełnianej tuniki, przypominającej namiot, uczeplił się rozmarudzony chłopczyk, który ciągnął ją w stronę drzwi.

– Brian, proszę – powiedziała słodko kobieta. – Mama musi to załatwić. Zobacz, co tu mam.

Pochyliła się nad ogromną, wyładowaną zabawkami torbą od Gucciego. Długa spódnica uniosła się, ukazując grube jak u Miss Piggy łydki i zgrabne kostki. – Masz tu ciężarówkę. Możesz...

– Niiieeee-e-e-e... – Wycie zakończyło się serią urywanych szlochów. – Chcę iiiiiiść...

– Brian. – Kobieta rozejrzała się wokoło z przepaszającym uśmiechem, na wypadek gdyby komuś przeszkadzali.

Kathlyn trąciła mnie łokciem.

– Nazywałam to Zagrywką Joanny d’Arc.

Ubrana na biało rudawa dziewczyna za biurkiem była stanowcza.

– Pani Rand, ostatnim razem już pani mówiłam, że prosimy, aby nasi klienci nie przyprawdzali ze sobą dzieci. Przeszkadzają pozostałym...

– Och, wiem. – Młoda matka niemal rozpląnęła się w słodkim, przepaszającym uśmiechu. – Ale nie mogłam znaleźć opiekunki i...

– Chcę iiiiiiść....

Siedzące w recepcji pracownice okazywały irytację lub współczucie. Ja czułam, jak zaciska mi się żołądek na wspomnienie takich sytuacji. Rikki i Jason, kopiący się nawzajem pod stolikiem w restauracji, wiercący się i jęczący, podczas gdy babcia Avers niespiesznie sączy drugi koktajl przed obiadem. Rikki i Jason ganiający się po sklepie z butami, w poczekalni u lekarza, dentysty czy w każdym innym miejscu, w którym musieliśmy poczekać – czyli wszędzie, gdzie musiałam ich zabrać. Na szczęście, kiedy moje dzieci były małe, ja paliłam.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – szepnęłam do Kathlyn. – Co ona robi?

Kathlyn przesunęła okulary na czubek głowy i postukała długopisem w formularz.

– Sztuczka polega na tym, żebyś wyszła na męczennicę. Mają tu otwarte od siódmej rano do dziewiątej wieczorem.

– I co z tego?

– A o której przychodzi Pani Śliczna Buzia? Teraz. W porze drzemki Briana. Żeby mały na pewno był nieznośny i płaczliwy.

– Ale przecież powiedziała, że nie mogła znaleźć opiekunki...

– Barbara, ja znam ten numer. Spójrz na nią. Miała czas, żeby obciąć się u Paula Glicka i kupić ciuchy od Bisoulis13. Ta kobieta może kupić każdą opiekunkę. Mogła przełożyć spotkanie na inną godzinę. Lub poprosić sąsiadkę, żeby przez godzinkę popilnowała dzieciaka. Czy też poczekać, aż mąż wróci z pracy. Najwidoczniej robiła to już wcześniej i została upomniana. Ona chce wylecieć z programu.

– Kathlyn, jesteś cyniczna.

– Jestem realistką. Miałam ojca, który chodził na spotkania AA, żeby moja mama nie suszyła mu głowy – i dalej pił. Przed rozwodem sama całymi latami chodziłam na spotkania Anonimowych Żarłoków, żeby rodzina się ode mnie odczepiła – i nadal jadłam. Chodzi o to, żeby wyglądało tak, że robisz wszystko, co w twojej mocy i starasz się uzyskać pomoc. Wtedy najbliżsi dają ci spokój. – Zmieniła swój niski głos w przeszywający pisk. – To nie moja wina, że nie mogłam zostać dziś na spotkaniu. Bóg mi świadkiem, że chciałam, ale mały... – Kathlyn westchnęła dramatycznie. – I o to właśnie chodzi w scenie, która rozgrywa się przed naszymi oczami.

Brian wpadł w spektakularną histerię. Z rozdzierającym wrzaskiem, przypominającym gwizd czajnika, rzucił się małym ciałkiem na podłogę i zaczął spazmatycznie kopać i wymachiwać małymi piąstkami.

– Przepraszam – powiedziała jego matka, spokojnie biorąc synka na rękę. – Będę musiała przełożyć spotkanie. – Uśmiechała się przez całą drogę do wyjścia, a na jej twarzy malował się zrezygnowany wyraz, mówiący: „Cóż, przecież próbowałam”. W recepcji zapanowała błoga cisza.

– Teraz – wyjaśniła Kathlyn – wróci do domu, położy małego do łóżka, włączy sobie *Ostry dyżur* i wyjaśni matce-mężowi-psychiatrze-rzeźnikowi-siostrze--przyjaciółce, że próbowała, ale po prostu nie może nawet zacząć myśleć o odchudzaniu, dopóki malutki Brian trochę nie podrośnie. A jeśli dobrze rozplanuje sobie kolejne ciążę, będzie mogła przez następnych dziesięć lat zrzucić winę za swoją nadwagę na dzieci. – Włożyła okulary i spojrzała na swoją listę. – Jak twoje gazy?

Kathlyn tak gwałtownie zmieniała temat, że czasami trudno było dotrzymać

jej kroku.

– Ostre. Moje dzieci nazywają je zabójczymi gazami. To zabawne, ale wydają się zaskoczone, że moje ciało też pełni funkcje fizjologiczne. W naszym domu babcia nigdy na to nie pozwalała. Dobrze wychowana młoda dama nigdy nie beka, o puszczaniu gazów nawet nie wspominając.

– Nikt nie pierdzi?

– W moim domu nie.

– To wiele tłumaczy, jeśli chodzi o ciebie.

– Dzięki. – Przejrzałam moje menu. – Myślałam, że to przez te obiady z wołowiną, ale w zeszłym tygodniu przerzuciłam się na kurczaka i nic się nie zmieniło. Chociaż trochę przeszły mi skurcze.

– Założę się, że to przez te wszystkie surowe brokuły i kalafiora. Zadziwiające, co z nami robi zdrowe jedzenie.

– To ci w ogóle nie przeszkadza?

– Nie.

Oddaliśmy nasze formularze i zapłaciliśmy za posiłki na cały tydzień. Ja ważyłam sześćdziesiąt sześć kilo. Kathlyn natomiast cały czas regularnie traciła na wadze i spadła już do dziewięćdziesięciu pięciu, co zaczynało być po niej widać. Prowadząca spotkanie zawołała naszą grupę, weszliśmy więc do małego pokoju i zajęliśmy miejsca wokół dużego stołu.

Uwielbiałam to poczucie wspólnoty, jakie łączyło nas osiem w walce ze wspólnym wrogiem. Tutaj czułam się chciana, kochana. A przede wszystkim rozumiana. Wybaczyłam naszej opiekunce jej szczupłość i młodość. Przeżywała z nami wszystkie męki i była tu, aby poprowadzić nas do bitwy. Otworzyłyśmy zeszyty i każda podała jej listę wszystkiego, co jadła. Czytała nasze szczegółowe raporty przyswojonego pożywienia, głośno wyrażając aprobatę i dumę z naszych postępów.

– Zaraz będę miała okres – powiedziałam, wyjaśniając ponad kilogramowy przyrost wagi.

Kathlyn odchrząknęła. Byłam przed miesiączką w zeszłym tygodniu i dwa tygodnie wcześniej. Na szczęście prowadzące się zmieniały, ale pewnie ich szeregi nie były nieskończone. Pozostawała nadzieja, że miały krótką pamięć. Skrzywiłam się, kiedy na marginesie mojego zeszytu dziewczyna napisała „przed okresem” zielonym, niezmywalnym, nieusuwalnym tuszem. Naprawdę będę musiała trochę schudnąć przed następnym spotkaniem. Chociaż przy moim tempie tycia kilogram na plusie przez cały tydzień można było właściwie uznać za utratę wagi.

– Dzisiaj porozmawiamy o tych momentach w ciągu dnia, kiedy najtrudniej nam zachować dietę – zaczęła nasza liderka. – W jakich okolicznościach się tak dzieje? Zaczniemy od tego końca. Birdie?

– Przerwa na kawę w pracy – powiedziała siwa kobieta, bezwiednie

pocierając płamę wątrobową na dłoni. – Kiedy siedzę w pokoju, gdzie stoją te wszystkie automaty z jedzeniem.

– Ja przynoszę ze sobą tylko odliczone pieniądze na kawę – odezwała się któraś z kobiet – a potem idę ją wypić gdzie indziej.

– Kiedy to właśnie w tym pokoju wszyscy siedzą i rozmawiają. To moja jedyna okazja, żeby się spotkać z ludźmi. Resztę dnia spędzam przed komputerem.

– Może mogłabyś zostawiać sobie coś ze śniadania lub lunchu, co mogłabyś przekazać do kawy – zaproponowała prowadząca.

– Och, wstydziłabym się przynosić własne jedzenie.

– Czy zauważyłyście – zapytała liderka – że tak wiele z nas, otyłych, przejmuję się tym, co powiedzą lub pomyślą inni? – Pokiwałyśmy głowami. – Wydaje nam się, że ludzie ciągle o nas mówią, obserwują nas i osądzają.

– Pewnie dlatego, że tak jest.

Dziewczyna wydeła wargi.

– Nie byłabym tego taka pewna. Zastanawiam się, czy to nie jest z naszej strony pewien przejaw próżności. Przypuszczam, że ludzie raczej są zajęci własnym życiem i problemami i nie zwracają za bardzo uwagi na innych. Birdie, spróbuj odwrócić tę sytuację. Co pomyślałabyś o przyjaciółce, która przysłaby na kawę z własną przekąską?

Birdie uniosła cieniutkie brwi.

– Właściwie – powiedziała – widywałam od czasu do czasu pracowników, którzy przynosili własne jedzenie. Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– No właśnie. W tym tygodniu też spróbuj przynosić własne przekąski i za tydzień nam opowiesz, jak ci poszło. Linda? – Odwróciła się do zmęczonej, młodej kobiety, siedzącej obok Birdie. – A dla ciebie które momenty są najtrudniejsze?

– Kiedy robię drugie śniadanie dla dzieci.

Wszystkie zamruczałyśmy z aprobatą.

– Zlizuję majonez z noża, wyjadam z miski resztkę sałatki z tuńczyka i zagryzam krakersem, wkładam do ust plasterki żółtego sera. I wygląda na to, że po prostu fizycznie nie jestem w stanie wyrzucić resztek jedzenia do śmieci. No wicie, te końcówki hot-dogów, skórki od kanapek z masłem orzechowym. – Westchnęłyśmy zgodnie. Masło orzechowe było naszym niekwestionowanym faworytem.

– Chcę, żebyś w tym tygodniu – powiedziała prowadząca – wrzucała to jedzenie do zlewu albo polewała je wodą, jeszcze zanim zdążysz pomyśleć o włożeniu go do ust.

– Ale to takie marnotrawstwo.

– W takim razie zawiń je i zostaw na następny lunch.

– Dzieci w życiu tego nie tkną.

Prowadząca się uśmiechnęła.

– To nie jest marnotrawstwo. Nie nadawajcie wymiaru moralnego niedojezdzonym resztkom. Ktoś je po prostu zostawił. Nikt nigdy się nie dowie, że ich nie zjecie. Tylko jeśli zjecie. Czy widziałyście kiedyś gruby kosz na śmieci? – Roześmiałyśmy się, – Ja też nie. Spróbuj w tym tygodniu i dasz nam znać, jak ci poszło. Barbara?

Przerwałam wypełnianie długopisem literek na okładce mojego zeszytu.

– Nie wiem, czy potrafię wskazać jeden konkretny moment w ciągu dnia. Chyba trudne są dla mnie wszystkie te chwile, w których wcześniej zapalałam papierosa. Kiedy rozmawiam przez telefon, piszę, robię listę zakupów, prowadzę samochód. Właściwie jestem głodna przez cały czas.

– Czy mogłabyś wskazać porę, która jest dla ciebie wyjątkowo trudna?

Błyskawicznie przebiegłam w myślach rozkład dnia.

– Późne popołudnie – powiedziałam. – Kiedy idę do kuchni, żeby zrobić kolację. Ślina mi cieknie, jeszcze zanim przekroczę próg. Czasami zupełnie mi odbija. Często. Przez około pięciu minut wpycham sobie do ust każde jedzenie, jakie nawinie mi się pod rękę. Ciastka, krakersy, seler maczany w maśle orzechowym, marchewki, cokolwiek, co zostało z wcześniejszych posiłków. Opieram się o blat, sapię i żuję. Czasami mam wrażenie, jakbym patrzyła na siebie z boku.

– I co widzisz?

– Zachowuję się jak wariatka, jak ktoś, kto dorwał się do wody po trzech dniach na pustyni. Wyglądam absurdalnie. Ale nie przestaję.

– Kuchnie są niebezpieczne, prawda? – zapytała liderka, a przy stole rozległ się zgodny pomruk. Nie tylko ja miałam ten problem. – Czy ktoś mógłby ci pomóc przy robieniu kolacji?

– Nie, właściwie nie. Dzieci muszą odrabiać lekcje, a mąż wraca późno, o ile w ogóle bywa w domu. Miałam kucharkę, ale pojechała odwiedzić matkę w Gwatemali.

– A może zanim przystąpisz do gotowania, będziesz jadła połowę swojej porcji, przeznaczonej na kolację? Na przykład ziemniaki.

– Jestem za bardzo głodna.

– W takim razie zjedz całą kolację. Potem usiądziesz do stołu z rodziną i napijesz się herbaty.

– Dzięki – powiedziałam. – Spróbuję.

Ta dziewczyna była tak pełna entuzjazmu, tak bardzo chciała pomóc. Nie miałam serca jej mówić, że już to robiłam i w efekcie zjadałam drugą kolację ze wszystkimi.

Jednak za bardzo się nie przejmowałam. To był przejściowy problem. Gdy tylko wróci Sophia, pożegnaj się z kuchnią na zawsze. Chociaż Franklin nie palił

się do jej powrotu i mamrotał coś o „ciulaniu grosików”, dopóki trwa kampania. Miał na myśli moje potrzeby, ponieważ sam nie skąpił „grosików” na swoje wydatki. Płaciłam rachunki z Jewel, Gapers i The Lunch Basket za śniadania, lunche i kolacje dla jego sztabu. Franklin wyjaśnił mi, że ktoś, kto obrał sobie hasło: SILNY POLITYK – ZDROWE SPOŁECZEŃSTWO, nie może po prostu zamówić pizzy. Sprawił, że poczułam się winna, iż w ogóle poruszyłam ten temat, a kiedy zakwestionowałam sens tak ekstrawaganckiej kampanii, przejął kontrolę nad sztabowym kontem, zabierając książeczkę czekową i rachunki do swojego gabinetu.

– Nutrisystem jest idealnym programem dla kobiet, którym brakuje wsparcia rodziny – zapewniła nas prowadząca. Wszystkie pokiwałyśmy głowami. – Już nie musimy podejmować żadnych decyzji, przygotowywać żadnego jedzenia. Ktoś robi to za nas.

– Człabym się o wiele lepiej – wtrąciłam – gdybym mogła wysadzić moją kuchnię w powietrze. – Cała grupa się roześmiała.

– Powiedziałam tak kiedyś do mojej matki – odezwała się Kathlyn, skubiąc frędzle szala. – To miał być żart. Napadła na mnie, oskarżyła, że stałam się fatalną matką. Egoistką, która myśli tylko o sobie. – Kathlyn, jak każda z nas, w panującej na spotkaniu siostrzanej atmosferze opuściła gardę. – Wytknęła mi, że moja siostra, moja zamężna siostra, moja szczupła zamężna siostra z New Jersey, pracuje na pełnym etacie, a do tego gotuje i piecze przepyszne posiłki dla swojej rodziny. Codziennie. – Wokół stołu rozległy się szydercze szepty o „superkobiecie”. – Nie wiem, skąd moja matka to wszystko wie. Moja siostra nigdy do niej nie pisze ani nie dzwoni, chyba że czegoś potrzebuje. – Zacisnęła wargi, a na jej gęstych rzęsach zalśniły łzy. – Moja matka bez przerwy wydzwaniała do mnie do pracy i do domu, oczekując, że będę ją wozila na zakupy, spotkania i do fryzjera.

– I wozisz?

– No pewnie. – Zaczęła mówić wysokim, nosowym głosem: – „Wiesz, masz tylko jedną matkę, która nie będzie żyła wiecznie”.

– Znam tę płytę – wtrąciła Linda. – Moja matka jest zazdrosna za każdym razem, kiedy pomagam komuś poza nią.

Kathlyn pokiwała głową.

– Wiele lat temu, zanim zaczęłam pracować, zgłosiłam się jako wolontariuszka do miejskiego domu seniora. Moja matka wpadła w furję. Krzyczała, że mam czas dla wszystkich na świecie oprócz niej. A kiedy jestem z nią, jedyne, o czym mówi, to jak wspaniała jest moja siostra.

– Czy kiedykolwiek uda ci się ją zadowolić? – zapytała prowadząca.

– Nie w tym życiu.

– W takim razie?

Kathlyn spuściła wzrok i zeskrobała paznokciem lakier z drugiego

paznokcia. Zaszlochała cicho, a ja objęłam ją ramieniem.

– W takim razie – łzy spływały jej na kolana – w takim razie może mi powiecie, dlaczego nie przestaję próbować? – Nasza wyszczekana, ironiczna Kathlyn płakała, drżąc w moich ramionach. Po pełnej minucie podniosła wzrok, śmiejąc się z naszych min. – Ja to naprawdę umiem rozkręcić imprezę.

Prowadząca poklepała ją po ramieniu.

– Właśnie zrobiłaś pierwszy krok – powiedziała i rozejrzała się po pokoju. – Dlaczego to sobie robimy? Najwidoczniej przeszkadza nam nasza nadwaga, inaczej by nas tutaj nie było. Chciałabym, żebyście w tym tygodniu wszystkie się nad tym zastanowiły. Co w was tkwi, co nie pozwala wam odmówić kawałka ciasta albo kolejnej porcji lodów? Dlaczego sięgacie przed obiadem po maślaną bułeczkę, która ma trzysta kalorii? Jak możecie z jednej strony nienawidzić swojego ciała, a z drugiej cały czas je karmić? Pomówimy o tym za tydzień. A ty, Kathlyn, zrobiłaś doskonały początek. Zastanawiam się, co by się stało, gdybyś przestała tak bardzo się starać, żeby zadowolić matkę.

– Świat stanąłby na głowie – odpowiedziała Kathlyn.

– Co nie wydaje się zbyt wygórowaną ceną.

Z północnego zachodu napłynęły spiętrzone czarne chmury w kolorze lukrecyjnych wafli. Pierwsze lodowate krople spadły na nas, gdy pędziłyśmy przez parking do samochodu Kathlyn. W oddali zahuczał grzmot. Prosto na nas szła potężna, wiosenna burza. To była ulubiona pogoda Saryjane.

– Podrzucić cię do domu? – zapytała Kathlyn.

– Myślałam, że zjemy razem lunch. – Nie chciałam być sama.

– Nie mogę. – Włączyła wykrywacz radarów i wyjechała z parkingu. – Muszę jechać do biura.

– W wolny dzień?

– Szefom nie przysługują wolne dni. Trójka pracowników naciągnęła mnie, żebym ich puściła na szkolenie do Portland. Szczyt sezonu wakacyjnego, a brakuje mi rąk do pracy. Cholera! – Wdepnęła hamulec przed opadającym szlabanem kolejowym.

Wyrzesałam przez okno, wydymając wargi. Nie miałam się z kim bawić.

Moja towarzyszką niedoli wcale nie była telefonistką, jak na początku myślałam, tylko właścicielką biura podróży „U Mamy”, obsługującego pracowników amerykańskiej giełdy towarowej. Jej „chłopcy”, głównie młodzi Turcy, uzależnieni od zarabiania i tracenia milionów, pozostawali pod nieustanną i czułą opieką Kathlyn. Jeśli kichnęli, dostawali rosół owinięty w ulotki reklamujące Bahamy. Kłopoty małżeńskie? Kathlyn posyłała im róże i przewiązaną czerwoną wstążką ofertę „Dziesięciu weekendów dla zakochanych, które na nowo

rozpalą ogień”. Sekretarki, w zamian za rabaty na wycieczki, dostarczały jej informacji. Dzięki swoim gabarytom nie stanowiła zagrożenia ani dla nich, ani dla żon i była niczym miękka poduszka, na której młodzi klienci mogli złożyć swe znękanе głowy.

No dobrze, była zajęta, ale jeśli miała czas na spotkanie w Nutrisystem, to równie dobrze mogła poświęcić kilka chwil na szybki lunch ze mną. Zadrżałam w chłodnym samochodzie i naciągnęłam kaptur bluzy sportowej Rikki zadowolona, że córka nie posłuchała mojej rady i kupiła XL-kę.

– Kathlyn, skoro jesteś taka cholernie zajęta, to po co zawracałaś sobie głowę dzisiejszym spotkaniem?

– Nie bądź złośliwa, Barbara. Bardzo łatwo byłoby wymówić się brakiem czasu. Przez całe życie wynajdywałam powody, żeby nie robić tego, co powinnam. Musiałam się zająć matką, dziećmi, moim eks, nauką, pracą. Ale nie tym razem. – Wjechała na mój podjazd i wrzuciła luz. – Nie sądzę, żeby udało mi się stracić choć kilogram, jeśli nie będę stawiała siebie na pierwszym miejscu. A jeśli to oznacza, że dzień później zarezerwuję dla Fitzwilligerów weekend w Disneylandzie, to trudno. I jeśli to oznacza, że ty będziesz zła jak osa, ponieważ muszę zarabiać na życie, to też trudno. Nie zamierzam nikogo przeproszać za to, że się o siebie troszczę, a już na pewno nie ciebie.

Samochód aż zadrżał od huku grzmotu.

– Lepiej już pójde – powiedziałam, otwierając drzwi, i pobiegłam do domu.

Skierowałam się prosto do kuchni. Gorąca czekolada z piankami przed kominkiem, dobra książka. Dzień był do tego stworzony. Sarajane rozumiała taką pogodę. Wiedziałam, że Kathlyn ma rację, ale mi wcale to nie przeszkadzało złościć się na nią. Trzaskając drzwiczkami szafek, nalałam mleka do kubka, dodałam czekoladę w proszku, rzuciłam na wierzch kilka pianek i wstawiłam całość na trzy minuty do mikrofalówki. Może później zrobię sobie miskę popcornu z odrobiną niskokalorycznej margaryny i dietetycznym napojem czekoladowym do popicia. Automatyczna sekretarka mrugała na czerwono, więc wcisnęłam guzik odtwarzania.

– Zapomniałem powiedzieć ci rano, żebyś odebrała moje buty z...

– I tobie dzień dobry, Franklin. Tak, u mnie wszystko w porządku. Jak miło słyszeć twój głos. – Wcisnęłam palcem guzik przewijania.

– Och. – Cisza. – Ja... – Usłyszałam powolny, niepewny głos, nieprzyzwyczajony do nagrywania się na sekretarkę. – Rozumiem. Cóż... mmm... mówi George Payne. – Stary Payne Nudziarz. Mój palec zawisł nad przyciskiem przewijania. Sekretarka nagrywała tak długo, jak długo on mówił, a Franklin zawsze narzekał, że Payne może gadać bez końca. – Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z panem albo panią Avers. Mmm... żeby się upewnić, że mój czek dotarł do pana Aversa. Nie wiem, kiedy będę mógł spłacić następną ratę. Pani

Payne, moja żona, nie czuje się najlepiej i... nie mogę zastać pana Aversa w biurze, a jego sekretarka powiedziała, że przekaże mu wiadomość, ale to było tydzień temu i nie chcę, żeby myślał, że zapomniałem o tej pożyczce. Cóż... mmm... proszę do mnie zadzwonić, gdyby pojawiły się jakieś problemy. – Podał swój numer, który zapisałam w notatniku. Powtórzył go dla pewności. – I to chyba wszystko, co miałem do powiedzenia.

Jednak od razu się nie rozłączył. Przycisnęłam słuchawkę do ucha, nasłuchując, jak oddychał, czułam jego potrzebę mówienia. Podczas gdy ja rozpaczałam z powodu kilku dodatkowych kilogramów, ten biedny człowiek próbował ratować całe swoje cholerne życie, zanim roztrzaska się na kawałki. Będę musiała porozmawiać z Franklinem, zapytać, czy dostał te pieniądze. Postanowiłam, że poświęcę te pół godziny i sama zadzwonię do Payne'a. Zapytam go o żonę, pozwolę mu trochę się wygadać. Może kontakt z kimś, kto ma prawdziwe kłopoty, pozwoli mi spojrzeć na moje z właściwej perspektywy. George w końcu się rozłączył i sekretarka przeskoczyła na następną wiadomość.

– Barbara, mówi Cameron. Jesteś mi potrzebna! Mam tu awarię. Zadzwon do mnie, jak tylko wrócisz do domu. – Zapisałam jego bezpośredni numer. Zapiszczała mikrofalówka. Otworzyłam drzwiczki, czując boski zapach czekolady, ale uszko kubka poparzyło mi palce. Uznałam, że zanim napój wystygnie, zdążę zadzwonić do Camerona.

– Brady, słucham.

– Cześć, Cameron, to ja.

– Barb! Dzięki Bogu. Posłuchaj, zanim powiesz „nie”...

– Co za doskonały wstęp.

– Muszę cię pożyczyć. Tylko na kilka tygodni.

– Po co?

– Sydney Kreiger dał nogę do „Sun-Times'a”.

Zagwizdałam cicho. Utrzymana w drwiącym tonie kolumna Kreigera przez lata królowała na drugiej stronie „Globe”.

– Co się stało?

– Zaoferowali mu większą pensję i dodali półgodzinny program w telewizji na okrasę. Chcę, żebyś go zastąpiła...

– Nie.

– Posłuchaj chwilę. Mam w odwodzie kilku innych ludzi, którzy będą dla mnie pisać. Ty pomożesz mi tylko przez kilka tygodni, zanim znajdę zastępstwo.

– Nie. – Papierosa!!! Przełknęłam ślinę, walcząc z pragnieniem.

– Prosiłem, żebyś tak nie mówiła.

– Ja nie piszę tego rodzaju artykułów.

– Ale kiedyś pisałaś. I wiem, że zawsze dotrzymujesz terminów. Przez te wszystkie lata czytałem wystarczająco dużo twoich artykułów, żeby wiedzieć, że

nie straciłaś pazura.

– Wiesz, że chcę zostać w domu, Cameron, przynajmniej dopóki Jason nie skończy szkoły. Codzienna kolumna to praca na cały etat.

– Nie proszę cię, żebyś pisała codziennie, Barbara. Czy wspominałem coś o codziennym pisaniu? Znajdę kogoś na miejsce Kreigera, tylko po prostu jeszcze go nie mam. Potrzebuję zastępstwa na dwa, może cztery tygodnie. Podzielę jego robotę między kilku dziennikarzy. Nie chcę, żeby nasi czytelnicy odzwyczaili się od zagładania na drugą stronę. – Usłyszałam w oddali drugi głos i ktoś przejął słuchawkę.

– Barb?

– Halo?

– Mówi Mac.

Zalała mnie fala ciepła. Nie wpadał do nas na śniadania, odkąd Sophia wyjechała do Gwatemali. Sophia-Przyzwoitka, jak ją nazywał w żartach. A może na poważnie.

– Mój przyjaciel jest zbyt dobrze wychowany, by ci powiedzieć, że musisz ratować jego kościsty tyłek. Rozmawiał już z pięciorgiem innych dziennikarzy i żaden z nich nie jest odpowiedniej klasy wagowej, żeby się zmierzyć z Sydneyem.

Niezbyt mi się podobał jego dobór słów.

– To grupowe pisanie to jedyny pomysł, na jaki wpadł. Jeśli ty napiszesz kilka artykułów, to ja też.

– Bardzo mi pochlebiasz, Mac, ale nie mogę.

– Posłuchaj, możesz pisać te cholerne felietony w domu, a ja będę je zabierał.

Jeśli będzie przyjeżdżał w interesach, to sytuacja będzie klarowna. Prawda?

– Muszę przygotować dzieci na obóz.

– Sam poprzyszywam im te pieprzone metki na ubrania.

– Kampania mojego męża nabiera rozmachu.

– Chyba mówiłaś, że na razie nie jesteś mu potrzebna.

– Masz dobrą pamięć.

– Niezawodną. Cameron cię potrzebuje, Barbara. Facet jest w rozsypce.

Moje palce, zaciśnięte na słuchawce, zaczęły się pocić. Kathlyn miała rację. Jeśli chcesz, zawsze znajdziesz jakąś wymówkę. Czyż Franklin nie radził mi, żebym znalazła sobie jakieś zajęcie?

– Będę mogła pracować w domu?

– Dziękuję ci, Barbara. – Cameron przechwycił słuchawkę. – Nie pożałujesz swojej decyzji.

– Cameron! Jeszcze się nie zgodziłam.

– Posłuchaj, Sydney musi mi dać artykuły na następne dwa tygodnie.

Uporządkuj swoje sprawy, a potem daj mi trzy albo cztery felietony, powiedzmy, w przyszły piątek. – Rozłączył się.

Co za idiotyczny pomysł. Moje dziennikarskie pióro zardzewiało. Cameron może rzucić okiem na moje dzieło i powiedzieć: „Dziękuję, ale nie. Dziękuję”. Nie sądzę, żebym akurat w tym momencie mojego życia dała radę znieść kolejne odrzucenie. Wciąż pamiętałam mękę pustej kartki i goniących terminów, prawie tak, jak przechowywałam blade wspomnienie bólów porodowych. Z daleka zawsze to wygląda na takie łatwe. Moja kolumna „Zapytaj Barbarę” nie wymagała dużego wysiłku, musiałam tylko znaleźć konkretne odpowiedzi na konkretne pytania. Nawet podczas mojego pierwszego tygodnia bez papierosa na klawiaturze pojawiło się tylko kilka kropel krwi. Żeby wyprodukować artykuły, jakich chciał Cameron, będę musiała otworzyć o wiele szerszą żyłę. Wzięłam z biurka trzy segregatory opisane jako POMYSŁY, pełne wycinków z gazet, odręcznych notatek i skopiowanych artykułów. Muszą tu tkwić jakieś załączki dobrych felietonów, które pomogą przetrwać Cameronowi te kilka tygodni. Powrót do „Globe” po tych wszystkich latach może być zabawny. Nie byłam w redakcji, odkąd zmarł mój ojciec.

Pianki na czekoladzie napuchły, obróciłam je palcem, żeby namiękły z każdej strony. Pozostawał jeszcze problem, jak powiedzieć Franklinowi. Nie miał nic przeciwko temu, żebym była wolontariuszką choćby tysiąc godzin w tygodniu, ale sprawy miały się zupełnie inaczej, jeśli chodziło o pracę zarobkową.

– Pracują tylko te kobiety, które są biedne! – wrzeszczał lata temu, kiedy wspomniałam o powrocie do zawodu. Zapisałam Jasona do żłobka i nagle mój dzień miał zbyt wiele godzin. – Moja matka pracowała i sam musiałem wychowywać dziewięcioro rodzeństwa. Tego właśnie chcesz? Okraść swoje dzieci z dzieciństwa? Chcesz, żeby ludzie myśleli, że nie potrafię utrzymać rodziny? To idź do pracy! – Wypadł z domu, trzaskając drzwiami i wrócił dopiero następnego dnia.

Już nigdy więcej nie wspomniałam o powrocie do redakcji. Zdałam sobie sprawę, że moja matka, gdyby żyła, na pewno z radością porzuciłaby karierę, żeby zostać ze mną w domu.

Gorąca czekolada poparzyła mi usta. Mieszałam pianki, aż zupełnie się rozpuściły. Minęły całe lata, odkąd choćby napomknęłam o pracy. Teraz już nikt nie mógłby kwestionować osiągnięć Franklina. Zresztą żony najbardziej prominentnych polityków w kraju pracowały, co ich mężowie z dumą podkreślali, walcząc o głosy kobiet. Jeśli zaś chodzi o zaniedbywanie dzieci, to czy Franklin nadal może się sprzeciwiać, skoro Rikki i Jason wyjadą na obóz? Nigdy celowo nie wprowadzałam naszego małżeństwa na rafy i nie chciałam robić tego teraz. Przez te wszystkie lata związki naszych przyjaciół przechodziły kryzysy i zawirowania, po których się rozpadały, ale Franklin i ja pozostawaliśmy w komfortowej

harmonii, idealnie zgrani, wspaniale kompatybilni. Puff-puff. Czy właśnie to nie stanowiło o trwałości małżeństwa? Dajesz i bierzesz? Puff-puff. Kompromis?

Rozważałam ofertę Camerona pod każdym możliwym kątem. Lecz nawet kiedy zabawiłam się w adwokata diabła, nie mogłam znaleźć żadnego aspektu, co do którego Franklin mógłby mieć jakieś obiekcje. Dzieci wyjadą na obóz, w domu nie miałam nic do roboty. Mąż nie potrzebował mojej pomocy przy kampanii, a gdyby to się zmieniło, mogłabym dostosować swoje godziny pracy do jego kapryśnego rozkładu dnia. A przede wszystkim praca oderwałaby moje myśli od jedzenia.

Owinęłam palce rękawem bluzy, żeby nie poparzyć ich od kubka, wyjęłam z szafki drugi i nad zlewem zaczęłam przelewać gorącą czekoladę z jednego naczynia w drugie, żeby szybciej ostygła, rozkoszując się zapachem, który przenosił mnie do tych chwil po szkole, które spędzałam w kuchni Saryjane. Sarajane. Cholera. Wciąż nie uporządkowałam jej rzeczy. Powinnam zrobić to teraz, zanim zacznę pisać. Żadnego deseru, dopóki nie zjesz ziemniaków.

Strugi deszczu chłostały szyby. Szarozielone jak zgniła cytryna niebo rozświetliła błyskawica. Zahuczał grzmot, od którego zadrżały szyby w oknach i cały dom.

– Dobrze, już dobrze, słyszę cię. – Wylałam czekoladę z piankami do zlewu. Znowu rozległ się grzmot. – Powiedziałam, że słyszę. Już jadę. – Pięć minut później jechałam do domu Saryjane, a grad stukał w dach auta.

13 Becky Bisoulis – znana amerykańska projektantka odzieży.

Nie mogłam tego zrobić. Klucz Saryjane tkwił w zamku bogato zdobionych drzwi z drzewa tekowego. Obok moich palców maleńki Budda przemawiał do grupy mnichów. Przesunęłam opuszkami po rzeźbionych figurkach. Na tych drzwiach widniało setki scen, których nigdy nie zauważyłam. Może obejrzę je teraz z bliska, nie wchodząc do środka.

Burza przeniosła się do Indiany, pozostawiając uporczywy deszcz. Otrząsnęłam parasolkę i schroniłam się pod pagodowym daszkiem. Wejście do domu w pełni oddawało charakter Saryjane. Podczas podróży do Japonii zakochała się w klasycznym japońskim ogrodzie, sprowadziła więc go w całości, razem z kamieniami, ozdobami, ławkami i wykładanym kafelkami daszkiem. Sarajane rzadko sobie czegoś odmawiała, poza coroczną męką Wielkiego Postu, kiedy przez czterdzieści dni nie jadła słodyczy. Odwróciłam się, żeby odstawić parasolkę i spojrzęłam na ogród.

– Cholera – powiedziałam miękko.

W maleńkich szarych kamykach, które Sarajane z czułością układała w japońskie wzory, ktoś rozegrał gigantyczną partię w kółko i krzyżyk, po czym porzucił na planszy dwa pokrzywione kije do bilardu. Zasłoniłam tę profanację parasolką. Szary deszcz na szarych kamieniach wydawał szary dźwięk. Muzyka do płaczu. Ogród rozbrzmiał echem dalekiego grzmotu.

– Dobrze, już dobrze, słyszę cię.

Wciągnęłam powietrze przesycone zapachem dwóch jałowców, które dałam Sarzejane, aby strzegły jej drzwi. Razem posadziłyśmy krzewy, miały na gałązkach jakieś chemikalia, od których całe nasze ramiona pokryły się czerwonymi krostami. Potem smarowałyśmy zadrapania tonami benedrilu, lecząc ewentualną alergię hojną porcją benedyktyнки. Jałowce, niegdyś przycięte i zadbane, gdy zabrakło troskliwej ręki Saryjane rozrosły się dziko. Postrzępione gałęzie ocierały się o drzwi. Urwałam czubek jednej, roztarłam w palcach i uniosłam dłoń do nosa. Myślałam, że moja rozpacz minęła, ale ona tylko zasklepiła się pod cienkim jak panierka strupem.

– Teraz przekręcisz klucz – powiedziałam. I przekręciłam. – I wejdiesz do środka. Raz. Dwa. Trzy. – Pchnęłam drzwi.

BZZZZZZZZZZ... Alarm! Rzuciłam się do holu i przy akompaniamencie przeraźliwego brzęczenia dopadłam do panelu sterowania. Miałam trzydzieści pięć sekund, żeby rozbroić alarm, zanim sygnał zabrzmi na komisariacie. Nie pamiętałam cholernego kodu! Urodziny Stanforda. Kiedy to było? W kwietniu. Kwiecień to najokrutniejszy miesiąc¹⁴. Dzień płacenia podatków. Sekundy

pływały. Wbiłam kod, łamiąc sobie paznokieć. Udało się! Oparłam się ciężko o kredens, chwytając łąpczywie powietrze w cudownej ciszy. Po mojej twarzy spływał pot, mokre ubranie kleiło się do ciała.

Lustro w kredensie okazało się brutalnie szczere. Upiorna poświata, spływająca ze świetlika w holu, pogłębiła linie na mojej twarzy i zmarszczki na czole. Przyłożyłam czubki palców do policzków i uniosłam je, wygładzając łukowate bruzdy, biegnące od nosa do ust. Kąciki oczu uniosły się egzotycznie. Ujdę jeszcze przez rok, maksymalnie dwa, jeśli nie będę chodziła w żadne miejsca jaśniej oświetlone niż pięciogwiazdkowa restauracja. Może najpierw zrobię sobie oczy, mała przystawka przed daniem głównym. Jedyłą dobrą stroną tycia był fakt, że moja twarz nie wydawała się już tak wynędzniała jak wtedy, gdy byłam chuda.

Widziałam kiedyś wywiad z pisarką Barbarą Cart-land.

– Starzejące się kobiety mają dwa wyjścia – powiedziała. Jej diadem ozdobiony diamentem lśnił, suknia z tafty falowała, a małeńki pekińczyk ziajał. – Mogą być szczupłe albo... wyglądać dobrze. Ja wybrałam tę drugą opcję. Jedyne, co trzeba zrobić, to po wejściu do pomieszczenia pełnego ludzi usiąść tak szybko, jak to tylko możliwe. – Sarajane i ja śmiałyśmy się do rozpuku. Obie wiedziałyśmy, którą opcję my wybierzemy. Puff-puff.

– Jesteś dużą dziewczynką – powiedziałam do mojej twarzy po liftingu. – Nie napiszesz dla „Globe” ani jednego słowa, dopóki nie posprzątasz szafy przyjaciółki. Nie załamiesz się. Robisz to dla siebie i Saryjane, nie dla Stanforda. I zrobisz to z miłością i radością w swoim małym, złamanym serduszku.

Dom wydawał mi się obcy. Powietrze, które czułam na policzkach, było zbyt ciepłe dla Saryjane. Jej zawsze było gorąco, a ja zawsze marzłam. Chociaż ostatnio już nie czułam tak często chłodu i nie miałam lodowatych dłoni. I bardzo dobrze, ponieważ Franklin nie bywał w domu na tyle często, by je ogrzać. Niewiarygodne, jak wielkich zmian potrafiła dokonać cienka warstwa tłuszczu. Zapach wokoło też był inny. Zniknęła woń Saryjane – mieszanka jedzenia, środków czystości, szamponu, perfum, papierosów, balsamu do ciała i płynu do mycia podłóg.

Pozłacany kij do golfa Stanforda stał oparty o stół kawowy z grubego szkła w drugim końcu salonu. Stare piłki od Neimana Marcusa wysypywały się ze sztruksowej torby golfowej na zabytkowy orientalny dywan. Sarajane nie cierpiała tego dywanu, jednego z aukcyjnych „znalezisk” Stanforda. Facet po prostu nie umiał się powstrzymać. Dywan trzeba było czyścić, „odwszawiać”, jak mawiała, i czesać. Po praniu zeszła z niego połowa koloru, którym poprzedni właściciel czy też pracownik domu aukcyjnego próbował zamaskować ślady wydeptane przez wieki tysiącami stóp. Mniej więcej wtedy zdiagnozowano u mojej przyjaciółki raka. Podczas terapii Sarajane spędziła niezliczone godziny na podłodze w salonie, mając obok siebie przenośny telewizor, i zaopatrzona w cienkopisy, całymi tygodniami przy wtórce Oprah i „Koła fortuny” kolorowała wyblakłe włókna. Gdy

była zmęczona, kładła się na poduszkach, a potem znów wracała do pracy, jak gdyby wierząc, że jeśli dokończy dzieła, to coś się zmieni. Zmarnowane godziny jej życia, godziny, których i tak miała za mało. Niewielki skrawek pod stolikiem pozostał spłowiały, jej śmierć pozbawiła go koloru. A teraz, nim zatrzaśnięto pokrywę trumny, dywan zamienił się ze świętego miejsca w pole golfowe.

W popielniczce leżała przeżuta końcówka cygara Stanforda i niedopałek papierosa o zapachu goździków ze śladami różowej szminki. Na szklanym blacie widniały koliste ślady po szklankach, a na rogu kanapy leżało otwarte pudełko z niedojedzoną pizzą. Podeszłam i usiadłam obok pozostawionych resztek. Oczami duszy widziałam scenę, jaka rozegrała się tu poprzedniego wieczoru. Rozmiar trzydzieści cztery, w różowym wdzianku z futerkiem, leżała na sofie, wydając ochy i achy, podczas gdy Stanford popisывał się swoim kijem. Zapiszczała, kiedy powiedział: „nie chodzi o to, jak zaczynasz, kotku-mała-słonko-pysiu, tylko jak kończysz”. Stanford nie umiał się powstrzymać nie tylko gdy chodziło o pokusy na aukcjach. Wylałam na szklany blat resztki ze szklanki i wytarłam ślady serwetkami z pizzerii.

– I co ty, u diabła, robisz? – zapytałam sama siebie.

– Sprzątam dom mojej przyjaciółki – odpowiedziałam, czując się dotknięta pytaniem.

– Twoja przyjaciółka nie żyje, Barbara. To już nie jest jej dom – oświadczyłam.

Serwetki niebezpiecznie zbliżyły się do popielniczki, w której spoczywała między innymi cała połówka niedopalonego papierosa. Z niezbyt dużą ilością szminki. Nikt już nie chorował na szkorbut. Opryszczka? AIDS? Zawsze mogę urwać filtr. Na stoliku leżały zapalniczki z logo Georges’a, jednego z modnych barów, jakich Stanford nie cierpiał, zanim orientalne dywany zamieniły się w pola golfowe. Język mnie swędział, gdy moja lewa dłoń sięgała po papierosa. Zanim zdążyłam go dotknąć, moja prawa ręka zmiażdżyła niedopałek stosem mokrych serwetek.

– Do diabła – powiedziałam do siebie – po cholere to zrobiłaś? Pół papierosa by mnie nie zabiło.

– Nie, tylko te czterysta tysięcy, które wypaliłabyś potem – usłyszałam w odpowiedzi.

Zostawiłam serwetki w popielniczce, opadłam na kanapę i wzięłam kawałek pizzy. Warstwa zimnego sera zsunęła się na bok jak wosk ortodontyczny. Przesunęłam ją na miejsce.

– Wolno mi – ogłosiłam. – Zapomniałam o lunchu. Zjem tylko ten jeden kawałek.

Żadna z nas w to nie wierzyła. Usiadłam wygodniej i żując, rozglądałam się po pokoju. Sarajane miałyby do Stanforda więcej pretensji o ten bałagan niż o inną

kobietę.

– Moja mama mówi, że to bez znaczenia, dokąd mężczyzna chodzi w dzień, jeśli wraca na noc do domu. A tatuś zawsze wraca.

– Co za bzdury, Sarajane. Jak ja będę miała dom, to będzie prawdziwy, taki, w którym ludzie pobierają się na całe życie i nigdy nie potrzebują nikogo innego.

– Nie ma takich małżeństw – odpowiedziała.

– Gdyby żyła moja matka, to właśnie taki dom byś-my mieli. – Zawsze wiedziałam wszystko o „prawdziwych” domach. Tylko dlatego, jak twierdziła Sarajane, że sama w takim nie dorastałam.

– Dlaczego po prostu nie skonfrontujesz się ze Stanfordem? – zapytałam ją kiedyś.

– A jak myślisz, co teraz robię? – Poprawiła szmaragdową broszkę, przeglądając się w stojącym na ladzie lustrze, niezdolna podjąć decyzję. Sprzedawczyni u Tiffany’ego obserwowała nas dyskretnie z pewnej odległości.

– Nie tak. Chodzi mi o osobistą konfrontację.

– Och, skarbie. – Ujęła moje dłonie. – A czy byłoby w tym coś zabawnego?

Stanford nigdy nie połączył biżuteryjnych szaleństw żony ze swoimi romansami. Zadufany w sobie sukinsyn. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona wie, że wiedziała od samego początku, kiedy jego pierwsza sekretarka, której ptasie nogi sięgały aż do szyi, zadzwoniła z żądaniem, by Sarajane go zostawiła. Moja przyjaciółka powiedziała dziewczynie „oczywiście, skarbie”, po czym pozostawiła pod jej drzwiami kosz z brudnymi ciuchami Stanforda razem z harmonogramem odwożenia dzieci do szkoły, jego rozkładem dnia, preferencjami żywieniowymi i listą alergii. Po tym incydencie jej mąż całymi dniami nie mógł znaleźć sobie miejsca i załamywał ręce, mamrocząc coś o niewdzięcznych sekretarkach, które odchodzą z pracy bez uprzedzenia, błogo nieświadomy powiązań swego romansu z nowym, diamentowo-szmaragdowym pierścieniem Sarajane.

Wypiłam ze szklanki kilka łyków napoju, który smakował jak tanie perfumy, ale pomógł mi przełknąć pizzę. Musiałam się powstrzymać od sprzątnięcia tego wszystkiego, najwyraźniej dom był już pod nowymi rządami. Pewnie bałagan miał czekać do jutra, aż przyjdzie Selma. Cieszyłam się, że miała dziś wolne, gdyż po raz ostatni chciałam pobyć sama z przyjaciółką. Idąc na palcach do jej sypialni – dlaczego na palcach? – zajrzałam do pokojów dzieci. Niepościelone łóżka, wszędzie porozrzucane ubrania, szafki zawałone śmieciami dorastania. Pokoje śmierdziały skwaśniałymi ogryzkami i poczerniałymi skórkami od bananów. Nie, nie mogło być żadnych cholernych wątpliwości, że Sarajane już tu nie mieszka. Ciekawe, co dzieciaki myślały o Pannie Różowym Futerku? A co, u diabła, można było powiedzieć złego o lasce w rozmiarze trzydzieści cztery, która jadła pizzę w salonie i paliła papierosy o zapachu goździków?

Garderoba Saryjane była większa niż niektóre pokoje hotelowe, w których mieszkałam. Wzdłuż trzymetrowego pomieszczenia biegły cztery metalowe pręty, a na każdym wisiały ciasno poupychane ubrania, schludnie posegregowane według rozmiarów, pór roku i stylu. Na półkach pod nimi stały rzędami buty, na górze leżały dodatki. Wyjęłam z torebki rulon plastikowych worków na śmieci i zabrałam się za najmniejszy rozmiar, czterdzieści sześć.

Dwie godziny później miałam dwadzieścia wypchanych i opisanych worków. Przytaszczyłam z piwnicy drabinę, żeby ściągnąć rzeczy z górnych półek w szafie w sypialni i w plastikowym pudle, między dwoma swetrami, poprzekładanymi kulkami na mole, znalazłam dużą, szarą kopertę. Spocona i bez tchu usiadłam na szczycie drabiny i wysypałam zawartość na kolana.

Był tam plik listów, wydrukowanych na czerpanym papierze. Przesunęłam palcami po wytłaczanym nagłówku. „Agencja Detektywistyczna Halseya”. Pierwszy list, adresowany do „Drogiej Pani Quinlin”, nosił datę sprzed piętnastu lat.

Podczas prowadzonej zgodnie z Pani życzeniem obserwacji pani mąż był widziany 23 sierpnia...

W załączeniu przesyłamy zdjęcia, które zostały zrobione podczas obserwacji pani męża 11 listopada w hotelu Sybaris Inn przez detektyw Lou Sobel.

Gdzie był widziany, jak wchodził do baru Rogie's Lounge, 305 West Adams St... O 16:05 spotkał się z Euroazjatką, około dwudziestotrzyletnią, z czarnymi włosami do pasa. Trzymając się za ręce, pili do 17:17, po czym wyszli razem i udali się do...

Pani mąż opuścił miejsce zjazdu i razem z kobietą (która, jak później ustalono, pracuje jako call-girl w kasynach w Las Vegas) udał się do pokoju hotelowego nr 610.

Pozostawił swoich partnerów przy pierwszym dolku, tłumacząc się atakiem rwy kulszowej i pojechał do Lake Forest Oasis, gdzie zabrał oczekującą na niego kobietę. Udali się do... powrócił na czas, by dokończyć partię.

Było tego więcej. O wiele więcej. Czułam, jak przygniata mnie panujący w garderobie upał. Ściskając kurczowo listy i kopertę, zesłam chwiejnie z drabiny i opadłam na niepościelone łóżko Stanforda. Zadrżałam, podskoczyłam jak oparzona i przeniosłam się na podłogę. Druga koperta wypchana była zdjęciami Stanforda z:

– prostytutką z Las Vegas przy stole do gry w kości. Na kolejnym oboje wychodzili z jego pokoju hotelowego;

– ubraną w westernowy strój dziewczyną przed barem w Teksasie. Obydwoje wychodzą z przyczepy;

– Kippy Laughlin, asystentką menedżera sklepu w naszym klubie golfowym, wychodzącą za nim z pokoju w motelu Knight Out na Lincoln Avenue.

Każde zdjęcie miało z tyłu naklejkę, na której czarnym tuszem wypisano datę, godzinę, miejsce i nazwisko detektywa. Obok widniała późniejsza data, dopisana eleganckim charakterem pisma Saryjane. Pierwsza informacja pochodziła z biura detektywistycznego, druga oznaczała dzień odwetu mojej przyjaciółki. Antyczna rubinowa brosza, oprawiona w białe złoto. Dwukaratowe diamentowe kolczyki. Pięć tenisowych bransoletek, każda ozdobiona piętnastoma diamentami. Przez pierwszych osiem lat Sarajane zapisywała każdą kupioną sztukę biżuterii, która z czasem stawała się coraz droższa. Czasami zastanawiałam się, czy celowo nie podwyższała niebotycznych stawek, żeby w końcu Stanforda zirytowały te ekstrawagancje, na co mogłaby mu odpłacić nowinami na temat jego romansów. Nigdy jednak do tego nie doszło.

O biżuterii wiedziałam. Za to nie miałam pojęcia o mężczyznach.

Minęło kilka chwil, zanim się zorientowałam, na co patrzę. Nie chciałam w to uwierzyć. Pierwszy romans nosił datę sprzed siedmiu lat, była wpisana na odwrocie zdjęcia z Kippy:

14.9 P.B. – kelner w Munich Club

Znałam to miejsce, ale inicjały nic mi nie mówiły. Pamiętam, że Sarajane ciągała mnie tam przez kilka tygodni, twierdząc, że ma ogromną ochotę na zupę ogonową. Najwidoczniej to wcale nie na ogony miała apetyt. Jak przez mgłę pamiętałam aroganckiego, młodego kelnera. Bez wątplenia P.B.

12.3 F.R. – uczestnik zjazdu – Palmer House

7.2 G.S. – Klub taneczny Mim

Podrywała nieznajomych.

– Och, Sarajane, dlaczego mi nie powiedziałaś?

Jak mogłam o niczym nie wiedzieć? Przecież nie było chwili, o której nie wiedziałabym, gdzie jest i co robi. Bała się mi powiedzieć? Najwidoczniej tak. I wiedziałam dlaczego. Wałkowałam ten temat bez końca całymi latami.

– Romans to jedyny sposób, by cywilizowane dorosłe osoby przetrwały w małżeństwie – upierała się, zarówno wcześniej, jak i po tym, gdy już powychodziłyśmy za mąż i urodziłyśmy dzieci. – Dlatego mam tak mało nadziei, jeśli chodzi o twoje stadło.

Jej rodzice mieli osobne sypialnie, połączone wąskim przejściem. Kiedy u niej spałam, zakradałyśmy się tam po kolacji i dłońmi stawiałyśmy na sztorc włosie dywanu, tak, abyśmy mogły dostrzec na nim ślady stóp. Przez te wszystkie lata nigdy żadnych nie znalazłyśmy.

– Myślisz, że Ozzie Nelson i Bill Cosby mają romanse? – pytałam. – Nigdy w życiu.

– Rodziny z telewizji nie żyją prawdziwym życiem.

– Jesteś taka cyniczna.

– Muszę, za nas obie.

Myślałam, że mnie podpuszcza. Teraz zdałam sobie sprawę, że próbowała mi powiedzieć o kelnerze P.B. i o F.R. i G.S. Czy byłam aż tak cnotliwa, że moja najlepsza przyjaciółka bała się mnie urazić? Bała się, że mnie straci?

Schowałam fotografie na miejsce, odniosłam drabinę do piwnicy i wywlekłam worki z ubraniami przed dom, zostawiając je na pastwę Armii Zbawienia. Położyłam klucz na kuchennym stole i rozejrzałam się po raz ostatni. Nie, w tym domu już nie było dla mnie miejsca. Żałowałam, że nie mogę zobaczyć miny Stanforda, kiedy znajdzie zdjęcia. Niespodzianka! Sarajane wiedziała i dokonała zemsty, ty nadęty dupku.

Ów obraz natychmiast zastąpił inny, o wiele wyraźniejszy, na którym Stanford i jego dziewczyna siedzą w łóżku, oglądając zdjęcia i listy, a jej zadarte, różowe sutki podskakują za każdym razem, gdy się śmieje. Wróciłam do piwnicy, przyniosłam z powrotem drabinę i zabrałam kopertę ze sobą. Zatrzymałam się na chwilę w śmierdzącej cygarami garderobie Stanforda, puściłam na jego ubrania zabójczego bąka i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Stosy worków, piętrzące się przy wejściu błagały, by ich nie zostawiać.

– Dobrze, już dobrze, zabiorę was. – Załadowałam ubrania Sarajane do bagażnika i pojechałam do domu.

Kuchenny stół uginał się od stosów papierów, wyciągniętych z segregatorów z pomysłami. Ile śmieci nazbierałam! Artykuły powyrywane z gazet i magazynów, kopie stron z książek, zapiski, nabazgrane pośpiesznie na restauracyjnych serwetkach, w małych kołonoratnikach, na zapalkach książeczkowych i rachunkach. Połowa tego wszystkiego wydała mi się teraz głupia, a druga część była zupełnie pozbawiona sensu. Po co zachowałam zdjęcie fryzjera, trzymającego kopertę, zawierającą dwadzieścia pięć dolarów i anonimowy list od faceta, który okradł go piętnaście lat wcześniej i od tamtej pory nie mógł sobie poradzić z poczuciem winy? Albo fotografię skauta przy światłach, które wywalczył na wyjątkowo niebezpiecznym przejściu dla pieszych koło szkoły? I co chciałam zrobić z migracją motyli monarszych do Meksyku?

Gruby plik informacji o sumo, spięty z artykułami na temat amerykańskich zapaśniczek. Nawet nie usiłowałam sobie przypomnieć, o co mi chodziło. Może mogłabym napisać artykuł o tym, jak w niektórych krajach ceni się nadwagę. Mogłabym się przeprowadzić do Japonii i zostać pierwszą zawodniczką sumo. Barbara-san. Nawet nieźle brzmi. Postrzeganie wagi na świecie. Czy to nie w *Mondo Cane*¹⁵ było coś o władcy, który otrzymywał roczną pensję w złocie, równą wadze swoich dwóch żon? Pamiętam dwie młode kobiety, tuczone przed wejściem na wagę. *Mondo Cane*! Boże, nie widziałam tego filmu, od kiedy grali go w „Esquire”, gdy byłam dzieckiem. Może artykuł pod tytułem: *A pamiętasz...?* Zapisałam pomysł pod innymi, zanotowanymi na żółtej kartce w linie. Nawet jeśli w segregatorach nie znajdę nic użytecznego, to może lektura tych wycinków nasunie mi na myśl coś interesującego.

Próbowałam zaprowadzić w papierach pewien porządek, ale to przekraczało moje zdolności. Ktoś, kto tak skrupulatnie prowadził domową i finansową dokumentację, nie miał żadnej wymówki dla takiego bałaganu. Poza tą, że w wielkim planie na idealny dom moje pisanie nigdy tak naprawdę się nie liczyło. Było jedynie śladem po poprzednim wcieleniu, łaskawie dopuszczonym do istnienia w moim życiu małżeńskim jako szpachelka kitu, którą mogłam zapchać okazjonalne szczeliny między obowiązkami żony, matki i gospodyni. Dopóki nie zaglądałam do segregatorów z pomysłami, mogłam podtrzymywać iluzję, że są tam fascynujące historie, które tylko czekają na opisanie.

Brzęczenie minutnika sprowadziło mnie na ziemię. Pora obrócić kurczaka. Zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i wyłączyłam sygnał.

– Halo?

– Barb?

– Cześć, Franklin. – Wcisnęłam słuchawkę między ucho i ramię i polałam kurczaka sosem barbecue.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić.
– Och, byłam w domu Saryjane...
– Wróć dziś później. Niespodziewane spotkanie strategiczne. Czy możesz znaleźć kogoś innego, kto pójdzie z tobą do teatru?
– Cóż, przypuszczam...
– Oczywiście jest mi bardzo przykro. – Wypił przed obiadem jednego lub dwa drinki. To nie było w jego stylu.
– Sprawiasz wrażenie, jakbyś był na lekkim gazie.
– Ja? – Upuścił słuchawkę i chwilę potrwało, zanim znów przyłożył ją do ucha. – To wina kiepskiego połączenia. Muszę iść. Do zobaczenia. – Wydał kilka mlaszczących odgłosów. – Buziaki dla dzieci.

Wstawiłam kurczaka z powrotem do piekarnika i nastawiłam minutnik. Kiedy Franklin w telefonie zaczął tak bardzo się różnić od Franklina na żywo? Jego głos był bardziej czuły, a słowa pełne troski, gdy docierały do mnie przez telefoniczny kabel. Zastanawiałam się, czy nie odgrywał roli oddanego ojca i troskliwego męża przed publicznością, zgromadzoną po drugiej stronie.

Jego telefon zniweczył mój zapał do zrobienia porządku na stole, ale pomógł mi podjąć decyzję co do artykułów dla Camerona. Wcisnęłam kartki z powrotem do segregatorów. Cały jutrzejszy dzień poświęcę na przygotowanie miejsca pracy. Spiszę dokładnie wszystkie pomysły, przygotuję niezbędne przybory, uprzedzę dzieci, żeby nie zawracały mi głowy, chyba że któreś dostanie krwotoku zagrażającego życiu, i nie będę odbierała telefonów, choćby nie wiem co. Nie pozwolę, by cokolwiek zakłóciło mi czas przeznaczony na pisanie. Nie oszukujmy się, jeśli sama nie zacznę traktować siebie poważnie, to nikt inny tego nie zrobi.

Gdy kurczak dochodził w piekarniku, zatargałam torby z ubraniami Saryjane na strych i wcisnęłam głęboko do szafy z drzewa cedrowego. Na sam tył wsunęłam kopertę z Agencji Detektywistycznej Halseya. Szybki telefon do Kathryn i już miałam towarzyszkę na wieczór. Ani Rikki, ani Jason nie chcieli jeść kurczaka.

– Zaczynają mi rosnąć pióra – poskarżyła się Rikki.

– Znowu wychodzisz? – zajęczał Jason.

Oczywiście stworzyli wspólny front. Tatuś musiał spędzać całe dni poza domem, ponieważ miał ważne sprawy, lecz kiedy ja chciałam wyjść, to ich porzucałam. Nie czułam się aż tak winna, żeby odwołać wyjście do teatru, na tyle jednak, by zamrozić kurczaka i zostawić dzieciom pieniądze na pizzę. Wszyscy na tym dobrze wyszli, poza kurczakiem.

Jeden z dwóch głównych bohaterów *Sztuki jedzenia*¹⁶ przez całe przedstawienie gotował, a drugi jadł. Powietrze przesyciła woń świeżego czosnku, smażonej ryby, słodkich pomarańczy i cynamonu. Nawet w teatrze człowiek już nie jest bezpieczny. Na scenie objadali się wszyscy poza kucharzem. Czysta fikcja. Na szczęście Kathryn przeczytała wcześniej recenzje i przyszła zaopatrzona w dwie

torebki suszonych plasterków jabłka. Schrupałam kilka, ale siedząca przede mną dama odwróciła się, posyłając mi potępiające spojrzenie. Potem już tylko cichutko odłamywałam kawałki jabłka i trzymałam je w ustach, dopóki się nie rozpuściły. Zapomniałam, jakim grzechem było przełykanie. Śmiertelnym czy wybaczalnym? No dalej, Sarajane, co mi mówiłaś? Wysilałam się, szukałam, chwytalam okruchy wspomnień, ale tej odpowiedzi nie znalazłam. Zapomniałam nawet klaskać.

– Czy te fotele nie wydają ci się trochę ciasne? – zapytałam Kathlyn podczas przerwy.

– Nie. Ale w sumie ostatnio wydaje mi się, że wszędzie mam więcej miejsca. Jak schudnę jeszcze ze dwadzieścia kilo, to przestanę mieć koszmary o utknięciu w toalecie w samolocie.

W drodze do domu prawie powiedziałam Kathlyn o romansach Saryjane. W moich myślach i emocjach panował straszny zamęt – szok związany z odkryciem jej romansów, przekonanie, że zdradziła mnie, ukrywając to wszystko, poczucie winy, że nie byłam przyjaciółką, której mogła się zwierzyć, smutek, że dźwigała ten ciężar sama – i myślałam, że rozmowa z Kathlyn mi pomoże. Jednak nie mogłam tego zrobić. Sarajane nie chciała mi wyjawić swojego sekretu, chociaż byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, więc jak mogłam zdradzić jej tajemnice obcej osobie?

Może Franklin będzie w domu. Chciałam przytulić się do niego, chciałam, żeby on mnie przytulił. Od śmierci Saryjane byłam taka nieszczęśliwa, tak zaabsorbowana własnym życiem, że zupełnie ignorowałam jego sprawy. Przez większość dni nasz jedyny kontakt ograniczał się do tych krótkich spotkań w łazience, kiedy dyktował mi listę rzeczy do załatwienia. Zastanawiałam się, czy on potrzebuje mojej fizycznej bliskości tak bardzo, jak ja potrzebowałam jego. Gdy Kathlyn wysadziła mnie przed domem, dochodziła północ. Franklina nie było. Rozebrałam się powoli i zanurzyłam w gorącej kąpieli. Potem wtarłam w ciało balsam Opium, włożyłam koronkową koszulkę i czytając w łóżku, czekałam na powrót męża.

O pierwszej zeszałam na dół, zrobiłam sobie podwójną szkocką i nasypałam do miski prażonych orzeszków. O wiele zdrowszych niż smażone w tłuszczu. O pierwszej trzydziści pokój przyjemnie wirował wokół mnie. Czy mąż mnie zdradza? Czy słońce wstaje na wschodzie? Naprawdę chciałam to wiedzieć? A może powinnam kazać go śledzić? Zadrżałam na tę oślizgłą myśl, wypełzającą z mrocznych otchłani mojego umysłu. Jason zapłakał przez sen. Potykając się, poszłam do jego sypialni i przykryłam go kołdrą.

– Śpij słodko – powiedziałam, całując syna w czoło.

Czy dzieci też zaniedbywałam? Jutro zacznę wszystko od nowa. Przywrócę porządek w moim życiu. Podbudowana tą myślą, poczłapałam chwiejnie z powrotem.

Kolejny kwadrans spędziłam z otwartą książką na kolanach. Obliziałam palec, wytarłam resztki soli z pustej miseczki i dopiłam szkocką. A jeśli Franklin mnie nie zdradza i niesłusznie go podejrzewam? Biedny Franklin. Biedny, kochany Franklin. Był pod ogromną presją, w pracy i w związku z wyborami, a ja tylko siedziałam i kombinowałam, jak zafundować mu więcej stresu. Jednak byłam to winna jemu, nam, dzieciom, Bogu i ojczyźnie, musiałam pozbyć się wątpliwości.

Ruszyłam chwiejnie na strych. W pewnym momencie potknęłam się o skraj koszuli i upadłam na drewniane, nieoheblowane schody. Gruba drzazga wbiła mi się w kolano. Zaciskając zęby, żeby nie wrzasnąć, złapałam ostre drewnienko i wyszarpałam cholerstwo. To znak, orzekłaby Sarajane. Bez wątplenia był to znak – tylko czego? Mam iść dalej czy zawrócić? Na dwoje babka wróżyła. Kolano pulsowało bólem, po nodze ciekła ciepła krew, plamiąc koszulę. Podeszłam do szafy, wyciągnęłam kopertę z za worków z ubraniami Saryjane i oderwałam z jednego z listów firmowy nagłówek. Zeszłam na dół, przemyłam ranę, która już nabierała obrzydliwych kolorów czerni i purpury, i odkaziłam ją wodą utlenioną. Wsunęłam się pod kołdrę, ukrywając skrawek papieru w stercie dietetycznych książek kucharskich, piętrzącej się na moim stoliku nocnym. I natychmiast zapadłam w sen, czując się tak bezpieczna, jakbym miała pod poduszką broń.

14 *Z Ziemi jałowej* T.S. Eliota.

15 *Mondo Cane (Pieski świat)* – włoski film dokumentalny z 1962 roku, złożony z niepowiązanych scen, ukazujących dziwne i drastyczne zwyczaje z całego świata.

16 *The Art of Dining* – sztuka Tiny Howe z 1979 roku.

Metalowe koła na metalowych szynach. Już zapomniałam, jak brzmi pierwotny rytm pociągu. Zamazany krajobraz za brudną szybą przemienił się z podmiejskiego w miejski. Czułam się, jakbym pokonywała pokryty graffiti portal między tym, kim się stałam i kim byłam kiedyś. Trzymając aktówkę na kolanach, oparłam się wygodnie, rozkoszując się zmysłowymi wibracjami wagonu.

Ile lat minęło odkąd ostatnio jechałam kolejką do Loop17? Dwanaście? Nie, trzynaście. Tamten dzień wrył mi się w pamięć i powracał jako jeden z koszmarów, które zakłócają ulotne chwile tuż przed zaśnięciem. Boże, jaką musiałam wydawać się snobką.

– To nie ma znaczenia, że mieszkamy na przedmieściu – głosiła Święta Barbara od Miasta swoim nieoświeconym, podmiejskim siostronom. – Rikki ma już trzy lata i najwyższa pora, żeby posmakowała podróży transportem publicznym.

Cały tydzień przed „naszą przygodą” przygotowywałam moją córkę, opowiadając jej na okrągło o cudownej podróży kolejką. Gdy nadszedł Ten Dzień, wcisnęłam w nią obfite śniadanie dużo wcześniej, żeby nie dostała choroby lokomocyjnej, ubrałam małą na cebulkę i spakowałam ogromną torbę podróżnych przekąsek i gier. Całe rodziny przecinają kontynent z mniejszymi zapasami. Wsiadłyśmy do pociągu i przejechałyśmy trzy stacje, zanim Rikki zaczęła wymiotować. Myślałam, że ją przygotowuję, a tak naprawdę śmiertelnie ją przeraziłam. To było trzynaście lat temu.

Pociąg wjechał na mój ulubiony odcinek, gdzie tory biegły wzdłuż bloków mieszkalnych. Obramowane pozbawionymi zasłon oknami sceny z życia migwały przed oczami jak w kalejdoskopie. Razem z Sarajane wymyślałyśmy historie o mieszkających tu ludziach do naszej opery mydlanej *EL-ka i ja*. Ona snuła burzliwe fantazje miłosne o brutalnych mężczyznach i wulgarnych kobietach, zdecydowanych i pewnych siebie, a ja opowiadki o staruszkach i dzieciach, nieszczęśliwych ofiarach o krok od śmierci.

Denerwowałam się tą wycieczką przez cały dzisiejszy ranek. Dziwne, naprawdę, przecież to nie była moja pierwsza w życiu wyprawa do miasta. Mieliśmy z Franklinem karnety na balet, do opery i teatru. Czasami po godzinach szczytu odbierałam go z siłowni. Umawialiśmy się na kolacje z przyjaciółmi albo jedliśmy w naszym klubie. Regularnie uczestniczyliśmy w niekończącej się karuzeli charytatywnych imprez: eleganckie przyjęcie w Shedd Aquarium na rzecz chorych na dystrofię mięśniową, późna kolacja u Neimana na rzecz młodocianych cukrzyków – imprezy, urządzone przez takie kobiety jak ja i Sarajane, doskonałe organizatorki, które tylko szukały okazji, żeby się wystroić. Oczywiście ostatnio

przestaliśmy bywać. Dopóki nie skończy się kampania Franklina, dopóki ja znowu nie będę wyglądała dobrze w eleganckich ubraniach.

Odsyłałam zaproszenia z wyrazami ubolewania i hojnymi czekami. Franklin kilka razy narzekał na kwoty, które ofiarowałam, mówił coś o nowym prawie podatkowym i ulgach za działalność charytatywną. Niemądrze z jego strony, naprawdę, skoro oszczędzałam dwa razy tyle, nie kupując nowych strojów. Biedny Franklin chodził ostatnio taki podenerwowany. Podejrzewałam, że datki na kampanię nie służyły tak obficie i w takiej wysokości, jak się spodziewałam. Chociaż kiedy go o to zapytałam, powiedział, że wszystko w porządku, a odkład przeniósł rachunki do swojego gabinetu, nie mogłam sama tego sprawdzić.

Kiedy tylko wysiadłam na Merchandise Mart, gruba warstwa kurzu natychmiast pokryła mi gardło, przystanąłam więc przy stoisku i kupiłam dietetyczną pepsi. Milky Way stanowił tylko dodatek, małą przekąskę między śniadaniem a lunchem, mającą wzmocnić moje zasoby energetyczne, uszczuplone podróżą. Poza tym i tak spalę te kalorie, idąc na piechotę do „Globe”. Był idealny, wiosenny dzień, a ja wędrowałam powoli na wschód, rozkoszując się płynnym, pokrytym czekoladą karmelem i wymachując aktówką. Pięć artykułów, które w niej niosłam, nie ważyło wiele, bez trudu zmieściłyby się do koperty, lecz z radością odkurzyłam moją starą skórzaną teczkę i natarłam ją środkiem do siodeł. Dostałam ją od ojca na osiemnaste urodziny, kiedy ogłosiłam, że chcę zostać dziennikarką. To był jedyny prezent, jaki kiedykolwiek od niego dostałam, którego nie wybrała moja babka.

Gdy zbliżałam się do redakcji, poczułam niesiony przez wiatr zapach smażonego mięsa z Billy Goat's. Cheeseburger, grillowana cebula, frytki – ulubiony zestaw mojego ojca, choć ewentualnie mógł go zamienić na hot-doga z dodatkami. W porze lunchu siadałam obok niego i skubiąc kanapkę z jajkiem, paląc i podkradając mu frytki z talerza, słuchałam, jak dyskutuje z kumplami o Cubsach, White Soxach, Niedźwiedziach¹⁸, rozgrywkach softballu, sędziach i ławnikach. Emocje buzowały niczym piana na piwie. Praca reportera była jedyną rzeczą, jaka liczyła się w ich życiu, i jedynym tematem, jakiego nigdy nie poruszali. Tylko żółtodzioby i pismaki opowiadali wszystkim, czym się zajmują. Prawdziwi dziennikarze mieli na sobie nosa, tak jak gliny, oszuści i alkoholicy. Zostało mi jeszcze pół godziny do spotkania. Miałam mnóstwo czasu na sentymentalną porcję frytek. Wiatr znów zmienił kierunek i zapach grillowanych hamburgerów odleciał, zastąpiony przez smród spalin. Zjem po spotkaniu.

Redakcja „Globe” przykucnęła na południowym krańcu Magnificent Mile, między imponującymi siedzibami „Sun-Times'a” i „Tribune”, górujących nad nią zarówno wielkością budynków, jak i nakładem. Trzy główne dzienniki Chicago stały na straży mostów, które niczym grube palce sięgały przez Chicago River do Loop. Czy powinnam iść prosto do biura Camerona? Barbara, to nie randka

w ciemno. Boisz się, że Cameronowi nie spodobają się twoje artykuły? Będzie zachwycony. Są dobre. Nie do końca to, co zamawiał, ale ty nigdy nie byłaś przewidywalna.

Mój żołądek zaczął wywijać koziółki. Po co zjadłam ten batonik? Po jakiego diabła w ogóle jadłam śniadanie? Powinnam była poprzestać na połówce grejpfruta, ale kwaśny owoc aż błagał o słodką poprawkę. Tylko maleńki kawałeczek tortu, który trzymałam w zamrażarce na wypadek wizyty niespodziewanych gości. A jaki masochista mógłby poprzestać na jednym kawałku? Tort zajmował miejsce, zwolnione przez dwukilogramową torbę orzechów i kilogramowe pudełko czekoladek. Nie mogłam zjeść wszystkich sama, Rikki i Jason też musieli zaglądać do zamrażalnika. Ale na pewno nie zjedli orzechów. Tort zawinęłam w pergamin z napisem „wątróbka” i nikt go nie ruszał – oprócz mnie, gdy sięgałam po kawałek lub trzy.

Oparłam się o poręcz nad Chicago River, próbując zapanować nad żołądkiem. Wiał ciepły wiatr, owijając mój jasny szal z frędzlami wokół namiotu z gazy, w jaki się ubrałam. Miałam ogromną nadzieję, że wyglądam raczej artystycznie niż grubo. Pisanie przy biurku w kuchni okazało się piekłem. Ostatnim razem, gdy pracowałam dla „Globe”, siedziałam w newsroomie, odpalając jednego papierosa od drugiego. Teraz, gdy napotykałam na jakiś problem, zaglądałam do lodówki, przybierając średnio pół kilograma na artykuł.

Za mną rozciągała się Michigan Avenue, biegnąca od rzeki do hotelu Drake. Właściwie Chicago miało dwa śródmieścia. Dla moich sąsiadów z północnego brzegu centrum oznaczało właściwie ten fragment Michigan Avenue, pełen ekskluzywnych sklepów, oświetlonych tak skąpo, że klienci krążyli po nich, przyciskając zakupy do piersi, w poszukiwaniu źródła światła. Magnificent Mile było jak beżowa dama, cicha, dobrze wychowana i nudna.

Przede mną, po drugiej stronie ciemnej rzeki, rozciągało się pulsujące i falujące prawdziwe centrum Chicago, sprośna, bezwstydna, bezczelna pannica, która lubowała się w jaskrawych kolorach i miała niewybredne maniery. Mieszkańcy Magnificent Mile objawiali dosyć rozumu, by nie przekraczać rzeki w swoich futrach i biżuterii, absolutnie niezbędnych podczas zakupów u Neimana czy w Bloomies. Ich ciuchy od uznanych projektantów były niczym neon z napisem „zwierzyna łowna” dla dzieciaków, grasujących po State Street Mall, które tylko czyhały na taką okazję. Czwórka takich dzieciaków, idących całą szerokością chodnika, popchnęła moją filigranową babkę, gdy nie zdążyła w porę zejść im z drogi. Przy zderzeniu ze słupem latarni jej biodro trzasnęło niczym patyk, a pobyt w szpitalu doprowadził do zapalenia płuc, które ją zabiło, a mnie – po raz drugi w wieku szesnastu lat – pozbawiło matki. Na poręcz obok mnie wylądował gołąb. Zerknęłam na zegarek. Pięć minut do spotkania.

– Przedstawienie czas zacząć – powiedziałam, a ptak skinął głową.

W holu musiałam podać nazwisko, a strażnik zadzwonił na górę, żeby potwierdzić moje spotkanie z Cameronem. Czy Tajemniczy Gość może się wpisać? Recepcjonistka na trzecim piętrze wskazała mi pluszową sofę, na której miałam poczekać. Dopiero siadając, zorientowałam się, że kanapa jest za niska. Ciągłe zapomniałam, że powinnam wybierać twarde krzesła z wysokimi oparciami, które tak lubiła moja babka. Odkąd przekroczyłam sześćdziesiąt osiem kilo, zrozumiałam, na czym polega urok krzesła, z którego mogę wstać z godnością. Wygramoliłam się z kanapy, uznając, że wolę stać niż pozwolić, żeby Cameron patrzył, jak próbuję podźwignąć mój tłusty tyłek z pluszowego obicia.

– Witaj w domu! – Wyłonił się z korytarza i serdecznie mnie uściskał. – I co? – zapytał, prowadząc mnie do newsroomu. – Jak się czujesz na starych śmieciach?

Otoczenie wydało mi się jednocześnie znajome i obce. Cameron prowadził mnie przez labirynt biur, których proste, metalowe konstrukcje zastąpiły dawny ciemny dąb.

– Żadnych drzazg – powiedziałam, przesuwając dłonią po krawędzi jednego z nich. – I załóżę się, że latem szuflady tak nie puchną, aż nie można ich otworzyć.

– Pamiętasz. – Poklepał mnie po ręku. – Przez ciebie ogrania mnie tęsknota za starymi czasami.

– Mnie też. – Zniknął dym z papierosów i cygar, który spowijał pomieszczenie niczym niebieska chmura. – Wszyscy przestali palić czy macie lepszą wentylację?

– I jedno, i drugie – odpowiedział.

– O wiele tu ciszej, niż zapamiętałam. – Morze niemych monitorów czekało cierpliwie na komendy, mrugając kursorami. Jediną maszyną do pisania, zabytkowego czarnego royala, owijał w kącie bluszcz. Zamiast starych, przeszywających dzwonek telefonów rozbrzmiewały przyjemne dla ucha dźwięki. Poza kilkoma znajomymi twarzami przy biurkach redaktorów personel wydał mi się nowy i bezlitośnie młody.

– I, oczywiście, pamiętasz to miejsce – powiedział Cameron, otwierając drzwi do biura, wydzielonego szklanymi ścianami. Nie byłam przygotowana na tę chwilę. Dla mnie wciąż znajdował się tu gabinet ojca, ze ścianami obwieszonymi zdjęciami, na których pozował ze wszystkimi prezydentami, od Ike'a do Cartera, artystami, przyjeżdżającymi do miasta, różnymi szalbierzami, zagranicznymi dygnitarzami i osobistościami ze świata sportu. Było też kilka adresowanych do niego listów od Nelsona Algre'a czy Saula Bellowa i parę kupionych, które napisali Walt Whitman i Carl Sandburg¹⁹. Po jego śmierci spakowałam cały dobytek w pudła i zniosłam do piwnicy, a mimo to, kiedy myślałam o gabinecie taty, wszystko było na swoim miejscu. Jednak ściany, na które teraz patrzyłam, przedstawiały życie Camerona. Gdzieś we mnie z hukiem zatrzasnęły się drzwi do

przeszłości.

– Przyniosłam ci prezent – powiedziałam, kładąc aktówkę na jego biurku.

Zdecydowanym ruchem otworzyłam zatrzaski i wyjęłam kopertę z artykułami. Sprawnie, bez żadnego wysiłku. Jak gdyby każda strona nie została okupiona potem, każde wydrukowane zdanie nie narodziło się po setkach poronień, a dla mnie chlebem powszednim było otwieranie żył i wylewanie krwi na papier przez osiem godzin dziennie. A właściwie więcej, jeśli liczyć te godziny o świcie, kiedy nie mogłam spać. Gdybym pracowała tak codziennie, pisanie szłoby mi szybciej, jednak nigdy nie przychodziłoby mi łatwo. Cameron otworzył kopertę.

– Usiądź – zachęcił.

– Chyba nie zamierzasz czytać ich teraz!

Schwycił cienką kopertę między kciuk i palec wskazujący.

– Barbara, to nie *Wojna i pokój*. Nie denerwuj się tak. Napij się kawy. – Wskazał na stojący w kącie termos, położył nogi na biurku i zabrał się do lektury.

– Kto się zajmuje polityką? – spytałam, czując, jak wokół mnie zamykają się ściany. – Chciałabym przekazać materiały Franklina.

– Drugi rząd, ostatnie biurko. Spears. – Wrócił do moich artykułów.

Wyjęłam z aktówki teczkę Franklina i zostawiłam Camerona z moim dziełem. Żołądek mi się zacisnął. Jak, u diabła, mogłam myśleć, że po siedemnastu latach wciąż umiem pisać? Pomocy przy szkolnych gazetkach Rikki i Jasona czy kilku artykułów pisanych z doskoku raczej nie dałoby się określić mianem dziennikarstwa. Moja kolumna „Zapytaj Barbarę” to był czysty reportaż. Sydney Kreiger zaś w swoich felietonach obserwował świat i komentował go dowcipnie, wnikliwie, lekceważącym tonem. Codziennie. Nawet w dni wolne. Chyba straciłam rozum, skoro uznałam, że mogłabym to robić.

Spears okazała się panną Sonią Spears; wysoki, długonogi rudzielec miał twarz Brendy Starr²⁰. Razem z Sarajane opracowałyśmy kiedyś równanie, pozwalające wyliczyć stopień inteligencji takich osób jak Sonia Spears. Była to reguła „3W”: $IQ = \text{waga} - \text{wzrost w metrach} + \text{wiek}$. Oceniłam wagę Soni na jakieś pięćdziesiąt kilogramów przy wzroście około metra osiemdziesięciu centymetrów i wieku nie więcej niż dwadzieścia jeden lat. $50 - 1,80 + 21$ dawało $IQ\ 69,2$. Mój wynik był o wiele wyższy i z każdym nowym kilogramem wzrastał błyskawicznie. System nie był niezawodny, ale prawie. Będę musiała mówić do dziewczyny powoli i używać prostych słów, żeby na pewno zrozumiała.

– Cześć – powiedziałam wesoło – jestem...

– Córką Caseya Marlowa. – Poderwała się zza biurka, wyciągając dłonie o długich palcach. – Tak, wiem. Cameron mówił, że przyjdiesz, dlatego cię wypatrywałam. – Uścisk jej chłodnej dłoni uświadomił mi, jak gorące i wilgotne były moje ręce. – Proszę, proszę, siadaj. – Usiadłyśmy. – Tak się cieszę, że mogę cię poznać. Twój ojciec jest tutaj legendą. Stara gwardia bez przerwy go wspomina.

Nawet nie wolno mi słuchać niektórych historii, które opowiadają. – Wyrzucała szybko słowa. – Któregoś dnia założę podsłuch w Riccardo i poznam wszystkie tajemnice. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przejmiesz kolumnę Sydneya. – Przerwała tylko na chwilę, żeby zapalić papierosa. Sprawdziłam, w którą stronę powinien lecieć dym i przesunęłam się w tym kierunku.

– Ja nie przejmuję...

– Zawsze uważałam go za prawdziwy wrzód na tyłku. Wiecznie głosił kazania. Kiedyś wynajęliśmy rzeźbiarza, żeby wykuł słowa Sydneya w kamieniu dla potomności. Nie był zachwycony. Tak czy inaczej Cameron chodził po ścianach, dopóki nie zgodziłaś się przyjąć tej roboty.

– Jestem tylko jednym z...

– Wiem, wybiegam przed szereg. Ale Cameron naprawdę chce, żebyś wróciła. Sama próbowałam napisać dla niego kilka felietonów, cholera, wszyscy próbowaliśmy, ale wszystko, czego się tknę, zamienia się w politykę.

– Co mi przypomina... – Podałam jej pakiet reklamowy Franklina. – Skoro i tak wybierałam się na spotkanie z Cameronem, pomyślałam, że oszczędzę na znaczkach i dam ci to osobiście.

Tak naprawdę Franklin nalegał, żebym to zrobiła. System wentylacyjny pochłaniał większość dymu, zanim do mnie dotarł. Sonia zaciągnęła się głęboko i wypuściła kolejny strumień, z którego trochę udało mi się złapać, zanim zniknął. Czy mi się wydawało, czy miękkie rysy jej twarzy lekko stężały?

– Oczywiście, śledzę poczynania twojego męża. Nawet poznałam go kilka tygodni temu podczas dni otwartych, jakie urządzał w swoim biurze. Zabawne, ale nie pamiętam, żebym cię tam widziała.

– Nie mogłam przyjść – skłamałam, zastanawiając się, kiedy to było. Franklin nic nie wspominał o dniach otwartych. Nieważne. Pewnie i tak byłam umówiona na gorącą randkę z mrożoną pizzą.

– Twój mąż ma bardzo... intensywną osobowość. Życie z nim musi być wyczerpujące. Spotkałam go tylko raz i byłam wykończona.

Jedno spotkanie to jeszcze nie romans. Dziwna myśl, Barbara. Skąd w tobie tyle zazdrości?

– Ta jego specjalistka od PR-u to istna tygrysica – dodała Sonia. Pokiwałam głową. Jeszcze nie poznałam jego zespołu. – Jak ona ma na imię?

– Wszyscy ci ludzie od PR-u wyglądają tak samo.

Roześmiałyśmy się. Pomimo urody i żywiołowej osobowości zaczynałam ją lubić.

– Pewnie twój mąż jest zachwycony twoim powrotem do „Globe”.

– O, tak. – Franklin był wściekły. Dlaczego nie mogłam się zgłosić jako wolontariuszka do jakiegoś miejsca typu kuchnia dla bezdomnych czy punkt dystrybucyjny posiłków do domów niepełnosprawnych, żeby mógł skorzystać na

upublicznieniu tego faktu? Chociaż nie wahał się ani przez chwilę przed wykorzystaniem moich koneksji w redakcji.

– Przejrzę to – obiecała – i poutykam gdzie się da.

– Dzięki.

Zamiast Camerona w gabinecie był Mac. Siedział na krześle, które wcześniej zajmowałam, pochłonięty lekturą strony sportowej. Pogniecione ciuchy, jakie nosił podczas swoich porannych przechadzek, zastąpił granatowy, trzyczęściowy garnitur. Minęło kilka tygodni, odkąd go ostatnio widziałam, i w tym czasie odwiedził dobrego fryzjera, który przyszytył mu włosy, nie próbując ich ujarzmić. Mac miał w sobie jakąś trudną do okiełznania dzikość, jak kot z dżungli schwytyany w niewolę, co jednocześnie przerażało mnie i podniecało. Podniósł niezakryte oko i przyłapał mnie, jak się na niego gapiłam.

– Ach, zjawa z mgły. Idealne wyczucie czasu. Właśnie idziemy świętować. Wielka ława przysięgłych wydała akt oskarżenia przeciwko palantom, którzy mi to zrobili.

– Myślałam, że potrąciła cię ciężarówka.

– Starannie wycelowana i profesjonalnie prowadzona. Kilku osobom nie spodobało się, że badam okoliczności śmierci przyjaciela.

– Nabierasz mnie.

– Najchętniej łyżkami. Chodź z nami na lunch i wszystko ci opowiem.

– Nie mogę wyjść. – Usiadłam na krześle naprzeciwko niego. – Muszę porozmawiać z Cameronem.

– O twoich felietonach?

Jęknęłam.

– Czy wszyscy tutaj już o nich wiedzą?

– Zastanówmy się. Czytał urywki mnie, operatorowi windy, sprzątaczkom, chłopakowi od cateringu i, powiedziałbym, każdemu, kogo napotkał na swojej drodze. Uśmiechał się po raz pierwszy od odejścia Kreigera. – No tak, jeszcze rozbierz mnie do naga, Cameron, i umieść na wystawie. Zapomniałam, jak intymna atmosfera panuje w newsroomie. Dobra wiadomość była taka, że najwyraźniej podobały mu się moje artykuły. – Wyglądasz na zaskoczoną – dodał Mac.

– No wiesz, nie byłam pewna, czy te... to znaczy, czy moje artykuły są cokolwiek warte. Minęło trochę czasu. – Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, jak gdyby próbował ocenić, czy nie udaję. Mówiłam szczerze.

– Byłaś cholernie dobrą dziennikarką. Tego się nie zapomina.

– Tylko dlatego, że Cameron mówi, że byłaś dobra...

– Ja mówię, że byłaś dobra. – Odchrząknął. – Ja... kazałem skserować wszystkie twoje artykuły. – Jęknęłam. – Wieczorami w domu Camerona nie miałem zbyt dużo rozrywek, a nie bardzo byłem w formie, żeby iść na tańce. Pomyślałem, że zobaczę, czym się zajmowałaś, zanim zostałeś królową taco

północnego wybrzeża. Przez kilka nocy z rzędu czytałem do poduszki twoje artykuły. Od niektórych z „Zapytaj Barbarę” dostałem zgagi, ale reszta była całkiem niezła. Może trochę staromodna...

Przechylił się na jedną stronę, odepchnął od krzesła i stanął, podpierając się na grubej lasce. Żadnych kul. Wracał do zdrowia. Pochylił się nad biurkiem Camerona, wziął czarny flamaster i napisał na kartce wiadomość. Kilka czarnych loków wymknęło się na kołnierz jego koszuli. Szerokie ramiona naciągnęły szwy marynarki, która uniosła się lekko, a mój wzrok podążył od jego pośladków na uda. Z jakiegoś powodu wizja Maca, rozciągniętego w łóżku i pochłoniętego lekturą moich artykułów, wydała mi się oszałamiająco intymna. Skończył pisać i podał mi notatkę do akceptacji: „Porwałem Barbarę. Mac”.

– Chodź. – Pociągnął mnie za rękę z krzesła i objął za ramiona, opierając na mnie akurat tyle swojej słusznej wagi, żebym poczuła się potrzebna. Jego dotknięcie miało dziwny wpływ na mój oddech.

– Dokąd idziemy?

– Świątować twoje artykuły i mój akt oskarżenia.

– A co z Cameronem?

– Znajdzie nas, niestety.

– O pół do drugiej będę musiała wyjść. – W drodze do windy zwolniłam, by dostosować się do kroku Maca. – O drugiej mam spotkanie. – Modliłam się, żeby nie zapytał z kim. Nie sądziłam, żeby przeszło mi przez usta słowo „hipnotyzer”.

Zerknął na zegarek.

– W takim razie będziemy musieli szybko pić.

W barze Riccarda stanęliśmy tuż przy drzwiach, czekając, aż oczy nam się przyzwyczają do ciemności. Słyszałam, jak ktoś ryknął:

– Hej, jest Mac!

A potem liczne głosy dodały:

– Świetna robota!

– Pokazałeś tym sukinsynom!

Mac się roześmiał.

– Wygląda na to, że dobre wieści szybko się rozchodzą.

Tamci ruszyli ku niemu, spychając go w stronę baru.

Wycofałam się. To był jego czas z kumplami z branży, do której ja nie należałam. Już nie. Jeszcze nie. Nagle jednak wielka dłoń Maca przebiła się przez tłum, pochwyciła mnie i zaczęła ciągnąć ku jednemu z ogromnych boksów. Opierając się na mnie i na lasce, Mac opadł ciężko na kanapie pod ścianą i wskazał mi miejsce obok siebie. Jeszcze dwóch facetów wcisnęło się obok mnie, a pięciu usiadło po drugiej stronie stołu. Pozostali tłoczyli się wokół, rozmawiając, śmiejąc

się i zadając pytania.

Moje zmysły były atakowane ze wszystkich stron przez wrażenia, które przywoływały wspomnienia dawnych czasów. Zapach starego piwa i świeżych papierosów, pieczywa czosnkowego i tartego sera, pojedyncze słowa, które rozkwitały w szalonym tempie do ożywionej dyskusji, energia tłumu, tworząca złudzenie ruchu. Przestałam tu przychodzić, kiedy się zaręczyłam. Franklin nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie tych ludzi, na których jego siła nie robiła żadnego wrażenia. Frustrował się, prowadząc rozmowę o swoim najnowszym samochodzie z facetem, który był dumny z oryginalnego malunku na chevrolecie z pięćdziesiątego ósmego roku. Franklin przypominał towar z górnej półki, a moi kumple z „Globe” byli jak artykuły z przeceny. Nie potrafili się porozumieć.

– Siedziałem na samym środku pierwszego rzędu, żeby Whitney i Marquart dobrze mnie widzieli – opowiadał Mac. – Chciałem, żeby zapamiętali, czyje zeznanie doprowadziło do oskarżenia. Kto wsadzi ich za kratki.

Tłum bombardował go pytaniami. Czułam lekki prąd na skórze wszędzie tam, gdzie dotykało mnie jego ramię, spoczywające na moich barkach i jego udo stykało się z moim. Nie czułam się tak, od kiedy w piątej klasie Daniel Greenberg pocałował mnie w policzek, w ciemnościach panujących w kinie Esquire. Byłam wtedy zażenowana i zdezorientowana reakcją mojego ciała i szczerze mówiąc, teraz wcale nie czułam się lepiej.

– Kiedy wracasz do Phoenix? – zapytał ktoś.

– Poczekam, aż ta sprawa dobiegnie końca – odrzekł Mac, delikatnie ściskając mnie za ramię.

Jaka sprawa, Mac? Przyniesiono drinki i jakimś cudem moje chablis zamieniło się w podwójną szkocką. Kelner postawił na środku stołu tacę przekąsek, w ramach gratulacji od właściciela lokalu. Myślałam, że jestem zbyt zdenerwowana, żeby jeść, ale się myliłam. Pieprzna kielbasa, pikantne papryczki i kremowy sos wybornie komponowały się ze szkocką. Pojawiła się druga kolejka, potem trzecia. Nie wypiałam tyle od tamtej nocy, kiedy umarła Sarajane. I kiedy wrzuciłam wszystkie papierosy do jeziora. Boże, chroń mnie, abym tym razem nie zrobiła czegoś równie głupiego.

Tłum przzerzedził się i lokal zaczął zapadać w poobiednią drzemkę. Reporterzy opuszczali nasz boks, chciałam więc się odsunąć od Maca, żeby dać mu trochę więcej przestrzeni, ale przytulał mnie i głaszcząc po włosach, relacjonował poranne wydarzenia w sądzie, opisywał uczestników dramatu. Czułam, jak moje ciało się rozluźnia. Zapomniałam, jak dobrze jest być przytulaną. W sumie uścisk to taki prosty gest.

Ukołysana ciepłem jego ciała i trzema szkockimi musiałam zacząć odpływać w sen, ponieważ jego słowa dochodziły do mnie z bardzo daleka.

– Zabawne, co się dzieje z człowiekiem, który otarł się o śmierć – mówił

Mac miękkim, zachrypniętym głosem. – Zmieniają mu się priorytety. Wyciąga rękę i usiłuje schwycić coś, co wcześniej mógłby przeoczyć.

– Na przykład?

– Na przykład ciebie. Tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Pewnie – powiedziała sennie – ledwo mnie było widać w tej mgle. Tak wyglądałam najlepiej.

– Czy ty nigdy sobie nie odpuszczasz?

– Co takiego powiedziałam?

– A co się odpowiada, kiedy mężczyzna mówi ci, że jesteś piękna? – Nie mam pojęcia. Dawno nikt mi tego nie mówił.

– Czy to test wielokrotnego wyboru?

Przycisnął usta do mojego czoła.

– Mówisz: „Dziękuję, Mac, masz doskonały gust, jeśli chodzi o kobiety”.

– Macu Parker, ty ze mną flirtujesz. – Wyprostowałam się z trudem. – Mój Boże, która godzina?

– Wyluzuj, już jesteś spóźniona pół godziny na swoje spotkanie.

Jęknęłam. Kathlyn mnie zabije, wystawiłam jej hipnotyzera do wiatru. Mac wepchnął kciukiem kostki lodu do drinka, po czym oblizał palec. Ten mały gest wywołał dziwną reakcję mojego ciała.

– Jesteś żonaty? – zapytałam. A skąd mi się to wzięło?

– Byłem. Cameron i Myrna mnie wyswatali. Z bardzo miłą kobietą. Tradycjonalistką. Próbowałem ją uprzedzić, jak wygląda życie z reporterem kryminalnym, ale równie dobrze mógłbym opisywać niewidomemu niebieski kolor. Wydawało się jej, że będziemy sobie żyli tak jak Myrna z Cameronem. Cóż, z reporterami jest inaczej.

– Tak słyszałam. I co się stało?

– O najdziwniejszych porach telefonowali do mnie różni ludzie i musiałem wychodzić z domu. A kiedy wracałem, ona płakała. Pewnej nocy zadzwonił znajomy gliniarz i powiedział, że w wieży ciśnień znaleźli dwa ciała. Uważał, że to morderstwo. Wyszedłem o czwartej rano. Okazało się, że to dwoje zaginionych nastolatków, którzy upili się w sztok, wleźli na górę i wpadli do wody. Ich zwłoki pływały w zbiorniku już od dłuższego czasu. Ciało zaczęło odpadać od kości. Wróciłem do domu koło siódmej rano, mdliło mnie, byłem smutny i wściekły na cały świat. A moja żona oskarżyła mnie, że spędziłem noc z inną kobietą. – Przycisnął moją dłoń do policzka. Twarz mu płonęła.

– Masz gorączkę – powiedziała, ale chyba mnie nie słyszał.

– Oddałbym wszystko, żeby móc spędzić noc z inną kobietą i nie widzieć tych dwojga martwych dzieciaków. Nigdy nie zdradziłem żony. Żałuję, że nam nie

wyszło, ale od początku budowaliśmy na lichych podstawach.

Podniósł do ust szklankę z drinkiem. Kilka kropli kapnęło mu na krawat, więc go wytarłam. Mac ujął moją rękę w dłonie i metodycznie całował czubki palców. Udawałam, że tego nie zauważam, jak gdyby całowana dłoń nie należała do mnie, jakby nerwy w palcach nie miały bezpośredniego połączenia z moim kroczem. Co ja właściwie tutaj robiłam?

W końcu byłam szczęśliwą w małżeństwie matką dwojga dzieci.

Którą mąż zapomniał zaprosić na bal.

A może to były dni otwarte?

Gnida.

Byłam pijana. Wyrwałam dłoń z uścisku Maca.

– Muszę zaczerpnąć powietrza – powiedziałam, wstając, i uciekłam z baru.

W połowie schodów prowadzących na Michigan Avenue zawróciłam i zbiegłam na dół, w chłodny mrok przejścia podziemnego. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem, próbując zebrać myśli. Przemierzałam chodnik usiany śmieciami, nawianymi z alei i z pobliskich doków załadunkowych. Musiało istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co teraz czułam, co się ze mną działo, ale z racjonalną częścią mojego umysłu chwilowo nie było kontaktu.

– Barb! – Głos Maca odbił się echem od ścian.

Na ulicy nad naszymi głowami huczały autobusy i samochody, dźwięczały bramki doków. Mac szedł w moją stronę, wspierając się na lasce i ciągnąc nogę za sobą. Twarz miał wykrzywioną bólem. Nie uciekłam, ale też nie zrobiłam kroku w jego stronę. Minęła chwila, zanim do mnie dotarł, i jeszcze dłuższa, nim odzyskał oddech.

– Nie zamierzam cię przeproszać, Barbaro.

Uniosłam dłoń, żeby go powstrzymać.

– Mac, po prostu trochę za dużo wypiliśmy.

Złapał mnie za nadgarstek.

– Nie zwalaj winy na alkohol, dobrze? Niektóre rzeczy dzieją się, ponieważ przychodzi na nie pora. – Wyrwałam rękę.

– Czego ty ode mnie chcesz, Mac?

– Wszystkiego. Niczego. Cholera, nie wiem. Może po prostu chciałbym cię wysłuchać. Chciałbym, żebyś mnie poznała i dała mi szansę poznać ciebie. – Minął nas samochód, w którym ktoś słuchał na cały regulator rozdzierającego serce bluesa z lat czterdziestych. Na tym polegał problem z prawdziwym życiem, brakowało mu w tle muzyki.

– Mac, ja mam męża.

– Żartujesz.

– I nie uprawiam skoków w bok.

– Gdybym myślał, że jest inaczej, gdybym chociaż przez sekundę tak uważał, nie przestałbym do ciebie przychodzić po wyjeździe Sophii. Myśl, że przez cały dzień siedzisz sama w tym domu, doprowadzała mnie do szaleństwa. Musiałem się zmuszać, by nie zapukać do twoich drzwi.

– Mac...

– Posłuchaj, zawsze stawiałem sobie za punkt honoru, żeby trzymać się z dala od mężatek. Ale to było, zanim otarłem się o śmierć. Przed spotkaniem z tobą. Odnoszę wrażenie, że dostałem ważną szansę. I szczerze mówiąc, Barbaro, nie wydaje mi się, żebyś była tak szczęśliwa w małżeństwie, jak mówi Cameron. – Przerwał, zostawiając mi mnóstwo czasu na odpowiedź, jeśli miałabym ochotę to zrobić. Nie miałam. – Chcę, żebyś wiedziała, co czuję. Jeśli każesz mi odejść, zrobię to.

– Tak – szepnęłam. – Proszę.

Mac zachwiał się, po czym odwrócił się i odszedł.

A ja zaczęłam płakać. Stałam wstrząsana rozdzierającym szlochem, ponieważ zdałam sobie sprawę, że chyba właśnie utraciłam coś cennego.

Podróż kolejką do domu nie miała końca. Jak mogłam sądzić, że jestem gotowa na powrót do prawdziwego świata? Zbyt długo mnie tam nie było. Straciłam wszystkie umiejętności radzenia sobie w takich sytuacjach. Ten dzień rozerwał mnie na strzępy. Zbyt wiele emocji, za dużo decyzji. Nie mogę żyć w takim tempie.

Twarz Maca patrzyła na mnie z okna pociągu. Prześladowało mnie coś, co powiedział o swojej byłej żonie. Myślała, że on spędza czas z inną kobietą, ale się myliła. Poświęcał się swojej pracy z pasją i oddaniem, a ona tego nie rozumiała. Czy ja postępuję tak samo z Franklinem? W duchu oskarżam go o postęпки, których nigdy się nie dopuścił?

Ze względu na siedemnaście lat naszego małżeństwa, na dwoje naszych dzieci, musiałam walczyć, by utrzymać nasz dom i rodzinę. Jeśli to tylko możliwe, postaram się wnieść w moje życie małżeńskie takie podniecenie, jakie czułam w mrocznym boksie w Riccardo. Och Boże, jak dobrze było czuć się tak pożądaną. Co by się stało, gdyby Mac mnie odwiedził, kiedy byłam sama w domu?

Pożądanie, które czułam na jego widok – tak niespodziewane, tak wszechogarniające – śmiertelnie mnie przeraziło. A co więcej, pozwoliło mi zdać sobie sprawę, jak bardzo w moim życiu brakuje miłości.

17 Loop (Pętla) – centralna dzielnica Chicago, otoczona linią miejskiej kolei naziemnej „L”.

18 Chicago Cubs, Chicago White Sox – drużyny bejsbolowe; Niedźwiedzie (Chicago Bears) – zespół futbolu amerykańskiego.

19 Nelson Algren, Saul Bellow, Walt Whitman, Carl Sandburg – pisarze

amerykańscy.

20 Brenda Starr – bohaterka komiksu o pięknej, nieustraszonej reporterce.

Czerwiec. 71–75 kg

To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! – Sapałam obok Kathlyn, gdy zbliżyliśmy się do latarni morskiej, stojącej w połowie naszej drogi do siłowni.

– To prawda – oświadczyła. – Wszyscy traktowali mnie o wiele poważniej, kiedy byłam cięższa.

– Na przykład kto?

– Moje dzieci, pracownicy, Pete.

– Kathlyn, tak ci się tylko wydaje. Mnie ludzie nie traktują serio, odkąd przybrałam na wadze. – „Ludzie”, czyli Franklin i dzieci. – Jak to wyjaśnisz?

– Nie chcę się kłócić, Barbaro. – Na jej alabastrowych policzkach wykwitły czerwone plamy. – Mówię ci, że kiedy zesłam poniżej dziewięćdziesięciu kilo, inni zaczęli mnie traktować jak puchatą maskotkę.

Dotarliśmy do latarni, dotknęliśmy cegieł i skręciłyśmy na zachód, w stronę centrum.

– Mam ci przyznać rację i dać wymówkę, żebyś odzyskała te wszystkie kilogramy?

– Jesteś dziś rano prawdziwą opoką. Chcę tylko powiedzieć, że moje opinie nie mają tej wagi, co przedtem.

– Ho-ho. – Otarłam rękawem twarz z potu. Moja postać w dresach przyprawiała mnie o tylko odrobinę mniejsze mdłości niż widok mnie w trykotach i rajtuzach. Jedyne, co dodawało mi rano odwagi, to fakt, że przy Kathlyn nadal wyglądałam szczupło. – Może powinniśmy zamienić się domami. Moja rodzina zaczęła toczyć rozmowy obok mnie, nade mną i przeze mnie. Rikki już nie prosi mnie o radę, Jason zapomniał mnie zaprosić na dzień otwarty w szkole, a Franklin znajduje niezliczone powody, żeby trzymać mnie z dala od swojego biura wyborczego.

– Proszę, proszę, czyżby ktoś tu popadał w małą paranoję?

– Przysięgam ci, im cięższa się staję, tym mniej mnie zauważają. Robię się niewidzialna. Opinie grubasów się nie liczą. – Przy Kathlyn można było spokojnie mówić „grubas”, uważała wszystkich ludzi, ważących mniej niż sto piętnaście kilo za „pulchnych”. Ja w myślach niechętnie określałam siebie jako ciężką. Ale to był stan przejściowy, który dobrze ukrywałam. Dzięki siłowni moje ciało zachowało jędrność. Nie potrafiłam zrozumieć, jak niektóre kobiety mogły pozwolić, by wisiał na nich tłuszcz. Ja przynajmniej, kiedy już zrzucę te wszystkie kilogramy, nie będę miała rozstępów ani sflaczałej skóry.

– Obiecujesz, że tym razem przyjdiesz na spotkanie z doktorem Chengiem?

– zapytała Kathlyn.

– Przyszły wtorek, dziesiąta trzydzieści. Tylko, na litość boską, nie mów nikomu.

– Jesteś bardzo dziwną osobą, Barbaro Avers. – Nad jej górną wargą błyszczał pot, spływał też strużką spod opaski przytrzymującej włosy. Kathlyn wymachiwała ramionami w tył i w przód jak olimpijczyk, przyspieszając w ostatnich dziesięciu minutach. – Opowiadasz wszystkim i wszędzie o spotkaniach u Strażników Wagi, w Nutrisystem i Centrum Dietetycznym, ale wstydzisz się wizyty u hipnotyzera.

– Nie ma się czym chwalić. – Musiałam truchtać, żeby dotrzymać jej kroku. – To jest przyznanie się, że nie potrafię schudnąć jak każdy normalny człowiek. Że nie umiem poradzić sobie z małym problemem bez tak dziwacznej pomocy.

– Nadwaga nie jest małym problemem, a w hipnozie nie ma nic dziwnego. Dziwaczne są zaklęcia albo machanie martwym kotem na cmentarzu, ale hipnoza jest w pełni racjonalna. – Z przeciwka zbliżała się do nas grupa wychudzonych biegaczek, instynktownie przeszliśmy więc na drugą stronę ulicy. – To nie twoja wina, że nie możesz nic robić w kuchni, nie jedząc. I nic nie poradzisz na to, że po gotowych daniach masz spektakularne gazy.

Kathlyn potrafiła się wyrażać niezwykle obrazowo. Mówiła z taką pasją, z jaką robiła wszystko inne, opowiadała każdemu historię swojego życia w trzy minuty po zawarciu znajomości. Chyba odpowiadał mi taki typ ludzi, w ich trajkotaniu czułam się bezpiecznie, lubiłam słuchać godzinami szczegółowych relacji z każdego wydarzenia.

Sarajane też dużo mówiła. I Mac. Jedno nie żyło, drugie wyjechało do Phoenix. Tęskniłam za obojgiem, chociaż czułam ulgę na myśl, że Mac nie widzi, jak bardzo utylam.

– Akurat w tym jednym wypadku, Kathlyn, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś nie obwieszczała moich planów całemu światu. Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że sprawy wymknęły mi się spod kontroli.

– Barbara, do tego nie trzeba kryształowej kuli. – Uniosła brew, patrząc znacząco na moje ciało, wciśnięte w stary dres Franklina. Dlaczego nie wyszłam za mąż za faceta, noszącego rozmiar L? – Jeśli będziesz walczyła z doktorem Chengiem, ciężko będzie cię zahipnotyzować. Oczywiście – dodała, naśladowując mój głos – jeśli szukasz wymówki, żeby się nie pozbyć tych wszystkich kilogramów...

Dyszałyśmy ciężko, przemierzając ciche o poranku ulice. Zaletą ćwiczenia w siłowni o szóstej trzydzieści był fakt, że poza garstką biegaczek żadna ze znajomych czy sąsiadek nie wychodziła tak wcześnie z domu. Większość moich rówieśniczek, które próbowały odnaleźć swoje powołanie w karierze zawodowej, była rozczarowana długimi godzinami pracy, niekompetentnym personelem i twardymi wymogami rynku. Okazało się, że porzucenie niesympatycznego męża

i otwarcie butiku za pieniądze z alimentów wcale nie było tak fantastyczne, jak im obiecywano.

Sarajane i ja czułyśmy, że nasza decyzja w kwestii pozostania w domu była w pełni uzasadniona, puff-puff, kiedy patrzyłyśmy, jak codzienne realia zabijały romantyczną wizję powrotu do pracy, puff-puff. Wymyślanie interesującej odpowiedzi na zadawane na przyjęciach pytanie „a co ty robisz?” przestało mieć znaczenie w obliczu obserwowanej przez nas nużącej rutyny życia zawodowego, przypominającej raczej kierat niż sielankę. Nie tego chciały nasze znajome. One pragnęły mieć własną firmę, zatrudnić fantastyczną menedżerkę, która wspaniale by sobie radziła z towarem-klientami-księgowością (i która nie okradałaby ich na każdym kroku), pracować na tyle krótko, by wystarczyło czasu na zabawę, rundkę tenisa i wakacje, i zarabiać osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie netto.

Te same kobiety interesu wracały teraz do domu, powtarzając mantrę o obowiązkach macierzyńskich, by na nowo odkrywać swoje dzieci (które już polubiły wolność bez matki), gotowanie („moja tortilla z niebieskiej kukurydzy jest bardziej meksykańska niż twoja tortilla z niebieskiej kukurydzy”), śniadania z koleżankami (niegdyś określane jako lunch z dziewczynami) i ćwiczenia na siłowni (do diabła ze wzmacnianiem, budujemy mięśnie).

A co najlepsze, znowu przesypiały poranne godziny szczytu, co oznaczało, że mogłam wyjść z domu i bezpiecznie do niego wrócić, zanim one zwlekły się z łóżka na pierwszą filiżankę świeżo zmielonego, bezkofeinowego espresso.

Wstawanie o świcie, żeby się ubrać, przygotować dzieciom drugie śniadanie i kawę dla Franklina, zanim pójdę z Kathlyn do Centrum Dietetycznego na ważenie i trening, miało wszakże jedną ogromną wadę. O wpół do dziesiątej wieczorem oczy same mi się zamykały. Myślałam, że mój mąż będzie się czuł urażony, kiedy po raz kolejny zastanie mnie w łóżku śpiącą nad otwartą książką, ale Franklin tylko zachęcał mnie do porannych ćwiczeń i „trzymał za mnie kciuki”.

Na początku uznałam, że kibicuje mi, ponieważ ma nadzieję, że siłownia pomoże, lecz z czasem zaczęło mnie prześladować niemiłe przecucie, iż czułam ulgę, widząc mnie śpiącą jeszcze przed wieczornymi wiadomościami. Zeszłego wieczoru po kolacji próbowałam go uwieść, lecz Franklin był zdenerwowany, spięty i oklapły, a brak chęci tłumaczył obecnością dzieci w domu. Trzeba mu przyznać, że zawsze wołał seks do poduszki. Pewnie przy tak napiętym grafiku uprawianie miłości, po której jeszcze długo nie będzie mógł położyć się spać, wydawało mu się nieproduktywne. Zwykle nawet nie było go w domu, kiedy zasypiałam wieczorem.

Kilka razy podczas ostatnich miesięcy, kiedy się budziłam w środku nocy, spał na kanapie w salonie.

– Chciałem poczytać – mówił – i położyłem się tu, żeby ci nie przeszkadzać.

W inne noce po prostu wychodził w domu.

– Nie mogłem spać – wyjaśniał – więc pojechałem do biura, żeby trochę nadgonić robotę.

W takie noce przypominałam sobie o detektywie, którego dane miałam schowane na nocnej szafce, i niemal natychmiast ogarniało mnie poczucie winy.

– Zastanawiałam się, czyby nie zacząć chodzić na siłownię trochę później, żeby rano móc sobie pospać – powiedziałam, sprawdzając, jak zareaguje na ten pomysł Kathlyn.

– To ci się nigdy nie uda – odparła, zwalniając kroku. – Gdybym co rano nie wyciągała cię z domu, w ogóle byś nie ćwiczyła.

– Są gorsze rzeczy na ziemi.

– Na przykład?

– Na przykład to, że śpię, kiedy Franklin mnie potrzebuje. Minęły już trzy tygodnie.

Otworzyła szeroko oczy w przesadnym zdumieniu.

– Całe trzy tygodnie?

– Nie zaczynaj. Franklin ma... zawsze miał duże potrzeby seksualne. Ostatni raz musieliśmy zrobić trzytygodniową przerwę, kiedy usuwali mu pęcherzyk żółciowy. Ten cały zdrowy tryb życia rujnuje nasze życie seksualne.

– Jeśli tak ci to przeszkadza, to niech on cię obudzi, jak się kładzie do łóżka.

– Sugerowałam mu takie rozwiązanie, ale powiedział, że to byłoby samolubne z jego strony i że mam takie samo prawo do własnego rozkładu dnia, jak on.

– Dla mnie to brzmi jak pięknie opakowany kit. – Ja też tak myślałam.

– A ty? – spytałam. – Nie jesteś zmęczona?

– Wyczerpana. Codziennie o trzeciej padam, jakbym dostała obuchem w głowę, dlatego zamykam się w gabinecie na godzinną drzemkę. Moi pracownicy wiedzą, że wtedy pod karą śmierci nie wolno mi przeszkadzać, żadnych telefonów, klientów, nic.

– Nigdy nie potrafiłam spać w dzień. Próbowалаm kilka razy, kiedy byłam w ciąży, ale zawsze budziłam się z poczuciem winy.

– To poczucie winy rujnuje twoje życie seksualne, dziecino.

– Moje życie seksualne rujnuje nadwaga.

– Rujnuje je poczucie winy z powodu nadwagi. Otyłość nigdy nie przeszkadzała mi w byciu piekielnie seksowną kochanką. Zresztą większość moich otyłych przyjaciółek wychodzi ze skóry, żeby być kreatywnymi w tej dziedzinie. – Wybuchnęła tym swoim głośnym śmiechem, który tak bardzo polubiłam. – Chociaż Pete mówi, że jeśli jeszcze trochę schudnę, to będzie musiał znaleźć sobie prawdziwą kobietę. On zawsze lubił puszyste.

– Nie czujesz się zagrożona?

– A dlaczego miałabym się czuć? Jeśli mnie kocha, to równie dobrze może

mnie kochać chudą. Kiedy tak mówi, po prostu go ignoruję i dalej ujeżdżam jak ogiera. – Kathlyn była tak seksualnie agresywna, jak ja wycofana, bez przerwy kupowała książki i „pomoce małżeńskie”, żeby dodać życiu seksualnemu pikanterii. – Pozwól, że zabiorę cię do mojego ulubionego sex-shopu. Muszę stworzyć ci oczy na nowe możliwości.

– Kathlyn, nie mogłabym!

– Patrzeć jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Nie poznałam Pete’a, ale podejrzewałam, że musi nieustannie znajdować się w stanie błogiego wyczerpania.

– Gdybym przyniosła do domu jakieś rzeczy z sex-shopu, Franklin by pomyślał, że coś knuję.

– Bo knujesz. Poza tym nie jesteś ani odrobinę ciekawa, jak takie miejsce wygląda?

– Oczywiście, to znaczy, kto nie jest?

– A twoi czytelnicy nie byliby ciekawi?

– Raczej nie sądzę, żeby Cameronowi spodobał się artykuł o sex-shopach.

– Nigdy nie wiadomo. Wybierz się ze mną, a może znajdziesz jeden z tych gorących tematów, o których zawsze mówisz.

Sapałam rozpaczliwie, próbując dotrzymać jej kroku. Czułam się, jakby ktoś ścisnął moją klatkę piersiową w imadle, nie mogłam złapać tchu. Bolały mnie stopy, a łydki ciągnęły potwornie, jakby zaraz miały pęknąć.

– Może pójde z tobą, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście nie kryje się tam jakiś temat – odrzekłam – ale będę musiała znaleźć jakieś inne rozwiązanie, jeśli chodzi o moje małżeństwo. Wydaje mi się, że po prostu za mało się staram. Albo robię coś nie tak jak trzeba.

Kathlyn zwolniła na chwilę i wyczułam, że zaraz rzuci jedną ze swoich bomb.

– Możesz katować się poczuciem winy za marną kondycję swojego życia seksualnego, ile tylko chcesz, Barbaro Ann Avers, i możesz obwiniać swoją figurę za brak zainteresowania męża, ale wiesz, co ja myślę?

Wstrzymałam oddech.

– Myślę...

– Czy powiedziałam, że chcę to wiedzieć?

– ...że Franklin ma inną kobietę.

– To śmieszne. Nigdy nie poznałaś Franklina. Nawet go nie widziałaś.

– Barbaro, byłam żoną podobnego Franklina o imieniu George. Od zdradzającego współmałżonka wiele można się nauczyć. – Oparła się o wiąz rosnący przed siłownią, żeby rozciągnąć mięśnie łydek. Zaczęłam się rozciągać po drugiej stronie pnia. – A mój eks zapewnił mi cholernie dobrą edukację.

– Franklin w niczym nie przypomina twojego byłego męża. – Po co w ogóle

cokolwiek jej mówiłam? To mnie nauczy trzymać język za zębami. – Nasz jedyny problem polega na tym, że przez kampanię Franklina i mój nowy grafik ciągle się mijamy. Jak tylko dzieciaki pojedą na obóz, przez osiem cudownych tygodni będziemy mieli cały dom dla siebie i będę mogła atakować Franklina wszędzie i o każdej porze. Zobaczysz. Zrzucę te kilogramy, będę urządziła romantyczne pikniki na plaży i nauczę się sztuki masażu erotycznego. Sprawię, że magia powróci.

– Czasami, moja droga, nawet Houdini²¹ się poddaje.

Pokazałam jej nieskazitelnie wymanikiurowany palec i trzasnęłam drzwiami sportowej komnaty tortur, ale w głowie cały czas huczało mi zdanie: „Franklin ma inną kobietę”. Pierwszy raz usłyszałam te słowa wypowiedziane na głos. Brzmiały przerażająco prawdziwie.

Uporałam się z treningiem w dwadzieścia minut, kończąc ćwiczenia serią brzuszków na pochyłej ławce obok Kathlyn. Młody personel nastawiał muzykę tak głośno, że szyby drżały w oknach i w ogóle nie dało się rozmawiać, pokazałam więc Kathlyn na migi, że idę jeszcze do toalety. Pokazała mi w odpowiedzi, że w takim razie zrobi jeszcze jedną serię. Bardzo dziwne zachowanie jak na kobietę, która nienawidziła ćwiczyć.

Nie cierpiałam widoku moich ud, kiedy siedziałam na toalecie. Większość moich nowych kilogramów usadowiła się między talią a kolanami. Ten rejon nie wyglądał najlepiej, nawet kiedy byłam chuda, ale teraz moje uda rozlewały się niczym dwa ogromne kawały ciasta drożdżowego. Pomimo robienia brzuszków mój pępek unosił się na świeżym wałku tłuszczu. A najnowszym nabytkiem były miękkie fałdy skóry, wiszące nad kolanami, kiedy stałam. Wyglądało to tak, jak gdyby moje uda próbowały się zsunąć do kostek.

Szybko myłam ręce, unikając patrzenia w lustro, oświetlone bezlitosnym blaskiem jarzeniówek. Tydzień temu dostrzegłam w nim zapowiedź drugiego podbródka. Odwróciłam się błyskawicznie, tłumacząc sobie, że to tylko kwestia źle dobranego oświetlenia albo po prostu inaczej niż zwykle przechyliłam głowę, lecz nie spojrzałam po raz drugi, żeby to sprawdzić. Może warto by napisać felieton o tym, jak ważne jest oświetlenie i jak je dobierać, by życzliwie traktować gości, którzy przekroczyli trzydziestkę. Powinnam się skontaktować z projektantami oświetlenia, by dowiedzieć się czegoś o psychologii światła. Muszę wpisać ten pomysł do nowego segregatora.

Przy toaletce obok siedział przypominający kobietę strach na wróble i nakładał makijaż na zniszczoną twarz. W pewnej chwili oczy tej istoty pochwyciły mój wzrok i popatrzyła na mnie pytająco.

– Barbara? – rzuciła bełkotliwie.

– Tak? – Wyrwałam papierowy ręcznik i szybko wytarłam ręce. Czułam się nieswojo, że ktoś znajomy widzi mnie w dresie, chociaż w ogóle nie mogłam

rozpoznać tej kobiety.

– Joelle. Joelle Turner. – Jej pełne wyczekiwania oczy były otwarte zbyt szeroko, uśmiech krzywy. Joelle Turner, którą pamiętałam z niezliczonych wywiadówek, była miękka, okrągłą kobietą, cichą i nieśmiałą.

– Joelle! Nigdy bym cię nie poznała. Wyglądasz... – chciałam powiedzieć: jak śmierć na chorągwi, jak kościotrup, jakbyś miała sto lat i nadal starzała się w błyskawicznym tempie, jakby coś wyssało ci z twarzy całe życie i zostawiło tylko obwisłą skórę, ale szybko się zreflektowałam – ...inaczej.

Wybuchnęła szalonym śmiechem. Rozejrzałam się wokół nas, zawstydzona jej zachowaniem.

– Czyż to nie cudowne! W mgnieniu oka schudłam dwadzieścia osiem i pół kilo. I co ty na to?

Czy mogła być pijana tak wcześnie rano?

– To wspaniale, Joelle. Uwierz mi, wiem, jakie to trudne.

Dopiero teraz jej ciemne oczy naprawdę na mnie spojrzały. Jej twarz zachmurzyła się, kąciki wąskich, małych ust opadły.

– Auu, Barb. Zawsze byłaś taka chuda!

Schwyciła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie. Rozglądając się ukradkiem, sięgnęła do kosmetyczki i wyjęła fiolkę z pigułkami.

– Masz. – Wcisnęła mi tabletki do ręki, zaciskając moje palce na opakowaniu. – Bierz je trzy razy dziennie na pół godziny przed posiłkiem.

Próbowałam oddać jej fiolkę.

– Dziękuję, Joelle, ale już próbowałam środków na odchudzanie. Robiłam się po nich strasznie nerwowa.

– Mówisz o tym gównie, które sprzedają w sklepach? – Joelle, którą znałam, nie użyłaby słowa „gówno”. Poczułam, jak wbija mi paznokcie w skórę. – One są do niczego. Próbowałam. Ale ten środek naprawdę działa. Spójrz tylko na mnie. – Puściła moją rękę, zostawiając na niej czerwone ślady. Wstała i obróciła się wokół własnej osi jak mała dziewczynka. Mikroskopijne koronkowe figi wyglądały żałośnie na jej obwisłej pupie. Obcisła koszulka sportowa tak spłaszczyła małe piersi, że przypominały sflaczałe balony, spychając sutki w dół i na boki. Poczułam, że łazienka zaczyna się kołysać.

– Wspaniale – powiedziałam, przełykając gulę, która podeszła mi do gardła. Postanowiłam, że wezmę te pigułki, a później spuszczę je w toalecie, zanim mnie skuszą i przemienię się w drugą Joelle. – Dzięki.

– Och, i weź to. – Wyjęła z torebki złożoną kartkę. – To działa!

Zerknęłam na papier z nagłówkiem: „Dieta Instytutu Kardiologicznego Miami”.

– Dzięki – powtórzyłam, wycofując się z łazienki, jak najdalej od groteskowej istoty, która kiedyś była Joelle Turner, jak najdalej od karykatury tego,

czym tak bardzo chciałam się stać. Po drodze zabrałam Kathlyn, która kończyła serię ćwiczeń na tricepsy.

– Ty zadzwonisz czy ja mam to zrobić? – zapytała, gdy pędziłyśmy z powrotem do domu.

– Myślisz, że ta dieta to oszustwo?

– Przeczytaj mi jeszcze raz.

Zbliżałyśmy się do torów. Rozłożyłam kartkę i przeczytałam listę „dietetycznych” produktów, wśród których znajdowały się między innymi hot-dogi, lody i słone krakersy.

– Ta dieta jest jeszcze głupsza niż tamta jajeczna podpucha z kliniki Mayo.

Złożyłam kartkę i schowałam do kieszeni. Kathlyn mogła się mylić. Natrafiłam palcami na fiolkę, więc wyjęłam tabletki, żeby jej pokazać. Tylko parsknęła.

– Te małe ślicznotki wyślą cię na inną orbitę.

– Przynajmniej będę chuda – powiedziałam zaskoczona, ponieważ właśnie odkryłam, że tak naprawdę wcale nie chcę utopić tych pigułek w toalecie. Moja desperacja osiągnęła taki poziom, że byłam gotowa spróbować wszystkiego. Poza tym przecież nie mogło stać się ze mną to samo co z Joelle Turner. Ja ważyłam tylko siedemdziesiąt jeden kilo, ona była kiedyś o wiele cięższa.

Kathlyn uniosła lewą brew – pierwszy znak ostrzegający, że zaraz wpadnie w gniew.

– Naprawdę masz zamiar brać to świństwo?

– Kathlyn, akurat ty ze wszystkich ludzi powinnaś najlepiej rozumieć moją desperację...

Wyrwała mi fiolkę z dłoni. Plastik pękł i pigułki rozsypały się na ulicę.

– Będiesz mogła mówić o desperacji – wrzasnęła – jak zaczniesz ważyć sto pięćdziesiąt cholernych kilogramów!

– Nie miałaś prawa tego zrobić! – Stałam roztrzęsiona na chodniku i wpatrywałam się w tabletki. – Nie mogą być takie złe. Tysiące ludzi je bierze. Joelle i ja chodzimy do tego samego lekarza, nie przepisałby jej czegoś, co mogłoby zaszkodzić.

– To trucizna.

– Nie jesteś moją strażniczką.

– Nie, ty idiotko. Jestem twoją przyjaciółką!

Spojrzałam tęsknie na pigułki. Jeszcze mogłam je pozbierać i wytrzeć. Kathlyn chyba usłyszała moje myśli, bo zeszła z chodnika i rozgniotła tabletki adidasem.

– Ty... ty... – Zrobiłam krok w jej stronę, dusząc się od łez. Wbiłam paznokcie w dłonie, żeby jej nie uderzyć.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się, skacząc wokół mnie jak bokser i markując

ciosy. – To już jakiś początek. Dlaczego przerwałaś? Dlaczego, do cholery, nie wyrzucisz tego z siebie, Barb? Co najgorszego może się stać?

– Zostaw mnie w spokoju – warknęłam i odwróciłam się na pięcie.

Ruszyła za mną, młóćąc pięściami powietrze, a jej tłuszcz podskakiwał razem z nią.

– Co najgorszego może się stać? Wścieknę się? I co z tego? Też zacznę na ciebie krzyczeć?

Zaczęłam truchtać, ale jej głos mnie gonił.

– Wielkie mi mecyje.

– Zamknij się! – krzyknęłam.

– Lepiej! Świetnie ci idzie! Dawaj dalej!

– Zostaw mnie w spokoju!

– Co może cię spotkać najgorszego, Barbaro? – Teraz skrzeczała. – Postaw się wreszcie w domu, dziecino. Boisz się, że Franklin cię zostawi? Czy to będzie najgorsze? A może wcale nie wyszłabyś na tym tak źle.

– Wynocha z mojego życia! – wrzasnęłam, ignorując przechodniów w sportowych butach, którzy spieszyli się do nadjeżdżającego pociągu. Zaczęłam biec pod opuszczającym się szlabanem, przez tory, żeby jak najszybciej opuścić dzielnicę biznesową, przeciąć park i znaleźć się w bezpiecznej ciszy własnego domu.

– Czy to oznacza – huczała Kathlyn, przebiegając przez tory tuż przed pociągiem i ścigając mnie przez park – że nie idziemy razem na bal?

Nogi się pode mną ugięły, jakby ktoś z tyłu kopnął mnie pod kolanami. Opadłam na ziemię, na czworaki, śmiejąc się i płacząc. Zupełnie mnie nie obchodziło, co pomyślą ludzie. Kathlyn wzięła mnie w swoje wielkie, miękkie ramiona i kołysała przez długi, długi czas.

W domu odszukałam kawałek papieru, wyrwany z koperty Saryjane, i wystukałam numer.

– Dzień dobry, Agencja Detektywistyczna Halseya, w czym mogę pomóc?

– Nazywam się Barbara Marlow, piszę felietony do „Globe” i chciałabym umówić się z panem Halseyem na wywiad.

– Niestety do siedemnastego jest poza miastem. Chciałaby pani umówić się teraz, czy zadzwoni pani w późniejszym terminie?

– Teraz – powiedziałam w obawie, że zaraz opuści mnie odwaga. – Po jego powrocie potwierdzę spotkanie.

Ustaliłyśmy wstępną datę, którą skrzętnie zanotowałam. Może kiedy nadejdzie ów dzień, rzeczywiście będę pisała felieton na ten temat. Na samą myśl o napuszczeniu na Franklina detektywa robiło mi się niedobrze. Nie wiedziałam,

czy będę w stanie to zrobić, jednak umawiając się na spotkanie, zrobiłam pierwszy krok, żeby opuścić stojące wody.

21 Harry Houdini (1874–1926) – słynny iluzjonista, znany z umiejętności uwalniania się z rozmaitych więzów i zamknięć.

Zrobiłam dziesiątą i ostatnią rundę po pokojach, zaglądając do szuflad, pod łóżka i do szaf, żeby się upewnić, że Rikki i Jason nie zostawili nic, bez czego nie będą mogli przetrwać następnych ośmiu tygodni. Zapomnieli kilku drobiazgów – Jason szczoteczki do zębów, Rikki aparatu ortodontycznego. Dochodziła siódma trzydzieści rano, a pot spływał mi po plecach.

– Mamy wszystko – wysapałam, wchodząc do kuchni, gdzie Franklin trzymał Rikki i Jasona w mocnym uścisku.

– Ooch, będę za wami tęsknił. – Spojrzał na mnie ponad ich głowami. – Dałaś im pieniądze?

– Nie. Organizatorzy prosili, żeby nie dawać...

– Prosimi – powtórzył, przedrzeźniając mnie i dramatycznym gestem wyciągnął portfel, z którego wyjął dwie szeleszczące dwudziestki i wcisnął je dzieciom w dłonie. – Człowiek musi mieć przy sobie jakieś pieniądze – dodał. – No dobrze, zapakujmy te torby do samochodu.

Ból zębów uświadomił mi, że muszę przestać je zaciskać. Poruszyłam szczęką. Nie miałam zamiaru wszczynać kłótni w dniu wyjazdu dzieci, ale to była właśnie jedna ze spraw, nad którymi Franklin i ja będziemy musieli popracować w ciągu następnych kilku tygodni.

Rikki i Jason wywlekli jedną z toreb przez kuchenne drzwi i ciągnęli ją w stronę auta. Franklin, który po regularnych ćwiczeniach na siłowni był w szczytowej formie, zarzucił sobie drugą torbę na ramię.

– Weź śpiwory – polecił mi, wychodząc.

– Tak jest, szefie! – zawołałam, wykonując kilka kroków indiańskiego tańca. Jak to szło? Krok, suw, krok, krok. Coś nie tak. A może...

– Barbara! – ryknął Franklin. – Jedziemy!

Przewiesiłam sobie torebkę i dwie podręczne torby przez ramię i schwyciłam śpiwory. Zamykając drzwi, czułam zapach własnego potu. Nie szkodzi. Jak tylko wrócę, zanurzę się w wannie pełnej piany. Zrobię sobie paznokcie u dłoni i stóp. Wyskubię brwi. Och, słodka radości! Będę miała dwa pełne miesiące, żeby się rozpieszczać. Uważaj, Franklin! Oto nowa ja!

Mój mąż klęczał na podjeździe i całował dzieci. Wyglądało to na pożegnanie.

– Nie jedziesz z nami? – zapytałam.

– Nie próbuj wzbudzić we mnie poczucia winy, Barb.

– Winy? O czym ty mówisz? Wcale nie próbowałam...

– Tata ma spotkanie – przerwała mi Rikki takim tonem, jakbym powinna

była o tym wiedzieć.

– Przedwyborcze – dodał Jason, główny dystrybutor znaczków silnego polityka.

– Mogłeś mnie uprzedzić – powiedziałam, czując, jak żołądek skręca mi się w supeł, a serce wali, chociaż wcale nie byłam pewna, jaką różnicę by to zrobiło. Może taką, że w ten sposób okazałby mi choć odrobinę troski i zrozumienia, a ja przestałabym się głowić, dlaczego zamienił swój zwykle niedbały niedzielny strój na elegancki zestaw sportowy prosto z męskiego magazynu.

Franklin stał, wygładzając niewidoczne zagniecenia na spodniach. Nie patrzył mi w oczy.

– Nie mówiłem ci? Przepraszam.

– Nie mogłeś umówić się godzinę później? – Przedstawiamy Barbarę Avers w nowej roli zrządzającej żony. – Przecież dzieciaki wyjeżdżają na całe dwa miesiące.

– Nam to nie przeszkadza – powiedziała szybko Rikki, wpychając torbę podręczną i śpiwór do bagażnika. – Tata ma teraz bardzo dużo pracy.

– Właśnie – poparł siostrę Jason. – Poza tym odwiedzi nas na obozie.

Ja też, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to nie to samo.

Wsiedliśmy do samochodu przy akompaniamencie przeraźliwego skrzypienia zardzewiałych drzwi. Zwykle Rikki i Jason kłócili się, kto ma jechać z przodu, teraz jednak usiedli grzecznie na tylnej kanapie i każde wbiło wzrok w swoje okno. Rikki nie upierała się, żeby prowadzić. Czyżby ogarnął ich lęk separacyjny? Milczałam przez całą drogę, żeby nie pomyśleli, że mogą nie jechać na obóz. Potrzebowałam tych dwóch miesięcy tylko z Franklinem. Musiałam naprawić nasze małżeństwo i miałam na to większe szanse bez dzieci, kręcących się pod nogami. Wjechaliśmy na gigantyczny parking przed centrum handlowym.

– Nie musisz z nami czekać – powiedziała Rikki. To tyle, jeśli chodzi o lęk separacyjny.

– Oczywiście, że z wami poczekam.

– Czekaj z maluchami – zajęczał Jason. – Inne matki nie czekają.

Zaciągnęłam hamulec i obejrzałam się na dzieci.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Żadne z nich nie mnie nie patrzyło.

– Nic – powiedziała Rikki. – Po prostu nie musisz nas traktować, jakbyśmy byli maluchami, to wszystko. Jeździmy na ten obóz od lat. Możesz nas podrzucić, a potem pojechać i zająć się swoimi sprawami.

Moje serce stopniało.

– Moimi sprawami? A jakie sprawy miałyby być ważniejsze od was? Odwiedziny będą dopiero za cztery tygodnie.

Moje biedactwa. Pewnie pomyśleli, że skoro ojcu nie zależy na nich na tyle,

żeby ich odprowadzić, to matka też wolałaby być gdzie indziej. Nie mogłam pozwolić, żeby wyjechali na obóz, myśląc źle o Franklinie tylko dlatego, że byłam na niego wściekła. – Nie złościć się na tatę, że nie przyjechał. Wiecie, że was kocha i...

– Oczywiście, że nas kooocha. – Głos Rikki wręcz ociekał sarkazmem. – W ogóle nie o to chodzi.

– W takim razie, czy moglibyście mi powiedzieć, o co?

– Daj spokój! Zapomnij, że w ogóle coś powiedzieliśmy. Próbujemy być dla ciebie mili i oszczędzić ci nudnego czekania, przecież ciągle narzekasz, że musisz czekać u lekarza, u dentysty, czekać, aż skończymy lekcje pływania, czekać w drogerii – deklamowała głosem Franklina.

Odwróciłam się, zwolniłam hamulec, przecięłam prawie pusty parking i podjechałam do kilku samochodów, których pasażerowie już czekali na autokary. Nie zdążyłam jeszcze porządnie zaparkować, a dzieciaki już wyskoczyły z auta, otworzyły bagażnik i wytargały bagaże. Trzasnęły drzwiami i zaczęły wlec swoje torby, śpiwory i rakiety do stolika rejestracji. Obserwowałam je zdumiona, wciąż nie mogąc dojść do siebie po ataku Rikki. No dobrze, skoro chcą być niezależni, to kim ja jestem, żeby wchodzić im w drogę? Zostanę w aucie, dopóki nie odjadą.

Zerknęłam na swoje odbicie w tylnym lusterku. Dwa światowej klasy pryszczce w czerwonej otoczce, jeden na brodzie, drugi na nosie, próbowały przebić się przez skórę. Poranek był tak nerwowy, że nawet nie pomyślałam o makijażu. Chociaż tak naprawdę zarezerwowałam sobie mnóstwo czasu, żeby przygotować Rikki, Jasona i siebie do wyjścia, ale w ostatniej chwili okazało się, że Franklinowi trzeba wyprasować spodnie.

– Teraz? – zapytałam. Zaproponował, że jeśli zgodzę się rozprasować tylko największe zagniecenia, sam rozłoży deskę i przyniesie żelazko. Cholera, jak w takiej sytuacji mogłam mu odmówić? Uznałam, że odprasowanie mu spodni będzie pierwszym krokiem ku naprawie naszego małżeństwa. Wtedy wciąż jeszcze myślałam, że stroi się tak, żeby odwieźć dzieci na obóz. Ja niemądra.

Przetrzasałam gorączkowo torebkę w poszukiwaniu korektora w sztyfcie, który nosiłam w kosmetyczce.

– Och, nie – jęknęłam, ponieważ nagle oczami duszy ujrzałam małą saszetkę w kwiatki, leżącą na kuchennym stole.

Rikki ją wyjęła, żeby pożyczyć szminkę, po czym zostawiła obok torebki. Jakiś wewnętrzny głos zabronił jej odłożyć pożyczoną rzecz dokładnie tam, skąd ją wzięła. A ja w pośpiechu zupełnie o niej zapomniałam.

Parking zapełniał się samochodami i twarzami, które znałam z niezliczonych zebrań, podwozek i spotkań towarzyskich. Rozwiedzione pary przyjeżdżały osobno, połączone na chwilę przy pożegnaniu dzieci, aby żadne z rodziców nie okazało się tym, które mniej kocha. W niektórych samochodach siedzieli nowi

przyjaciele lub przyjaciółki, nowi współmałżonkowie z własnymi dziećmi. Ci outsiderzy czekali posłusznie, godząc się na godzinną niedogodność w zamian za osiem tygodni wolności. Zabawne, że to rodzice, którzy nadal byli razem, odważyli się nie przyjechać, wybierając partyjkę golfa, strzelanie do rzutków czy spotkanie przedwyborcze.

Przeczesałam włosy palcami. Jakiś kosmyk zahaczył o zadarty paznokieć, który się złamał, więc odgryzłam resztę. Ostre słońce zaświeciło w przednią szybę jak reflektor, bezlitośnie obnażając moją twarz, zmarszczki, pryszcze, niewyskubane brwi i przedmenstruacyjną opuchliznę. Bo to była przedmenstruacyjna opuchlizna, prawda? Odsunęłam lusterko i opuściłam dłoń na tkwiący w stacyjce kluczyk. Nie ma mowy, żebym pokazała się publicznie z taką twarzą. Dlaczego nie miałabym odjechać? Dzieciaki tego chciały. Ścisnęłam palcami kluczyk, ale nie mogłam się zmusić, żeby go przekręcić. Nie pocałowałam ich na do widzenia, co oznaczało, że następne cztery tygodnie spędzę gnębiona poczuciem winy. Musiałam pocałować dzieci, bez względu na to, jak podle Rikki się zachowywała.

Opuściłam okno i zaczęłam do nich machać. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi trąbieniem i Bóg jeden wiedział, jak bardzo nie chciałam wysiadać z samochodu. Przesunęłam językiem po zębach. Nieumyte. Przecież zawsze myłam zęby. Jak mogłam w takim stanie wyjść z domu? Oczywiście myślałam, że będzie ze mną Franklin i dlatego całą uwagę skupiałam na dzieciach zamiast na sobie. Gdzie ja miałam głowę? Myślałam, że uda mi się ukryć w jego cieniu?

Machanie nie przynosiło żadnych rezultatów. Rikki, w otoczeniu tłumu przygnębiająco podobnych do siebie dziewcząt, piszczła na widok każdej przyjaciółki. Jason wymieniał się kasetami z grupą chłopców, z których niektórzy tak wyrosli, że wyglądał przy nich jak dziecko. Mój chłopczyk. Odjedzie i nie przytulę go przez następne cztery tygodnie. Musiałam wysiąść z samochodu. Wygładziłam zmarszczki na bawełnianej sukience, którą w desperacji wyciągnęłam spośród ubrań Saryjane, spoczywających w cedrowej szafie. Żadne z moich ciuchów już na mnie nie pasowały, nawet za luźne bluzki przestały być wystarczająco duże. Byłam tak pewna, że schudnę przed latem, że poza dwiema eleganckimi sukienkami nie kupiłam żadnych większych ciuchów.

Dlaczego nie wyciągnęłam z szafy tego kapelusza Saryjane z szerokim rondem? Czemu zostawiłam w domu okulary przeciwsłoneczne? Zaczęłam szukać pod siedzeniem czegoś, czym mogłabym przysłonić twarz. Znalazłam trzy lukrecjowe drażetki, oblepione kłakami kurzu i wrzuciłam je do ust. Jaką szkodę mogą mi wyrządzić trzy groszki? Kurz na pewno jest niskokaloryczny. W końcu moja dłoń natrafiła na stare przeciwsłoneczne lenonki. Zaczepiłam jedyny pozostały uchwyt za lewe ucho i przejrzałam się w lusterku. Wyglądałam jak ślepy żebrak, który kiedyś siedział na rogu Michigan i Oak, jednak zsuwając okulary

nżej na nos, mogłam chociaż częściowo zasłonić rozkwitające pryszcze.

Tłumek odprowadzających gawędził, nieświadomie zbijając się w ciasną gromadę, niedostępną dla czekających w autach obcych. To byli moi znajomi, którym nie mogłam się pokazać w takim stanie. Zacisnęłam dłoń na klamce i czekałam. Najważniejszy był wybór odpowiedniej chwili. Potrzebowałam czegoś, co odwróci ich uwagę, zajmie na tyle długo, żebym zdążyła podbiec do dzieci, pocałować je i uciec. Gdzie się podziewają latające spodki, kiedy są potrzebne? I wtedy, jakby na sygnał, na parking wjechały cztery ogromne autokary i rycząc klaksonami, podjechały do stert bagaży. Proście, a zostaniecie wysłuchani. Dzieciaki skakały w górę, rodzice wiwatowali i wszyscy patrzyli na wschód.

Wyskoczyłam z samochodu i zanim obleciał mnie tchórz, popędziłam w stronę Rikki i Jasona. Chwyciłam syna od tyłu i obróciłam twarzą do siebie.

– Baw się dobrze! – powiedziałam, całując go i ścis-kając. Wyrwał się, zawstydzony przed kumplami. Jakoś to przeżyje.

Zbliżałam się do grupy Rikki, gdy córka mnie zauważyła. Na jej twarzy odmalował się wyraz takiego przerażenia, że zamarłam, czując się tak, jakby mnie uderzyła. Stałyśmy, patrząc sobie w oczy. Wtedy zrozumiałam, wreszcie to do mnie dotarło. Ona się mnie wstydziła. To dlatego mówiła, żebym pojechała, żeby koleżanki mnie nie widziały. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zaprosiła którąś do domu. Kiedyś jej przyjaciółki praktycznie u nas mieszkały i ciągle powtarzały Rikki, jaką ma piękną matkę. Uniosłam pryszczaty podbródek, wyprostowałam przygarbione ramiona i prowokująco wolnym krokiem ruszyłam w stronę córki. Rikki wyskoczyła z tłumu dziewcząt i wskazała mi otoczony drzewami dziedziniec galerii.

– Co jest? – zapytała z wymuszonym ożywieniem. Jej głos drżał.

– Chciałam pocałować cię na do widzenia. Nie będziemy się widziały...

– Pa, pa – powiedziała, całując mnie szybko w policzek. – Udanego lata. Muszę lecieć. – I ruszyła w stronę autokaru.

– Odprowadzę cię – powiedziałam, chcąc zranić ją tak samo, jak ona zraniła mnie. – Tak dawno nie widziałam twoich przyjaciółek.

Odwróciła się do mnie ze złością.

– Chciałabym, żebyś przestała traktować mnie jak dziecko.

– A ja bym chciała, żebyś zaczęła traktować mnie jak istotę ludzką.

Zamarła niczym jelen, schwyty w światła reflektorów, zaskoczona, że ją przejrzałam. Kiedy odmaszerowała, nie miałam serca iść za nią.

Objęłam się ramionami, przygryzając wargę, żeby się nie rozplakać. Potrafiłam już przetrwać kilka godzin bez ani jednej myśli o papierosie, teraz jednak chciałam wypalić całą paczkę. Naraz. Rikki maszerowała przez parking, sprężyste ciało Franklina w miniaturze, zmiękczone krągłościami rodzącej się kobiecości. Wepchnęła się na początek kolejki, wsiadła do pierwszego autokaru

i zniknęła za przyciemnianymi szybami. Pociągnęłam nosem i zaszlochałam, czując w ustach smak krwi.

– Czasami niełatwo odpuścić.

Och Boże, ktoś nas słyszał. Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się. Nikogo nie było.

– Chociaż – kontynuował znajomy głos zza żywopłotu bzów – nie zawsze można powiedzieć, kto właściwie się wycofuje.

Podeszłam ostrożnie do krzaków. Spomiędzy gałęzi łypało na mnie zdrowe oko Maca.

– Mac?

– A znasz jeszcze kogoś, kto tak wygląda?

– Och, nie chodzi... nie chciałam... – Przestań bełkotać, Barbaro. Wzięłam jeszcze jeden głęboki oddech, podsunęłam okulary na przyszczatym nosie, żeby zasłonić oczy pełne łez i ominąwszy krzaki, weszłam do zacienionego ogrodu. Mac z uniesioną kontuzjowaną nogą siedział na ławce. Przełknęłam ślinę, modląc się, żeby jakimś cudem lenonki zakryły więcej mojej twarzy.

– C...co ty tu robisz?

– Cameron obiecał mi bajgle, jeśli odwiozę z nim Michelle na obóz.

– Pytałam, co robisz tutaj, w Chicago?

Objął chorą nogę dłońmi i zdjął ją z ławki.

– Mogłabyś usiąść? Kiedy patrzę na ciebie z dołu, boli mnie kark.

Usiadłam przy nim, elegancko układając wokół siebie sukienkę Saryjane i starając się nie myśleć o tym, jak wyglądam. A może i dobrze. Nie ma mowy, żeby nadal był mną zainteresowany, zobaczywszy mnie w takim stanie. Oparłam brodę na dłoni, dyskretnie przykrywając przyszcz i drugi podbródek.

– Tak lepiej – powiedział. – Dzięki.

– A zatem?

– Cameron zaproponował mi posadę w „Globe”...

– Nigdy nie mówił...

– A ja ją przyjąłem. – Pani Avers, spełniło się pani sekretne marzenie. I co teraz?

– Mac, to wspaniale.

– Nie jestem pewien. Pogadaj ze mną, jak zacnie walić śnieg. Mogę zmienić zdanie.

Jeden z organizatorów wezwał przez megafon ostatnich maruderów.

– Twoja córka też wyjeżdża na całe lato?

– Oboje jadą. – Wydawało się, że ta wiadomość go ucieszyła.

– W takim razie – zdjął laskę wiszącą na oparciu ławki i wstał – może pójdziemy im pomachać na pożegnanie?

– Ja już...

– Czy mogę skorzystać z twego ramienia?

– Tak, tak, oczywiście. – Wstałam, a serce waliło mi jak nastolatce. Blizna na jego policzku prawie zniknęła pod głęboką opalenizną. Wyglądał, jakby był w doskonałej formie. – Chyba chodzenie nie sprawia ci już takiego bólu – zauważyłam, zginając lewą rękę i podsuwając mu łokieć.

– Czasami wychodzę bez laski – powiedział – ale w tłumie wolę ją mieć przy sobie. – Powoli wyciągnął dłoń i ujął stwardniałymi palcami mój łokieć. Od jego dotyku przeszył mnie taki prąd, że aż zadrżałam. Cholera. Już prawie przekonałam samą siebie, że pożądanie, które czułam do Maca, było efektem panującej w Riccardo ciemności i alkoholu.

– Zimno ci? – zapytał, przesuwając palcem po gęszej skórcie, która pokryła moje ramiona.

– Trochę.

– Chodźmy na słońce.

Prowadził mnie na parking, pełen dzieci i rodziców, a ja nie widziałam przed sobą żadnej drogi ucieczki. Maszerowaliśmy powoli, Mac zaciskał dłoń na moim ramieniu. Pomyślałam, czyby nie zacząć jakiejś banalnej pogawędki, ale nie mogłam znaleźć żadnego dobrego tematu. Na jego koszuli w kolorze khaki pojawiły się plamy potu. Jednak chodzenie wciąż stanowiło dla niego wyzwanie. Uspokajającym gestem położyłam rękę na jego dłoni i kuśtykaliśmy jak para uchodźców z telewizyjnego skeczu. Mac był wyższy, niż zapamiętałam, może dlatego, że teraz nie pochylał się już tak nisko nad laską. Moja głowa wypełniła się jego zapachem, egzotyczną mieszanką nieznanym mi kosmetyków, potu i czegoś zwierzęcego.

W oddali widziałam tyczkowatą postać Camerona, górującą nad rozbawionym tłumem. Shirley Cohen, która wierzyła, że jeśli ona tylko wykrzywi dwukrotnie poprawianą twarz, to każdy mężczyzna natychmiast zostawi swoją żonę, zaborczo ciągnęła go za ramię i przyciskała do swoich implantów. Jej platynowy kucyk podskakiwał, kiedy wydawała piski w stylu Marylin Monroe, które Franklin uważał za czarujące. Harold Cohen, który – jak przysięgała Sarajane – został już zabalsamowany, patrzył na żonę, jakby był w śpiączce. Pomyślałam, że to nie w stylu Shirley, podrywać faceta, który przyjechał z żoną.

– Gdzie Myrna? – zapytałam Maca.

– Na jakimś spotkaniu w kościele. – Jego czarne włosy lśniły od potu, który spływał po skroniach.

– Musisz usiąść. – Podprowadziłam go do ławki, stojącej w cieniu małego drzewka oliwnego. Zobaczył nas Cameron. Z wyrazem ulgi wyplątał się z ramion Shirley i podszedł do nas.

– Mac przekazał ci już nowiny? – zapytał z promiennym uśmiechem. – Dybałem na niego od lat.

– Doprawdy? Niezły nabytek dla „Globe”.

Michelle wysunęła się zza jego pleców.

– Dzień dobry, pani Avers – przywitała się wesoło, a ja zmusiłam się do uśmiechu. Michelle, zawsze szczupła, teraz wyglądała jak szkielet. – Do widzenia, wujku – powiedziała, całując Maca w czoło, opaskę na oku i w nos.

– Zadzwoń do mnie, gdyby któryś z tych chłopaków na za dużo sobie pozwalał – powiedział Mac.

– Żartujesz? Zadzwonię, jeśli nie będą sobie pozwalali! Chodź, tato. – Chwyciła Camerona za rękę i zaczęła ciągnąć. – Jeśli nie wsiądę do drugiego autokaru, będę musiała jechać z młodszymi grupami.

– Na to nie możemy pozwolić. Nigdzie nie odchodź! – zawołał do Maca. – Zaraz podjadę samochodem.

Gdy popatrzyłam za Michelle, ubraną w obcisłą koszulkę na ramiączka, miałam wrażenie, że plecy dziewczyny składają się wyłącznie z kolumny kręgosłupa i sterzących łopatek. Była wysoka i smukła jak ojciec, a jej ramiona przypominały dwa drewniane patyki, połączone śrubami w nadgarstkach i łokciach.

Spojrzałam pytająco na Maca. Wpatrywał się w moją twarz tak intensywnie, że jego spojrzenie przypominało pieśczętę.

– Tak? – zapytał.

– Zastanawiam się nad Michelle. Dość dawno jej nie widziałam. Nie wydaje ci się, że jest trochę za chuda?

Mac wydał pełne wargi, co wywołało bardzo dziwne reakcje w moim ciele.

– Trochę za chuda?

– No wiesz, Cameron mówił, że jest szczupła, ale nie zdawałam sobie sprawy...

– Trochę za chuda! – Zamknął oczy i odchylił głowę. Promienie słońca, przeświecające przez listki drzewka oliwnego, rzucały na jego twarz małe, tańczące cienie. Zacisnęłam ręce na kolanach, wciąż nie wiedziałam, co robić z dłońmi, nie mając papierosa. Po bardzo długiej chwili Mac opuścił głowę, otworzył oczy i na mnie spojrzał.

– Barbara, dlaczego ty nigdy nie mówisz tego, co myślisz?

– O co ci chodzi? – I jakim cudem to ja stałam się nagle tematem rozmowy?

– Pytasz mnie, czy nie sędzę, że Michelle jest „trochę za chuda”. Tak, a Niagara ciurka, zaś druga wojna światowa być może wcale się nie wydarzyła. Michelle nie jest trochę za chuda. Ona jest przerażająco wychudzona. Nazywam ją moją pięknoscią z Biafry. Dlaczego tak bardzo boisz się powiedzieć, co myślisz?

Najeżyłam się.

– Po prostu jestem zaskoczona, a nie chcę być nieuprzejma.

– Mówiąc wprost, nie jesteś nieuprzejma, tylko po prostu mówisz to, co myślisz. Poza tym to najkrótsza droga od pytania do odpowiedzi. – Położył ramię

na oparciu za moimi plecami. Od jego bliskości stanęły mi włoski na karku.

– No dobrze, czy Michelle cierpi na anoreksję?

– Brawo! O wiele lepiej. Tak.

– Otrzymuje jakąś pomoc?

– Tak, w końcu. Traciła na wadze przez całą zimę, lecz skrzętnie to ukrywała pod warstwami ciepłych ubrań. Podczas mojej ostatniej wizyty od razu zauważyłem, co się dzieje.

– To bez sensu. Przecież anoreksja zdarza się w rodzinach pozbawionych równowagi, a nie gdy dziecko ma tak kochających rodziców jak Cameron i Myrna.

– Bycie kochanym nie zawsze wystarcza. Najwyraźniej Michelle uznała, że straciła kontrolę nad swoim życiem, że nie potrafi spełnić wysokich wymagań ojca.

– Przecież Cameron ją uwielbia.

– A ona uwielbia jego i dlatego przestraszyła się, że nie jest idealna. Gdyby był republikaninem, ona też by była, gdyby zależało mu na piątkach od dołu do góry, to by je miała. Cholera, on wszędzie przedstawia ją jako swoją idealną córkę.

– Żartuje.

– Dzieci nie zawsze rozumieją nasze żarty. A może tak naprawdę to wcale nie żartujemy.

Moja córka Rikki. Wygląda jak skóra zdarta z ojca. Jason więcej odziedziczył po mojej rodzinie. Czy Rikki myśli, że przez to ją odrzucam? Że w jakiś sposób faworyzuję Jasona? Czy odpycha mnie, ponieważ to ja pierwsza ją odepchnęłam? Nigdy nie zwracałam uwagi na to, jak przedstawiam swoje dzieci. Czy stawiam im wysokie wymagania? Czy mam oczekiwania? Coś im narzucam?

– A co z Myrną? – zapytałam. – Jest taka ciepła i troskliwa. Nie mogę uwierzyć, że nie zauważyła, co się dzieje z Michelle.

– Myrna jest szczęśliwa dopiero wtedy, gdy ma zajętych dwadzieścia pięć godzin na dobę. Problem polega na tym, że tak samo rozpisala życie Michelle, wypełniając je dodatkowymi zajęciami, spotkaniami klubów, lekcjami i pracą charytatywną, co nie zostawiło małej czasu na bycie dzieckiem. Doszło do tego, że Michelle czuła, że jedną sprawą, nad jaką ma pełną kontrolę jest kwestia, ile je lub nie je.

Autokary ruszyły, rycząc klaksonami, rodzice pokrzykiwali. Pomachałam ręką, ponieważ głupio byłoby tego nie zrobić, ale szczerze wątpiłam, żeby moje dzieci mnie wypatrywały. Patrzyłyby, gdyby przyjechał ze mną Franklin. Opadłam z powrotem na ławkę. Mac przesunął kciukiem po moim ramieniu, więc odwróciłam wzrok.

– Chyba już pójdę. – Ani drgnęłam. Żadna część mnie nie chciała iść, a jednocześnie każda z nich bała się zostać.

– Może zjesz z nami śniadanie?

– Och, nie. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. – Na przykład nie jeść

z tobą. – Franklin może mnie dzisiaj potrzebować w biurze. – Akurat.

– Nasza strata – powiedział, całując mnie czule w policzek i wtedy zobaczyliśmy auto Camerona. Odjechali, a ja poszłam do samochodu okrężną drogą, żeby nie spotkać nikogo ze znajomych. Przy Macu i Cameronie nie czułam się brzydka. Wydawali się nie dostrzegać moich pryszczycy, braku makijażu i tłuszczu. Przy nich przez chwilę czułam się dobrze.

W drodze do domu wstąpiłam do delikatesów i kupiłam tuzin bajgli, dwadzieścia deka wędzonego łososia i pół kilo topionego sera ze szczypiorkiem. Ostatnia uczta przed spotkaniem z doktorem Chengiem. Będę mogła dać hipnotyzerowi jakiś porządny materiał do pracy. Po słonym łososiu będą mnie nękały wzdęcia, ale moje przedmenstruacyjne kubki smakowe błagały o sól i przyprawę. W samochodzie nie mogłam się oprzeć oszłamiającemu zapachowi świeżo pieczonych bajgli, wysunęłam więc jednego z torebki i ugryzłam ogromny kęs, a potem zatrzymałam miękki, ciepły miąższ w ustach. Smakował jak niedziela na Astor Street, gdzie nękani kaczem, niedogoleni dziennikarze o ciężkich powiekach siedzieli wokół stołu i pogryzając bajgle, grali w pokera. Franklin nie lubił bajgli. Uwielbiał biały chleb. Byłam pewna, że nawet teraz, kiedy kampania zmuszała go do jedzenia pełnoziarnistego pieczywa, tęskni skrycie za pozbawionymi smaku białymi kromkami. Przełknęłam pierwszy kęs i ugryzłam następny. Nikt nie zaczyna diety w niedzielę. Dniem początków był poniedziałek.

Przed moimi drzwiami stał jakiś mężczyzna i naciskał dzwonek. Zdjęłam nogę z gazu i powoli wtoczyłam się na podjazd, wypatrując w rękach nieznanego ulotek świadków Jehowy, odkurzacza czy długich, białych pudełek słodczy, sprzedawanych w celach charytatywnych. Nie wyglądał groźnie. Odwrócił się, słysząc warkot mojego auta. Starszy człowiek, wysoki, przygarbiony, miał na sobie białą koszulę i połyskliwy garnitur, zbyt obszerny na jego chude ciało. Wyglądał, jakby dźwigał na barkach za duży ciężar. Przytuliłam do piersi ciepłą torbę z bajglami.

– W czym mogę pomóc? – zapytałam.

– Pani Avers? – Ścisnął kapelusz w dłoni, miętosząc rondo sękatymi palcami.

– Tak.

– Nazywam się George Payne. – Zajęło mi kilka sekund, zanim skojarzyłam nazwisko. Stary George-Nudziarz.

– Ach, tak, panie Payne, miło pana widzieć.

Nie otworzyłam drzwi i nie zaprosiłam go do środka. Mój organizm zamarł w oczekiwaniu na orgię bajgli, łososia i sera. Czekala mnie rozkosz, której należy oddawać się w samotności, z dala od gadatliwych staruszków z umierającymi

zonami.

– Czy mogę w czymś panu pomóc?

– Miałem nadzieję zastać pana Aversa.

– Niestety, przykro mi, mąż jest na spotkaniu. – Wyjęłam klucz. – I obawiam się, że ja też trochę się spieszę. Czy mogę przekazać mu jakąś wiadomość?

Mężczyzna sięgnął za pazuchę i wyjął czek.

– Chciałem dać mu to osobiście i podziękować za cierpliwość. Bardzo chciałbym spłacić od razu całą pożyczkę, ale moja sytuacja nadal jest dosyć trudna.

Spojrzenie jego załzawionych oczu zaczynało mnie wzruszać. Poczęstuj tego człowieka bajgłem. Skieruj jego życie na właściwe tory. Nie, nie teraz. Chcę zjeść sama. Tylko ja i niedzielne gazety. Uwielbiałam weekendowe dodatki.

– Bardzo mi przykro z powodu choroby pańskiej żony – powiedziałam. I było mi przykro. – Jestem pewna, że Franklin robi wszystko, co w jego mocy, żeby wygrać waszą sprawę. – Wcale nie byłam tego pewna. – I jestem przekonana, że ten trudny czas wkrótce minie. – Tym bardziej nie miałam takiej pewności.

– Dziękuję, pani Avers – powiedział, wciskając mi czek w dłoń. Zerknęłam na sumę. Dziesięć dolarów. Mniej więcej połowa kwoty, którą zapłaciłam w delikatesach.

– Wie pan, panie Payne, jestem przekonana, że pan Avers nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby poczekał pan ze spłatą pożyczki do zamknięcia sprawy. Wtedy będzie mógł odliczyć tę kwotę od odszkodowania. – Próbowałam oddać czek, ale mężczyzna pokręcił głową i tyłem zszedł ze schodów.

– Nie lubię być niczym dłużnikiem – powiedział. – Mam swoją dumę. Nigdy nikomu nie byłam nic winny, dopóki Lucinda się nie rozchorowała. To nie jest miłe uczucie być komuś coś winnym. – Włożył kapelusz, poprawił rondo. – Proszę pozdrowić pana Aversa. Miło było panią poznać.

Ciepły powiew łopotał ubraniem na jego kruchym ciele. Patrzyłam, jak George Payne odchodzi, dopóki aromat, unoszący się z torby pełnej bajgli, nie zagnał mnie do domu.

Chwyciłam się rozchwianej barierki i wtargałam swoje ciało po trzech kondygnacjach rozklekotanych, drewnianych schodów, po czym obscurnym korytarzem ruszyłam do gabinetu doktora Chenga. Przypominający gnoma mężczyzna uchylił drzwi, wyjrzał podejrzliwie przez szparę, wytarł brudne, pokręcone dłonie w nie mniej brudny, niegdyś biały fartuch i zaprosił mnie do środka. Taki scenariusz, z różnymi wariacjami, dręczył mnie przez całą noc. Delikatne chrapanie leżącego obok Franklina utwierdzało mnie w mojej decyzji. Nić, która nas łączyła, rwała się coraz bardziej, a ja nie mogłam jej związać.

Seks, o ile w ogóle do niego dochodziło przez tych kilka ostatnich miesięcy, kojarzył mi się tylko z czekaniem, aż: ja się obudzę, Franklin będzie w domu, dzieci zasną, a ascendent słońca pokryje się z descendentem księżycy w siódmym domu Usherów^{22*}. I nawet wtedy nasze zbliżenia były szybkie i bezosobowe, początek o dwudziestej drugiej trzydzieści, koniec o dwudziestej drugiej trzydzieści pięć. Jak w zegarku. W tych rzadkich chwilach, kiedy Franklin był w domu, czułam się tak, jakby wyświadczał mi przysługę, znajdując dla mnie chwilę między wiadomościami a prognozą pogody. Czy przytulałeś już dziś swojego hipcia?

No dobrze, ja to popsułam i ja to naprawię. Zrobię przegląd wszystkich ulubionych sex-shopów Kathlyn, nakupuję olejków, balsamów i wszystkiego, cokolwiek tam jeszcze sprzedają. Poszukam kursów masażu erotycznego i tańca brzucha. Ale przede wszystkim schudnę. I jeśli to oznacza, że muszę pozwolić jakiemuś okultyście manipulować moją psychiką, to bardzo proszę.

Nie zdawałam sobie sprawy, że gapię się na Franklina, dopóki nie otworzył oczu.

– Dzień dobry – powiedziałam miękko.
 – Która godzina?
 – Siódma trzydzieści. – Pomaszerowałam palcami po kołdrze w jego stronę. W domu nie było dzieci. Nie musieliśmy być cicho. Mogliśmy się kochać, kiedy tylko mieliśmy ochotę.

– Siódma trzydzieści? – Franklin wyskoczył z łóżka jak oparzony i popędził do łazienki. – Jakim cudem zasnęłam?

– Zasnęłam? Zawsze wstajesz o pół do ósmej. – Wygramoliłam się z pościeli i poszłam za nim, łopocząc połamami jednego z jedwabnych kaftanów Saryjane.

– Będę musiał teraz wcześniej wstawać. Aż do wyborów.

– A kiedy zamierzasz spać? Wychodzisz wcześniej, wracasz późno.

– Mam strasznie dużo pracy, Barb. – Przetrzasał szafkę pod zlewem. –

Gdzie, do diabła, są maszynki do golenia?

– Były beżowe biki. – Podobało mi się, jak to zabrzmiało. – Były beżowe biki. Były beżowe biki. Spróbuj powiedzieć to trzy razy bardzo szybko.

Franklin nie chciał się bawić.

– Ty poszukaj – polecił i stanął z boku, krzyżując ramiona. Sprawdziłam. Nie było.

– Brak beżowych bików – obwieściłam. Franklin spojrzał na mnie spode łba. Najwidoczniej tylko jedno z nas uznało ten żart za zabawny. – Przepraszam, Franklin. Nie zauważyłam, że się kończą.

– Ta twoja nowa praca zupełnie cię pochłania.

– To nie fair.

Wszedł do kabiny prysznicowej i odkręcił wodę. Temat zamknięty. Poszłam do jego szafy po srebrną Elbę Peretti. Zestaw podróżny nie leżał na swoim miejscu. Sprawdziłam wszystkie półki. Ani śladu.

– Gdzie jest twoja kosmetyczka? – zapytałam, podając mu ręcznik.

– Kosmetyczka? – Odniosłam wrażenie, że wycierał się bardziej energicznie niż zwykle.

– W szafie jej nie ma.

– A po co ci moja kosmetyczka?

– W środku jest maszynka, którą mógłbyś się ogolić.

– Och. – Teraz już ścierał z siebie skórę. – Ach tak, zaniósłem ją do biura, żeby móc się odświeżyć między wieczornymi spotkaniami a kolacją.

– Nie boisz się, że ktoś ją ukradnie? Maszynka warta sto pięćdziesiąt dolarów może być kusząca.

– Wiesz, Barb – powiedział, zarzucając sobie ręcznik na ramiona – jaki jest sens posiadania ładnych rzeczy, jeśli ich nie używasz?

Najpierw skórzana kurtka, teraz Elsa Peretti. Odwróciłam się na pięcie i wyszłam z łazienki. Franklin ma inną kobietę. Franklin ma inną kobietę.

– Zamknij się, Kathryn – warknęłam.

– Mówiłaś coś? – zawołał Franklin.

– Tak. – Co ja mówiłam? – Powiedziałam, że może pomyślelibyśmy o wynajęciu małego mieszkania w mieście na te dwa miesiące, kiedy nie będzie dzieci. Nie musiałbyś spędzać tylu godzin w aucie i mielibyśmy więcej czasu dla siebie. – Bystrzacha z ciebie, dziewczyno.

Franklin wyszedł z łazienki i zaczął się ubierać.

– Właściwie sam o tym myślałem. – Skarpetka najpierw na lewą stopę, spodnie najpierw na lewą nogę, koszula prosto z pralni zdjęta z wieszaka. Jego rytuały stanowiły część mojego życia. – Tyle, że nie o mieszkaniu, a raczej o studiu, jakimś kącie, gdzie mógłbym się przespać, kiedy spotkania się przedłużają.

– Och tak – zgodziłam się – to byłoby nawet zabawne. Jak na początku naszego małżeństwa.

– Barb. – Zapinał guziki koszuli od dołu do góry. – Nie myślałem o mieszkaniu dla nas obojga.

Mój świat się zatrzymał. Zaczyna się, panie i panowie. Zdjęcia kręcone w nocy. Muzyka narasta: ta-dam, ta-dam. Długie ujęcie płetwy rekina, wystającej nad falami. Ta-dam. Niewinna dziewczynka z lekką nadwagą wchodzi do wody. Ta-dam, ta-dam. Kamera oddala się, płetwa grzbietowa krąży. Muzyka przyspiesza, ta-dam. Dziewczynka wchodzi głębiej. Za głębiej. Cięcie!

Franklin podniósł wzrok i dostrzegł wyraz mojej twarzy, który musiał w pełni odzwierciedlać moje uczucia. Wrócił do zapinania koszuli.

– Chcę tylko powiedzieć, że przy tych wszystkich wydatkach na kampanię raczej nie możemy sobie pozwolić na wynajęcie prawdziwego mieszkania, stać nas najwyżej na pokój. – Wypuściłam oddech. Franklin mocował się z górnym guzikiem, który nagle strzelił i przeleciał na drugą stronę pokoju. – Cholera! – Zerwał z siebie koszulę, cisnął ją na łóżko i wziął drugą. – Nieważne – powiedział. – Ostatnie, czego nam potrzeba, to jakiegokolwiek dodatkowe wydatki. Mogę wstawić połówkę do biura, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Włączył poranne wiadomości, a ja usiadłam na brzegu łóżka, czekając, aż mój świat powróci na miejsce. Zostałam ułaskawiona. Pół minuty temu myślałam, że nasze małżeństwo właśnie legło w gruzach, ale dostałam jeszcze jedną szansę. Och, Franklin, przepraszam cię za to, jak wyglądam. Nienawidzę tego tłuszczu tak samo jak ty. Proszę, proszę, nie skreślaj mnie. Zrobię z tym coś, naprawdę. I to już dziś. Powiedziałabym ci o doktorze Chengu, ale nie zniosłabym, gdybym znowu obiecała ci, że schudnę, i znów nic by z tego nie wyszło. Popełniłam ten błąd przy Strażnikach Wagi, Nutrisystemie i Centrum Dietetycznym.

– Może umówimy się w mieście na kolację? – zaproponowałam.

– Nie mogę. Już jestem umówiony na dwie kolacje z potencjalnymi sponsorami. Klub polsko-amerykański i – roześmiał się – nawet nie pamiętam. To będzie cud, jeśli mój żołądek to przeżyje. Nie czekaj na mnie, pewnie wrócę późno.

Cmoknął mnie w czoło i już go nie było. Zabrałam się do ścielenia łóżka, pochylając się i wyginając, żeby spalić więcej kalorii.

Pewnie i lepiej, że nie zjemy na mieście. Nie miałam pojęcia, na czym będzie polegała dieta doktora Chenga, a jaki byłby sens chodzenia do restauracji, jeśli nie można zjeść niczego z menu? Próbowалаm jadać w restauracjach, kiedy byłam na diecie Nutrisystem, zamawiałam pieczonego ziemniaka, dzbanek wrzątku i dużą miskę, w której mieszałam jedzenie, podczas gdy reszta rodziny pałaszowała potrawy z karty. Rikki patrzyła na mnie z przerażeniem, Jason chował się pod stół, a Franklin dawał zbyt wysokie napiwki. Jedynymi osobami, którym wydawało się to nie przeszkadzać, były kelnerki, przestaliśmy więc chodzić do restauracji.

Doktor Cheng zajmował narożne pomieszczenie na dziewiętnastym piętrze nowego, szklanego budynku pół przecznicy od giełdy. Kathlyn wybrała go z setek hipnotyzerów, gdyż gabinet mieścił się niedaleko od jej biura. Mogła wyskakiwać na codzienne sesje, nie burząc sobie rozkładu dnia. Zapewniała mnie, że większość pacjentów doktora Chenga umawiała się na wizyty raz w tygodniu, a potem, kiedy przechodzili na dietę podtrzymującą, raz w miesiącu, ona jednak czuła potrzebę codziennego wsparcia. Tak dobrze jej szło, powiedziała, że szkoda by było to zmarnować.

Zadzwoiłam dzwonkiem do dyżurki i czekałam w napięciu, aż uchyli się szklane okienko. Piękna, młoda pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– Tak?

Pochyliłam się ku niej i szepnęłam:

– Pani Avers do doktora Chenga. Jestem umówiona na dziesiątą trzydzieści.

Trzy smukłe pielęgniarki weszły do pokoju za jej plecami i wyszły stamtąd, gdy sprawdzała grafik wizyt.

– Ach tak, pani Avers – ryknęła na całą poczekalnię. – Proszę to wypełnić. – Podała mi czterostronicowy formularz i zatrzasnęła okienko.

Małą poczekalnię wypełniały kobiety w rozmiarze średnim, dużym i bardzo dużym. Co tydzień ta pora przyjęć była przeznaczona dla nowych pacjentek, takich jak ja. Przyszło nas tutaj o wiele więcej, niż się spodziewałam. Zajmując ostatnie wolne miejsce, ukradkiem porównywałam się z pozostałymi kobietami. Niczym pijak, podniesiony na duchu ilościami alkoholu pochłanianymi przez bardziej uzależnionych od niego, odnotowałam z ulgą, że należę raczej do lżejszej kategorii wagowej. Zapewne gdzieś tam jest człowiek ważący trzysta sześćdziesiąt kilogramów, który znajduje pocieszenie, oglądając w Księdze Guin-nessa zdjęcie kogoś, kto waży czterysta pięćdziesiąt. Czy to on był na mecie, król łańcucha pokarmowego, *crème de la tłusty crème*? No dobrze, kochani, kto umrze najgrubszy, wygrywa.

Przeleciałam pierwsze dwie strony standardowych pytań o historię chorób. Zawsze byłam zdrowa, co stanowiło źródło mojego nieustannego rozczarowania w okresie dorastania, gdy pragnęłam zapaść na jakąś tajemniczą przewlekłą dolegliwość. Nie marzyłam o żadnej śmiertelnej zarazie, tylko o chorobie na tyle poważnej, żeby moja babka zrezygnowała z kilku spotkań licznych organizacji, do których należała, i chociaż co jakiś czas odwołała cotygodniowe partyjki madzoga, brydża i pokera. Chciałam, żeby była w domu, kiedy wracałam ze szkoły, żeby z czułością poświęcała mi całą swoją uwagę i chwaliła się przyjaciółkom moją cichą, pełną godności dzielnością.

Najbliższej poważnej choroby znalazłam się, kiedy cierpiałam na ostre bóle

przedmiesiączkowe. Dwa miesiące przed pierwszym okresem obudziłam się w nocy z krzykiem. Pałący ogień rozrywał mi brzuch, plecy i uda. Ojciec, pewien, że to woreczek żółciowy, zaniósł mnie do samochodu i pustymi ulicami popędził do szpitala, gdzie nikt nie mógł dojść, co mi jest, więc bali się nawet podać mi środki przeciwbólowe. Po trzech godzinach ból minął, zdiagnozowano u mnie prawdopodobieństwo kamieni wątrobowych i wyczerpaną odesłano do domu. Byłam zrozpaczona. W końcu skupiłam na sobie całą uwagę ojca, ale byłam zbyt chora, by się z tego cieszyć.

Drugi atak nastąpił prawie miesiąc po pierwszym. Tym razem babka wlała mi w gardło porcję koniaku, a potem zaaplikowała cztery aspiryny i gorącą herbatę. Kazała mi się zwinąć w kłębek w jej łóżku, z brzuchem przytulonym do jej zadka i elektryczną poduszką na plecach. Wiele lat później zrozumiałam, że pewnie wiedziała, co mi dolega, ale nigdy nie napomknęła o tym ani słowem. Uważała ciało za praktyczne naczynie do przechowywania mózgu i rozmawiała ze mną o fizjologii tak rzadko, jak to tylko było możliwe. Mojej babki nigdy nie nękały bóle menstruacyjne. Dopóki mnie nie dopadły, święcie wierzyła, że były jedynie masową histerią słabych kobiet. Jednak ponieważ moje bóle pojawiły się, zanim zaczęłam miesiączkować, niechętnie przyjęła do wiadomości, że takie dolegliwości istnieją naprawdę. Chociaż nie sądzę, żeby kiedykolwiek mi to wybaczyła.

Następne dwie strony kwestionariusza dotyczyły mojego stylu życia. Byłam zamężna czy nie, miałam dzieci czy nie, czy pracowałam w domu, jakie miałam hobby? Potem nałogi: czy paliłam, piłam, uprawiałam hazard? Czy jeśli zaczynałam coś robić, to nie mogłam przestać? Czy uważałam się za beztroską, zmartwioną, szczęśliwą, nieszczęśliwą? Czy łatwo wpadałam w złość? Czy ukrywałam emocje czy też dawałam im upust?

Jednak najtrudniejsze okazało się ostatnie pytanie: „Trzy rzeczy, których nigdy nie zrobiłam, a chciałabym zrobić, to...”.

Wpatrywałam się w kartkę, nie mogąc znaleźć żadnej odpowiedzi, która pasowałaby do obu części pytania. Nigdy nie skakałam ze spadochronem, nie jadłam halucynogennych grzybków ani nie miałam romansu, ale czy chciałabym? Pan doktor chyba liczył na inną odpowiedź. No dalej, Barbaro, myśl. Wierciłam się na krześle, splatając i prostując nogi, pstrykałam długopisem i głęboko wzdychałam.

– To gorsze niż pisanie CV – powiedziała siedząca obok mnie w rozmiarze pięćdziesiąt, składając swój formularz.

Jej wzorzysty kaftan bez wątpienia pochodził od Léonarda. Sarajane miała kilka takich i mówiła, że są warte swojej ceny. Uważała, że ludzie „o pewnych gabarytach” wyglądają groteskowo w normalnych ubraniach i odkąd uciekła z domu matki, nigdy nie miała ani jednej sztuki garderoby z zaznaczoną talią. Zerknęłam na datę urodzenia, którą moja sąsiadka wpisała w formularzu. Wynikało

z niej, że miała dziewiętnaście lat, wyglądała jednak na dziesięć więcej.

– Nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź na ostatnie pytanie – powiedziałam.

– Ostatnie? Ja miałam za dużo. W końcu wybrałam latanie na lotni, granie na instrumencie muzycznym i bycie szczupłą.

– Nigdy nie byłaś szczupłą?

– Nie. Jak się urodziłam, ważyłam pięć kilo i od tamtej pory moja waga tylko rosła.

Roześmiała się, odruchowo odgarniając wymaginowany kosmyk włosów i błyskając diamentowym pierścieniem w kształcie gruszki, który wcisnęła na pulchny, perfekcyjnie wymanikiurowany palec.

Znałam ten gest. Sarajane też tak robiła, gdy poznawała kogoś nowego. Machała swoim dziesięciokaratowym pierścieniem jak krzyżem przed wampirami, jak gdyby lśniące klejnoty potrafiły odganiać niepochlebne myśli. Im bardziej tyła, tym większą miała obsesję na punkcie makijażu, fryzury, paznokci, biżuterii, ubrań i wszystkiego, co mogłoby w magiczny sposób odwrócić uwagę od jej tuszy. Dziewczyna wyjęła z torebki koronkową chusteczkę.

– Nikt w mojej rodzinie nie jest otyły i nie mamy pojęcia, jakim cudem akurat mnie to spotkało – ciągnęła. – Och, kilka razy udało mi się schudnąć do siedemdziesięciu kilo, lecz po prostu nie mogłam utrzymać tej wagi. A ty?

– Ja zawsze byłam chuda. A potem rzuciłam palenie i zaczęłam jeść.

– Mnie nie wydajesz się specjalnie otyła.

Jak miałam jej powiedzieć, że czułam się grubasem?

– Pomyślałam, że spróbuję wrócić do swojej normalnej wagi, zanim przytyję jeszcze bardziej.

Z aprobatą pokiwała głową.

– To musi być trudne, kiedy patrzysz, jak twoje ciało się powiększa. Ja czułam się dziwnie, kiedy moje zmniejszało się do tych siedemdziesięciu kilo. Właściwie byłam przerażona. Nachodzi mnie wtedy takie dziwne uczucie, że jeśli nie przerwę diety, to całkiem zniknę.

– A mimo to chcesz znowu spróbować?

– Rodzice obiecali, że jeśli schudnę trzydzieści pięć kilo, wyślą mnie do Europy.

– Atrakcyjna oferta.

– Wiem. – Westchnęła, osuszając chusteczką pot z nad górnej wargi. – Ten układ całkiem nieźle działa. W ten sposób zdobyłam samochód i mieszkanie. – Wywołano jej nazwisko, więc wygramoliła się z krzesła. – Powodzenia – powiedziała.

Patrzyłam za nią nie do końca pewna, czy rzeczywiście usłyszałam to, co usłyszałam. Wykorzystywała swoją wagę, by manipulować rodzicami. Czy

przekupywali tłustą córkę, ponieważ ją kochali, czy dlatego że przynosiła im wstyd?

– Do diabła z tym – mruknąłam.

Wszystko, co było związane z tyciem, wydawało się nielogiczne, niekończące się wariacje na temat tłuszczu. Kwestia wagi konsternowała mnie i irytowała. Nigdy w życiu nie musiałam poświęcać uwagi swoim kilogramom, które teraz zajmowały moje myśli w każdej sekundzie, dyktowały rozkład dnia i rządziły moim życiem. Moje pierwsze próby okazały się nieudane, ale – do cholery – tym razem schudnę. Jestem gotowa, by znów stać się szczupłą.

Pierwsze pół godziny wizyty spędziłam musztrowana przez pielęgniarki. Sprawdziły moje parametry, pobrały próbki krwi i moczu, kazały się rozebrać i zważyły. Siedemdziesiąt pięć kilo. Jak większość wag w gabinetach lekarskich i ta dodawała kilka kilogramów, w dodatku przecież zjadłam solidne śniadanie. Jedna z dziewczyn doprowadziła mnie do wielkiej maszyny i wręczyła plastikową rurkę rozmiaru mojego środkowego palca, w którą kazała mi z całej siły dmuchnąć. Zrobiłam to. Cyfry na małym ekranie zaczęły migotać, przeskakując od zera do dwudziestu pięciu.

– Co to jest? – zapytałam.

– To urządzenie mówi nam, czy byłeś grzeczną dziewczynką – odpowiedziała pielęgniarka, zapisując wynik w mojej karcie.

– To znaczy?

– Kiedy chudniesz, twoje ciało zjada własne zapasy tłuszczu. Ten aparat monitoruje ów stan, który nazywa się ketozą. Jeśli będziesz robiła to, co powinnaś, w przyszłym tygodniu te cyfry strzelą pod niebo.

– Czy moja waga nie udowodni wam, że stosuję dietę?

– Och, niektórzy nasi niegrzeczni pacjenci biorą przed wizytą środki moczopędne albo robią sobie lewatywy, żebyśmy myśleli, że chudną. Waga może kłamać, ale to urządzenie nigdy.

Zaprowadziła mnie z powrotem do pokoju badań, kazała się ubrać i wyszła. Kiedy byłam gotowa, przeszłam do gabinetu z nadzieją, że uda mi się podsłuchać jakieś dźwięki, dobiegające z innych pomieszczeń. Kathlyn nie chciała mi powiedzieć, na czym polega hipnoza, w obawie że wzbudzi we mnie opór wobec całego procesu, zanim jeszcze zacznę. Przerzuciłam stos gazet, leżących na niskim stole. „Dom i ogród”, „Twój styl”, „Glamour”. Pan doktor zapewniał pacjentkom dostęp do szerokiej gamy magazynów dla kobiet, z których każdy reklamował na okładce jakąś dietę. W środku śliskie kartki pełne były przepisów, ogłoszeń, porad i pomysłów, w większości dotyczących jedzenia. Zaczęłam się ślinić na widok kolorowych zdjęć ciasteczek czekoladowych, bezy, sera i owoców, przystawek, dań głównych, deserów i przekąsek. Spojrzałam na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Byłam tutaj od ponad godziny i umierałam z głodu.

– Ach, pani Avers. – Do pokoju wkroczył doktor Cheng, a jego postawna sylwetka zmiądzzyła obraz wysuszonego staruszka z moich snów. Wyciągnął do mnie wielką dłoń.

– Witam, doktorze Cheng. – Miał silny, zdecydowany uścisk.

– Zobaczmy...

Usiadł przy biurku, zsunął okulary z czubka głowy na nos i zatopił się w lekturze moich dokumentów. Jego delikatnie skośne oczy otaczała gęstwina ciemnych rzęs, a gładką, lekko brązową skórę wokół oczu i ust przecinała siatka zmarszczek.

– A zatem jest pani przyjaciółką Kathlyn. – Obrócił się razem z krzesłem i oparł wygodnie, splatając palce na piersi.

– Tak.

– Wyjątkowa kobieta.

– Zauważył pan?

Przesunął okulary z powrotem na czubek głowy i obserwował mnie uważnie.

– Martwi się pani swoją wagą?

– Właśnie dlatego tu jestem.

– Czy interesuje panią hipnoza?

– Słucham?

– Hipnoza. Kathlyn stosuje hipnozę jako element procesu odchudzania, ale ja prowadzę też zwykłą poradnię dietetyczną. Nie każdy marzy o tym, żeby zostać zahipnotyzowanym.

A zatem nie byłam osamotniona.

– Och, naprawdę? Ciekawe dlaczego?

Wzruszył ramionami, znużonym gestem pocierając powieki palcami.

– Chyba ludzie boją się stracić kontrolę.

– Chyba już ją utraciliśmy, prawda? Czy nie dlatego do pana przychodzimy?

– Tak się właśnie pani czuje, pani Avers? Jakby straciła pani kontrolę?

– Nad swoją wagą na pewno.

Otworzył mój kwestionariusz i przebiegł oczami odpowiedzi.

– Według pani tycie jest objawem jednego, konkretnego problemu – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Tracisz kontrolę, zyskujesz kilogramy. Nawet nieźle to brzmi. Gdyby to była prawda, moja praca na pewno stałaby się łatwiejsza, ponieważ mógłbym znaleźć jedno konkretne rozwiązanie. Zapewniam panią jednak, że moi pacjenci tyją z przeróżnych powodów. Mam też takich, którzy lubią siebie takimi, jacy są, jednak lekarze każą im schudnąć ze względu na serce albo stawy, które już nie dają rady dźwigać takiego ciężaru. Nie każdy chce być chudy. Absolutnie nie. A znowu dla niektórych moich pacjentów nadwaga jest formą kontroli.

Pomyślałam o dziewczynie z poczekalni.

– To, czy kobieta będzie cierpieła na anoreksję czy na otyłość, często zależy od tego, co bardziej dotknie osobę, która kontroluje jej życie.

– Kobieta, doktorze?

Oderwał ciemne, roziskrzone oczy od dokumentów i spojrzał mi prosto w twarz. Zastanawiałam się, czy to początek hipnozy, i na wszelki wypadek przeniosłam wzrok na ścianę nad jego lewym uchem.

– Moi pacjenci to głównie kobiety, pani Avers.

– Dlaczego?

Roześmiał się serdecznie.

– Odpowiedź na to pytanie zajęłaby więcej czasu, niż oboje dziś mamy. Jednak powiem pani, że dziewięćdziesiąt procent moich pacjentów, borykających się z nadwagą, to kobiety, a tych kilku mężczyzn, którzy do mnie przychodzą, zwykle zmuszają do wizyty żony albo lekarze pierwszego kontaktu. No dobrze, jaką decyzję podjęła pani w kwestii hipnozy?

– A dlaczego by nie? Chociaż nie jestem pewna, czy da się mnie zahipnotyzować.

– Nikt nigdy nie próbował?

– Raz. Kiedy miałam jedenaście lat. Mój dentysta kazał mi wyciągnąć kciuk i wpatrywać się w niego, licząc od dziesięciu do jednego.

– I?

– Siedzieliśmy oboje ze wzrokiem wbitym w mój kciuk, a ja mogłam myśleć tylko o tym, jak paskudnie wygląda mój palec. Obgryzałam paznokcie tak mocno, że prawie cały czas były zakrwawione, a jeszcze tamtego dnia wdała mi się jakaś infekcja i palec był cały spuchnięty i zielonobiały. Udawałam, że jestem zahipnotyzowana, żeby nie musieć już na niego patrzeć. – Skrzywiłam się na wspomnienie bólu przy borowaniu.

Spojrzał na moje dłonie.

– Przestała pani obgryzać paznokcie.

– Jak tylko zaczęłam palić.

– A teraz zastąpiła pani papierosy jedzeniem.

– Tak. – Zauważyłam, że wykręcam sobie palce, więc przycisnęłam dłonie do kolan. – Problem z nerwicami polega na tym, że ciągle się zastanawiam, co będzie następne. Jakbym bała się odrzucić jedną kulę, dopóki nie przygotuję sobie następnej. Z taką historią, jak przestanę się objadać, to pewnie zacznę pić.

– Zdradzę pani pewien sekret – powiedział doktor Cheng. – Nie istnieje żadne prawo, które kazałoby pani kontynuować tę grę. Może właśnie nadszedł ten moment w pani życiu, w którym znajdzie pani siłę, żeby wstać i odejść, porzucając te kule raz na zawsze.

Ziemia zadrżała pod moimi stopami, ale on wydawał się niczego nie zauważać.

– Myśli pan, że da się mnie zahipnotyzować?

– Jest tylko jeden sposób, żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie. – Zapalił małą, boczną lampkę i zgasił górne światło. – Proszę postawić obie stopy na podłodze. Dobrze. Teraz proszę oprzeć ręce na podłokietnikach fotela. Świetnie. Chcę, żeby spojrzała pani na cienie na ścianie i się rozluźniła. Słuchaj mojego głosu – był niski i kojący – i się relaksuj. Dobrze. Kiedy policzę do dziesięciu poczujesz, jak opadają ci powieki. Zrobią się ciężkie. Tak ciężkie, że utrzymanie otwartych oczu będzie wymagało wysiłku. – Powieki zaczęły mi ciążyć. Wtopiłam się w ciemność. On zaczął liczyć. Gdy powiedział „dziesięć”, oczy mi się zamknęły.

Mogłabym je otworzyć, kiedy tylko zechcę, ale w tej chwili tak mi lepiej i chyba zejść za jego głębokim, dźwięcznym głosem po tych długich, długich schodach i w dół, i w dół, i przez cały następny tydzień nie będę miała ochoty na słodczyce, chleb, chipsy, pizzę, ciasto ani żadne inne jedzenie, o którym wiem, że jest niezdrowe. A kiedy poczuję głód, wezmę głęboki oddech i głód minie, a kiedy najdzie mnie jakaś ogromna pokusa, będę myślała o tym, jak chcę wyglądać, i głód zniknie. Bez względu na to, ile jedzenia zostanie na moim talerzu, będę jadła tylko do chwili, gdy nie będę już głodna, a potem przestanę jeść. Chciałabym zostać w tej ciemności, słuchając jego miękkiego głosu, który mówi mi, jaka jestem piękna i o ile piękniejsza się stanę, i wolałabym, żeby nie liczył... dziesięć... dziewięć... osiem... Nie, przestań, nie jestem gotowa do powrotu, ale moje powieki stają się coraz lżejsze, moje ciało też... trzy... dwa... jeden. Otworzyłam oczy.

– Ja... nie wiem, czy byłam zahipnotyzowana czy nie – powiedziałam.

– Niełatwo to stwierdzić. – Doktor zamknął moją teczkę.

– Nie mógł pan przesunąć zapaloną zapałką pod moją dłońią czy coś w tym stylu?

– Myślę, że najlepszą odpowiedź dadzą nam pani postępy w nadchodzącym tygodniu. – Wyjął kartkę z szuflady biurka. – Tu jest pani dieta. Dostarcza tylko ośmiuset kalorii dziennie, koniecznie więc musi pani brać witaminy, które zaraz pani da pielęgniarka. I musi pani pić sześć do ośmiu szklanek wody dziennie, żeby wypłukiwać ketony z organizmu. Jakies pytania?

Żadne nie przychodziły mi do głowy. Uścisnęliśmy sobie dłonie i lekarz wyszedł. Zaraz pojawiła się pielęgniarka z zapasem multiwitaminy, witaminy B kompleks i wapnia. Umówiłam się na wizytę w przyszłym tygodniu, uiściłam wstępną opłatę w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów i z determinacją wymaszerowałam prosto w południowe słońce.

Bałam się iść z Kathryn na lunch. Na pewno będzie pytała, czy udało się mnie zahipnotyzować, a przecież nie znałam odpowiedzi na to pytanie. W drodze do jej biura minęłam Karmelowy Kącik; powietrze wokoło aż gęstniało od

płynących ze środka słodkich zapachów. To był magiczny aromat, przemieniający ubranych w drogie garnitury finansistów w małych chłopców, którzy musieli wejść choćby po małą torbę popcornu oblanego syropem klonowym, czekoladą lub karmelem. Wzięłam głęboki oddech i minęłam sklepik, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Nigdy nie potrafiłam przejść obojętnie obok Karmelowego Kącika, nawet kiedy byłam chuda. To oznaczało, że jednak zostałam zahipnotyzowana! Z energią i determinacją neofity wyprostowałam swoje za-chwilę-szczupłe ramiona i dziarskim krokiem ruszyłam do biura Kathlyn.

22 Nawiązanie do noweli Edgara Allana Poe *Zagłada domu Usherów*.

Wczesnym rankiem powietrze wypełniał gliniasty zapach świeżo skopanej ziemi. Dlaczego wcześ-niej tego nie czułam? Spadające kilogramy działały na mnie jak narkotyk, dwieście gramów mniej podczas porannego ważenia i już czułam się, jakbym była na haju. Pomaszerowałam na nasze miejsce spotkań, w połowie drogi między moim domem i domem Kathlyn, podziwiając lśnienie kropel rosy na łądzkach traw. „Albowiem w rosie drobnych spraw serce odnajduje swój poranek i odradza się”²³, zdanie, które lata temu przeczytałam w egzemplarzu *Proroka*, należącym do mojej matki. Czytałam tę książkę, zastanawiając się, czy moje palce trzymały czerwoną, skórzaną okładkę w tym samym miejscu, co jej, czy moje oczy patrzyły z tej samej odleg-łości. Dziecięcymi kulfonami napisała na marginesie „cudowne” i „jakie prawdziwe”, a kilka lat później przekreśliła te słowa i eleganckim pismem uczennicy college’u dopisała „banał” i „przesłodzone”. Później już nic nie napisała. Dla niej nie było żadnego „później”.

Kathlyn się spóźniała. Przez chwilę truchtałam w miejscu, po czym ruszyłam w stronę jej domu. Dodatkowe pięćset metrów dobrze mi zrobiło. Może zacznę biegać do niej codziennie, wykorzystam dobrą passę. Schudłam ponad trzy kilo w mniej niż trzy tygodnie. Pożegnanie Franklina, który poprzedniego wieczoru wyjechał do Springfield, wydało mi się o kilka stopni cieplejsze. Szło jak po maśle. Kajzerka z masłem... Bułka z sezamem... Z cynamonem i rodzynekami... Wzięłam zalecany przez doktora Chenga głęboki oddech i głód minął.

Gaj starych dębów i płaczących wierzb odgradzał dom Kathlyn od ruchliwej Sheridan Road. Drzewa pochłaniały hałas z ulicy, ale też tłumiły dźwięki płynące z domu, dlatego usłyszałam jej wrzaski i odgłos tłuczonych naczyń, dopiero kiedy stanęłam przy kuchennych drzwiach.

– Ze wszystkich tępych (*brzdęk*), ohydnych (*brzdęk*), nienormalnych facetów tego świata (*brzdęk*) musiałam akurat wybrać króla gówna (*brzdęk*)!

Uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka.

– Kathlyn?

Odwróciła się gwałtownie, czarne włosy fruwały wokół niej, oczy płonęły.

– Pete mnie zostawił.

Cisnęła półmiskiem w jego zdjęcie, przyczepione do drzwi lodówki magnesami w kształcie ciastek Oreo. Widok plastikowych słodkości pobudził moje kubki smakowe, wzięłam więc głęboki oddech.

– Niewdzięczny (*brzdęk*) kretyn. – Jej syn i córka wyglądali z sąsiedniego pokoju; machnęłam do nich, żeby się schowali. – Nawet nie potrafił powiedzieć mi tego wprost! – wrzasnęła do zdjęcia. – Zostawił kartkę. Tchórz!

– Kathlyn...

– Nie powstrzymuj mnie! Jeszcze z nim nie skończyłam. Z tym wynaturzonym synem cierpiącego na sraczkę wielbłąda.

Przeszłam przez kuchnię i postawiłam sobie stółek w bezpiecznym miejscu między kuchenką a ścianą. Wszystkie szafki były otwarte, a Kathlyn metodycznie opróżniała półkę za półką. Uporządkowane szaleństwo. Ominęła mnie rozgrzewka z kieliszkami, ale przyszedłam akurat na występ kompletu obiadowego.

– Jestem dla ciebie za chuda? (*brzdęk*) Czy ja kiedykolwiek, choćby jeden raz, poskarżyłam się na twoje rzędzące włosy? (*brzdęk*) Na twoje pierdzenie po piwie? (*brzdęk*). Na to irytujące chrząkanie, które wydawałeś z siebie co rano? (*brzdęk*) Na wiecznie beżowe ciuchy? (*brzdęk*) Nie. Nigdy. Ja cię kochałam... Ty cholerny niewdzięczniku! (*brzdęk*)

Kiedy dotarła do stojących z tyłu szafki spodków, wyszczerbionych dzbanuszków na mleko i wielkich półmisek, jej wyrzeźbione na siłowni ramię zwolniło niczym zabawka, w której kończyły się baterie. Kathlyn spróbowała rzucić drugą ręką, ale w ogóle nie trafiła w lodówkę. Czekałam, kiedy stała bez ruchu pełne pół minuty z przygotowaną do ciśnięcia cukiernicą w dłoni, po czym podeszłam na palcach i zabrałam naczynie.

– Ej, koleżanko – powiedziałam, chwytając ją mocno za ramię i prowadząc do salonu. Pomogłam jej usiąść w wielkim fotelu i nalałam pół szklanki burbona.

Kathlyn pokręciła głową.

– Za dużo kalorii. To się zamienia w żołądku w czysty cukier.

– Daj spokój, dobrze? – Wcisnęłam jej do ręki szklankę i podniosłam do jej ust. Wypiła. Dzieci weszły na palcach do pokoju. – Nie teraz – powiedziałam do nich.

– W porządku. – Kathlyn rozłożyła ramiona, a dzieci podbiegły do niej i mocno się przytuliły. – Cześć, dzieciaki. – Muskała nosem ich włosy. – I tak nie cierpieliśmy tych starych skorup. – Zachichotały z ulgą. Naczynia były potłuczone, ale mamusia przetrwała. Kathlyn pocałowała dzieci w policzki. – Przestraszyłam was? – Pokiwały głowami. – Nie chciałam. Naprawdę. Po prostu życie nie zawsze układa się tak, jakbyśmy chcieli. – Przytuliła je jeszcze mocniej, a ja poczułam ucisk w żołądku, tak bardzo zapragnęłam przytulić moje dzieci. Pocieszyć je. I żeby one mnie pocieszyły. – Przykro mi, że Pete odszedł. Będę za nim tęskniła.

– My też – odrzekł jej syn.

– Nic nie wygadaj tacie – obiecała jej córka. – Zaraz by powiedział: „A nie mówiłem?”.

– Hej – Kathlyn pogłaskała dziewczynkę po włosach – nie mamy się czego wstydzić. Wolałabym, żeby Pete został, i jest mi smutno, że odszedł, ale po prostu doszliśmy do punktu, w którym każde z nas pragnie od życia czegoś innego. Czy to jest coś, czego należy się wstydzić? Nie, proszę państwa. I jeśli twój tata nie potrafi

tego zrozumieć, to jego problem, nie twój. Ale nie mamy przed sobą tajemnic. Sekrety są dobre dla mięczaków bez kręgosłupa. OK?

– OK.

Zostawiłam ich samych i wróciłam do kuchni, żeby pozamiatać skorupy. Jeszcze dwa tygodnie do odwiedzin na obozie. Będę wtedy lżejsza o siedem kilo. Może więcej. Nic nie pisałam o tym dzieciom, chciałam, żeby miały niespodziankę. Żeby znowu były ze mnie dumne. Proszę cię, Boże.

Rzucanie naczyniami w wykonaniu Kathlyn wyglądało na doskonałą zabawę, ale nie sądziłam, żebym kiedykolwiek miała odwagę spróbować. Ona potrafiła żyć z chłopakiem na kocią łapę i pozwalać, by dzieci widziały, jak traci nad sobą kontrolę. Skąd brała taką siłę? Włożyłam jeden w drugi trzy worki na śmieci, ale ostre krawędzie i tak przebiły plastik, musiałam więc zacząć wszystko od nowa. Urwałam kilka kawałków papierowego ręcznika, zmoczyłam je i przetałam podłogę, żeby zebrać te wszystkie niewidzialne drobiny, które uwielbiały wbijać się w bosa stopy. Kiedy skończyłam, wróciłam do salonu. Dzieci poszły na górę, żeby się przygotować do wyjścia na zajęcia lata w mieście, a Kathlyn póлеżała na fotelu jak szmaciana lalka. Z przygarbionymi ramionami, rozrzuconymi nogami i drinkiem w dłoni przeglądała album ze zdjęciami. Przysiadłam obok i objęłam ją ramieniem.

– Czujesz się trochę lepiej?

– Tak wyglądałam, kiedy poznałam Pete’a – powiedziała, stukając palcem w kobietę-górę na fotografii. Wyglądała na niej na co najmniej dwadzieścia kilo cięższą niż wtedy, gdy ją poznałam u Strażników Wagi. – Byłam wtedy bliska swojego rekordu.

– Czyli ilu?

Wzruszyła ramionami.

– Skala na mojej wadze kończy się na stu sześćdziesięciu kilogramach. Nie wiem, czy osiągnęłam sto osiemdziesiąt, ale kiedy przeszłam na dietę, dosyć długo trwało, zanim schudłam do stu sześćdziesięciu.

Przeglądałyśmy zdjęcia. Patrzyłam na Kathlyn, jakiej nigdy nie znałam. Kilka stron było wypełnionych fotografiami, na których wyglądała jak ludzik Michelina przebrany za drag queen: szyfonowe suknie, cekiny, żaboty, wszystko, o czym marzy mała dziewczynka. Na zdjęciach wydawała się swobodna i beztroska, obracała się, wirowała i nachylała, pozwalając fotografowi zajrzeć w dekolt głęboko wyciętej sukni.

– Kiedy zostały zrobione?

– Mniej więcej dziesięć lat temu. Mieszkałam w Nowym Jorku i ktoś mi powiedział... Jak ona to ujęła? Ach tak, „grupa ludzi takich jak ty”. Chudzielcy nie wypowiadają przy nas słowa „gruby”. W każdym razie poszłam na przyjęcie, które wydawali, i zobaczyłam kobiety, przy których wydawałam się szczupłą, ubrane jak

normalni ludzie. Miały gigantyczne cycki i tyłki, a w rowku między ich piersiami mogłabyś się schować. Były oszałamiające. Przez całe życie chowałam się pod namiotami, a tu bum! Mogłam bez skrępowania pokazać swoją seksualność. Błagałam męża, żeby tam ze mną poszedł. Kiedy się pobieraliśmy, miałam jakieś trzydzieści kilo nadwagi i przytyłam kolejne czterdzieści pięć po urodzeniu drugiego dziecka.

– Masz jego zdjęcie?

Otworzyła album na jednej z pierwszych stron. Stanowili imponującą parę. Kathlyn była kobietą o potężnych kształtach, ale przy mężu wydawała się niemal drobna.

– Wielki Irlandczyk – powiedziała. – Miał ogromny apetyt. Sukinsyn lubił cygara, whisky i pokera. Cholernie dobry kochanek, kiedy był trzeźwy. Nie lubił szczupłych kobiet, bał się, że je zmiażdży. Nie miał nic przeciwko temu, że jestem potężnie zbudowana, ale nie potrafił mnie kochać, gdy stałam się tłusta. – Przewróciła stronę, spojrzała na zdjęcie swoje i Pete'a na jakimś przyjęciu i dotknęła jego twarzy. – Świątowałam wtedy swój rozwód. To były dobre czasy. Tamtej nocy Pete i ja po raz pierwszy spaliśmy ze sobą.

– Gdzie poznałaś Pete'a?

– Też należał do klubu grubasów.

– Ale Pete jest chudy. Kiedyś był gruby?

– Nigdy. Po prostu lubi duże kobiety.

– Czy mogę poznać go z Franklinem?

Kathlyn się uśmiechnęła. Magia burbona zaczęła działać.

– Jeśli się nad tym zastanowić, pożądanie grubych kobiet wcale tak bardzo się nie różni od pożądanego szczupłych. To kwestia gustu. Nasze społeczeństwo sądzi, że mężczyźni, którzy lubią duże kobiety, i vice versa, mają jakiś defekt albo są lekko zboczeni. Wielbicielom tłuszczu, bo tak nazywamy naszych nie-tłustych przyjaciół, ciężko jest być z ludźmi, którzy ich pociągają.

– Pete był wielbicielem tłuszczu?

Pokiwała głową i wypła resztę drinka.

– Pamiętasz, jak zeszałam poniżej stu piętnastu kilogramów? Pete zaczął się martwić. Nigdy nie był zainteresowany kobietami o niższej wadze. Kiedy ważyłam dziewięćdziesiąt, wpadł w panikę. Próbowałam wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy, żeby utrzymać jego zainteresowanie. Filmy erotyczne, egzotyczne olejki, masaże nago, koronkowe i skórzane fatałaszkę.

– Poza przybraniem na wadze?

– Poza przybraniem na wadze. Tego jednego nie mogłam zrobić. A właśnie bez tego on nie mógł żyć.

– Mam pomysł – powiedziałam. – Chodźmy na wagary. Ruszemy w trasę. Zdobędziemy Amerykę. Pojedziemy na polowanie na antyki do Richmond. Albo

dokądkolwiek masz ochotę. Ja stawiam.

Obróciła głowę w moją stronę, próbując skupić na mnie wzrok. W kącikach jej wilgotnych oczu błysnęły łzy.

– Barbaro, jesteś prawdziwą przyjaciółką. – Moje ramiona pokryła gęsia skórka. – Jak Boga kocham.

– Kathlyn, jeśli zrobisz się sentymentalna, wychodzę.

Pociągnęła nosem i wygrzebała z kieszeni strzępy chusteczki higienicznej.

– Nigdy nie miałam przyjaciółki. Takiej prawdziwej. Takiej, która nie byłaby kolejną grubaską, szukającą kogoś, kto polubi ją taką, jaka jest. Dziewczyna, z którą byłam najbliżej w liceum, zaprzyjaźniła się ze mną, ponieważ przy mnie wyglądała chudo.

– Och, daj spokój.

– Przysięgam. Dowiedziałam się o tym w ostatniej klasie, kiedy pozbyła się czterdziestu pięciu kilo i mnie, dokładnie w tej kolejności. Jezu. Nie mogę uwierzyć, że to wspomnienie ciągle sprawia mi ból.

– Och, Kath. – Ścisaliśmy się i płakaliśmy przez długi czas, dopóki dzieci nie zeszyły na dół, by się do nas przyłączyć. Kathlyn uwolniła się z ich uścisków i wstała z fotela. – Zawiozę tych dwoje na zajęcia, a potem idę do pracy.

– Żadnych wagarów? – Wydęłam wargi.

– Jeśli nie pójde do pracy, zacznę jeść. A nie sądzę, żebym teraz potrafiła przestać.

– Znam to uczucie. Pozdrowię od ciebie maszyny tortur. Och – przypomniało mi się nagle – czy chcesz odwołać nasze... hmm... wieczorne wyjście?

– Wyjście?

Wskazałam głową dzieci.

– No wiesz, wyjście. Miałaś mi pokazać swój... ach... sklep.

– Seksycytacje! – Roześmiała się. – Zapomniałam. Nie ma powodu, żebyśmy to odwoływały. Wieczorem pewnie będę potrzebowała towarzystwa. Umówiłam się z opiekunką, ale po dzisiejszych wydarzeniach wolałabym sama położyć dzieci do łóżek, zanim wyjdę. Może przyjadę po ciebie o dziewiątej?

– Zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie. – W głębi serca miałam nadzieję, że zmieni. – Będę w domu, przykuta do komputera.

– Brzmi perwersyjnie.

Długie promienie słońca migotały na jeziorze Michigan, osuszając ostatnie krople rosy. Zapowiadał się upalny dzień. Zanim skończę trening na siłowni i dotrę do domu, powietrze będzie ciężkie jak tort rumowy mojej teściowej. Domowego wypieku, z koronką świeżutkiej bitej śmietany na wierzchu. Do tego kawa

czekoladowo-migdałowa. Głęboki wdech. A teraz długi, powolny wydech.

Ruszyłam dziarsko przed siebie, wymachując ramionami. Pójdę na trening zupełnie sama. Po raz pierwszy. Jestem już dużą dziewczynką. Mam wszystko pod kontrolą. Nie potrzebowałam nikogo, żeby popychał, ciągnął i podtrzymywał moje unoszące ciężary ramiona. Oto nowa Barbara Avers, niezależna i zdeterminowana. Oczywiście, jeśli Kathlyn nie pójdzie dziś na trening, to wybierze się jutro. A ponieważ nasz trener powiedział, że ćwiczenie na maszynach dzień po dniu robi coś paskudnego z naszymi mięśniami, nie będę mogła z nią trenować. Z drugiej strony, gdybym darowała sobie dzisiejszy trening i poszła z nią jutro, wszystko wróciłoby do normy.

Skręciłam w lewo, w stronę domu. Mogę ćwiczyć sama, kiedy tylko zechcę. Po prostu dzisiaj nie miałam na to ochoty. „Mogę przestać pić, gdy tylko zechcę” rozbrzmiało w mojej głowie echo słów ojca. On też po prostu nie miał ochoty. Zaczęłam truchtać, próbując zostawić za sobą wspomnienia z dzieciństwa. Coraz częściej mi się to ostatnio przytrafiało, dawne sprawy dopadały mnie niespodziewanie, jak gdyby wizyta w redakcji otworzyła butelkę z wydarzeniami z przeszłości.

23 Khalil Gibran, *Prorok*.

Skrzyżowanie Belmont i Broadway wyglądało, jakby odbywał się tu casting do filmu Felliniego. Alfonsi w kapeluszach panama i półnagie prostytutki roztaczali wczesnowieczorne wdzięki, spacerując obok żeglarzy w espadrylach i matron z Lake Shore Drive. Dzień pracy się zakończył; do zatoki Belmont przybijały łodzie, a ich sternicy po bezkofeinowej kawie i obiedzie u Rickiego wracali do domu. Miejsca parkingowe, zwolnione przez saaby i mercedesy, zajmowały ozdobione złoceniami cadillaki i chevrolety. Żegnajcie łabędzie, witajcie pawie. W New Tow następowała zmiana warty, a ja przyjechałam na niewłaściwą szychtę.

Kathlyn patrzyła wszędzie, tylko nie na drogę. Niestety, to ona prowadziła. Od dwudziestu minut krążyłyśmy po ulicach pełnych aut nielegalnie zaparkowanych „na drugiego”. Kierowcy odholowujący te samochody będą dzisiaj popijali kawior szampanem. Właśnie po raz piąty minęłyśmy sex-shop.

– Rany, popatrz na nią!

– Ktoś w tym samochodzie powinien patrzeć na drogę – odparłam, ukradkiem zerkając na wbitą w neonową skórę platynową blondynkę, która szła chwiejnie na trzynastocentymetrowych obcasach. – Musi mieć z osiemdziesiątkę.

– To przez te żółte światła. Każdemu dodają pięćdziesiąt lat i trzydzieści kilo. Założę się, że w tym świetle ja też wyglądałabym kiepsko. Kathlyn, uważaj!

Wcisnęła pedał hamulca w podłogę o milimetry mijając auto, ruszające przed nami.

– Miejsce! – zawołała, wciskając się w nie maską. – To znak. Omen. Ten sklep jest nam przeznaczony. Uratujemy twoje małżeństwo. – Parkując, zadrapała jeden ze stojących z tyłu motocykli. Grupka olbrzymów w czarnych skórkach odwróciła się w naszym kierunku.

– Może powinnyśmy odjechać – zaproponowałam, gdy Goliat podszedł do motocykla. – On nie wygląda na przyjaźnie nastawionego tubylca.

– Nonsens. – Kathlyn wrzuciła kluczyki do torebki i sprawdziła makijaż w tylnym lusterku. – Zamknij za sobą – dodała, wysiadając, podeszła prosto do motocykla i ukucnęła, żeby ocenić straty.

Głodna sensacji ulica poczuła, że zaraz coś się zdarzy i w mgnieniu oka wokół motocykla zebrał się tłum. Kiedy w końcu się przez niego przepchnęłam, olbrzymi właściciel stał, podpierając się pod boki, i patrzył spode łba na Kathlyn, która pieszczotliwie gładziła motor.

– Wiem, to strasznie głupie z mojej strony – mówiła, a jego grymas zaczął przemieniać się w uśmiech – ale nie mogłam się oprzeć, musiałam go pogłaskać.

Mężczyzna ukląkł obok niej i zaczął wskazywać różne elementy. Nie miałam pojęcia, o czym rozmawiali, ale bez wątpienia Kathlyn oczarowała motocyklistę aż po czubki skórzanych butów. Po kilku minutach wymienili się wizytówkami i przy akompaniamencie zawiedzionych pohukiwań i syków gawiedzi rozstali się, żegnając się przyjacielskim uściskiem dłoni.

– O co chodziło z tym Aniołem Piekieł?

– Kiedyś, milion lat temu, chodziłam z motocyklistą. Motor, w który wjechałam, to pięknie odrestaurowany antyk. Na szczęście zadrapałam tylko wierzchnią warstwę lakieru. Zaproponowałam właścicielowi pieniądze, ale odmówił. – Szłyśmy w kierunku Sekscytacji. – Okazało się, że ten gość jest drukarzem, który lubi podróżować, a ja, jako właścicielka biura podróży, czasem muszę coś wydrukować. Dobrze mieć oczy otwarte na różne znajomości, nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą.

– Przez moment wyglądało to tak, jakbyście umawiali się na randkę.

– Mogłoby tak być. Chociaż z tego, co wiem o tutejszych obyczajach, on raczej nie jest zainteresowany kobietami.

Wystawa Sekscytacji była urządzona dyskretnie i ze smakiem, pewnie z uwagi na szkołę podstawową, która mieściła się w budynku obok. Dewianci seksualni też mogą być dobrymi sąsiadami. Wpatrywałam się w liczne ampułki z olejkami i frywolne majteczki, odwołując chwilę, w której będę musiała wejść do środka. Dwie prostytutki w minispódniczkach, oparte o mur, wymieniały się przepisami na gulasz. Co ja tu robiłam? Dlaczego pozwoliłam się na to namówić? Niemożliwe, żeby w sex-shopie krył się temat na artykuł.

– Razem z Sarajane mijałyśmy jeden z takich sklepów w drodze do szkoły.

– Weszłyście kiedyś do środka?

– Raz, w ramach wyzwania. Wpadłyśmy do środka, obiegłyśmy pędem cały sklep i wypadłyśmy na ulicę. Ależ to była obrzydliwa, śmierdząca nora! Pod ścianami piętrzyły się stosy filmów, a ręcznie wypisane plakaty reklamowały je jako gorące, bardzo gorące, skwierczące i zawierające seks. Cała jedna ściana była pełna magazynów z nagimi kobietami, które wszystkie ścisnęły gigantyczne piersi. Później kolega ze szkoły powiedział nam, że mają tam na zapleczu takie boksy, gdzie mężczyźni oglądają nieprzyzwoite filmy i walą konia. Razem z Sarajane pokiwałyśmy głowami, chociaż żadna z nas nie miała pojęcia, co to znaczy „walić konia”.

– Rozumiem – odrzekła Kathlyn. – I to był jedyny sex-shop, w jakim byłaś?

– Tak.

– W sumie jeśli widziałaś jeden, to tak, jakbyś widziała wszystkie. Ten wygląda mniej więcej tak samo. Ale skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy wejść. – Nie było drogi ucieczki. – Och, postaraj się nie zbliżać do facetów w prochowcach. I pamiętaj, że masz pełne prawo kopnąć kolanem w krocze

każdego, kto będzie próbował cię pomacać.

– Dzięki, za nic nie chciałam naruszyć etykiety.

– Będę się trzymała blisko ciebie. We dwie zawsze różniej.

Poczułam lekką ulgę na widok konserwatywnie ubranej pary po sześćdziesiątce, która minęła nas, wychodząc ze sklepu. Bałam się, że wyglądam tu tak nie na miejscu, że gdy tylko wejdę do środka, wszyscy spojrzą w moją stronę i zaczną się śmiać. Tamci dwoje szli ramię w ramię, gawędząc przyjaźnie. Babcia by to pochwałała. Pozory, pozory. Zawsze najważniejsze. Oczywiście tatuś nie jest pijany, tylko odpoczywa po ciężkim dniu. Oczywiście Franklin nie jest niewierny, tylko przepracowany. Bicze i łańcuchy mogą dzwonić i dźwięczeć w żółtej, firmowej torbie z Sekscytacji, niesionej przez starszego pana, ale wszystko było w porządku, dopóki starsi państwo wyglądali normalnie.

– Gotowa? – zapytała Kathlyn z dłonią na klamce.

– Tak. – Nie. – Oczywiście, że tak. – Nie. – Robisz wokół tego takie wielkie halo.

– Dobrze, już dobrze. Tylko pamiętaj, jestem z tobą, gdybyś mnie potrzebowała.

Wnętrze było pięknie urządzone. Stonowane dekoracje, umiejętnie rozmieszczone oświetlenie, nienachalna muzyka, urzekający zapach. Sekscytacje mogłyby być jakimkolwiek nowoczesnym, modnym sklepem. Nigdzie nie stały regały pełne magazynów z pozaginаныmi rogami, nigdzie nie było widać kaset z filmami porno ani żadnych śliniących się seksualnych maniaków czy też żującego cygaro kierownika. Sprzedawca, wypucowany do czysta młody człowiek, zarządzał wszystkim, siedząc za ustawioną na środku ladą, zrobioną ze szklanych gablot. Elegancko ubrani klienci krążyli po pomieszczeniu, oglądając zawartość gablot i skomplikowane instalacje wystawowe, które pokrywały wszystkie ściany. Więcej pulsującej seksualności widziałam w basenie dla dzieci. Walnęłam Kathlyn w ramię.

– Zabiję cię – szepnęłam, uderzając ją jeszcze raz – bardzo, bardzo powoli i nieopisanie boleśnie.

Zachichotała, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem i chwyciła mnie w objęcia.

– Ale na chwilę cię nabrałam, co? Rany, tak bardzo żałuję... – śmiała się głośno. Kilka osób obróciło się ku nam z wesołymi minami, taką moc miał jej śmiech. – Żałuję, że nie mogłaś zobaczyć swojej twa...rzy. Wyglądałaś na przerażoną.

Byłam wściekła, ale jej śmiech okazał się tak zaraźliwy, że po chwili obie stałyśmy i rżałyśmy jak para koni.

– Jesteś wredną jędzą.

– Cii, cii, cii... Co to za słowa w ustach damy. Chodź, zaczniemy od płytszej

wody.

Szklane półki, pełne towarów, biegły wzdłuż dziesięciometrowej ściany, ciągnącej się od wejścia na tył sklepu. Dołączyliśmy do kolejki klientów, którzy przesuwali się jak w stołówce przed tuzinami małych przedmiotów, śmiejąc się, żartując i wypełniając małe koszyki.

Czułam się tak, jakbym wkroczyła w obraz Dalego. Wystrój był schludny, dominowały proste linie i przemyślana ekspozycja. Wszystko wyglądało bardzo znajomo, dopóki nie przyjrzałam się tematowi obrazu. Dopóki nie skupiłam się i nie dostrzegłam, że te wszystkie miłe dla oka kształty to tak naprawdę ciekące zegary, piersi albo penisy.

Najbardziej popularnym produktem w tej sekcji była biała paczuszka rozmiaru pudełka zapalek z nadrukowanym czarnym kodem kreskowym. Małe litery głosiły: „Pozbawione marki gumy dla niewybrednych jebaków”.

– Niegroźne produkty umieszczają przy drzwiach – wyjaśniła Kathlyn. – Gadzety, jakie się kupuje na prezent niespodziankę na przyjęciu z okazji pięćdziesiątych urodzin. – Nakręciła plastikowy penis na kaczych nogach i puściła go po półce. – Ciekawa jestem, czy nadal będę to robiła po pięćdziesiątce.

– Nakręcała plastikowe penisy?

– Nakręcała jakiegokolwiek penisy. Odkąd Pete odszedł, poważnie zastanawiam się nad celibatem.

– Przecież on odszedł dziś rano.

– I na razie żyję w celibacie. Och, spójrz na to!

Wzięła do ręki majteczki z cukierków, które zaraz odłożyła, żeby podnieść niebieską podkładkę pod szklanekę, w kształcie jąder, którą też odłożyła i wzięła niewielkie pudełko. Wyjęła z niego zaopatrzone w sznurek łóżeczko, na którym leżała pod kołdrą para w pozycji misjonarskiej. Kathlyn postawiła je na podłodze i pociągnęła za sznurek. Im szybciej szła, tym szybciej kopulowała para w pościeli. Kathlyn przemaszerowała przez cały sklep, śmiejąc się i żartując z ludźmi, którzy się odwracali, żeby popatrzeć.

– To prawie tak samo dobry sposób na poznawanie nowych ludzi jak spacer z psem – powiedziała, chowając zabawkę do pudełka. – A nawet lepszy. Żadnych wizyt u weterynarza, zbierania kup i psiego smrodku.

– Tak, ale pomyśl, jakich ludzi byś poznawała.

– Racja. Ale wezmę dwa. – Wrzuciła zabawki do koszyka i zabrała się do przeglądania następnej półki.

Tak bardzo się denerwowałam przed tą wyprawą, lecz kiedy odgrywałam w głowie najgorsze scenariusze, jedno, czego absolutnie nie wzięłam pod uwagę to fakt, że mogę się dobrze bawić. W końcu była to poważna sprawa. Franklin i ja nie kochaliśmy się od tygodni. Kilka razy, kiedy akurat oboje leżeliśmy w łóżku i żadne z nas nie spało, odgrywałam bez końca mój wcześniej skuteczny, chociaż

ograniczony, repertuar. Głaskałam, łaskotałam, pieściłam, lizałam, dmuchałam, ssalam, gryzłam, ogrzewałam i nacierałam. Jednak mój mężczyzna pozostawał w stanie spoczynku. Nic. Nada. Niente. Kilka mrukliwych uwag o tym, jak bardzo jest zmęczony, całus posłany mniej więcej w moim kierunku i „dobranoc, Barbaro”.

Kathlyn przekonywała mnie, że Seksycytacje uratują nasze małżeństwo – jeśli da się je uratować – i dostarczała mi narzędzi, dzięki którym moje życie seksualne miało ruszyć z kopyta. Ustąpiłam z ponurą uległością chorego dziecka, przyjmującego lekarstwo. Przyszłam tu przygotowana na operę Wagnera, a zamiast tego uniesiona kurtyna odsłoniła farsę braci Marx. Żartujący ludzie wokół mnie na pewno sprawili, że atmosfera stawała się jeszcze lżejsza. Pora, żebym i ja zamoczyła stópki.

Wzięłam do ręki pudełko wielkości butelki whisky. „Ile waży twój kochanek?”. W środku była figurka Temidy, dzierżącej wagę. Jedna szala miała kształt huśtawki, na której można było zawiesić penis, a na drugiej ułożyć załączone ciężarki, opatrzone napisami takimi jak: „Prawie, ale jeszcze nie cygareto”, „Spróbuj jeszcze raz”, „Smakowity kawałek mięska”. Temida, niegrzeczna dziewczynka, podglądała spod opaski, zasłaniającej jej oczy.

– Interesujące – orzekła Kathlyn, ważąc swój środkowy palec. – Mogłabym prowadzić zapiski, a potem je porównywać.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o celibat. Skąd ludzie biorą pomysły na takie gadżety?

– Od Sokratesa, Szekspira, Dzieciolka Woody’ego. A skąd społeczeństwo czerpie naprawdę wielkie pomysły? Ten sklep jest hołdem dla chwil głębokiego namysłu, doskonałej intuicji...

– I kiepskiej trawy.

– Och, rany, spójrz na to. – Kathlyn pozeğlowała do półki pełnej przykrytych kraciastymi serwetkami słoików, opisanych jako „Piklowane penisy”.

Odwróciłam się, słysząc dziwny chrzęst. Wyglądający na dyrektora mężczyzna ze srebrnymi bokobrodami wpychał do pudełka członek na sprężynie. Zafascynowana wstrzymałam oddech i czekałam. Muzyka przestała grać, a ja podskoczyłam razem z odskakującym wieczkiem. Z pudełka wyskoczył ogromny penis. Roześmiany mężczyzna popatrzył na mnie i spytał:

– Panią też zaskoczył?

Skinęłam głową i odwróciłam wzrok, kiedy objął ręką czubek penisa, usiłując wcisnąć go z powrotem do pudełka.

– Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje.

– Nakreślił go pan.

– Nie, dlaczego podskakujemy. Przecież doskonale wiemy, co się wydarzy.

– Ja nie lubię niespodzianek – odrzekłam. – Od dziecka nie cierpię tych

pudełek, nigdy nie wiadomo, kiedy ten cholerny kłown na ciebie wyskoczy.

– Brzmi jak opis moich niektórych randek. – Puścił do mnie oko.

Zerknęłam szybko, czy miał obrączkę. Nie miał, ale nie wszyscy żonaci mężczyźni je nosili. A jednak... Niedbałym ruchem potarłam czoło palcami lewej dłoni. Nie chciałam, żeby marnował najlepszy czas na podryw mężatki. Ruszyliśmy dalej wzdłuż półek, ale czułam, że jego uwaga skupia się nie na towarze, lecz na mnie. Musiałam sprowadzić go na właściwe tory.

– Szuka pan prezentu? – zapytałam.

– Właściwie nie. – Dotychczas bardzo przyjemnie patrzył mi w oczy, teraz jednak zlustrował mnie od góry do dołu i z powrotem. Jeśli mój tłuszcz mu przeszkadzał, to nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się, a w kąciku jego ust zalśniła maleńka kropelka śliny. – Można powiedzieć, że robię rekonesans.

– Och, rozumiem. – Nie rozumiałam, ale nie miałam zamiaru drażnić tematu. Unikając przedmiotów w kształcie piersi i członków, schwyciłam paczkę serwetek i studiowałam wypisane na nich nieprzyzwoite żarty z taką uwagą, jakbym odcyfrowywała hieroglify.

– Moim zdaniem – powiedział mężczyzna (miałam wrażenie, że jego ciało coraz bardziej zbliża się do mojego, chociaż nawet nie drgnął) – wiele osób chodzi do barów, żeby poznać innych ludzi, którzy lubią pić. Albo do sklepów spożywczych, żeby poznać tych, którzy lubią jeść. A ja? Przychodzę tutaj. Jeśli rozumie pani, o co mi chodzi.

Trudno było nie pojąć.

– Yhy... – wydukałam. – Dzięki temu na pewno oszczędza pan czas. Och, woła mnie przyjaciółka. Powodzenia. – Podbiegłam do Kathlyn, która wkładała do koszyka trzeci słoik piklowanych penisów.

– Serwetki? – Sięgnęła do mojego koszyka. – Przyprawiam cię do najlepszego sex-shopu w mieście, a ty kupujesz serwetki? – Wyjęła je i rzuciła na półkę. – Chodź, pójdziemy na prawdziwe łowy.

Wibratory okupowały najdalszy kąt pomieszczenia. Przez lata widywałam ich reklamy w katalogach wysyłkowych. Zazwyczaj poważna młoda modelka, zapatrzona w przestrzeń, tuliła wibrator do policzka, a napis głosił coś w stylu: „Wymasuj te wszystkie miejsca, do których tak trudno dotrzeć”. Ostatnio widywałam podobne pudełka ukryte pod ladą w drogerii. W Sekscytacjach klienci wyciągali je z opakowań, rzucali do siebie, unosili do światła i obracali na wszystkie strony, porównując tworzywo, kolory i rozmiary.

– To tak, jak gdybyś kupowała jedną z tych szminek w hermetycznie zamkniętych torebkach – narzekała Kathlyn, biorąc do ręki jeden wibrator po drugim. – Nie masz pojęcia, który ci się podoba, dopóki nie sprawdzisz w domu. Czego ty używasz?

– Revlona. Maybelline.

Nie wyglądała na rozbawioną.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie masz wibratora?

Mężczyzna za nią obrócił się, żeby lepiej słyszeć.

– Chcesz wywiesić ogłoszenie?

– Każda kobieta ma wibrator.

– Nie bądź głupia, Kathlyn.

– Aha!

– Co „aha”?

– Zawsze mnie atakujesz, kiedy wiesz, że mam rację.

– Nie masz ani odrobiny racji. Mniej niż pół procenta amerykańskiej populacji, mieszkającej poza Nowym Jorkiem i Kalifornią, widziało kiedykolwiek prawdziwy wibrator, o dotykaniu nawet nie wspominając. – Byłam znakomita w wymyślaniu przekonujących statystyk.

– Jesteś taka cholernie prowincjonalna – powiedziała Kathlyn, szturchając mnie pofałdowanym egzemplarzem w rzucik. – Na litość boską, teraz takie rzeczy można kupić w spożywczaku.

– Leżą tuż obok ogórków. Można tam kupić też ślimaki i pszczoły w czekoladzie, ale jak myślisz, do ilu koszyków trafiają?

Jej nozdrza poruszyły się, schwyciła mnie za ramię i pociągnęła między wieszaki pełne pozbawionych kroku majtek i przejrzystych kostiumów.

– Posłuchaj mnie, Barbaro Marlow Avers. Dobrze wiem, w co grasz. Próbujesz się ze mną pokłócić. Chcesz mnie wkurzyć, żebyś mogła wpaść w swoją cichą furję i dać drapaka. Ale nic z tego, zostajesz tu i nauczysz się kilku rzeczy. A jeśli się wstydzisz...

– Wcale się nie wstydzę. – Próbowałam uwolnić ramię.

– Jeśli się wstydzisz, to przełącz się na tryb małej reporterki. Odseparuj się od własnych emocji, co tak bardzo lubisz. Udawaj, że zbierasz informacje dla spragnionych wiedzy czytelników. Do diabła, nawet nie dotarliśmy jeszcze do biżuterii na sutki i pompek do penisów.

– Ten sklep nie ma nic wspólnego ze mną i Frank-linem.

– Nie wtrącaj się, Barbaro Avers. Rozmawiam z Barbarą Marlow. Chcę, żeby zobaczyła stroje z gumy i skóry, kulki miłości i...

Kathlyn wymieniała jednym tchem nieznanne mi nazwy. Równie dobrze mogła mówić w języku suahili. Zrozumiałam jedynie to, że skoro ja nie mam pojęcia, o czym ona mówi, większość moich czytelników też nie będzie wiedziała. Pomysł napisania artykułu podsunęła mi w złości, lecz ta propozycja miała jakiś sens. Pytanie tylko, czy będę potrafiła pozbyć się uprzedzeń i pokonać wstyd. Byłam idealną przedstawicielką wspaniałej drobnomieszczańskiej Ameryki.

– Nie sądzę, żeby Cameron był zainteresowany artykułem o sex-shopach – powiedziałam.

Kathlyn rozluźniła uścisk. Wiedziała, że zwyciężyła.

– Może jeszcze nikt ich nie przedstawił we właściwym świetle.

– Nie mam pojęcia, jakie miałyby być owo światło. Cameron jest dosyć konserwatywny.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Barbara, to ty mi mówiłaś, że wszędzie można znaleźć temat. Ludzie są ciekawi. Bądź ich oczami. Pozwól im zajrzeć do miejsca, w którym nigdy nie byli.

– Chcesz, żeby mnie zwolnili.

– Nie jestem naiwna. Wiem, jak trudno było ci tu przyjść. Wszyscy boimy się tego, czego nie znamy. Ale tutaj nie ma niczego, czego należałoby się lękać.

– Raczej obśmiać...

– Ale wiem też, że coś tak głupiego, jak jadalne majtki może pomóc odbudować małżeństwo. Jeśli jeszcze jest co odbudowywać.

– A jest?

– Przestań mówić i posłuchaj. Przynosząc do domu kilka z tych gadżetów, pokażesz Franklinowi, że nadal się starasz.

– Pokazałabym mu, że się staram, gdybym zrzuciła piętnaście kilo.

– Daj spokój. Nawet jeśli Franklin w ogóle nie zareaguje na te zabawki, przynajmniej będziesz wiedziała, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś. – Odchyliła głowę, potrząsając długimi włosami. – No dobrze – spytała – jesteś gotowa?

– Jestem.

– Dobrze. Weź jedno takie, jedno takie... – Ładowała do mojego koszyka czarne majtki bez kroku, opatrzone metką z wielkim napisem: „Jeden rozmiar naprawdę pasuje wszystkim”. – Jeśli nasmarujesz go tym olejkiem i zaczniesz ssać, poczuje gorąco. To doprowadzało Pete’a, tego niewrażliwego dupka, do szaleństwa. Będziesz też potrzebowała tego i może tego i, och, przedstawmy cię misiowi. – Wrzucała do mojego koszyka wibratory, które natychmiast wyjmowałam.

– Pozwól mi się nauczyć raczkować, zanim zacznę chodzić – poprosiłam.

– Króliczku, ty masz fruwać!

Obeszliśmy powoli cały sklep, uważnie studiując każdą ladę i gablotę. Byłam zdumiona, że tak szybko wyzbyłam się wstydu. Zafrapowała mnie ściana zawieszona gadżetami ze skóry. Stałam przed ubraniami, pasami i dziwnymi uprężkami, próbując zrozumieć, jak się je nosi. Co takiego kryło się w skórze, gumie i więzach, że tyle osób było nimi zafascynowanych? Stał obok mnie przyjaźnie wyglądający mężczyzna i zakładając ręce na plecach, kołysał się delikatnie na piętach.

– Czy szuka pani niewolnika miłości? – zapytał łagodnie. Czy wie pani, która godzina? Czy ma pani rozmiennić dolara? Czy mogłaby mnie pani przywiązać do łóżka?

– Och, nie. Dziękuję, ale nie, dziękuję.

Uśmiechnął się uprzejmie i cofnął pod ścianę, żeby poczekać na następną osobę, która wykaże zainteresowanie skórą. Zastanawiałam się, czy Franklinowi spodobałoby się, gdybym go przywiązała do łóżka. Niezły pomysł. I pewnie jedyny sposób, żeby go tam zatrzymać.

Młody sprzedawca okazał się doskonałym źródłem informacji. Wykładowcy socjologii z okolicznych college'ów przyprawiali do jego sklepu uczniów, żeby odczarować seks. Agencje stanowe, odpowiedzialne za poradnictwo w kwestii kontroli urodzin, co miesiąc przysyłały swoich pracowników, by uczyli się zakładać prezerwatywy, ponieważ się okazało, że większość z nich udzielała błędnych informacji, co zaowocowało plagą ciąży. Banany były dobre w telewizji, władze stanowe stawiały na pełne realizmu doświadczenie praktyczne. Sekscytacje były zupełnie innym sklepem niż ten, przez który przemknęliśmy z Sarajane wiele lat temu. Sprzedawca cierpliwie mi tłumaczył, do czego służą poszczególne przedmioty, jak i po co się ich używa. Wyszłam godzinę później lżejsza o pięćdziesiąt dolarów, z torbą gadżetów dla Franklina i artykułem dla Camerona.

Byłam z siebie zadowolona. Odmówiłam zabrania do domu wibratora, ale kupiłam smakowe olejki, majtki bez kroku, paciorki miłości, jadalne farbki do ciała i kilka innych drobiazgow. Zacznę powoli. Chciałam uwieść Franklina, a nie wystraszyć go na śmierć. Zawsze mogę wrócić po inne rzeczy. Będzie zmęczony, kiedy wróci ze Springfield. Te wyjazdy wyczerpywały go fizycznie i psychicznie. Zbliżała się jednak nasza rocznica i miałam na ten wyjątkowy wieczór wyjątkowe plany. Wtedy właśnie moje zakupy zadebiutują w naszej sypialni.

Kiedy Kathlyn odwiozła mnie do domu, dochodziła północ. Zobaczyłam mrugającą lampkę na automatycznej sekretarce. Franklin nie dał znaku życia. Telefonował Mac. Odkąd wrócił, dzwonił do mnie dość regularnie. Urządzenie nowego mieszkania doprowadzało go do szału i ciągle pytał, gdzie może kupić jakiś kolejny pierdolet domowy. Utrzymywałam nasze rozmowy w lekkim tonie, a on nie naciskał. Jednak w niektóre noce – kiedy mój mąż był poza domem, artykuł za nic nie chciał się napisać, a ja czułam się tak tłusta, że wydawało mi się, iż moje ciało zostało pozbawione jakichkolwiek ostrych kantów – w takie noce telefony Maca działały niczym rzucona mi lina ratunkowa.

Lipiec. 75–80 kg

Trzy i pół kilograma? – Pielęgniarka przesunęła ciężarki na skali wagi.

– Zaczęłam uprawiać jogging – wyjaśniłam – żeby przyspieszyć proces.

– Naprawdę? – W jej wykonaniu to słowo zawierało cztery sylaby. Byłam zdumiona tym lodowatym tonem.

– Tak, na-a-praw-dę. Żadnych środków na przeczyszczenie, na pozbycie się wody z organizmu, lewatywy ani amputacji. Tylko wasze ulubione: krew, pot i głodówka.

– Spróbujmy jeszcze na wadze w drugim gabinecie – powiedziała. – Ta się czasami zacina. – W pokoju obok byłam chudsza o prawie cztery kilo. – Czy przy ostatnim ważeniu była pani przed miesiączką?

– Nie.

– No dobrze – sapnęła, wpisując moją wagę do karty – chodźmy zbadać poziom ketonów.

Nuciłam wesoło, idąc za nią do ketonowego pokoju.

Kiedy dmuchałam w plastikową rurkę, pielęgniarka czekała z długopisem wymierzonym w moją kartę. Zmarszczyła brwi. Odłączyła rurkę, coś przy niej pomajstrowała, podłączyła z powrotem, przycisnęła kilka guzików.

– Jeszcze raz – poleciła. Dmuchnęłam ponownie patrząc, jak czerwone cyferki szybują w górę. – Proszę tu poczekać – powiedziała i wyszła. Z końca korytarza dobiegł mnie jej nagły szept: – Doktorze Cheng, może pan na chwilę pozwolić?

Lekarz patrzył, jak pielęgniarka zakłada nową rurkę. Wzięłam plastik w usta i dmuchnęłam. Cyfry zaczęły migać, aż zatrzymały się na sześćdziesięciu ośmiu.

– Niesamowite! – Doktor Cheng ścisnął ciepło moją dłoń. – Muszę pani pogratulować, pani Avers. Chyba jeszcze nigdy nie mieliśmy sześćdziesięciu ośmiu. Średni wynik to trzydzieści cztery. Pani ciało spala własny tłuszcz w rekordowym tempie.

– Pani Peterson miała sześćdziesiąt cztery – wtrąciła pielęgniarka, niechętnie przyznając mi zwycięstwo. – Doktor Cheng szybko odkrył, że objadała się i wymiotowała.

– Jakie to przykre – odparłam. – Od wymiotowania robi mi się niedobrze.

Wizyta trwała krócej niż pięć minut. Doktor zadał mi kilka pytań i zmierzył ciśnienie.

– Jakies problemy z dietą?

– Żadnych.

– Czy bierze pani witaminy?

- Tak.
- Nie czuje się pani słabo?
- Czasami podczas porannej przebieżki mam kłopoty z oddychaniem i zdarza się, że kręci mi się w głowie, ale to mija.
- Mówiłem pani, żeby nie uprawiała pani żadnych wyczerpujących sportów podczas diety ośmiuset kalorii.
- Zapewniam pana, doktorze, że porannego joggingu, jaki uprawiamy z Kathlyn, nie można nazwać wyczerpującym sportem.
- Co pani je na śniadanie?
- Banana.
- Proszę jeść dwa. – Skinęłam głową, chociaż wcale nie zamierzałam pchać w siebie kolejnych osiemdziesięciu kalorii, jeśli nie musiałam.
- Jest jedna sprawa – powiedziałam – zamierzam przerwać dziś dietę. Tylko na dzisiaj.
- Jakaś wyjątkowa okazja? – Nie wyglądał na zmartwionego.
- Tak, bardzo. Osiemnasta rocznica ślubu.
- Pani Avers – powiedział łagodnie – jest pani dorosłą kobietą. To pani podejmuje decyzje, kiedy i co będzie pani jadła lub nie.
- Tak, ale gdybym panu nie powiedziała, że przerywam dietę, czułabym się tak, jakbym oszukiwała. Teraz z czystym sumieniem mogę się dobrze bawić.
- Doktor przesunął okulary na czubek głowy i uśmiechnął się do mnie.
- Fakt, że planuje pani odstępstwa od diety z wyprzedzeniem, to bardzo zdrowy objaw. Może pani zjeść trochę mniej wcześniej i później, żeby wyrównać ilość kalorii. Najtrudniej pomóc tym ludziom, którzy raz przerwą dietę i myślą, że już bezpowrotnie stracili swoją jedyną szansę, by schudnąć. – Wyciągnął rękę przez biurko i poklepał mnie po dłoni. – Miłego wieczoru, pani Avers. I wszystkiego najlepszego.

Zamiast zahipnotyzować mnie osobiście, wysłał mnie do ciemnego, cichego pokoju, gdzie usiadłam w wygodnym fotelu i słuchałam przez słuchawki jego nagranych głosu, poddającego mnie hipnozie zatytułowanej: „Wyobraź sobie nową siebie”. Czy dam się zahipnotyzować nagranej taśmie? Odpłynęłam natychmiast, osunęłam się głęboko, głęboko w dół, gdzie czekały na mnie słowa, które miały odmienić moje życie. Będę piękna, tak, nie będę głodna, tak, nie będę miała ochoty na czekoladę, słodycze, chipsy, pizzę, ser, na nic, co jest szkodliwe i tuczące, tak, będę jadła tylko do uczucia sytości, a potem przestanę, tak, jeśli będę chciała coś zjeść, kiedy nie będę głodna, wezmę głęboki oddech i poczuję się pełna, tak, tak, tak... Dziesięć... dziewięć... osiem... Nie chciałam się wynurzać, chciałam pozostać w tym cichym, ciemnym miejscu, w harmonii ze sobą, nie czując głodu, dopóki te wszystkie kilogramy nie znikną. Trzy... dwa... jeden... Otworzyłam oczy, czując się, jakbym właśnie się przebudziła z głębokiej drzemki.

Kathlyn miała wizytę przede mną i czekała w recepcji.

– No i?

Opowiedziałam jej, wypisując czek na dwadzieścia pięć dolarów. Te wszystkie diety strasznie odchudzały portfel.

– Kup tę kasetę – poradziła. – Możesz słuchać jej wieczorami, żeby wzmocnić przekaz. – Kasetą kosztowała kolejnych dwadzieścia pięć dolarów. – Już zaczynasz wyglądać szczuplej – powiedziała, gdy wychodziłyśmy na ulicę.

– Powinnam. Właśnie schudłam pięćdziesiąt dolarów.

Roześmiała się i biorąc mnie pod ramię, poprowadziła zatłoczoną ulicą. Południowy wietrzyk poruszał szeroką spódnicą mojej jedwabnej sukienki. Zawsze lubiłam w niej Sarajane. Suknia była teraz na mnie za duża, zwłaszcza po ostatniej utracie wagi, więc musiałam przewiązać się paskiem, jednak żadne z moich letnich rzeczy jeszcze na mnie nie pasowały. Będę musiała się przemęczyć z garderobą Sarajane przez następnych dziesięć czy piętnaście kilo. Bez sensu byłoby kupowanie ubrań w rozmiarze, do którego nigdy nie wrócę.

Dla reszty świata Kathlyn i ja wyglądałyśmy jak dwie kobiety z nadwagą – o ile świat w ogóle zwróciłby na nas uwagę. Przeciętny przechodzień odwraca wzrok od ludzi zdeformowanych, kalekich, pokrytych bliznami i grubych, mamrocząc: „Na litość boską...”.

Za ważącą teraz osiemdziesiąt trzy kilogramy Kath-lyn, z jej oszałamiającą grzywą czarnych włosów, oglądało się wiele osób. Niemal słyszałam, jak myśleli: „Taka śliczna buzia. Dlaczego ta kobieta nie schudnie?”. Oczywiście dla mnie wyglądała prawie szczupło.

– Obcy ludzie naprawdę zaczepiali mnie na ulicy, mówiąc, jaka bym była piękna, gdybym tylko schudła – powiedziała mi kiedyś. – Jak gdyby uważali, że nie widzę swojej tuszy. – Pomyślałam o złośliwych uwagach, jakie wygłaszałam nad basenem w klubie. Dlaczego żadna z tych otyłych kobiet, którym „tylko starałam się pomóc” nie podeszła do mnie i nie dała mi w twarz? Boże, ależ byłam zółzą. Dlaczego Sarajane nie zwróciła mi uwagi?

Mnie na razie obcy ludzie nie oferowali żadnych porad. Tylko rodzina. Wiedziałam, że kobiety z moją wagą zamieszkują czyściec dla matron, łączący niebo dla szczupłych z piekłem dla grubasów, ale sama w duszy czułam się groteskowo tłusta i nieustannie wstydziłam się własnych kształtów. Za każdym razem gdy wychodziłam z domu, mój żołądek ścisnął się z przerażenia, że mogłabym spotkać kogoś znajomego. Zaczęłam robić zakupy o pół do jedenastej w nocy, „żeby uniknąć niekończących się kolejek”, i porzuciłam mój lokalny, elegancki zakład fryzjerski na rzecz innego w Evanston, którego młoda, czarna właścicielka doskonale rozumiała moje niesforne loki.

– Sałatka czy lunch? – zapytała Kathlyn.

– Wolalabym sałatkę – odpowiedziałam.

– Skoro nalegasz.

Zabrała mnie do swojego ulubionego baru z sałatkami na wynos, w którym gwarantowano warzywa bez konserwantów. Napełniłyśmy ogromne plastikowe pojemniki sałatą, szpinakiem, kiełkami, kapustą pekińską, kawałkami papryki, kalafiora i brokołu, plasterkami ogórka i cukinii.

Dwie otyłe kobiety przed nami nałożyły sobie na liście sałaty sałatkę z fasoli, owoce, miniaturowe kolby kukurydzy, sery, orzechy, wędliny, oliwki, sałatkę z makaronem, tuńczykiem i ziemniaczaną – wszystko zabronione w naszej diecie. Ich zestawy miały więcej kalorii niż podwójny hamburger z serem i frytkami. Do diabła, jeśli miałabym wpychać w siebie taką bombę, to wolałabym się przy tym dobrze bawić. Ale przynajmniej będą mogły powiedzieć swojemu mężowi-dzieciom-lekarzowi-terapeucie: „Przecież na lunch zjadłam tylko sałatkę. Nie mam pojęcia, dlaczego nie chudnę”. Obłąd.

Przeszłyśmy z Kathlyn piechotą na Daley Center Plaza i znalazłyśmy ławkę, stojącą przodem do słońca. Usiadłyśmy pośród urzędników, prawników, pracowników biurowych i zakupowiczów, czekających na południowy pokaz.

– Dressing? – zapytała Kathlyn, wyjmując z torebki słoik.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam. – Mam własny.

Wyjęłam słoiczek sosu do sałatek, który zrobiłam z dwóch łyżeczek oleju kartamusowego zmiksowanego z octem jabłkowym, musztardą Dijon i szczyptą estragonu do smaku. Potrząsnęłam słoiczkiem i polałam sałatkę, zastanawiając się, czy tym też Rikki poczułaby się zawstydzona. Polewanie sałatki własnym dressingiem nie było tak ostentacyjne, jak mieszanie posiłków w proszku. Zamknęłam słoik i mocno zakręciłam. Chyba nie miałyby nic przeciwko temu, żebym przynosiła do restauracji własny sos. A może? Zacisnęłam palce na wieczku. Wyglądało na to, że zupełnie przestałam się orientować, co mogłoby jej przeszkadzać, a co nie. Przecież to moja córka, ciało z mojego ciała. Musiałam naprawić to, co się między nami popsuło. Na początek podczas odwiedzin na obozie będę jadła sałatkę bez sosu, żeby jej nie urazić ani nie zdenerwować. Teraz, kiedy zaczęłam chudnąć, Rikki już nie będzie tak się mnie wstydziła i możemy znowu się zaprzyjaźnić. Chyba nie zniosłabym, gdyby nadal zachowywała się tak podle jak w dniu odjazdu.

– Uwielbiam jeść na świeżym powietrzu! – Kathlyn odrzuciła włosy do tyłu, a jej czarne, lśniące pasma spłynęły na oparcie ławki. – To mnie wprawia w doskonały nastrój. Jak wagary.

– Ostatni raz jadłam na dworze zeszłego lata podczas festiwalu w Ravinii24 – powiedziałam, śliniąc się na wspomnienie zawartości wiklinowego kosza. – Pasztet z ziołami, chrupiąca bagietka, kremowy camembert, czerwone winogrona bez pestek, biały burgund. – Obie zrobiłyśmy głęboki wdech i powoli wypuściłyśmy powietrze.

– Zamknij się i wcinaj – poradziła mi, wkładając do ust liść szpinaku. Z pasją żułyśmy nasze sałatki.

Małe dzieci wspinały się z piskiem na wielki, stworzony przez Picassa pomnik, który jak wieża Eiffla, był nienawidzony, wyśmiewany i ledwo tolerowany, aż w końcu został pokochany i zaaprobowany jako nieoficjalny symbol miasta. Otaczające mnie dźwięki i obrazy sprawiły, że poczułam, jak przepływa przeze mnie żywy nurt miasta. Wyobraziłam sobie, że znowu tu mieszkamy. Ciekawe, czy udałoby mi się przekonać do tego pomysłu Franklina.

– Czy dziś jest ten wielki wieczór? – zapytała Kathlyn.

– Tak. – Uśmiechnęłam się, czując ekscytujące łaskotanie w brzuchu.

– Czy on już wie?

– Nie wszystko. Powiedziałam mu, żeby nie robił na wieczór żadnych planów i że mam dla niego niespodziankę.

Na ustach Kathlyn igrał tajemniczy uśmiech.

– Czujesz się dzisiaj całkiem dobrze w swojej skórze, co?

– Tak – westchnęłam – wreszcie.

– Seksualność jest w głowie, króliczku, nie zapominaj o tym.

Z czterech ogromnych głośników ryknęła muzyka i na scenę wybiegła Grupa Taneczna Lyndy Marthy. Poczułam więź ze smukłymi tancerkami, których obcisłe, pastelowe kostiumy wyglądały jak druga skóra na sterczących żebrach i kościach biodrowych. Kiedy schudnę, po tych wszystkich treningach na siłowni moje ciało będzie równie sprężyste i gibkie jak ich. Wrócę do czterdziestu ośmiu kilogramów w lepszej formie, niż kiedykolwiek byłam. Może nawet zapiszę się na taniec nowoczesny. Do diabła, dlaczego nie? Kiedy będę chuda, wszystko stanie się możliwe. Z zadowoleniem jadłam sałatkę i w zgodzie ze światem kołysałam się w rytm muzyki.

Po występie zamknęłyśmy z Kathlyn pudełka z niedojedzonymi sałatkami i zostawiłyśmy je dla bezdomnych, którzy kręcili się wokół jak gołębie, i sprawdzali zawartość wielkich śmietników. Postanowiłam odprowadzić Kathlyn do biura.

– Naprawdę myślisz, że dzisiejszy wieczór wam pomoże? – zapytała swobodnie, ale w jej głosie nie było nadziei.

– Wiem, że ty tak nie uważasz – odrzekłam – ale właśnie tego Franklin i ja teraz potrzebujemy. Przez ostatnich kilka miesięcy oboje przechodziliśmy ciężki okres. Zwykle gdy jedno z nas miało pod górkę, drugie mu pomagało, ale myślę, że ostatnio oboje czuliśmy się zaniedbywani. Dzisiaj wrócimy do punktu wyjścia i zaczniemy od nowa. Bez urazy. Bez złości.

Przystanąłyśmy przed biurem podróży „U Mamy”. W środku było pełno klientów, którzy wpadli po wycieczkę w przerwie na lunch. W ciasnej narożnej kuchence gotował się wielki gar krupniku. Uwodzicielski zapach wypływał aż na

ulicę, przenoszony przez sprytnie umieszczony wentylator. Starsza pani w fartuchu w kratkę z uśmiechem nalewała zupę w styropianowe kubki i wkładała do koszyków pajdy ciemnego chleba na zakwasie. Kathlyn nazywała ją swoim szarym rekinem sprzedaży. Klienci z zadowoleniem popijali zupę, smarowali chleb słodkim masłem i zamawiali wycieczki, które znaleźli w stertach katalogów, zaścielających stoły.

Nie podobał mi się zatroskany wyraz twarzy Kathlyn. Zalatywał sentymentalną telenowelą.

– Zadzwoń, jeśli będziesz miała jakiś kłopot? – spytała.

– Kathlyn, czy możesz przestać? Myślisz, że trwałabym tyle lat przy Franklinie, gdyby był tak okropny, za jakiego go uważasz?

– Ja? Przecież nawet go nie poznałam. Patrzyłam na niego tylko twoimi oczami!

– Odmalowałam go w tak ciemnych barwach? – Czując się winna, spuściłam wzrok. – Ostatnio nie miałam zbyt dobrego zdania na swój temat i dostało się też Franklinowi. – Objęłam ją i mocno przytuliłam. – Spróbuj się cieszyć razem ze mną. Zobaczysz, dzisiejszy wieczór odmieni moje małżeństwo.

Odwzajemniła uścisk.

– Sprawy nie zawsze toczą się tak, jakbyśmy sobie tego życzyły. Nie chcę, żebyś cierpiała.

– Nie martw się o mnie – odparłam. – Mam się doskonale. Naprawdę czuję, że dzisiaj jest pierwszy dzień mojego nowego życia.

– Chcesz, żebym się porzygała?

– Tylko sprawdzam, czy mnie słuchasz.

– No dobrze, już nie będę zrzędzić. Dokąd się wybieracie?

– Apartament dla nowożeńców w Ritzu-Carltonie.

Kathlyn zagwizdała cicho.

– Cholera, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Mogłam ci załatwić zniżkę.

– Proszę cię, idź sprzedaj jakiś rejs do Bejrutu, a mnie zostaw w spokoju.

– Masz wszystko?

– Mam, Kathlyn. – Otworzyłam torbę i pokazałam jej żółtą siatkę z Seksycytacji.

– Założysz coś dekadentcko seksownego?

– Idę teraz do Neimana.

– Do Neimana? Potrzebujesz czegoś z push-upem, bez stanika, bez pleców, bez boków i frontu, najlepiej od Frederica.

– Pa, Kathlyn.

– Poczekaj chwilkę. – Zanurzyła dłoń w ogromnej, tkanej torbie i wyjęła pudełko, owinięte w znajomy żółty papier. – Mam dla ciebie taki drobiazg.

– Dla mnie? – Upewniłam się, rozrywając opakowanie.

– Niektórzy mężczyźni też je lubią. Zależy, na ile są otwarci na nowe doświadczenia. Cholera, zapomniałam kupić baterie!

Gdy tylko dostrzegłam napis „Luksusowy wibrator, trzy prędkości”, natychmiast zwinęłam pudełko z powrotem.

– Kathlyn...

– Muszę lecieć. – Roześmiała się i zniknęła w tłumie, wołając przez ramię. – Powodzenia wieczorem!

24 Festiwal orkiestr symfonicznych, których można słuchać, siedząc w parku na trawie.

Richter, Hannah, Avers i Love. – Środkowo-zachodni akcent recepcjonistki nie brzmiał znajomo.

– Poproszę z panem Aversem.

– Jedną chwileczkę. – W słuchawce ozdobnego francuskiego telefonu rozbrzmiały dźwięki skrzypiec.

Usiadłam na łóżku, zaciskając zęby, gdy fala bólu przeszła mnie od poranionych palców stóp aż po ściśnięte skurczami łydki. Kopnięciami zrzuciłam buty na wysokich obcasach i opadłam na białą satynową narzutę. Bywanie w mieście oznaczało elegancki strój, wymagający wysokich szpilek, w których można albo cierpieć, albo dużo siedzieć. Oczywiście sprawy nie polepszał fakt, że moje stopy musiały dźwigać kilka kilogramów więcej. Ten ból przywoływał wspomnienia z czasów, kiedy jako nastolatka podczas randek w kinie zdejmowałam szpilki, a potem nie mogłam ich włożyć. Aż podkuliły mi się palce, bo niemal czułam pod bosymi stopami kulki popcornu, przesiąkniętą napojami wykładzinę, ostre krawędzie pudełek po cukierkach i przeżutą gumę. Nie sądziłam, żeby Rikki miała choć jedną parę szpilek. Dzięki Bogu ja nie będę musiała wkładać moich aż do jutrzejszego ranka. Ciekawe, czy obsługa hotelowa serwuje do pokoju adidas.

Recepcjonistka wróciła w połowie utworu.

– Bardzo mi przykro, ale pan Avers jest na spotkaniu. Czy mogę coś przekazać?

– Tak. Proszę powiedzieć, że dzwoniła pani Avers.

– Pani Avers?

Zmieniłam głos.

– Jego matka. – Zachowuj się, Barbaro. Elektroniczny zegar przy łóżku wskazał szesnastą zero pięć. – Frankie spodziewa się mojego telefonu.

– Och. – W jej tonie słychać było niepewność. Co powinno zwyciężyć, uczucia czy obowiązki? – Czy chce pani, żebym wywołała go ze spotkania?

Spojrzałam na wykładany lustrami sufit. Miałam wrażenie, że ból stóp promieniuje mi aż na twarz. Zyskam trochę czasu na przygotowania.

– Nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Proszę mu tylko przekazać, że sabat czarownic odbędzie się dziś w Ritzu-Carltonie, pokój tysiąc siedemset sześćdziesiąt, punktualnie o siedemnastej trzydzieści. O.W.W.Z.

– O.W.W.Z.?

– Ofiara We Własnym Zakresie. – Odczekałam, aż powtórzy wiadomość, po czym się rozłączyłam. Czekało mnie sporo pracy.

Krzywiąc się z bólu, poczłapałam do salonu i zaczęłam rozpakowywać pełne niespodzianek torby. Schowałam do lodówki pasztet z truflami, sery i inne przysmaki. Odruchowo przebiłam paznokciem celofan na czekoladkach, ale szybko odzyskałam rozum. WDECH... Nie mam ochoty na tę wiśnię w czekoladzie... WYDECH... Ani na słodkie, lejące się nadzienie... WDECH... Ani na eksplozję orzeźwiającego smaku w ustach... WYDECH... Zaciśnęłam zęby, przełknęłam ślinę i odczekałam, aż potrzeba jedzenia minie.

– Nie wódź mnie na pokuszenie – zaśpiewałam, wrzucając czekoladki do małej lodówki, i z resztą zakupów uciekłam do sypialni.

Z należyłą czcią wyjęłam z pudełka od Neimana dwuczęściowy zestaw, składający się z koszulki i peniuaru.

– Czekał no, Higgińszczaku²⁵.

Trzysta pięćdziesiąt dolarów nie wydawało się przesadną inwestycją w małżeństwo, zwłaszcza że sprzedawczyni u Neimana pokazała mi, jak będzie można zwęzić ten komplet, kiedy z rozmiaru 46/48 schudnę do 36/38. Ułożyłam czarny satynowy szlafroczek i koszulę na łóżku i pogładziłam prowokujące obszycie z piór marabuta. Warstwy tłuszczu zdusiły we mnie pragnienia i podniety, jakich doświadczyli najlepsi kochankowie, jednak dzisiejszy plan uwodzenia Franklina sprawił, że znowu poczułam własną seksualność. „Dziś na starym mieście będzie się działo”²⁶. Zawartość torby z Sekscytacji ustawiłam na stoliku nocnym. Och, już nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć minę mojego męża, kiedy powitam go w drzwiach apartamentu.

– A teraz, *Messieurs-Dames, la pièce de résistance*²⁷.

Uroczyście zaniósłam ostatnią torebkę do przestronnej, wykładanej marmurem łazienki, w której królował wpuszczony w podłogę basen. Może nie dałoby się w nim nurkować, ale na pewno był wystarczająco duży dla ośmiorga bardzo bliskich przyjaciół albo jednej rozbrykanej pary. Za przeszkloną od podłogi do sufitu ścianą widniało południowe Chicago, a w szybie odbijała się lustrzana tafla ściany za moimi plecami. Kiedy zmrużyłam oczy, basen wydawał się unosić nad miastem.

– Orkiestra, tusz!

Sama odśpiewałam sobie fanfary i tak długo kręciłam kryształowymi gałkami przy kranie, dopóki silny strumień wody nie zbliżył się do temperatury wrzenia. Wyjmowałam z torby moje małe niespodzianki jedną po drugiej i ustawiałam je niczym żołnierzy w szeregu na brzegu wanny. Migdałowe kulki do kąpieli, gąbki roślinne, pachnący gardenią olejek do ciała.

Para, unosząca się z do połowy napełnionej wanny, przykryła lustrzaną ścianę niczym delikatna zasłona. Podniosłam uwodzicielsko włosy, uniosłam brew i wydymając wargi, spróbowałam zobaczyć w zamglonym lustrze Marylin Monroe. Ale dostrzegłam tylko mokrą ZaSu Pitts²⁸. Nie szkodzi, wszystko będzie

wyglądało lepiej wieczorem, przy przygaszonym świetle i z butelką szampana w moim coraz mniejszym żołądku.

Chłód marmurowej posadzki koił moje spuchnięte stopy. Podeszłam do okna. Przedemną rozciągało się Chicago. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od budynków, rzucając długie cienie na wąskie ulice szykujące się do nadejścia nocy miasta. Na wschodzie jezioro Michigan wysuwało szaroniebieski pazur w kierunku Indiany. Chodziłam tam i z powrotem, z niecierpliwością wyczekując widoku miasta nocą, jaskrawych świateł, przecinających ciemność niczym farba odblaskowa na czarnym aksamicie. Dziś wieczorem Franklin i ja będziemy leżeli w ciepłej wodzie, spowici blaskiem świec i patrzyli na nasze miasto. Będziemy karmić się nawzajem winogronami, pić winem, będziemy się przytulać i całować cali mokrzy i śliscy od olejków.

Zakręciłam wodę i zaczęłam się rozbierać, nie zwracając sobie głowy opuszczaniem żaluzji. To, co ja nazywałam potrzebą prywatności, Franklin określał jako pruderię. Proszę bardzo, wyostrzcie te swoje lornetki i teleskopy, perwersyjni podglądacze, oto spogląda na was nowa Barbara. Odpięłam pasek i cisnęłam go w ką. Franklin narzekał, że jestem porządnicka. Mogę się zmienić. Powoli rozpięłam mikroskopijne perłowe guziczki i pozwoliłam jedwabnej sukience opaść na podłogę. W ramach kompromisu odwróciłam się plecami do okien i zdjęłam rajstopy, majtki i stanik.

Gorąca woda sparzyła odciski tak, że ból przeszył mnie od koniuszków palców stóp po koniuszki palców dłoni. Zachichotałam. Jutro Franklin będzie musiał zanieść mnie do samochodu. Dobrze, że dźwigał ciężary. Przestań. Myśli o tłuszczu nie są sexy. Jeśli nie będę mogła jutro chodzić, to co tam, może zostaniemy w hotelu jeszcze jeden dzień. Ach, słodka dekadencja. Potrwało to kilka minut, ale w końcu zanurzyłam całe obolałe ciało w wodzie, położyłam się na plecach i zamknęłam oczy.

Zadzwoił telefon. Otworzyłam jedno oko. Pod ręką nie było żadnego aparatu. Zadzwoił znowu. Czy w apartamencie za czterysta pięćdziesiąt dolarów za noc nie można było ustawić dodatkowego telefonu przy wannie? Trzeci dzwonek. Mógł być skierowany tylko do jednej osoby. Wygramoliłam się z wanny, schwyciłam ręcznik i poczłapałam do sypialni.

– Taaak? – zapytałam na bezdechu. Mogłam przynajmniej mówić jak Marylin.

– Barbara?

– Taaak – wydyszałam, trzepocząc rzęsami i przygryzając dolną wargę.

– Coś się stało? – Franklin prawie krzyczał.

– Nie, ty głodny miłości byczku. Jestem sexy.

– Och. To przez ten hałas. Ledwo cię słyszę.

Elektroniczny zegar przy łóżku pokazywał siedemnastą zero pięć.

– Franklin, jesteś jeszcze w kancelarii?
– Nie, w biurze wyborczym.
– A tutaj – szepnęłam uwodzicielsko – ktoś na ciebie czeka...
– Barbara, naprawdę cię nie słyszę. Możesz mówić głośniejsze? Poczekaj. Poczekaj chwilę. Poczekaj. – Poziom hałasu wokół niego wzniósł się o jeszcze kilka decybeli. W tle ryczał telewizor. Po chwili Frank-lin znowu wziął słuchawkę.
– Barbara, nie słyszałaś, co się stało?
– Nie. Byłam zajęta...
– Włącz telewizor na siódmkę, nie, na dwójkę, na siódemce już skończyli. – Ociekając wodą, podeszłam do telewizora i przygotowując się na śmiertelne porażenie prądem, włączyłam odbiornik. Spodziewałam się trzeciej wojny światowej, wybuchu reaktora jądrowego albo wynalezienia leku na AIDS. A zobaczyłam lśniąca, łysą głową Warnera Rotha, stojącego przed tłumem dziennikarzy.
– Warner Roth?
– Ten sukinsyn dał mi słowo, że nie będzie kandydował. – Morze pretensji. Gejzer złości. Franklin był wściekły. Wrzeszczał tak, że musiałam odsunąć słuchawkę od ucha. – Wiesz, co to oznacza?
– Owszem. – Moje usta były skute lodem. – Nie przyjedziesz.
– Jezu. – Ściszył głos. – Nie mogę uwierzyć, jaka czasami potrafisz być samolubna.
– Ja?! – Usiadłam ciężko na łóżku, aż czarny marabut podfrunął w górę. – O ile dobrze pamiętam, umówiliśmy się na dzisiejszy wieczór już jakiś czas temu. Nie rozumiem, dlaczego twoja kampania nie może poczekać do jutra.
– Myślisz, że chciałem mieć Warnera w tym wyścigu? Na litość boską, staramy się o tych samych wyborców. Muszę zaraz opracować nową strategię, żeby ludzie dostrzegli we mnie jedyne sensownego kandydata.
– Dzisiaj wieczorem?
– Moi ludzie są tu teraz, Barb, a połowa z nich jutro nie może. Umówimy się na kiedy indziej. Obiecuję. W ogóle nie mam pojęcia, po jaką cholere chciałaś świętować naszą rocznicę właśnie dziś. Wiedziałem, że powinniśmy poczekać do końca wyborów.
– Do listopada?
Milczał. Pokój za nim ucichł i poczułam, że wszyscy podsłuchują.
– Czego ty ode mnie chcesz, Barbara?
– Chcę, żebyś natychmiast tu przyjechał. – Chociaż już nie byłam pewna, czy to prawda.
– Tego właśnie chcesz?
– Tak.
Westchnął ze znużeniem.

– Będziemy za pół godziny.

– Co masz na myśli...

Odpowiedział mi ciągły sygnał. Rąbnęłam słuchawkę na widełki, uderzając się przy tym boleśnie w kciuk.

Pojawili się po półtorej godziny. Oddział ponurych facetów wtoczył się ciężko do apartamentu. Pomięte marynarki mieli przewieszane przez ramię, poluzowali krawaty i porozpinali kołnierzyki, by poczuć choć odrobinę ulgi w duszny, miejski wieczór. Ta zbieranina chicagowskich wizjonerów z daleka śmierdziała alkoholem, papierosami i potem. Większości nie znałam, ale kilka twarzy pamiętałam z czasów, gdy bawiłam się w barmankę na legendarnych całonocnych rozgrywkach pokera, organizowanych przez mojego ojca. Dostrzegłam szok, jakiego doznała stara gwardia, ujrzawszy mnie, zanim zdążyli go zamaskować serdecznym powitaniem. Przecież kiedyś byłam taką śliczną dziewczynką. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze przed chwilą byłam na tyle głupia, żeby czuć się sexy. Wściekłość wzbierała we mnie z taką gwałtownością, że obawiałam się, iż zaraz wybuchnę.

Franklin zamykał pochód, prowadząc za łokieć smukłą blondynkę, której upał wydawał się nie przeszkadzać. Długie włosy w kolorze popiołu ściągnęła do tyłu i związała na karku czarną, szyfonową kokardą, odsłaniając łabędzią szyję. Miała ten typ urody, który mój ojciec nazywał „urodą z wyścigów konnych”, wybijającą się na zdjęciach w rubrykach towarzyskich i migawkach z meczów polo. Jej brzoskwiniowa spódnica ze sztywnego lnu i biała, wyszywana bluzka nie nosiły żadnego śladu wilgotnego gorąca poza kilkoma zmarszczkami od siadania. Wygładziłam jedwabną sukienkę Saryjane, gdyż teraz dostrzegłam, że nie zniosła dobrze leżakowania na podłodze zaparowanej łazienki.

– Pani musi być panią Avers. – Kobieta wyciągnęła szczupłą dłoń i uściśniła moją z zaskakującą siłą.

– Muszę – powiedziałam. – A pani...

– Ashley Pembroke. Jestem koordynatorką działań public relations.

– Jakież to intrygujące.

– W rzeczy samej, pani Avers. – Wzięła mnie pod ramię i poprowadziła do salonu. Franklin włókł się za nami. – Moja praca jest bardzo ekscytująca. Oczywiście – poklepała mnie po ramieniu – Franklin mówił mi, jak mało interesuje panią polityka, dlatego nie będę pani zanudzała szczegółami. Czy byłaby pani tak uprzejma i przyniosła mi coś chłodnego do picia?

– Kuchnia jest tam – powiedziałam, również klepiąc ją po ramieniu. – Proszę się obsłużyć.

– Ja ci przyniosę, Ashley – zaoferował się Franklin.

– Cześć, Franklin – powiedziałam, gdy mnie mijał, ale wydawał się nie słyszeć.

Grupa Franklina wzięła we władanie salon. Z otwartych aktówek wysypały się papiery, wykresy, notesy i teczki. Franklin znalazł w lodówce delikatesy, których kupienie zajęło mi trzy godziny i rzucił je na pożarcie swoim sępom, a te połknęły wszystko, splukały trzema butelkami szampana i zadzwoniły po obsługę hotelową.

Dusząc się w chmurze dymu papierosów i cygar (żeby chociaż jeden malutki dymek! – ale nic z tego), poszłam do sypialni. Opróżniłam i umyłam wannę w łazience, pochowałam olejki i balsamy, powiesiłam peniuar do szafy. Pokój wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy do niego weszłam. Magia, którą wyczarowałam, zniknęła. Czy mogła istnieć bez publiczności? Zdecydowałam, że peniuar zostawię pokojówce jako mały upominek. Wcisnęłam siatkę z Sekscytacji do torby; później zdecyduję, co z tym wszystkim zrobić.

Moim ostatnim problemem było, jak przedostać się z sypialni do drzwi wejściowych, nie robiąc przy tym z siebie skończonej idiotki. Owinęłam odciski papierem toaletowym, włożyłam rajstopy i spróbowałam wcisnąć buty. Bez powodzenia. W kuchni znalazłam nóż z ząbkami, którym wycięłam dziury na piętach i noskach szpilek, dopiero wtedy udało mi się wbić w nie stopy. Wzięłam torebkę i zmusiłam się, by przejść przez salon jak normalna ludzka istota.

– Chyba pójdę do kina na dole! – zawołałam przez ramię.

– Świetny pomysł – pochwalił Franklin, nawet nie podnosząc wzroku. – Pewnie spędzimy tu całą noc.

– Nie ma sprawy – powiedziałam wesoło. – W takim razie kupię jeszcze nowe baterie do wibratora. – Wyjście. Kurtyna. Brawa.

Kino obok hotelu znajdowało się dokładnie siedemdziesiąt pięć potwornych kroków od windy. Gdy tylko postawiłam stopę na dywanie, zdjęłam buty i wcisnęłam je do torebki. Mogłam sobie wybrać między Sły Stallone’em, Bette Midler i Johnem Hughesem. W kinie po drugiej stronie ulicy grali jeszcze cztery inne filmy, ale jeśli wziąć pod uwagę kondycję moich stóp, równie dobrze mogli wyświetlać je na Marsie. Kupiłam bilety na wszystkie trzy seanse.

Dziewczyna w sklepiku ze słodyczami siedziała zatopiona w lekturze Harlequina.

– Mmmmm – powiedziałam, marszcząc czoło i wbijając wzrok w przestrzeń, jakbym usiłowała sobie przypomnieć.

– Czym mogę służyć?

– Pomyślmy. Susie chciała mały popcorn z masłem. – Dziewczyna ruszyła do akcji. – I och, Linda prosiła o duże pudełko draży miętowych. A Sharon chyba...

Często wzdychałam. Wzdychałam przed, w trakcie i po popcornie, miętowych drażach, żelkach, pralinkach i dietetycznej pepsi. Które ledwo zrobiły uszczerbek w mojej złości. Wzdychałam, gdy znowu odwiedziłam sklepik

w drodze na film Hughesa, i jeszcze raz, gdy szłam na Stallone'a. Głębokie oddechy już nie działały na moją potrzebę jedzenia. Będę musiała porozmawiać z doktorem Chengiem o zamianie wzdychologii na coś innego.

Ponieważ kiedy ostatnie satysfakcjonujące krople krwi i fragmenty wnętrzości spłynęły na napisy końcowe, a ja zatrzymałam taksówkę, która miała zawieźć mnie do domu, odciążając moje obolałe stopy, nadal czułam, że muszę jeść. Jedyne, co straciłam, to tę odrobinę apetytu, pożądania czy nadziei, jaką miałam na uratowanie małżeństwa z niejakim Franklinem Aversem.

25 Z piosenki z *My Fair Lady* – musicalu opartego na dramacie George'a Bernarda Shawa *Pigmalion*. Profesor Henry Higgins założył się z przyjacielem, że w ciągu pół roku wprowadzi na salony prostą, niewykształconą kwiaciarkę Elizę Doolittle.

26 *There'll be a hot time In the Old Town tonight* – tytuł piosenki Bessie Smith z 1927 roku.

27 *Pièce de résistance* (fr.) – gwóźdź programu.

28 ZaSu Pitts (1894–1963) – amerykańska aktorka filmowa.

Agencja Detektywistyczna Halseya była wciśnięta niczym klocek lego Miesa van der Rohe^{29*} w rozległy, parterowy kompleks biurowy. Konstrukcja ze szkła i chromu zajmowała kawał porządnej ziemi rolnej kilka minut drogi od galerii handlowej. Co za dogodne położenie. Kobiety mogły za jednym zamachem załatwić lunch i męża, nie tracąc na to całego popołudnia. Zastanawiałam się, czy Sarajane wybrała Halseya właśnie ze względu na położenie. Przemierzyłam cały budynek w poszukiwaniu biura numer tysiąc pięćset sześć i w końcu znalazłam je – dyskretnie ukryte z tyłu. Nie tak wyobrażałam sobie biuro prywatnego łapsa. Gdzie bród i smród, gdzie skrzypiące schody, przesiąknięte wonią moczu? Sokół maltański nie przekroczyłby progu Halseya, póki nie zostałby wyszorowany, ostrzyżony i zaobrączkowany. My na północnym wybrzeżu lubiliśmy nosić nasze klejnoty na widoku.

– Tak? – Śliczna recepcjonistka nie żuła gumy. Mutantka.
– Pani Marlow do pana Halseya.
– Jedną chwileczkę. – Długim, czerwonym paznokciem przycisnęła guzik na telefonie i obwieściła moje przybycie. – Proszę usiąść, panno Marlow. Pan Halsey zaraz do pani przyjdzie.

Męska kolorystyka i solidne meble budziły zaufanie. Wszystkie sekrety były bezpieczne pośród tych dębowych biur, mosiężnych stołów, skórzanej tapicerki i miękkich wykładzin. Przyszły senator stanu będzie śledzony z największą dyskrecją. Zadrżałam. Nie po to tu przyszłam. Pomysł śledzenia Franklina może i stanowił inspirację mojego artykułu, ale musiałam się wznieść ponad sprawy prywatne.

Umościłam się w fotelu z szarej skóry i przerzuciłam kartki kołonoatnika, mojego głównego narzędzia pracy, opoki i liny ratunkowej. Ten temat był opisany „Detektyw” i zaczęłam go w dniu, kiedy zadzwoniłam do biura Halseya, żeby się umówić na wywiad. Ledwo mogłam odczytać listę pytań na kilku pierwszych stronach. Niektóre słowa, zanotowane dwa tygodnie temu, nie miały żadnego sensu, inne wydały mi się obce. Zupełnie, jakby zostały napisane przez kogoś innego. W pewnym sensie tak było.

Proces pisania zawsze zaczynał się dla mnie w ten sam sposób – od wrażenia, że patrzę na cały materiał z zewnątrz. Naskrobałam pytania w gorączkowym napadzie twórczej energii. To miły stan na chwilę, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł trwać w nim zbyt długo. Teraz problem polegał na tym, żeby uchwycić i odtworzyć tamten tok myślenia. Tajemniczy i oczyszczający proces, jak zamiana wody z kranu w perriera.

Zmusiłam się do przeczytania notatek i poczułam, jak powoli opuszczam biuro i zanurzam się w zabazgrane strony notesu. W moim umyśle nastąpiła subtelna zmiana. Żegnaj, Barbaro Avers. Witaj, Barbaro Marlow. Galimatias notatek ułożył się w schludną listę pytań. Ponumerowałam je według ważności, kilka wykreśliłam, parę dodałam. Gdy otworzyły się drzwi gabinetu Halseya, w głowie miałam przygotowany plan wywiadu, a w notesie opis poczekalni i listę pism, rozłożonych na stole z blatem z grubego szkła: „Forbes”, „Świat Biznesu”, „Świat Nauki”, „Świat Architektury”, „Reader’s Digest”, „Flesz”, „Dom i Ogród”.

– Panna Marlow?

– Tak.

– Zapraszam.

Wstałam lekko i z gracją, w końcu miałam całe siedemnaście lat mniej. I zmysły wyostrzone do maksimum. Zapach świeżo parzonej kawy mieszał się z korzennymi przyprawami, a gdy podszedł do mnie Halsey, jeszcze z męskim płynem po goleniu. Metr osiemdziesiąt, czterdzieści dwa lata, oczy gliny, stopy i dłonie koszykarza. Kilka ciemnych włosków sterczało z jego szerokich palców, którymi objął moją dłoń w silnym uścisku. Miał płaskie knykcie faceta, który umie się bić na ulicy.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać – powiedziałam, idąc za nim do gabinetu i spieszenie notując „uścisk dłoni”, konkretny szczegół, który mogłam wykorzystać do opisu detektywa. Nie był to bolesny jak w imadle uścisk ludzi niepewnych siebie ani zdechła ryba, oferowana przez tych, którym nie zależało. – Wspominał pan, że ma napięty grafik. Ile czasu może mi pan poświęcić?

Zerknął na rolexa.

– Pół godziny?

– Postaram się streszczać. – Powtórzyłam to, co powiedziałam mu wcześniej przez telefon, o artykule dla „Globe”.

– Zwykle zanim zacznę, mam jakiś punkt...

– Punkt?

– Zaczepienia, jakiś haczyk, dzięki któremu znany temat nabiera świeżości. Wszyscy interesują się detektywami, ponieważ to wy odkrywacie, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, ale mnóstwo już napisano o waszej profesji. Ja chciałabym znaleźć coś zupełnie nowego, czego nikt jeszcze nie dostrzegł.

– Rany, nie wiem...

– Proszę się nie martwić. Kiedy ludzie mówią o swojej pracy, zaczynają się dziać ciekawe rzeczy.

Halsey oparł się wygodniej i odpowiadał na wstępne pytania szybko i treściwie.

– Pracowałem w policji w Chicago. Otworzyłem agencję dwanaście lat temu w małym biurze, wychodzącym na ulicę. Teraz zatrudniam pięć osób. Zajmuję się

wszystkim, od śledzenia współmałżonków po bezpieczeństwo firm.

Był zrelaksowany i pomocny, chociaż nie tracił czujności. Dowiedziałam się dlaczego, gdy przerwałam, by zaczerpnąć tchu między pytaniami.

– Jestem ciekaw, jak pani do mnie trafiła – powiedział.

– Jest pan jednym z kilku prywatnych detektywów, z którymi się skontaktowałam. Z pozostałymi przeprowadziłam wywiady przez telefon, ale chciałam też wejść do agencji detektywistycznej, żeby poczuć tę atmosferę.

– Rozumiem, ale kto mnie pani polecił? Mojego nazwiska nie ma w książce telefonicznej. To przyciąga świrów. – Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić.

– Tak, cóż, znam... znałam kogoś, kto przez długi czas korzystał z pana usług. Sarejane Quinlin.

– Była pani przyjaciółką Saryjane? – Nie zmienił pozycji, ale jego ton stał się odrobinę cieplejszy.

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od czwartej klasy.

– Mówiła pani o mnie?

– Niezupełnie. – Nie miałam zamiaru wspominać o Sarzejane. Teraz musiałam wyjawic mu prawdę, jeśli nie chciałam go stracić. Gliny, jak dziennikarze, rozpoznawali blagę na kilometr. I szanowali prawdę. – Sprzątałam szafę Saryjane po jej śmierci i natrafiłam na pana raporty.

Zagwizdał cicho przez zęby.

– Chce pani powiedzieć, że trzymała to w domu? Tłumaczyłem jej, że jeśli nie zamierza wykorzystać tych raportów, to powinna je spalić. Nie, żeby to był mój interes, co z nimi zrobi, w końcu za nie zapłaciła, ale jednak...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła recepcjonistka ze srebrną tacą, na której stał serwis kawowy i talerz pełen czekoladowych pyszności. Taca z zastawą mogła ważyć jakieś siedem kilo, słodkości dodatkowe pół. Dziewczyna postawiła tacę na biurku, uśmiechnęła się słodko i wyszła. Detektyw patrzył, jak ją obserwuję.

– Ta dama podnosi ciężary – wyjaśnił, nalewając kawę do filiżanek. – Była moim głównym detektywem w sprawie Saryjane.

– Ona? Myślałam, że to pańska sekretarka.

– Sekretarka jest na urlopie, moi ludzie zastępują ją na zmianę. Nie zatrudniam pracowników tymczasowych. Nie mogę ryzykować, że jacyś obcy będą szperać mi w aktach, a potem dzielić się tajnymi informacjami przy koktajlach. – Zanotowałam „dyskrecja” i kilka razy podkreśliłam to słowo.

– Jestem zaskoczona, że Stanford nie zauważył tak pięknej kobiety, kiedy go śledziła. – Czy Franklin by zauważył?

– Bez makijażu wygląda jak wiedźma. – Roześmiał się na widok mojej miny. – Żartuję. Suki jest mistrzynią charakteryzacji. Sprzątaczką, bezdomną, starszą panią, prawdziwy z niej kameleon. A kiedy się odstawi... – Cmoknął się

w koniuszki palców. – Zdemaskowała więcej wyłudzeń odszkodowań niż wszyscy moi pozostali śledczy razem wzięci. Pokaż ją mężczyźnie, który twierdzi, że został poszkodowany w wypadku przy pracy, a ona w ciągu godziny podniesie go z wózka inwalidzkiego i porwie do tańca. Te czekoladowe cuda są pyszne. – Popchnął w moim kierunku talerz ze słodyczami. Przyjmowanie poczęstunku od osoby, z którą robiło się wywiad, zacieśniało więzi. Wzięłam pralinę.

– Mmmmm. – Gęsta czekolada oblepiła mi język. – Właśnie się zakochałam.

– Tak, to prawdziwa dekadencja. – Halsey wziął sobie eklerkę. Dwa górne guziki kamizelki pozostawił niezapięte, reszta też chyba trzymała się na ostatniej nitce. – Wie pani, panno Marlow...

– Barbara.

– Barbaro, proszę zaspokoić moją ciekawość. Te raporty, które znalazłaś w szafie Saryjane. Zostawiłaś je tam?

– Nie. Zabrałam wszystko ze sobą.

– Aha – powiedział, kiwając głową. – Odniosłem wrażenie, iż Sarajane już od dłuższego czasu wiedziała, że umiera.

– Nigdy nie powiedziała tego na głos, ale tak, jestem pewna, że wiedziała.

– A mimo to do samego końca nie wspomniała ci o mnie ani o zdjęciach, które chowała w szafie.

– Ja... chyba nie chciała, żebym kiedykolwiek je zobaczyła.

– Czy to możliwe, że Sarajane zostawiła te dowody, żeby jej mąż je znalazł?

– Tak. Myślę, że właśnie dlatego.

– Ja też. – Wlał sobie śmietanki do kawy, pomieszał i postukał srebrną łyżeczką o krawędź cienkiej porcelany. – W takim razie, dlaczego, jeśli można spytać, je zabrałaś?

Upiłam łyk. Pomimo upływającego czasu rozmowa o przyjaciółce nadal sprawiała mi ból.

– Bałam się, że Stanford wykorzysta te zdjęcia i raporty, żeby w jakiś sposób z niej zadrwić. Chodzi o to, że wiedziała o wszystkich jego romansach i nic z tym nie zrobiła. Jakby była słaba. Albo żałosna. – Jak ktoś, kogo znamy, prawda, słoneczko?

– Nie bądź dla niej taka surowa, Barbaro. Sarajane nie była odosobniona. Mam wielu klientów, głównie kobiety w średnim wieku, które chcą po prostu wiedzieć, co się dzieje. Nie zamierzają rozstać się z mężem. Może rozwód jest wbrew ich religii, może prowadzą wygodne życie i nie chcą go niszczyć. Nieważne. Ale pragną wiedzieć, jaka jest ich rywalka. Młodsza czy starsza? Grubsza czy chudsza? Czy jest ładniejsza? Biedniejsza czy bogatsza?

Wzięłam ołówek, starając się opanować drżenie rąk.

– Czy ludzie, którzy podejrzewają małżonka o zdradę, zawsze mają rację?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale z jakiegoś powodu kobiety rzadziej się mylą niż mężczyźni.

Notowałam trzęsącą się ręką.

– Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem. – Halsey z namysłem popijał kawę. – Może trafniej odczytują sygnały.

– Sygnały?

– No wiesz, nagłe zmiany. Mąż zaczyna inaczej się ubierać, zmienia samochód na droższy albo bardziej szpanerski, używa nowej wody kolońskiej. Może nagle zrzuca zbędne kilogramy, zaczyna ćwiczyć albo przechodzi na dietę czy robi sobie operację plastyczną.

– Lub przeszczep włosów?

– Tak. Coś w tym stylu. Kolejnym powszechnym obyczajem zdradzającego współmałżonka, powiedzmy męża, jest to, że zaczyna mu przeszkadzać wszystko, co robi żona. Nie dba o siebie, w domu panuje bałagan, dzieci są niezdolne. Jest nudna, za mało zorganizowana, zbyt przewidywalna, zbyt spontaniczna. Nigdy nie chce wychodzić albo zostawać w domu, albo robić tego, na co on akurat ma ochotę.

– Wygląda na to, że żona zawsze jest na straconej pozycji.

– No właśnie. Czasami dochodzi do głosu poczucie winy i zdradzający mąż obsypuje żonę prezentami albo żona wraca do domu od kochanka i szykuje siedmiodaniowy obiad. Ale to wyjątki. Większość moich klientów mówi o dystansie, jaki zaczyna dzielić ich od współmałżonka, zupełnie jakby nagle mąż lub żona przestali ich dostrzegać, jakby stali się niewidzialni.

Pokój zakołysał się nagle. W uszach rozbrzmiało mi dzwonienie tak przeszywające, że aż zaczęła mnie boleć głowa.

– Mam pewną teorię – powiedział detektyw. Uniosłam brwi, żeby okazać zainteresowanie i modliłam się, żeby nie zemdleć, kiedy będzie mówił. – Moim zdaniem osoby, które zdradzają swoich partnerów, myślą, że wszyscy mają romanse. Dlatego tak wielu mężów każe śledzić żony. Sami robią skoki w bok i nie mogą uwierzyć, że one są im wierne. Niektórzy mężczyźni chcą mieć w zanadrzu dowody niewierności żon na wypadek, gdyby one dowiedziały się o ich romansach.

Zmuszałam się, by zapełniać kartki notosu zawijasami.

– Kiedy byłem gliną – ciągnął Halsey – zatrudnialiśmy profesjonalnego złodzieja sklepowego, aby uczył właścicieli sklepów jak się chronić przed kradzieżami. Facet zawsze zaczynał wykład od słów: „Wszyscy ludzie coś kiedyś ukradli”. To irytowało wielu słuchaczy, bo nigdy nic takiego nie zrobili. A co z tymi, którzy oszukują w zeznaniach podatkowych, tłumacząc sobie, że wszyscy tak robią? A przecież to nieprawda. Jednak wielu ludzi usprawiedliwia się w ten sposób przed sobą ze swojego postępowania.

Z trudem odzyskałam kontrolę nad sobą i zmieniłam temat z sypialni na salę

konferencyjną. Niby nadal słuchałam, zadawałam pytania i notowałam, tak naprawdę jednak cierpiałam katusze, zastanawiając się, co mam robić. Podobno przyszedłam tu, żeby przeprowadzić wywiad, ale przecież doskonale wiedziałam, jaki jest prawdziwy powód mojej wizyty. Od porażki w Ritzu rozpaczliwie chciałam zdobyć dowód zdrady Franklina. Niby wiedziałam, ale pragnęłam się przekonać. Pomysł zatrudnienia prywatnego detektywa był podstępny, zdradziecki i odpychający. Prawie tak odrażający, jak sama zdrada.

– ...deweloperzy chcą wiedzieć, dlaczego konkurencja zawsze przedstawia w przetargach niższą ofertę. Firmy chcą wytropić towary, znikające z magazynów. Sklepy pragną poznać nazwiska sprzedawców, którzy sami udzielają sobie stuprocentowych zniżek. – Z moich notatek zaczął się wyłaniać obraz współczesnego detektywa.

Czy miałam wystarczająco dużo odwagi, by kazać śledzić Franklina? A jeśli mój mąż nie robił nic złego? Jeśli obwiniałam go o rozpad naszego małżeństwa, a tak naprawdę, od początku do końca to tylko moja wina? Czy jestem wystarczająco silna, żeby stawić czoło takiej prawdzie?

– ...śledztwa przedmałżeńskie. – Nieznane sformułowanie przykuło moją uwagę, więc znowu skupiłam się na rozmówcy.

– Nigdy nie słyszałam tego określenia – powiedziałam, wietrząc ciekawy trop.

– To najgorętsza nowinka w śledztwach interpersonalnych. Oczywiście ludzie już wcześniej inwigilowali przyszłych mężów i żony, nigdy jednak na taką skalę.

– I skąd ów wzrost zainteresowania?

– Zależy, o kogo pytasz. Jeszcze kawy?

– Tak, poproszę.

Ręce mi drżały. Postawiłam filiżankę na biurku i pchnęłam w stronę detektywa. Halsey najpierw nalał kawy mnie, potem sobie. Nie wydawał się spieszyć z zakończeniem rozmowy. Rozluźniłam się.

– Mój kumpel z L.A. twierdzi, że śledztwa przedmałżeńskie zaczęły się od kilku kobiet, zarażonych AIDS przez mężów i kochanków, którzy okazali się biseksualni. Ale to w Los Angeles. Moje śledztwa przedmałżeńskie dotyczą raczej kwestii finansowych niż łóżkowych. Klientki to głównie kobiety po trzydziestce, na ogół po raz pierwszy wychodzące za mąż. Zrobiły karierę, poczyniły spore inwestycje, mają stabilną sytuację finansową i chcą to wszystko zachować. Byłabyś zaskoczona, jak wielu facetów udaje kogoś, kim nie są. Jeżdżą drogimi samochodami, modnie się ubierają, jedzą w najlepszych restauracjach i opowiadają o swoich dochodach. A tak naprawdę ciągną za sobą ogon gigantycznych długów. W takiej sytuacji bogata żona staje się doskonałym wyjściem.

Drażyłam temat przez następnych kilka minut. Jak większość znanych mi

policjantów, Halsey miał dar opowiadania. Ojciec mawiał, że to dzięki godzinom spędzonym na picu z kumplami z pracy. Po kilku głębszych słuchacze nie potrafili śledzić skomplikowanych intryg i gliniarze, jeśli nie chcieli przemawiać do pustych stołków barowych, uczyli się pomijać zbędne szczegóły.

– A gdyby twój syn albo córka mieli brać ślub? – zapytałam. – Zasugerowałbyś im, żeby sprawdzili przyszłego współmałżonka?

– Tak.

– Bez wahania? Bez żadnych wątpliwości?

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że ten pomysł jest równie romantyczny jak intercyza, ale nie żyjemy w starych dobrych czasach, kiedy wszyscy dorastaliśmy w jednej dzielnicy i znaliśmy się od przedszkola. – Zakołysał się razem z krzesłem, odruchowo obracając obrączkę na palcu. – Może za długo już jestem w branży, może zbyt wiele widziałem. Są kobiety i mężczyźni, którzy zarabiają na życie, przemieszczając się z jednego końca kraju na drugi i wiążąc się z ludźmi tylko po to, by okraść ich ze wszystkiego, co nie jest przytwierdzone na stałe częścią ciała. Kiedy moje dzieciaki będą chciały brać ślub, na pewno przeprowadzę szybkie śledztwo, żeby sprawdzić, czy ich przyszły jest tym, za kogo się podaje.

– A jeśli nie będą tego chciały?

– Nic im nie powiem. Chyba że dowiem się o czymś, co przyszły współmałżonek uznał za niewarte wspomnienia, jak odsiadka, rozwód lub dzieci.

– Czy to nie będzie wyraz braku zaufania do nich?

– Szczerze mówiąc, po tym wszystkim, czego moje dzieci wysłuchują przy naszym stole, raczej nie wyobrażam sobie, żeby miały coś przeciwko sprawdzeniu narzeczonych. – Pochylił się nad biurkiem i spojrzał mi prosto w oczy. – W dzisiejszych czasach ludzie nie wstydzą się zatrudniać prywatnych detektywów, Barbaro. Odkąd wymyślono rozwody bez orzekania o winie nie kojarzymy się już z krążeniem wokół moteli z aparatami fotograficznymi z długim obiektywem. Ten obraz jeszcze nie do końca zniknął, ale szybko blednie. Rozejrzyj się dookoła. Jestem człowiekiem interesu. Pracuję dla wielkich korporacji i kilku najsłynniejszych lokalnych celebrytów. Byłabyś zdumiona, jak wielu ludzi, których znasz, na pewnym etapie swojego życia korzystało z usług moich lub innego detektywa. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że większość ludzi ma jakąś sferę życia, która mogłaby się stać łatwiejsza lub bardziej zrozumiała dzięki zatrudnieniu dobrego prywatnego detektywa.

– Większość ludzi?

– Yhy... Większość.

Przejrzałam notatki.

– A jeśli ktoś cię zatrudni do śledzenia małżonka, w jaki sposób dostarczasz raporty?

– Niektórzy klienci przychodzą po nie tutaj. Inni proszą, by im je wysłać w nieoznakowanych kopertach pod adres domowy, do biura lub na skrzynkę pocztową. Kilku prosiło o sprawozdania przez telefon.

Zamknęłam notes i schowałam do torebki.

– Dziękuję za wywiad – powiedziałam, wyjmując chusteczkę do nosa. – A teraz, jeśli masz chwilę, chciałabym cię zatrudnić. Widzisz, wydaje mi się, że mój mąż... – Otarłam oczy i wydmuchałam nos. – Och Boże, ile razy już to słyszałeś?

– Od ciebie ani razu. – Podeszedł do mnie z wielkim pudłem chustek; na ramieniu poczułam kojący ciężar jego wielkiej dłoni.

– Ja... myślę, że mój mąż z kimś się spotyka. Chciałabym mieć pewność.

Wysłałam z jego biura z garścią chusteczek, trzema ciastkami czekoladowymi, zawiniętymi w serwetkę, i poczuciem, że popchnęłam jakiś gigantyczny, rozchwiany kamień. Który właśnie zaczyna się toczyć prosto w dół.

29 Ludwig Mies van der Rohe (1886–1969) – modernistyczny architekt niemiecki, przez wiele lat działający w Chicago.

Sierpień. 80–86 kg

Zaparkowałam na podjeździe, zerknęłam w lusterko, żeby sprawdzić, czy na ustach nie zostały mi resztki cukru pudru, i przycisnęłam klakson. Natrafiłam stopą na pudełko paczków czekoladowych, więc kopnęłam je piętą głębiej pod siedzenie. Mój mąż wypadł z domu, trzaskając drzwiami, cisnął aktówkę na tylną kanapę i podszedł do samochodu od strony kierowcy. Nie ruszyłam się z miejsca.

Franklin się wahał. Czekałam; z dłońmi zaciśniętymi na kolanach patrzyłam przez przednią szybę na dom. Na ziemi leżały kawałki pokruszonych cegieł. Odpadł kawał elewacji. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Trzeba wezwać murarza.

– Och na litość boską – powiedział Franklin. – Cholera! – Walnął otwartą dłonią w dach. – Cholera – powtórzył i okrążył samochód, kopiąc po drodze w przednią oponę.

– Zabawne, w jakich okolicznościach człowiekowi przychodzą do głowy różne pomysły – odezwałam się, wyjeżdżając z podjazdu w stronę autostrady. Franklin zapadł się w siedzenie i zamknął oczy. – Od piątej trzydzieści rano uwijam się jak w ukropie, żeby spakować do auta paczki dla dzieci, zatankować, sprawdzić olej, płyn do spryskiwaczy i powietrze w oponach. Czyli zrobić wszystko to, co mogłabym zrobić wczoraj. – Zerknęłam na Franklina i dostrzegłam jedną, na pół uniesioną powiekę, która natychmiast opadła. – Tyle że przyprowadziłeś ten samochód do domu, kiedy już spałam. – Pauza... raz, dwa, trzy. – I pewnie nie przyszło ci nawet do głowy, żeby załatwić choćby jedną ze spraw, które wymieniłam. – Westchnienie... raz, dwa, trzy. – Pewnie mogłam zatankować kombi...

– On się fatalnie trzyma drogi.

– Zgadza się. I właśnie o tym pomysle mówię. Przyszedł mi do głowy gdzieś pomiędzy tankowaniem a myciem szyb. Sprzedaję kombi i kupuję nowy samochód. – Franklin zacisnął wargi i rozdał nozdrza. Psk, psk. Wkurzyłam go. Biedactwo.

Im dłużej myślałam o kupnie nowego auta, tym bardziej mi się ten pomysł podobał. Nigdy w życiu nie kupowałam samochodu. Jako osoba urodzona i wychowana w mieście, nie miałam nawet prawa jazdy, dopóki nie pojawiły się dzieci i do Franklina nie dotarło, że mogłabym potrzebować jego sportowego, dwuosobowego wozu. Zapisał mnie na kurs, a błyszczący kombi czekał przewiązany czerwoną wstążką na naszym podjeździe, kiedy wróciłam z Rikki ze szpitala. I co trzy lata pojawiał się nowy. Samochód, nie dzieciak.

Już same poszukiwania będą świetną zabawą. Jaki wóz mam ochotę kupić?

Ekstrawagancki? Praktyczny? Elegancki? Dziki? Jaki kolor? Jaka wielkość? Już nie mogłam się doczekać jazd próbnych. Jakaż to frajda, wybierać coś, co nie będzie obcisłe na biodrach.

W niedzielę rano ruch był niewielki. Od czasu do czasu mijał nas samochód z motorówką na przyczepie, zmierzający w stronę jezior Wisconsin. Z rykiem silników wyminęła nas kolumna motocyklistów, jadących po dwóch obok siebie, w nabijanych ćwiekami skórach, dla ochrony przed wiatrem.

– Wiesz – powiedziałam – nigdy nie widziałam, żeby to kobieta kierowała motocyklem, a mężczyzna siedział za nią. – Prowadzenie było męskie, kurczowe trzymanie się kierowcy – przypisane kobiecie. Interesy były sprawą męską, a dom kobiecą. Magazyny dla kobiet i sitcomy mogły bez końca głądzić o równouprawnieniu, ale motocykliści i Franklin znali PRAWDĘ. Która ich wyzwoli – od kuchni. Do diabła, nawet Betty zastrzegła, że może się mylić. Betty Friedan³⁰, nie Crocker.

Opony podskoczyły na wysepkach przed punktem opłat. Wyłowiłam drobne z popielniczki.

– Wrzucam za dwa punkty! – wrzasnęłam, ciskając monety do lejka. Żółty szlaban uniósł się w górę, więc ruszyłam, wołając: – Wio, koniku, a jak się postarasz! – Zniżyłam głos i rozejrzałam się ze zdumieniem. – Czy my zdążymy na kolację?

– Bardzo dziwnie się zachowujesz, Barbaro.

– Dzięki. Chociaż powiem ci, chłopcze, że są tacy, którzy uważają, że dziwnie się zachowuję już od siedemnastu lat. Ci, co znają mnie od kołyski. „Byłam zagubiona, ale teraz się odnalazłam”³¹ – zaśpiewałam. Niesamowite. Ziemia do Barbary; „Bełkoczesz. Przejdź do meritum”. – A zatem, sam rozumiesz, kombi nie jest mi potrzebny. Nie zabieram już dzieci sąsiadów do szkoły ani na urodziny do kręgielni, a ty nie potrzebujesz mojej pomocy przy rozwożeniu materiałów wyborczych. Taki samochód jak ten prowadzi się o wiele lepiej.

– Barbaro. – Oczy otwarte, uniesiona lewa brew i starannie wymodulowany głos. – Nawet nie myśl, że stać mnie na drugi taki samochód. Kampania nadwerżyła moje finanse do maksimum. Takie auto kosztuje czterdzieści tysięcy dolarów.

– Wiem. – Aż się rozplęwałam w słodkich uśmiechach. – Pewnie dlatego tak dobrze się prowadzi.

– Czy to właśnie z tego powodu chciałaś prowadzić? – Teraz wszystko wydało mu się jasne. – Testujesz samochód?

– Ach, i oto wyłożyłeś karty na stół. – Otworzyłam okno i zaczęłam krzyczeć: – Panie i panowie, dlaczego ta kobieta prowadzi samochód, skoro obok niej siedzi w pełni sprawny przedstawiciel rodzaju męskiego?

– Zamknij okno. Jest zimno.

Zamknęłam.

– Nie, Franklinie, nie dlatego prowadzę, że chcę przetestować samochód. – Złość i nerwy paliły mnie żywym ogniem, czułam go w fałdzie tłuszczu, otaczającej pępek. Walczyłam, by mój głos i twarz pozostały spokojne, ale ręce na kierownicy lepiły się od potu. – Po prostu kiedy uganiałam się rano, żeby zdążyć przed wyjazdem ze wszystkim, co mogłam zrobić wczoraj, gdyby tylko twój samochód stał w garażu, dotarło do mnie, że skoro już muszę wykonać całą tę głównianą robotę, to niech przynajmniej mam z niej jakąś przyjemność.

Franklin parsknął.

– Przyjemność? Barbara, ta podróż na pewno nie jest przyjemna. Jezu, nie mam pojęcia, co się z tobą ostatnio dzieje! Czy ty myślisz, że ja całymi dniami się bawię? Myślisz, że codzienne chodzenie do pracy sprawia mi przyjemność? Uważasz, że prowadzenie kampanii wyborczej to dobra rozrywka? Sądzisz, że pięciogodzinna jazda do Wisconsin i z powrotem to przyjemność?

Spokój. Zachowaj spokój. Nie wycofuj się. Nie poddawaj. Powolny wdech nosem, wydech ustami.

– Zdradzę ci, mój drogi, mały sekret. Prowadzenie auta przez pięć godzin jest o cholerne niebo lepsze, niż obserwowanie, jak ktoś prowadzi je przez pięć godzin.

Franklin odwrócił się całym ciałem w prawo, pokazując mi plecy. Czy usłyszałby szelest folii, gdybym sięgnęła pod siedzenie po pączka? Dlaczego nie wyjęłam ich z opakowania? I czemu pączków nie owija się we flanelę? Wcisnęłam wtyczkę detektora radarów w otwór do zapalniczki i skrzywiłam się, gdy urządzenie wydało przeraźliwy pisk. Przyspieszyłam, próbując wyprzedzić maruderów, jadących sto dziesięć na godzinę.

Skulone ze złości ramiona Franklina zeszywniały pod cienką bawełną koszuli, ręcznie prasowanej na wieszaku, krochmal tylko na mankiety i kołnierzyk. W mojej głowie rozbłysło światło, cholerny reflektor. Co tydzień tachałam jego garderobę do pralni Wang Ho („jedynej osoby na świecie, Barbaro, która potrafi wyprasować koszulę”), tylko po to, żeby szczupła blondynka mogła zsunąć tę idealnie wyprasowaną koszulę z chętnego ciała Franklina. Światło zamigotało i zgasło. Na razie nie miałam jeszcze niezbitego dowodu zdrady. Jeszcze nie.

Według raportów Halseya Franklin i Ashley przebywali ze sobą prawie bez przerwy, w biurze wyborczym, na spotkaniach i podczas posiłków. Uznałam ten fakt za niespecjalnie obciążający, w końcu ona dla niego pracowała. Jednak detektyw Halsey, o wiele mniej ufny, sądził, że uprawiali seks w małym hotelu, w którym Franklin wynajmował pokój dla gości i sponsorów spoza stanu. Nie wspomniałam Halseyowi o tym pokoju, ponieważ nic o nim nie wiedziałam. Detektyw miał pewne podejrzenia co do kilku wyjazdów służbowych Franklina i obiecywał, że w przeciągu kilku następnych tygodni dostarczy mi zdjęcia.

Kawa. Potrzebowałam kawy. Żeby splukać kulę pączkowego ciasta, która utkwiała mi w gardle. Czy gdybym podjechała na stację, Franklin zająłby moje miejsce za kierownicą? I co bym wtedy zrobiła? Usiadłabym na miejscu dla pasażera? Powiedziałabym, że nie wsiądę do auta? Stałabym i machała mu na pożegnanie, gdy odjeżdżałby w stronę obozu? „Przykro mi, dzieci, wasza matka nie przyjechała. Nie mam pojęcia, dlaczego. Ale ja jestem. I kocham was”. Lepiej nie kusić losu. Zaciśnięłam zęby i minęłam stację benzynową. Kilometr po pełnym milczeniu kilometrze mój żołądek skręcał się z tęsknoty za niewypitą kawą i niezjedzonymi pączkami.

Na płaskim horyzoncie wyrosły w oddali spirale i rusztowania parku rozrywki Great America. Rikki i Jason uwielbiali to miejsce. Od dziesięciu lat przywoziłam ich tutaj latem. Na początku wybieraliśmy spokojniejsze atrakcje, stare samochody, poruszające się po szynach, kręcące się w kółko autka w kształcie zwierząt, małe karuzele. Potem zaczęły się szybsze przejażdżki, tor samochodowy, kolejki górskie, gry wideo. Jeszcze później Rikki i Jason zaczęli zabierać ze sobą przyjaciół i już nie byłam im do niczego potrzebna, poza transportem w tę i z powrotem. Matki innych dzieci pracowały, nie miały samochodów, nie zgadzały się wozić więcej dzieciaków niż ich auta miały pasów bezpieczeństwa, dałyby radę dojechać do parku, ale z powrotem już nie, nie chciały brać na siebie odpowiedzialności i tak dalej. Jeżeli w naszym sąsiedztwie mieszkał choć jeden z tych „nowoczesnych” ojców, o których czytywałam pokrzepiające artykuły w gazetach, to nigdy się nie ujawnił i nie zaproponował pomocy. Zabierałam ze sobą składane krzesło i książkę, siadałam w zacienionym kącie i cieszyłam się spokojną chwilą na papierosa i lekturę.

Raz pojechał z nami Franklin, zawstydzony reklamą telewizyjną. Tatuś aktor zrobił niespodziankę swojej rodzinie i rezygnując z niedzielnej partyjki golfa i sportu w telewizji, zabrał wszystkich do parku rozrywki. Nasze dzieci były zbyt małe, żeby zrozumieć, na czym polega mit prawdy w reklamach. Franklinowi zrobiło się niedobrze po pierwszej przejażdżce, zapowiedział dzieciakom, że wyjeżdża za godzinę z nimi albo bez nich, po czym usadowił się na ławce, a my pędziliśmy z atrakcji na atrakcję, żeby zdążyć zaliczyć jak najwięcej przed upływem sześćdziesięciu minut. „Witajcie w Great America”. Rozświetlony napis znaczyły plamy wypalonych żarówek. Minęłam go z zawrotną szybkością. Teraz, kiedy Rikki zrobiła prawo jazdy, już nigdy nie będę musiała tu przyjeżdżać. Skrawki mojego życia odpadały niczym łuszcząca się skóra. Czym je zastąpię? Czy pod spodem rosła nowa warstwa?

Lekki ból nadgarstków dał mi znać, że zaczynam się uginać pod ciężarem ciszy. Skręt głowy w lewo. Skręt głowy w prawo. Broda do góry, broda w dół; walcz, walcz, walcz. Potrzebujemy w tym aucie jakiejś muzyki. Chwilę potrwało, zanim rozgryzłam, jak włącza się nowoczesny radiomagnetofon Franklina, ale

w końcu nacisnęłam właściwy przycisk. Ze wszystkich sześciu głośników ryknął ciężki rock. Franklin błyskawicznie wyciągnął rękę, ściszył dźwięk i wcisnął guzik, wypychający kasetę. Posłał mi wściekłe spojrzenie, jakbym zrobiła to celowo, po czym znowu odwrócił się do okna.

– Dlaczego zawsze wszystko jest moją winą? – zapytałam jego pleców. – To nie mój samochód, nie moja kasetka i nie ja nastawiłam radio tak głośno.

Wyciągnęłam kasetę. Franklin zawsze kazał mi kupować Jean-Pierre’a Rampala^{32*}, madrygały, Simona i Garfunkela. Skąd się wzięła „Ostra jazda bez trzymanki”? Zaczepiłam cienką, brązową taśmę o siekacz i pociągnęłam. Taśma rozwinęła się z wdziękiem, a ja rzuciłam plastikową obudowę na podłogę i wepchnęłam obok pączków. Do diabła z szelestem. Wyciągnęłam słodkie koło ratunkowe i żułam, dopóki moje serce nie przestało łomotać. Gdy pączek przeszedł już do historii, włączyłam radio i naciskałam przyciski tak długo, aż trafiłam na audycję doktor Jean White, która dotrzymywała mi towarzystwa w niedzielne poranki, kiedy woziłam dzieci do szkoły niedzielnej.

– Cóż, ja na pewno nigdy nie poznałam mężczyzny, który czytałby romanse – mówiła Jean swoim protekcjonalnym tonem.

– Och, myślę, że pani poznała – odrzekła niskim głosem jej rozmówczyni – tylko pani o tym nie wie. Wiele czytelniczek mówi mi, że ich mężowie również czytają moje książki.

– Porozmawiajmy o seksie.

– Znacznie bardziej wolałabym pomówić o ro-mansie.

– Jestem przekonana, że moi słuchacze chcieliby poznać różnicę między jednym a drugim.

– Seks to penis i vagina. Masters i Johnson piszą o seksie, o genitaliach, ich wyglądzie i funkcjach...

– Jeeezu – jęknął Franklin.

– Fizjologię seksu wzięto pod mikroskop i przestudiowano w najdrobniejszych szczegółach. Wielu współczesnych pisarzy zdaje się czerpać wiedzę prosto z prac naukowych. Mnie osobiście nudzą szczegółowe opisy, kto, co, komu i czym dokładnie robi. A romans to tęsknota, pożądanie, marzenie i nadzieja. To ogień, który zaczyna płonąć w kobiecie, kiedy poznaje tego jedyne. A jeśli on znajduje się poza jej zasięgiem, jeśli jest zakazany, zaczyna nią władać namiętność. Nieustannie o nim myśli. Kiedy zmywa naczynia, odwozi dzieci do szkoły. Nie potrafi się powstrzymać. To właśnie jest romans, a ja staram się wykreować takie napięcie między bohaterami, żeby czytelnik nie mógł przestać przewracać kartki za kartką aż do satysfakcjonującego finału.

– Czego ty, u diabła, słuchasz? – zapytał Franklin.

– Wywiadu.

– Nie o to mi chodziło.

– W takim razie dlaczego nie powiesz wprost, o co ci chodzi? – Słowa Maca doskonale zabrzmiały w moich ustach. Mac. Odruchowy skurcz ścian waginy. No proszę, czyżby tam na dole jeszcze tliło się jakieś życie?

– Nie możesz znaleźć jakiejś muzyki?

– Lubię wywiady.

– Od kiedy?

– Od zawsze.

– No proszę, a ja jakoś pierwszy raz widzę, żebyś słuchała.

– Ponieważ zawsze wyłączam radio, kiedy wchodzisz do kuchni. Wiem, że ich nie lubisz.

– W takim razie dlaczego teraz nie wyłączysz?

– Prowadzę. A jak sam zawsze mówiłeś przez te wszystkie lata, kierowca ma prawo wybrać stację radiową. Ponieważ dotąd tylko ty prowadziłeś, ja słuchałam twojej muzyki, twoich relacji z meczów piłki nożnej i koszykówki, twoich raportów giełdowych i wiadomości.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to takie straszne doświadczenie.

– Potwornie nudne. Wydawało mi się jednak, że tak właśnie zachowują się w autach prawdziwe rodziny. A ponieważ to ty ustaliłeś zasady, nie rozumiem, dlaczego teraz tak trudno ci ich przestrzegać.

– Trzeba zrozumieć – kontynuowała autorka – że większości moich czytelników nie brakuje w życiu seksu. To, czego im brakuje, czego szukają w moich książkach, to właśnie romans. Rozumieją oszołomienie i podniecenie mojej bohaterki, jej potrzebę bycia kochaną, upragnioną, pożądaną. Na moje szczęście współczesne heroiny mogą być silniejsze niż te sprzed, powiedzmy, pięciu lat. Znam wielu ludzi, którzy nadal uważają bohaterki romansów za ofiary zdane na łaskę losu, ale dzisiejsze bohaterki to bystre, interesujące, niezależne...

– Idiotki – dokończył Franklin. – Co za gówno. – Skrzyżował ramiona na piersi, usta i powieki zacisnął w cienkie linie. Program trwał, dopóki nie wjechałam na stację na przedmieściach Wanatobo, żeby zatankować i zapytać o drogę.

– Jest taniej, jeśli lejesz sama – mruknął Franklin, nie przejawiając absolutnie żadnej chęci, żeby wysiąść i napełnić nam bak.

– Wiem – powiedziałam – ale nie chcę tulić dzieci rękami śmierdzącymi benzyną. Idę kupić mapę.

Parsknął tak głośno, że go słyszałam, jeszcze zamykając drzwi.

– Na litość boską, nie potrzebna ci żadna mapa. Jeździmy tam od lat.

– I za każdym razem się gubimy.

Weszłam do sklepu, skorzystałam z toalety, kupiłam snickersa, którego pożarłam czterema kęsami i kubek kawy, żeby pomogła mi przetrwać ostatni kwadrans, jaki dzielił nas od obozu. Kupiłam też dwie ogromne białe kostki do gry z czarnymi kropkami i powiesiłam je na wstecznym lusterku, zanim ruszyłam. Nie

musiałam się martwić, że Franklin przejmie kierownicę. Siedział ze złotym piórem między zębami i zawzięcie studiował wyjęte z aktówki papiery. Oczywiście chodziło o to, by nastolatek, który napełniał nam bak, natychmiast zrozumiał, iż kobieta prowadzi samochód tylko dlatego, że Bardzo Zajęty Mężczyzna ma do wykonania Ogromnie Ważną Pracę. Ponieważ mój mąż natychmiast wymiotował, jeśli czytał w jadącym aucie, pokaz zakończył się, kiedy tylko nasze tylne koła opuściły stację.

Zwolniłam na pełnej dziur, nieutwardzonej drodze, prowadzącej do obozu, i dołączyłam do długiej kolejki odwiedzających.

– Idziesz ze mną jutro po południu? – zapytałam. Franklin obgryzał skórę na kciuku i wpatrywał się w okno.

– Nie mogę.

– Obiecałeś.

Obrócił się gwałtownie.

– Bo mnie do tego zmusiłaś! Mówiłem ci, że mam teraz za dużo pracy. Czy ty, kurwa, nie potrafisz tego zrozumieć? Nawet nie wiem, co robię tutaj teraz.

– Odwiedzasz. Nasze. Dzieci. – Moja złość była cichsza, ale wcale nie mniejsza niż jego. – Jeśli nie pójdziesz ze mną na spotkanie z doktor Mays – dodałam spokojnie – powiem dzieciom, że zdecydowaliśmy się na separację.

– Sepa...?

– Do której dojdzie, jeśli nie pójdziesz ze mną na to spotkanie.

Pochylił się do mnie; twarz miał wykrzywioną, z jego ust tryskała ślina.

– Co z ciebie za matka?

Ja też pochyliłam się ku niemu, mając nadzieję, że kawa zabiła woń czekolady w moim oddechu.

– Co z ciebie za mąż?

– Dobry Boże, jaką różnicę zrobi kilka tygodni w te albo we wte? Dzieciaki są tu szczęśliwe. Po co je martwić? Ni z tego ni z owego wychodzisz ze skóry, żeby przewrócić nasze życie do góry nogami!

Pączki w moim żołądku zamieniły się w beton. Pracownik parkingu pomachał, wskazując nam wolne miejsce.

– Jesteś naprawdę dobry, Franklin. Naprawdę. Ty nie dotrzymujesz słowa w sprawie wizyty u terapeuty małżeńskiego, a ja powinnam czuć się winna. – Zaparkowałam samochód i nadal wpatrywałam się w przednią szybę. – Idziesz ze mną jutro czy mam powiedzieć dzieciom?

– W ogóle cię nie poznaję, Barbaro.

– Może nigdy mnie nie znałeś. Może przestałam być sobą, kiedy wyszłam za ciebie za mąż.

– Och? W takim razie kim dokładnie byłaś przez ostatnich siedemnaście lat?

– Tym, kim chciałeś, żebym była. Kim, jak mi się wydawało, powinnam być.

Idealną żoną. Idealną matką. Myślałam, że tak robią żony.

– I dobrze myślałaś. – Wcisnął papiery z powrotem do aktówki. – Nie twierdę, że prowadzenie domu to nie jest praca, Barbara. Nie jestem głuchy na twoje potrzeby. Ale sama wybrałaś sobie tę drogę. Zawsze mówiłaś tylko i wyłącznie o byciu żoną i matką. A może już o tym zapomniałaś?

– Nie – odpowiedziałam miękko.

– Więc dlaczego obwiniasz mnie o to, że pozwoliłem robić ci to, co sama chciałaś?

– Odwracasz kota ogonem. – Franklin otworzył drzwi. Rikki i Jason machali do nas ze wzgórza, odgrodzeni liną, której nie mogli przekroczyć. – Idziesz ze mną do doktor Mays – zapytałam jeszcze raz – czy mam powiedzieć dzieciom o separacji?

– Idę – odparł. – Może już najwyższa pora, żeby ktoś przemówił ci do rozumu. Ja, jak widać, już ni cholery nie potrafię.

Wyskoczył z auta i ruszył do dzieci. Gdy szedł, widziałam, jak jego napięte ciało się rozluźnia. Przełknęłam łzy, kiedy dzieciaki popędziły prosto w ramiona Franklina, a on uniósł je nad ziemię i kręcił się z nimi w koło.

30 Betty Friedan (1921–2006)– amerykańska psycholożka, pisarka, feministka, założyła pierwszą organizację feministyczną w Stanach; Betty Crocker – nazwa marki produktów do pieczenia.

31 „I was lost but now I’m found” – cytat z pieśni *Amazing Grace*.

32 Jean-Pierre Rampal (1922–2000) – francuski flecista.

Wdrapałam się po schodach wiodących do wiktoriańskiego domu w kolorze bławatków. Tylko pięć głupich stopni, a mnie już brakowało tchu. Margaret Mead³³ otworzyła siatkowe drzwi.

– Państwo Avers? – Uśmiechnęła się ciepło. – Jestem doktor Mays. Zapraszam, zapraszam do środka.

Franklin, zwykle cztery kroki przede mną, włókł się z tyłu, kiedy szłam za niską panią doktor zagraconym korytarzem. Zrobiłam wielki krok nad stertą butów, w której dostrzegłam między innymi różowy kłapek, parę ubłoconych buciorów roboczych, kapcie z oklapniętymi króliczymi uszami i kowbojki o czubkach wycelowanych w niebo. Przeszliśmy przez duży, wykładany dębem hol. Rzeźba wielkiej żyrafy z chromowanych zderzaków autobusowych prawie ginęła pod ręcznikami plażowymi, swetrami, kurtkami, czapkami i szalikami. Z lewego ucha żyrafy zwisał kask Chicago Bears, prawe przykrywał zniszczony cylinder.

W powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonego chleba i goździków, skórki pomarańczowej i cytrynowego odświeżacza do mebli. To był zapach domu moich marzeń. Domu zamieszkanego przez szczęśliwą matkę, ojca i dzieci, gdzie wszyscy kochali wszystkich i żyli długo i szczęśliwie. Tak pachniał wymarzony dom córki, wychowującej się bez matki.

Doktor Mays wprowadziła nas do przytulnego gabinetu o ścianach pokrytych regałami na książki. Półki aż uginały się od zaczytanych egzemplarzy. Te, które nie zmieściły się w szeregu, leżały płasko na innych. Jedyne uporządkowane półki znajdowała się bezpośrednio za biurkiem pani doktor i nosiła napis: JEGO – JEJ – NASZE.

– Kathlyn nie wspominała, że jest pani pisarką – powiedziałam. Było to dziwne, ponieważ podała mi wszystkie szczegóły dotyczące naszej pani doktor, poza numerem karty kredytowej. – Pani mąż też pisze? – W tłumaczeniu pytanie brzmiało: czy pani małżeństwo jest szczęśliwe? Czy ma pani odpowiednie kwalifikacje, żeby mi wskazać, co robię źle?

– Obawiam się, że to niszowa literatura – odrzekła. – Dane techniczne. Szczury w labiryntach. Badania. Coś w tym stylu. Proszę, siadajcie, gdzie chcecie.

Franklin poszedł w najdalszy kąt pokoju, wbił pięści w kieszenie i oparł się niedbale o regał z książkami. Ja usiadłam w fotelu z koźlęcej skóry, stojącym naprzeciwko biurka.

– Czy mogę zaproponować państwu herbatę?

– Nie, dziękuję – odmówiłam.

– Panie Avers?

– Czy możemy zaczynać?
– Oczywiście – odparła, niezrażona jego obcesowością. – Może wyjaśni mi pan, dlaczego tu jest?

– Ja? – zapytał Franklin. – Jestem tutaj, ponieważ moja żona zagroziła, że powie naszym dzieciom, iż zdecydowaliśmy się na separację, jeśli nie przyjdę. Dlatego tu jestem.

– Nigdy bym tego nie zrobiła – powiedziałam zarówno do niego, jak i do terapeutki. – Ale nie przyszedł mi do głowy żaden inny sposób, żeby go tu ściągnąć.

– Rozumiem. – Zapisała coś w notesie. – Wygląda na to, że bardzo pani zależało na tym spotkaniu, pani Avers. Z jakiego powodu?

Z jakiego powodu, z jakiego powodu, z jakiego powodu... Moje myśli zwinęły się ciasno jak burrito i szukałam desperacko jakiegoś końca, od którego mogłabym zacząć je rozwijać.

– W naszym małżeństwie coś się psuje – oświadczyłam wreszcie. W pokoju zapadła cisza, tamci dwoje czekali, żebym poszła dalej. Nie miałam dokąd.

– Dlaczego pani tak to odbiera? – zapytała terapeutka.

– Ja... ja nie jestem pewna. Z wielu powodów.

– Czy może pani podać jeden?

Zamknęłam oczy i zobaczyłam wirujące koło fortuny. Siłą woli zmusiłam je, by zwolniło. Zatrzymało się na:

– Mam wrażenie, że przestaliśmy się komunikować.

Franklin parsknął. Ostatnio bardzo często to robił.

– Mój mąż wydaje się... nie wiem, taki odległy. Zaabsorbowany.

– Masz cholerną rację – powiedział. – Masz cholerną rację, że jestem zaabsorbowany. – Podeszedł do biurka doktor Mays i wbił palec wskazujący w obity skórą blat. – Wie pani, gdzie powinienem być teraz? W biurze wyborczym, ot co. Prowadzę wielką kampanię polityczną, a moja kancelaria jest w środku skomplikowanego procesu. Nie mam pojęcia, co ja tu robię.

– Nie mam pojęcia, co ja tu robię – zakończyłam razem z nim.

– Słyszała to pani już wcześniej? – zapytała doktor Mays.

– Przez ostatni miesiąc bez przerwy i oczywiście przez cały wczorajszy dzień.

– Wczorajszy?

– Odwiedziliśmy dzieci na obozie. Franklin spędził większość czasu, pracując w samochodzie.

– Miałem szczęście, że w ogóle udało mi się wyrwać! Jeeezu! – Walnął dłonią w biurko i podeszedł do trzyskrzydłowego okna, wychodzącego na jezioro Michigan.

– Kiedy w końcu wysiadł – kontynuowałam – żeby zjeść z nami lunch

i popatrzeć przez pięć minut, jak Jason gra w piłkę, powtarzał wszystkim, jak bardzo jest zajęty i że tak naprawdę nie ma czasu, żeby tam być.

– To część pracy polityka – powiedział Franklin do szyby. – Ludzie muszą wiedzieć, czym się zajmujesz. Muszą wiedzieć, że pracujesz nawet wtedy, kiedy wydaje im się, że tylko odwiedzasz dzieciaki na obozie. – Obrócił się do terapeutki. – Moja żona jest tak pogrążona we własnym świecie, że nie ma pojęcia, co dzieje się w moim.

– A próbował jej pan powiedzieć?

– A jak pani myśli, co, do cholery, przed chwilą zrobiłem? Przecież powiedziałem jej i pani, co dokładnie robię, o czym by pani wiedziała, gdyby mnie pani słuchała. Moje życie jest jak otwarta księga. Niczego przed nikim nie ukrywam!

– Czy ktokolwiek zasugerował, że jest inaczej? Wydaje się pan bardzo zdenerwowany.

– Przepaaaaaszaam – wysyczał, aż się skuliłam. – Kiedy ktoś na mnie napada, ponoszą mnie emocje. To moja żona chciała przyjść na to spotkanie. Dlaczego nie pomoże pani Barbarze rozwiązać jej problemów?

– Wydaje się pan doskonale wiedzieć, na czym one polegają...

Franklin uniósł lewą dłoń, i zaczął zaginać po kolei palce, wyliczając moje wady.

– Umarła jej najlepsza przyjaciółka – temu dała na łyżeczce – i Barbara nie może się z tym pogodzić. Rzuciła palenie – temu dała na miseczce – i zrobiła się prawdziwą jędzą. Przytyła milion kilogramów – temu dała na spodeczku cukierki i gorące bułeczki i... – i przestała dbać o wygląd. Zupełnie zaniedbała dom – a temu nic nie dała. – Czy to wystarczy na początek? – I frrrr... poleciała. Dokąd?

– To daje nam pewien kierunek – uznała terapeutka i z uśmiechem odwróciła się do mnie. – Pani Avers?

Próbowałam przełknąć gigantyczną kulę, która utkwiała mi w gardle.

– Myślę, że to chyba wszystko.

– To nawet nie jest początek – zaprzeczył Franklin i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Wbiłam wzrok w książki nad prawym ramieniem pani doktor, próbując odczytać tytuły. Stojący w kącie zegar odmierzał ostatnie minuty mojego małżeństwa. Kiedy Franklin znowu zaczął mówić poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku.

– Nagle nie podoba jej się nic, co robię. Za dużo pracuję. Ciągłe siedzę w biurze. Mam zbyt wiele spotkań. Jestem seksistą. Nie poświęcam czasu rodzinie. A potem się dziwi, że nie spieszy mi się wieczorem do domu.

Wpatrywałam się w tytuły książek. Jeśli uda mi się je zapamiętać i jutro powtórzyć w dokładnie tej samej kolejności, moje małżeństwo przetrwa.

– Chciałabym – zaczęłam – żebyśmy opowiedzieli pani doktor o naszej rocznicy w Ritzu.

– Ty znowu o tym? – Franklin przystanął. W nagłej ciszy tykanie zegara brzmiało jak bomba. – Barbara, jestem zmęczony. – Tik. – Nie potrzebuję tego gówna. – Tak. – Chcesz tu zostać i rozmawiać, proszę bardzo. – Tik. – Masz coś do przepracowania? To przepracuj. – Tak. – Chciałbym ci pomóc, ale nie potrafię. – Tik. – I nie będę tu stał i słuchał, jak ty próbujesz zrobić ze swoich problemów moje problemy. Doktor Mays, żegnam. – Skinął terapeutce głową i wyszedł z pokoju. Tik, tik, tak, tak... BUM! Tytuły książek pani doktor zwały się ze sobą, gdy głośne kroki Franklina dudniły w holu, w korytarzu, na ganku. Ucichły, kiedy szedł po schodach, usłyszałam dopiero ryk silnika i warkot samochodu, wyjeżdżającego z podjazdu.

– To chyba tyle – powiedziałam, chowając twarz w dłoniach i przetykając łązy.

– Proszę. – Terapeutka podsunęła mi wielkie pudło chusteczek i nie odwracając wzroku patrzyła, jak płaczę. – Musi pani czuć się teraz bardzo rozczarowana.

Roześmiałam się, łapiąc urywany oddech.

– Kathlyn mówiła, że lubi pani niedopowiedzenia.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Sądzę, że wiązała pani z tym spotkaniem duże nadzieje. Liczyła pani na początek...

– Powinnam była dać sobie spokój – przerwałam jej. – Ostatnio nie układa się między nami najlepiej, ale Franklin żyje pod dużą presją. Zwykle nie bywa taki obcesowy. – Och, doprawdy, słonko?

– Nie musi pani usprawiedliwiać jego zachowania, pani Avers. Właściwie nie powinna pani tego robić. To nie pani jest za nie odpowiedzialna.

– Nie? To proszę dobrze mi się przyjrzeć. – Rozłożyłam szeroko ramiona, z których skóra zwisała niczym roztopione toffi. – Mówimy tu o przyczynie i skutku. Nie bronię go. – Akurat! – Chcę tylko, żeby pani zrozumiała, dlaczego tak się zachował. Kiedy nie żyje w takim napięciu, potrafi być naprawdę czarujący.

Zwłaszcza wobec szczupłych blondynek tuż po trzydziestce. Wygrzebałam z torebki kluczyki, zanim sobie przypomniałam, że Franklin zabrał samochód.

– Mamy jeszcze sporo czasu, pani Avers – powiedziała terapeutka. – Nie musi pani wychodzić. Rozmowa o tym, jak się pani czuje, może pani pomóc.

– Ja... nie czuję się na siłach, żeby teraz o tym mówić.

– Rozumiem. – Zabębniła palcami o wargi i okręciła razem z krzesłem. – W takim razie pomówmy o tym, gdzie kupiła pani buty.

– Buty? – Byłam tak spięta, że na początku nie zrozumiałam żartu. Dopiero po chwili roześmiałam się i pokiwałam głową. – Chodzi o to, że bez Franklina

czułabym się tak, jakbym go obmawiała za jego plecami.

– W takim razie jak zamierza pani sobie pomóc? Proszę pamiętać, to mąż zdecydował o tym, że wychodzi.

– Mimo wszystko...

Patrzyła na mnie łagodnie zza okrągłych okularów w drucianej oprawce. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy będzie mnie namawiać. I czy chciałabym, żeby mnie namawiała. Czułam, jak jej myśli zmieniają tor, jak próbuje znaleźć inną drogę, żeby przez labirynt poprowadzić mnie tam, gdzie powinnam się znaleźć.

– No dobrze – powiedziała w końcu – może jest coś jeszcze, o czym chciałaby pani porozmawiać? Wspomniała pani, że dzieci są na obozie.

Wydmuchałam nos i pokiwałam głową.

– Ma pani chłopców czy dziewczynki?

– Jedno... jedno i drugie.

– Obóz koedukacyjny? Interesujące. I jak przebiegły odwiedziny?

– Ach, to zupełnie inna historia. – Sięgnęłam po stojący na biurku dzbanek i drżącą ręką chlusnęłam wodą do szklanki. Wypiłam łyk, potem jeszcze jeden. Nie chciałam nikomu mówić o wczorajszej wizycie na obozie. Nigdy, nikomu. Ale kończyły mi się tematy, o których mogłam rozmawiać z terapeutką.

– Ma pani dzieci?

– Czwórkę.

– Czy kiedykolwiek powiedziała im pani coś, co potem usłyszała pani z ich ust i zaczęło panią prześladować?

– Ciągłe tak się dzieje.

– Wczoraj słowa szczupłej Barbary powróciły, żeby prześladować Barbarę grubaską. – Ścisnęłam mocniej szklankę na wspomnienie wczorajszego przejścia. – Z ust mojej córki popłynął mój głos, z moją intonacją, była w nim jadowita krytyka i nienawiść. To przypominało scenę z *Egzorcysty*, kiedy dziewczynka nagle zaczyna przemawiać głosem diabła. Rikki tak się mnie wstydziła, że nawet nie chciała do mnie podejść. Odciągnęła mnie na bok i oskarżyła, że mam słabą wolę, brakuje mi ambicji i że kompletnie się zapuściłam.

– I co pani odpowiedziała córce?

– Co jej odpowiedziałam? A co mogłam jej odpowiedzieć? Miała rację.

– Pani mąż i córka wydają się podzielać wiele poglądów na temat pani i pani wagi. Zresztą pani sama chyba też. A syn?

– Jason? Przynajmniej on wydawał się cieszyć, że mnie widzi. Ale podsłuchiłam – och, Boże, ten ból – jak mówił kolegom z pokoju, że jestem jego ciotką.

– Nie poprawiła go pani?

– Niech pani na mnie spojrzy, pani doktor. Jestem w rozsypce. Nie chciałam

robić mu wstydu.

– A on zawstydził panią. Czy zawsze stawia pani uczucia wszystkich członków rodziny nad własnymi?

– Tak, oczywiście.

Na górze ktoś zagrał kilka akordów na gitarze. Kardynał w kolorze świeżej krwi przysiadł na gałęzi katalpy, zwieszającej się za oknem. Nabrzeże jeziora Michigan mieniło się czerwienią, żółcią i błękitem windsurfingowych żagli. Przesunęłam chusteczką pod oczami, ścierając smugi tuszu do rzęs.

– Tak – powtórzyłam. – Myślałam, że tak robią matki.

Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu:

– Czy kiedykolwiek, chociaż raz, przyszło pani do głowy, że te wszystkie problemy, za które obwinia pani dodatkowe kilogramy, mogły istnieć już wtedy, kiedy była pani szczupła?

– To niedorzeczne. Kiedy byłam szczupła, nie miałam żadnych problemów. Franklin mnie kochał, dzieci były ze mnie dumne. Cholera, sama byłam z siebie dumna.

– I komunikowaliście się z mężem?

– Tak, my... To znaczy, rozmawialiśmy o wielu sprawach.

– Osobistych?

– O interesach, oczywiście. Czasami o domu. O przyjaciółach, dzieciach, no wie pani.

– A co z uczuciami, problemami, emocjami?

– Nie, o takich rzeczach nie rozmawialiśmy.

– Nie? Dlaczego?

– Franklina inaczej wychowano. Mnie też. Moja matka zmarła przy porodzie. Ojciec był dziennikarzem, rozmawialiśmy o wydarzeniach na świecie, polityce, o poważnych sprawach.

– Męskie rozmowy.

– Tak. Ojciec uważał, że wszystko inne to pożywka dla kobiecych piśmideł.

– Urocze.

– Nie przeszkadzało mi to. Taki miał styl. Poza tym zawsze mogłam porozmawiać z Sarajane.

– Sarajane?

– Z moją przyjaciółką. – Po wyjściu Franklina ból z powodu jej śmierci znowu stał się prawie nie do zniesienia. – Ten niewiarygodny chaos, w który zamieniłam swoje życie, zaczął się tej nocy, gdy ona umarła, a ja rzuciłam palenie i zaczęłam tyć.

– Doprawdy? – Terapeutka patrzyła na mnie przez chwilę, po czym wstała powoli zza biurka. – Przyniosę nam pysznej, gorącej herbaty i opowie mi pani o swojej przyjaciółce.

Przechodząc koło mnie, położyła mi uspokajająco dłoń na ramieniu. Drżącymi palcami wygładziłam sukienkę Saryjane, jedną z niewielu, w które jeszcze się mieściłam. Nitka, zwisająca z dołu, łaskotała mnie w łydkę. Gitarzysta na górze wziął fałszywy akord, przerwał, po czym grał dalej, jakby nic się nie stało. Uniosłam brzeg sukienki do ust i odgryzłam luźną nitkę. Może przy odrobinie szczęścia nie popruje się, zanim dojadę do domu.

Przypuszczałam, że Franklin pojedzie do biura, lecz jego samochód stał na podjeździe z otwartym bagażnikiem, w większości zajęty przez wielką walizkę. Kiedy płaciłam taksówkarzowi, wybiegł z domu z naręczem ubrań na wieszakach. Nie widział mnie, dopóki nie dotarł do samochodu, a gdy już zobaczył, stanął jak wryty.

– Wybierasz się dokądś? – zapytałam.

Wyminął mnie i położył ubrania na walizce.

– Myślę, że powinniśmy spędzić trochę czasu z dala od siebie – powiedział.

– Zabawne, a ja myślałam, że potrzebujemy spędzić trochę czasu razem.

Trudno nam będzie rozwiązać nasze problemy na odległość. Chyba że wcale nie chcemy ich rozwiązywać. – Świat zaczął się poruszać w zwolnionym tempie. To było To. Punkt X na mapie. Znak „Tutaj jesteś”. – Co mam powiedzieć dzieciom?

Zatrzasnął bagażnik.

– A po co, do cholery, miałabyś w ogóle cokolwiek im mówić?

– Mogą się zastanawiać, dlaczego mamusia i tatuś mają różne kody pocztowe.

– Przesadzasz, jak zwykle. To tylko mała przerwa. Tak czy śmak, miałem jutro wyjechać do Springfield.

– Tak czy siak.

– Co?

– Mówi się „tak czy siak”. Zawsze mnie irytuje, kiedy mówisz „śmak”.

– Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś.

– Nigdy wcześniej nie odchodziłaś ode mnie.

Oparł pięści na biodrach.

– Myślę, że potrzebujemy kilku tygodni z dala od siebie, żeby wszystko przemyśleć.

– Och. I co dokładnie miałabym przemyśleć?

– Piętrzysz trudności.

– Nie, ty mnie zostawiasz!

– Daj spokój, Barbaro, oboje wiedzieliśmy, że to nadchodzi. Pytanie tylko brzmiało: kiedy.

– Nie, Franklinie. Ty to wiedziałaś. Ja się obawiałam. Jak myślisz, do

cholery, po co była ta rezerwacja w Ritzu? Po co wizyta u terapeutki? Ja próbowałam ratować nasze małżeństwo.

– Po co? Nic nas już nie łączy. Miałam nadzieję, że uda nam się wytrwać razem do wyborów...

– Do wyborów! – Z zadziwiającą jasnością ujrzałam każdą sekundę ostatnich kilku miesięcy. – Ty sukinsynu! – Zamachnęłam się i rąbnęłam go najmocniej, jak mogłam. Franklin wpatrywał się we mnie, oszołomiony. Uderzyłam go jeszcze raz.

– Do wyborów!

– Barbara... – Złapał mnie za ręce i przytrzymał. Uniosłam nogę i z całej siły kopnęłam go w goleń. – Aua! – Zaczął skakać w kółko, masując sobie łydkę, a ja wrzeszczałam.

– Przez cały ten czas, kiedy próbowałam naprawić nasze małżeństwo, ty czekałeś tylko do wyborów? – Otworzyłam bagażnik, złapałam jego ubrania i cisnęłam na ulicę.

– Barbaro! – Podskakując, zbierał swoją garderobę z chodnika.

– Postanowiłeś, że mnie zostawisz? – Rozpięłam walizkę. – Tylko czekałeś, bo obawiałeś się, że rozwód nie spodoba się wyborcom? – Wsunęłam dłoń pod rzeczy Franklina, uniosłam całe naręczce i rzuciłam w niego. – Czy to pomysł Ashley? Mała porada specjalisty od wizerunku? Zostań z żoną do wyborów?

– Nie waż się nawet wspominać jej imienia! – warknął Franklin.

Oparłam pięści w miejscach, gdzie kiedyś były moje kości biodrowe.

– Ashley! Ashley! Ashley! Ashley!

– Ona nie ma z tym nic wspólnego! – Pozbierał ubrania z ziemi i wcisnął je do bagażnika.

– Och, nie? Pieprzyłeś jednocześnie ją i mnie, ale na pewno nie w ten sam sposób. – Wracająca znad jeziora kobieta przeprowadziła dzieci na drugą stronę ulicy.

– Bądź ciszej! – syknął Franklin.

– Pieprzyć ciebie i białego konia, na którym przyjechałeś!

Zamknął bagażnik.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Barbaro, I nie mieszaj do tego Ashley. – Wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiami. – To wszystko twoja wina. Spójrz tylko na siebie.

– Nie, to ty spójrz na siebie. – Nachyliłam się do okna. – Gdybyś mnie kochał, byłbyś przy mnie. Potrzebowałam cię, kiedy umarła Sarajane. Po raz pierwszy, odkąd się pobraliśmy, to ja potrzebowałam ciebie, a ciebie nie było.

– Nie tylko ty masz potrzeby. – Przekręcił kluczyk i wrzucił bieg.

– Tak, ale twoje zawsze były zaspokajane.

– Dbałem o rodzinę – powiedział. – Harowałem jak wół, żeby niczego wam nie brakowało.

- Nie mówię o jedzeniu i ubraniach, Franklinie. – Złapałam go za koszulę.
- Puść mnie, Barbaro.
- Mówię o miłości i trosce.
- Puść! – Wyrwał mi koszulę z dłoni i ruszył z podjazdu.

33 Margaret Mead (1901–1978) – amerykańska antropolożka kultury.

20

Przemierzałam dom długimi krokami, z wściekłością otwierając i zatraskując drzwi. Po frontowych schodach, przez hol, w dół tylnymi schodami, przez dom, w górę frontowymi schodami, przez hol. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pyszna herbatka pani doktor i jej świeżo pieczony chleb bananowy zaczęły podchodzić mi do gardła przy szóstej rundzie. Zmusiłam się do utrzymania wszystkiego w żołądku, dopóki nie dotarłam do szafy Franklina, gdzie zwymiotowałam obficie na jego półkę z butami. Z idealnym wyczuciem ochlapałam wszystkie pary, od butów do biegania po włoskie pantofle. Kilka kropli spadło na moją sukienkę, więc wytarłam ją jego nową, jedwabną marynarką.

Gdy nie miałam już czym wymiotować, podniosłam się i chociaż musiałam przytrzymywać sobie głowę, żeby nie odpadła, znowu rozpoczęłam wędrówkę.

– Sukinsyn – powtarzałam. – Sukinsyn.

Przez hol, schodami w dół. Dookoła. W oczach czułam ukłucia tysiąca igieł. Moje uda ocierały się o siebie. Miałam niejasne przeczucie, że nie zachowuję się racjonalnie, ale nie potrafiłam sklecić dwóch logicznych zdań.

– Sukinsyn. Sukinsyn.

Podczas jednego z przemarszów przez kuchnię złapałam telefon. Upadł na podłogę, ale nie mogłam się zatrzymać, więc podniosłam słuchawkę dopiero przy następnej rundzie. Idąc w miejscu, wystukałam numer Kathlyn.

Dwa sygnały. Trzy.

– *Cześć. Jeśli dzwonisz do Kathlyn, Petera albo Laury, to wybrałeś właściwy numer w niewłaściwym czasie.*

– Sukinsyn, sukinsyn. – Znowu byłam w transie. Dwie rundy później spróbowałam dodzwonić się do Kathlyn do biura, ale wyszła. Rąbnęłam telefonem o ścianę i ruszyłam dalej.

Gdzieś koło trzydziestej rundy moje kolana nie wytrzymały i opadłam na czworaki. Trudno mi było raczkować w sukience, materiał oplątywał mi nogi, wepchnęłam więc brzeg w białe, bawełniane majtki. Na czworakach wspięłam się na frontowe schody, zesłam tylnymi. Do przodu. Najważniejsza konsekwencja. Trzeba wyczyścić dywan. Odkurzacz nie sięga do kotów kurzu w kątach. Wełniane kłaczki z dywanu kleiły się do spoconego ciała.

– Sukinsyn.

Ciało odmówiło mi posłuszeństwa w jadalni, upadłam rozkrzyżowana na dywan. Drapał. Kurz zatkał mi nos i gardło, język spuchł z pragnienia. Zebrałam ostatnie resztki energii, uniosłam się na kolana i poczołgałam do barku w salonie.

– Tutaj jesteś, maleńka – powiedziałam, wyjmując dwudziestopięcioletnią brandy Franklina.

Oparłam się o kanapę i pociągnęłam długi łyk. Alkohol palił i rozgrzewał, przedzierając się przez warstwę kurzu w gardle. Jeszcze łyk. I kolejny. Po jednej czwartej butelki myśli zaczęły się układać w miarę logiczną całość. Moja wściekłość była chwilowa, rodzaj emocjonalnej zbroi, osłaniającej to, co czułam naprawdę. Ulgę. Ulgaulgaulgaulga... W końcu nareszcie wszystko się skończyło.

– Gratuluję – powiedziałam, tuląc butelkę – właśnie straciłaś mnóstwo paskudnego tłuszczu. – Upiłam solidny łyk.

Wreszcie wszystko stało się jasne. Nigdy nie miałam żadnych szans na uratowanie naszego małżeństwa. Teraz rozumiałam. Od wielu lat o tym wiedziałam, ale nie chciałam tego do siebie dopuścić. Franklin zostawił mnie już dawno temu, tylko zapomniał odejść. Wypierałam ten fakt, jak tylko mogłam. Przecież idealny mąż nie mógł zostawić idealnej żony i matki? Miło z mojej strony, że przytyłam trzydzieści osiem kilo i dałam mu pretekst. Mieliśmy na co zrzucić winę, nie drażąc głębiej.

– Za dodatkowe kilogramy! – Wypiłam toast. Gdybym zrzuciła te trzydzieści osiem kilo, do diabła, gdybym w ogóle nie przytyła, nic by to nie zmieniło.

Jak dawno nastąpił początek końca? Próbowałam prześledzić nasz związek. Nie mieliśmy żadnych wielkich wzlotów ani upadków, raczej linia stała, jak zapis śmierci na elektrokardiogramach. Zwinęłam się w kłębek na podłodze. Kalorie z brandy poszły mi prosto w powieki, które zrobiły się zbyt grube, bym mogła je unieść. Może na razie wystarczy mi brandy. Odstawiłam butelkę i pozwoliłam powiekom opaść.

Jestem ślepa! Ośleplam! Miałam szeroko otwarte oczy i widziałam tylko czern. Swędział mnie policzek, przyciśnięty do szorstkich włókien orientального dywanu. Ślina, kapiąca z ust, zebrała się przede mną w małą kałużę. Dlaczego leżałam na podłodze? Szybko usiadłam. Moje prawe oko przeszył tak potworny ból, że natychmiast z powrotem się położyłam.

Drrrrryń. Dzwonek do drzwi.

– Idź sobie – jęknęłam. Jeśli przestawałam oddychać i przyciskałam dłoń do skroni, ból stawał się do zniesienia. Drrrrryń. – Jestem ślepa – powiedziałam. – Idź sobie.

Zapanowała cisza. Słysząc było szuranie stóp na ganku. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i przez szybę w drzwiach, podświetlonych uliczną lampą, dostrzegłam sylwetkę mężczyzny, który usiłował zajrzeć do środka.

Franklin przysłał kogoś, żeby mnie załatwił! Wszystko sobie przypomniałam i wstrzymałam oddech. Sukinsyn. Mężczyzna trzymał w ręku wypchaną teczkę. Magnum to na nią za mało, chłopcy, weźcie bazookę. Mój zabójca zapukał w szybę.

– Pani Avers? – Stary głos jak na mordercę. – Czy ktoś tam jest? – Znałam tego zabójcę.

– Pan Payne?

– Och – westchnął z ulgą – tak.

Usiadłam i natychmiast tego pożałowałam.

– Pana Aversa nie ma w domu. – W gardle utknęło mi coś pierzastego. Przycisnęłam dłoń do skroni. Jego cień się nie poruszył. – A ja nie czuję się najlepiej.

W domu było zbyt ciemno, żeby mnie zobaczyć, ale wyciągnęłam sukienkę z majtek i wytarłam ślinę z policzka. W końcu ma się tę swoją dumę.

– Ja... nie chcę przeszkadzać, pani Avers... – Nadal się nie poruszał.

Payne, Payne, idź sobie.

– Jestem bardzo chora, panie Payne. Nie chciałabym, żeby pan się czymś zaraził.

Mój oddech mógł zabić. Łyknęłam trochę brandy, żeby przepłukać gardło. Payne nadal stał pod drzwiami.

– Wczoraj w nocy umarła moja żona – powiedział.

Cholera.

– Już do pana idę.

Wyglądał tak, jak ja się czułam. Usiedliśmy w kuchni. Ten człowiek miał w sobie coś, co sprawiało, że chciałam go nakarmić. Postawiłam na stole talerz owsianych ciastek z rodzynkami z mojego sekretnego zapasu i nalałam nam herbaty. Futerał na bazookę okazał się albumem z fotografiami.

– Tak naprawdę przyszedłem do pani – powiedział, przesuwając długimi, kościstymi palcami po okładce. – Czytałem pani artykuły. Dobrze pani pisze. Zabawnie. Moja żona uśmiechała się dzięki pani, a w tych ostatnich tygodniach to było prawdziwe błogosławieństwo.

Nagle kurek puścił. Po policzkach mężczyzny spłynęły łzy, jego pokryte plamami wątrobowymi dłonie drżały, gdy wyjmował wielką, białą chustkę. Nie miałam na to siły.

– No już, już – starałam się go uspokoić. Wyciągnęłam rękę i poklepałam pana Payne'a po ramieniu.

Wspaniale, Barbaro. Na szczęście on nie potrzebował mądrości, tylko drugiego człowieka. Kojących słów, przynoszącego pociechę dotyku. Zapomniałam, jaką siłę miał w sobie człowiek, troszczący się o drugiego. Pan Payne wytrąbił głośno nos, po czym schował chustkę z powrotem do kieszeni.

– Musi pani zrozumieć, że dla siebie nigdy bym o nic nie poprosił.

Otworzył album. Nawet nie patrząc, wiedziałam, że zaczyna się od ich ślubnej fotografii. Czy nie tak wszyscy zaczynaliśmy? Różnica polegała na tym, że on i jego żona dotarli do mety. Nie widywało się tego często w obecnych czasach.

– Była bardzo piękna – powiedziałam.

– Te zdjęcia nawet w przybliżeniu nie oddają jej urody. Im lepiej się ją poznawało, tym stawała się piękniejsza. Nie miała w sobie ani krztyny złych uczuć. Nigdy nikomu nie powiedziała złego słowa.

Przeprowadził mnie przez ich wspólne życie. Nie było im łatwo, ale wydawało się, że tego nie zauważali. Zdjęcia kończyły się wraz z początkiem jej choroby. Pan Payne zamknął album i położył na nim dłonie.

– Wiem, że nie mam prawa pani o to prosić – powiedział – ale zastanawiałem się, czy byłoby możliwe, żeby w pani gazecie ukazała się o niej mała wzmianka. Kilka słów o tym, kim była.

Przykryłam jego dłonie swoimi.

– Niewiele mogę panu obiecać – odrzekłam – ale spróbuję.

Zadałam mu kilka pytań, zanotowałam parę dat. Pan Payne wziął swój album i wstał.

– Pogrzeb jest jutro o drugiej – oznajmił. – Byłbym wdzięczny, gdyby pani i pan Avers...

– Ja oczywiście przyjdę. Będę zaszczycona. Ale niestety pan Avers wyjechał do Springfield w interesach. – Sukinsyn. Posłałam Payne'a do domu z jego wspomnieniami i resztą ciastek.

Telefon odebrał Ballis.

– Chciałabym coś o niej napisać. Krótka, osobista notka.

– A kim ona była? – zapytał.

– Starą, chorą kobietą.

– Więc?

– Więc mogę zamieścić kilka akapitów, czy nie?

– Zrobiła coś ważnego?

– Tak, Ballis. Najważniejszego. Sprawiała, że ten sam facet był w niej szaleńczo zakochany przez ponad czterdzieści lat.

Gwizdnął.

– Chciałbym to zobaczyć na pierwszej stronie. Dawaj, co masz, Marlow, a ja zostawię wiadomość dla Morta, żeby gdzieś to wcisnął.

– Dzięki. Przyniosę rano.

– Tylko trzymaj kciuki, żeby nie wydarzyło się nic ciekawego.

Odłożyłam słuchawkę i spróbowałam wstać. W ogóle nie powinnam była siadać, stawy odmówiły mi posłuszeństwa. Nie było mowy, żebym napisała cokolwiek, dopóki tak się czułam i pachniałam. Zmusiłam swoje ciało, żeby

powlekło się na górę pod prysznic.

Puściłam na siebie sześć oddzielnych strumieni gorącej wody. Nałożyłam szampon na włosy, namydliłam się i wyszorowałam gąbką, spłukałam i wyszorowałam cała jeszcze raz, aż zaczęła mnie palić skóra. Wreszcie poczułam się tak czysta, jak nie czułam się od wielu miesięcy. Rozłożyłam nogi i skierowałam strumień między uda. Mmm, może zostanę amatorką prysznic. Albo kupię baterie do prezentu Kathlyn. Albo zadzwonię do Maca. Nie, w redakcji plotkowano, że ma jakąś kobietę. Cholera. Cholerna cholera. Przełączyłam prysznic na pulsowanie. Nadal lekko nietrzeźwa zaczęłam nucić piosenkę z jakiejś operetki. Słowa przyszły same.

– Payne nudziarz stary. Nie będzie truł gitary. Nigdy juuuż...

Skąd mi się to, u diabła, wzięło? Piosenka Franklina. Słowa Franklina odbijały się od ścian prysznic. Nie. Na to nie mogłam pozwolić.

Zakręciłam prysznic i oparłam czoło o kafelki, usiłując sobie przypomnieć dokładnie, co on wtedy śpiewał, ale do głowy przychodziły mi tylko te słowa. Pamiętałam tamten poranek, Jason i Rikki stali pod drzwiami łazienki i śmiali się z piosenki Franklina. To było kilka miesięcy temu. Sprawa Payne'a została zamknięta! Ale jak to możliwe? Czy pan Payne nie miałby pieniędzy z odszkodowania? Jak długo trwa, zanim towarzystwo ubezpieczeniowe wystawi czek?

Wytarłam się energicznie. Jeżeli sprawa została zamknięta, to dlaczego Franklin nic nie powiedział Payne'owi? To nie miało sensu. Nawet jeśli odszkodowanie nie zostało natychmiast wypłacone, to czy Payne'om nie byłoby łatwiej ze świadomością, że czek jest już w drodze?

Włożyłam dres, poszłam do kuchni i zaparzyłam dzbanek kawy. Możliwe, że dopóki nie przyszły pieniądze, Franklin nie chciał robić Paynowi nadziei. Już uważał go za dopust Boży i może się obawiał, że tamten nie będzie wychodził z kancelarii, dopóki nie zobaczy czeku. O wiele łatwiej było sięgnąć do własnej kieszeni i pożyczyć Payne'owi drobne kwoty. Może prawnicy tak mieli w zwyczaju, że nie mówili nic klientom, dopóki proces nie został ostatecznie zakończony. Czyż Franklin nie narzekał, jak upierdliwi robili się klienci, którzy musieli czekać miesiące albo nawet lata, zanim sąd zamknie ich sprawę?

A może Franklin – oby z kretesem przegrał wybory – miał już pieniądze, tylko po prostu zapomniał o tym powiedzieć Payne'owi. Daj spokój, Barbaro, Franklin mógł być dupkiem, egoistą, skupionym tylko i wyłącznie na sobie synem upośledzonego muła, ale nie był złodziejem. Nie można przeżyć z człowiekiem siedemnastu lat i nie zorientować się, że kradnie.

Nalałam sobie kubek kawy i włączyłam komputer. Czarny ekran rozjarzył się na zielono, w rogu migotał wyczekująco kursor. Pisz. Pisz. Pisz. Pisz. Papieros na pewno by pomógł. Przynajmniej historyczny głód nikotyny zmienił się w lekką

tęsknotę. Jednak jedzenie to co innego. Dlaczego, u diabła, oddałam Payne'owi wszystkie ciastka? Teraz nie miałam w domu nic, żeby pobudzić natchnienie. Siadaj, Barbaro. Strzel sobie kawkę. Palce aż mnie swędziały, żeby złapać za telefon. Miałam kilka pytań do mojego męża. Springfield, akurat! Przeprowadzał prywatną kampanię wyborczą u panny Pembroke, mała ustna konsultacja wizerunkowa. Nie było mowy, żebym zadzwoniła do jej mieszkania i wyszła na zazdrosną żonę. Szczerze mówiąc, Ashley, Franklin, mam to w nosie.

Umościłam moje obolałe kości na krześle przed komputerem i wystukałam: „Lucinda Payne” na górze strony. Miałam zamiar napisać krótkie wspomnienie i rano podrzucić do redakcji. W drodze powrotnej postanowiłam zajrzeć do kancelarii Franklina, żeby powiedzieć im o śmierci pani Payne. Przy okazji dowiem się czegoś więcej na temat jej sprawy.

Kilka minut po pierwszej zawlekłam moje utrudzone ciało do łóżka. Czułam się, jakby ktoś skakał po moich kościach w korkach piłkarskich. Sukinsyn, Franklin! Obracałam się, przewracałam z boku na bok i wierciłam. O pierwszej trzydzieści znowu siedziałam przy komputerze i pisałam szkic do artykułów na przyszły tydzień. Z pięciorga dziennikarzy, którym Cameron powierzył pisanie felietonów, zostało nas troje. W przyszłym tygodniu ja miałam napisać dwa. Wciąż miałam w głowie tę samą myśl: Dlaczego Franklin nie powiedział Payne'owi, że sprawa została zamknięta? O czwartej nad ranem słowa na ekranie zaczęły tańczyć tarantelę. Wyłączyłam komputer i przez długi czas wpatrywałam się w czarny monitor.

Zawsze się zastanawiałam, skąd alkoholicy wiedzą, że osiągnęli dno. Kilka lat temu pisałam artykuł o uzależnionych kobietach i każda wychodząca z nałogu alkoholiczka, z którą rozmawiałam, potrafiła dokładnie wskazać moment, w którym nie miała już innej drogi, jak tylko do góry. Nie wątpiłam w ich słowa, ale nie mogłam zrozumieć, jak to mogło być takie proste. Było. Wezwijcie anioły i trębaczy, oto moment objawienia. Moja matka umarła i nie wróci. Sarajane odeszła i nie wróci. Franklin odszedł i nie wróci. Barbara Avers odeszła i nie wróci. Nie taka, jak była. Już nie. Czas pochować zmarłych.

Odepchnęłam się od biurka, poszłam na strych i zaczęłam przenosić ubrania Saryjane do sypialni. Musiałam obrócić pięć razy. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, ale w końcu przytaszczyłam wszystko. Zdjęłam dres i zaczęłam przymierzać jej rzeczy. W szafie nadal miałam pełno swoich ubrań, chociaż nie mieściłam się w nie już od wielu miesięcy. Trzymałam ubrania Saryjane w szafie na strychu, ale nie mogłam znieść myśli, że miałyby wisieć w moim pokoju, jak gdyby należały do mnie.

Kiedy pierwszy raz nie mogłam dopiąć jednej z jej sukienek, wpadłam w panikę. To musiał być jakiś mniejszy rozmiar, który kupiła, kiedy bardzo schudła przed zjazdem absolwentów. Nie miałam pojęcia, jaki to był rozmiar. Sarajane

odcinała wszystkie zdradzieckie metki, odkąd w piątej klasie jedna z dziewczyn zajrzała do jej ciuchów podczas zajęć WF-u i wypaplała jej sekret wszystkim w szkole.

– Jeśli wstydzisz się tego, jaki nosisz rozmiar – zapytałam – to dlaczego nie schudniesz?

– Nie wstydzę się – odpowiedziała. – Podobam się sobie taka, jaka jestem. Nie lubię tylko ludzi, którzy robią z mojej wagi wielkie halo i pytają mnie, dlaczego nie schudnę. – Już nigdy więcej nie wspominałam o jej wadze. A teraz niektóre z jej ubrań były dla mnie za ciasne.

Przez godzinę przymierzałam każdą sztukę garderoby i zmuszałam się, żeby patrzeć, naprawdę patrzeć na siebie. W kwiecistych falbaniastych szatach Saryjane wyglądałam głupio, a w jej kolorach – beżu, brzoskwini i błękitie – blado i bez wyrazu. A mimo to je nosiłam. Dlaczego? Ze względu na pamięć o niej? W ramach kary za to, że jestem gruba? Rozpięłam ostatnią sukienkę, granatowy marynarski mundurek z białym, kwadratowym kołnierzem, i rzuciłam ją na podłogę.

Teraz było tylko lustro i ja. Cała ja.

– Witaj, Barbaro – powiedziałam. – Jesteś jeszcze tam?

Stałam z opuszczonymi rękami, które zakrywały jakieś trzynaście, piętnaście centymetrów moich grubych bioder i ud. Uniosłam dłonie na boki. Zaczynaj od góry, raz, dwa, trzy. Zapuchnięte oczy – mogłam zrzucić winę na butelkę brandy i brak snu. Pełne policzki, opadające prawie ku potrójnemu podbródkowi, zasłaniającemu miejsce, w którym kiedyś miałam szyję. Zaokrąglone ramiona. Obwisłe tricepsy. Niezłe łokcie. Grube nadgarstki. (Może nagle stałam się grubokoścista. To by tłumaczyło przynajmniej kilka dodatkowych kilogramów). Tłuste palce.

Ramiona zaczęły mnie boleć, opuściłam je więc i obróciłam się bokiem. Wciągnij brzuch! Wciągnęłam. Nic się nie zmieniło. Mały, chociaż pełny biust, opadający na boki. Szeroka klatka piersiowa, ogromny brzuch i biodra. Wyglądałam jak zrobiony z opon bałwan. Tylko spójrzcie no na te udziska! Serio, prawdziwie pociągowa moc, sakwy rowerowe są mniejsze. Kolana – dwie dziurki na środku nóg. Grube łydki. Grube kostki. Tłuste stopy. Pulchne palce. To wszystko, kochani. No dajcie spokój, musi być coś, co da się uratować.

– Masz wspaniałe, naturalnie kręcone włosy – powiedziałam. – Piękne, zapierające dech oczy. – Poklepałam zapuchnięte powieki. – Masz mocne paznokcie i cudownie delikatne płatki uszu. – Przycisnęłam nos do odbicia w lustrze. – Jesteś bystra, kreatywna i umiesz stenografować. Może to niewiele, mała, ale zawsze jakiś początek.

Wepchnęłam ubrania Saryjane do worków. W drodze do redakcji podrzucę je do schroniska dla bezdomnych kobiet. Potem wyciągnęłam z szafy wszystkie

moje „chude” ciuchy i zaniiosłam na strych. Jeśli za rok nie będą pasowały, to je też wyrzucę. Jedyne trzy rzeczy, jakie zostały w mojej szafie, to kaftany, uszyte na miarę specjalnie dla Saryjane. Dochodziła szósta rano. Dzisiaj nie miałam czasu na bieganie. Musiałam zadzwonić do Kathlyn.

– Dzięki Bogu – westchnęła, kiedy powiedziałam jej o Franklinie. – Z tobą wszystko w porządku?

Zapewniłam ją, że tak. Miała zajęty cały dzień, więc umówiliśmy się na kolację na jutrzejszy wieczór. Zabrałam artykuł o pani Payne, załadowałam do samochodu ubrania Saryjane i ruszyłam na spotkanie nowego dnia.

Czekałam, wstrzymując oddech, aż główny wydawca przeczyta mój artykuł. Uśmiechnął się, chociaż akurat na jego twarzy uśmiech nie stanowił miłego widoku. Historia pani Payne pod tytułem *Mały cud* ukaże się w gazecie.

– Dzięki, Mort – powiedziałam, chociaż byłam bardziej niż wdzięczna. Prawie wyfrunęłam z jego gabinetu.

– Nie ma sprawy.

Na pewno pomógł mi fakt, że miłość i małżeństwo znowu stały się modne wśród amerykańskich czytelników. Ja jak zwykle szłam pod prąd. Pozostawałam wierna, gdy modne było mieć kochankę. Kiedy wszyscy się rozwodzili, ja trwałam w tym samym związku, a teraz rozstawałam się z nim dokładnie w chwili, gdy społeczeństwo na nowo odkrywało zalety małżeństwa.

Maca nie było przy biurku. Dochodziła dziewiąta trzydzieści, większość pracowników „Globe” dopiero rozklejała sobie powieki za pomocą kawy czy innych używek. Usadawiłam swoje przerośnięte ciało w jego wielkim krześle i zadzwoniłam do agentki z biura podróży, które obsługiwało Franklina. Tak, zarezerwowała panu Aversowi bilet na lot do Springfield o siódmej pięć. Proszę chwilę poczekać, tak, Franklin przeszedł odprawę. Tak, wsiadł do samolotu, który wyleciał o czasie.

Rysowałam uśmiechnięte buźki na bloczku z samoprzylepnymi karteczkami Maca. Co oszałamiająco dowcipnego mogłabym mu napisać? Naskrobałam: „Cześć!”, i przykleiłam karteczkę na monitorze. Później będę się martwiła o poziom mojego poczucia humoru, teraz miałam mało czasu i mnóstwo pracy.

Pół godziny później weszłam do holu biurowca, w którym mieściła się kancelaria Franklina. W południowym narożniku była kawiarnia. Panna Mumford, sekretarka Franklina, od dwudziestu lat robiła sobie przerwę na kawę dokładnie o dziesiątej dziesięć i wracała do biura punktualnie o dziesiątej trzydzieści. Miałam nadzieję, że te dwadzieścia minut mi wystarczy. Zająłam pozycję w północnym krańcu holu. Oparłam się o stojak z papierosami i obserwowałam windy znad egzemplarza „Vogue”. Panna Mumford nie paliła, nie żuła gumy, nie czytała gazet. Byłam pewna, że wysiądzie z windy i pójdzie prosto do kawiarni. I zrobiła to dokładnie o dziesiątej dwanaście, a ja pojechałam windą na dwunaste piętro, zanim drzwi kawiarni się za nią zamknęły.

– Ach, dzień dobry – zawołałam cała w skowronkach i z szerokim uśmiechem wyciągnęłam rękę. – Chyba się nie znamy. Nazywam się Barbara Avers, jestem żoną pana Aversa.

– Och... – Najnowsza z długiej parady recepcjonistek podała mi bezwładną

dłoń. – Jak się pani miewa?

– A ty jesteś...?

– Sally. Sally Grubman.

– Bardzo mi miło cię poznać, Sally. – Puściłam jej dłoń i ruszyłam w stronę gabinetów. – Muszę wziąć kilka rzeczy dla Franklina.

– Pani Avers? – Dreptała za mną. – Ja... nie wiem, czy pani powinna. To znaczy, czy mogłaby pani poczekać...

– Kochana, panna Mumford mogłaby mi pomóc.

– Ale ona ma przerwę.

– Och? – Co za niespodzianka. Szłam dalej, mówiąc do dziewczyny przez ramię: – Nie szkodzi. Wiem dokładnie, gdzie wszystko leży, w końcu kiedyś prawie mieszkałam tutaj. Jak myślisz, kto nauczył pannę Mumford wszystkiego? – Zadzwoił telefon w recepcji. Dziewczyna się zawahała. – Pędź, kochaniutka. Ja sobie poradzę. – Popędziła. Za mało jej płacili, żeby zadzierała z żoną szefa, zwłaszcza taką, która ewidentnie była w innej kategorii wagowej.

Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz byłam w biurze mojego męża? Od śmierci Saryjane przyjeżdżałam kilka razy do miasta, ale Franklin spotykał się ze mną w restauracji, teatrze albo pod siłownią. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że nie zaglądałam tutaj od ponad roku.

Akta starych spraw składowano w oddzielnym pomieszczeniu. Sięgające od podłogi do sufitu szuflady pełne były tysięcy akt zakończonych postępowań. Logika nakazywała zacząć właśnie tutaj, byłam przecież pewna, że sprawa Lucindy Payne została zamknięta. Potrzebowałam tylko dowodu. Franklin – oby jego implanty włosów wypadły wraz z cebulkami – pozostawał niewinny, dopóki nie udowodni mu winy. Szuflada opisana „Pa-Pz” pękała od dokumentów, ale nietrudno było wśród nich znaleźć teczki Franklina, tylko on stawiał przy nazwiskach klientów małe ptaszki oznaczające, że sprawa została zamknięta. Akta otwierał William Paxton, zamykała Anne Pzyskowski. Lucindy nie było.

Wróciłam na przód szuflady i zaczęłam przeglądać teczki jeszcze raz. Może ktoś źle schował dokumenty pani Payne. Jednak moje wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów. To mogło oznaczać, że sprawa nie została zamknięta, chociaż instynkt podpowiadał mi, że tak nie jest. Cholera. Musi istnieć jakiś sposób, aby to sprawdzić. Czeki. Czeki, które dał mi Franklin, żebym otworzyła konto biura wyborczego w Highland Bank. Czeki wystawione na jego nazwisko przez firmy ubezpieczeniowe. Mogłabym sobie rękę uciąć, że te pieniądze pochodziły ze spraw, które sfinalizował mój mąż. Takich jak sprawa pana Payne. Zacisnęłam powieki, usiłując przypomnieć sobie tamte nazwiska.

– Cadbury! – zawołałam i ruszyłam do litery C.

Przypomniałam sobie, jak leciała mi ślinka na myśl o tym czekoladowym nazwisku³⁴. To było jeszcze, zanim Franklin zabrał mi rachunki i przeniósł do

swojego biura. Przeszukałam szufladę z literą C, pełną opisów życia, które stało na głowie, jak moje. U jakiego prawnika znajdą się moje papiery rozwodowe? Pewnie Franklin z radością by mi kogoś polecił. Między Cacheviki i Caden nie było żadnej teczki. Moje serce przyspieszyło. Jeżeli sprawa Cadbury'ego została zamknięta, a jej teczki tu nie było, to może dotrzymywała towarzystwa aktom Payne'a w jakiejś sekretnej kryjówce? Tylko gdzie?

Przebiełam pusty korytarz i wślizgnęłam się do gabinetu Franklina. Akta toczących się procesów były przechowywane w szafie panny Mumford. Wyjęłam kluczyk spod doniczki z begonią uradowana, że ani roślina, ani kryjówka nie zmieniły się przez te wszystkie lata, jednak nie znalazłam teczki Payne'a ani Cadbury'ego. Zamknęłam szafę i schowałam klucz na miejsce. Pozostawały już tylko dokumenty w gabinecie Franklina, akta wyjątkowych klientów: milionerów, polityków, ludzi z branży rozrywkowej i sportowców. Chował je przed wścibskimi spojrzeciami wynajmowanych na godziny pracowników pomocniczych, którzy niekiedy lubili wymieniać poufne informacje na pieniądze. Wyjęłam swój klucz, otworzyłam drzwi i weszłam do obcego gabinetu obcego człowieka.

Burgundowo-szary wystrój, który tworzyłam całymi miesiącami, zastąpiły odcienie melona. Niuch, niuch, niuch, czuję tu zapach jakiejś blondynki! Zabawne, Franklin nigdy nie wspominał, że zmienił wystrój. Tak jak nic mi nie powiedział o dniach otwartych w biurze wyborczym. Musiało wylecieć mu z pamięci.

Zniknęła skórzana kanapa, którą wypatrzył w „Przeglądzie architektonicznym” i której kazał mi szukać po całym kraju. Zniknęły też głębokie fotele do kompletu i stojące obok nich stoliki na trzech nogach. A jego biurko! Ile tygodni walczyłam ze stolarzem, który pukał się w głowę na widok listy dokładnie sprecyzowanych wymagań Franklina, dotyczących wielkości szuflad, wyklejki, ukrytych schowków i tym podobnych detali. Całymi miesiącami meblowałam ten gabinet ściśle według wskazówek mojego męża, a teraz wszystko zniknęło! Wszystko. Patrzyłam na pokój żywcem przeniesiony z lat trzydziestych, pełen obłych mebli i akcesoriów w stylu art déco. Raczej buduar niż biuro. Niuch, niuch, znowu zaleciał mnie ten zapach.

Na półkach z książkami też ktoś zaprowadził nowe porządki i chwilę mi zajęło, zanim znalazłam słownik. Gdy go wyjęłam, z tyłu półki uśmiechnęła się do mnie moja własna twarz, w całej swej szczupłej arogancji. Sięgnęłam ręką i wyciągnęłam rodzinne zdjęcie, które Franklin trzymał kiedyś na biurku. Te kości policzkowe Audrey Hepburn, oczy Bette Davis, szczeka Katharine Hepburn! Nie widziałam tej twarzy od miesiący. Święta Barbara Idealna. Puff-puff. Idealny obraz idealnej rodziny. Puff-puff. Franklin – oby wymagał leczenia kanałowego i dostał uczulenia na nowokainę – siedział trochę z dala od Rikki, Jasona i mnie. Wrzuciłam fotografię do śmieci, otworzyłam słownik na literze „K” i wyjęłam klucz do szafki z prywatnymi aktami.

Była tam teczka Cadbury'ego, oznaczona ptaszkiem i plusem. Przeszłam do litery „P”. Lucindę też znalazłam, także opatrzoną plusem i ptaszkiem. Ich teczki pękały od dokumentów i notatek, nie było mowy, żebym zdążyła je przeczytać w tak krótkim czasie. Jednak między tymi dwojgiem istniał jakiś związek i zamierzałam się dowiedzieć, o co chodziło. Schwyciłam notes z biurka Franklina i zaczęłam szybko notować: imię i nazwisko Cadbury'ego, adres, telefon, numer sprawy i kwotę. To samo z Lucindą Payne. Potem wróciłam do A i zaczęłam szukać kolejnych akt, oznaczonych plusem.

– To są prywatne dokumenty! – Obróciłam się gwałtownie do panny Mumford, która szarżowała na mnie przez drzwi.

– Panno Mumford. – Znowu byłam cała w skowronkach. – Jak miło panią widzieć. – Zmarszczyła brwi jeszcze bardziej niż zwykle i przypatrywała mi się znad połówek szkieł okularów.

– Pani Avers?

Zupełnie zapomniałam. Ona znała szczupłą Barbarę.

– Och, tak – westchnęłam głęboko. – Nic dziwnego, że mnie pani nie poznała. Obawiam się, że bardzo przytyłam od naszego ostatniego spotkania. Ale przy tych wszystkich operacjach i w ogóle...

Panna Mumford uwielbiała choroby. To była jej pasja. Należała do ludzi wygłodzonych szczegółów operacji, przeprowadzanych na bliźnich. W jej oczach błysnęło żywe zainteresowanie, ale była zbyt dobrze wychowana, by dopytywać się o szczegóły.

– Nie miałam pojęcia. – Czekala z nadzieją. – Oczywiście zastanawiałam się, dlaczego nas pani nie odwiedza, ale uznałam, że zajmują panią te artykułiki, które pisuje pani do „Globe”.

Artykułiki. Uśmiechnęłam się przez zaciśnięte zęby.

– Musiała się pani nieźle zdenerwować, kiedy weszła tu pani i zobaczyła obcą kobietę, szperającą w dokumentach Franklina. – Jak długo uda mi się grać na zwłokę? Wróciłam do akt i nie przestając mówić dalej, notowałam. – Franklin wyjechał do Springfield bez swoich notatek, a sama pani wie, jaki on jest wymagający. Musiał natychmiast dostać te informacje.

Panna Mumford zmarszczyła swój długi nos.

– Mógł do mnie zadzwonić.

– Ależ panno Mumford, jakże jestem zaskoczona, że pani nic o tym nie wie – to pierwsze, co zrobił. Telefonował do pani do domu jeszcze wczoraj wieczorem, niestety nikt nie odbierał.

– Nigdzie nie wychodziłam.

Pisz szybciej, Barbara. Jeszcze dwa, trzy nazwiska.

– Wie pani – w sumie dopiero teraz ta myśl przyszła mi do głowy – jedną ręką się pakował, a drugą wybierał pani numer. – Szybciej. – Założę się, że pomylił

jakieś cyfry. Na pewno właśnie tak się stało. A ja i tak musiałam zawieźć kilka artykułków do redakcji, sama więc zaproponowałam, że zajrzę tu po drodze. – Jej nos wrócił na swoje miejsce i znowu byliśmy przyjaciółkami. Jednak nadal panoszyłam się na jej terytorium.

– Może mogłabym pani jakoś pomóc.

– Już prawie skończyłam. Zapisuję tylko kilka nazwisk, o które mnie prosił.

– Dziękowałam Bogu za szkołę stenografii. – Ale chętnie napiłabym się kawy.

Panna Mumford niechętnie wyszła. Sześć nazwisk, siedem. Przejrzałam litery L i M.

– Kawa dla pani – powiedziała, stawiając na biurku styropianowy kubek.

– Poprosiłam o kawę? – O ja głupiutka. – Oto jak trudno się pozbyć starych nawyków. Lekarze od miesiący nie pozwalają mi pić kawy. Wie pani, jak szkodliwa potrafi być kofeina. Miałam na myśli herbatę. Ziołową, gdyby była pani tak uprzejma.

Znowu wybiegła i zanim wróciła, zdążyłam sprawdzić literę P. Zadzwoił telefon Franklina. Panna Mumford odebrała.

– Biuro pana Aversa. – Nic pod Q ani pod R. Jedno nazwisko pod S. Złamał mi się ołówek, więc złapałam z biurka następny. – Ależ oczywiście, panie Avers, natychmiast się tym zajmę. – Franklin! – Czy chce pan rozmawiać z panią Avers? – Jego wrzask było słychać w całym pokoju. – A...ależ tak, jest tutaj, obok mnie. – Cisza. Pisz szybciej. – Zapisuje te dane z prywatnych akt, o które pan prosił. – Jedno nazwisko pod T. Pisz szybciej, szybciej. Usłyszałam huk słuchawki, rzuconej na burko na sekundę przed tym, zanim ciężka szuflada z aktami przytrzasnęła mi palce.

– Auuuu! – Ból był przenikliwy.

– Pani Avers, jestem zmuszona prosić panią o wyjście, natychmiast.

– Panno Mumford! – Odegrałam najwyższe oburzenie. Obrażę. Wyszarpnęłam palce z szuflady. Skóra była zdarta, stawy czerwone. – Co się z panią dzieje?

– Nie ma pani prawa tu być. Pan Avers powiedział...

– Franklin? Co znowu ten niegrzeczny chłopak pani naopowiadał? – Pomaszerowałam do telefonu. – Franklin?

– Barbara, co ty, u diabła, robisz w...

– To nieładnie z twojej strony płać pannie Mumford takie figle.

– ...moim biurze!

– Rozumiem, ale ona nie wiedziała, że ty żartujesz. – Roześmiałam się, próbując wciągnąć pannę Mumford w tę przezabawną sytuację. – Ona naprawdę myślała, że ty mówisz serio i przytrzasnęła mi palce szufladą.

– Grzebiesz w mojej szufladzie z aktami? Wynoś się z mojego biura! Natychmiast! – Podmuchałam na otarte palce. Na knykciach pojawiły się kropelki

krwi, które przykuły uwagę panny Mumford.

– Nie, dziękuję. – Roześmiałam się i przykryłam słuchawkę dłonią. – Franklin pyta, czy potrzebuję dobrego prawnika od odszkodowań. – Zbladła i gestem pokazała mi, że przyniesie ze swojego biurka zestaw pierwszej pomocy. Gdy tylko wyszła, przycisnęłam słuchawkę ramieniem do ucha i wróciłam do akt. Nie mogłam skupić się na słuchaniu Franklina i pisaniu jednocześnie, więc go zignorowałam. Nic pod U, V i W. Znalazłam jeszcze tylko dwa nazwiska, jedno pod Y i jedno pod Z. Głos Franklina w moim lewym uchu już dawno przekroczył górne C. Wróciła panna Mumford.

– Ja też cię kocham. – Uśmiechnęłam się do słuchawki i posłałam kilka całusów. – Mam nadzieję, że zbieranie funduszy pójdzie jak z płatka. Wracaj szybko. Pa, pa.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro, pani Avers. – Panna Mumford zmierzała ku mnie z butelką jodyny. – Ale pani mąż nigdy w ten sposób nie żartował. – Była czerwona jak burak. – Wydawało się, że mówi zupełnie poważnie.

– Franklin potrafi być doskonałym aktorem – powiedziałam, starając się dojrzeć dwa ostatnie nazwiska i umknąć przed piekącym prysznicem z jodyny. – Poczekajmy z tym jeszcze sekundkę. Już prawie skończyłam.

Znowu zadzwonił telefon. Wiedziałam, że to Frank-lin. Gdy panna Mumford podniosła słuchawkę, wyrwałam dwie ostatnie teczki z szuflady i popędziłam do łazienki. Tym razem panna Mumford naprawdę ruszyła do ataku, buty na płaskim obcasie dawały jej przewagę nad moimi szpilkami.

– Proszę się zatrzymać! – krzyknęła. – I oddać mi te akta!

Schwyciła teczki, lecz ja je wyrwałam, po omacku szukając za plecami klamki łazienkowych drzwi.

Panna Mumford miała dzikie spojrzenie. Opierałam się plecami o drzwi i akurat trafiłam ręką na klamkę, gdy sekretarka rzuciła się na mnie. Na sekundę przed zderzeniem odsunęłam się w bok i otworzyłam szeroko drzwi. Gdy panna Mumford wpadła do łazienki, zatrzasnęłam je za nią błyskawicznie.

– Wypuść mnie!

Szarpała za klamkę i łomotała w drzwi. Oparłam się o nie całym ciałem i przytrzymując klamkę ręką, w której ścisnęłam teczki, notowałam szybko. Byłam cięższa od panny Mumford o dobre dwadzieścia kilo, co dało mi wystarczająco dużo czasu, by zapisać ostatnie nazwiska. Zanim skończyłam, przestała krzyczeć i walić. Rozmawiała z kimś głośno. W łazience był telefon! Popędziłam do szafki, schowałam akta na miejsce i wybiegłam z pokoju. Korytarzem szła recepcjonistka, próbując odciąć mi drogę ucieczki.

Odepchnęłam dziewczynę na bok, wybiegłam z biura i popędziłam korytarzem, po czym wpadłam do dużej kancelarii, mieszczącej się naprzeciwko wind. Recepcjonistka posłała mi pytające spojrzenie.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest toaleta? – spytałam.

Wyjaśniła mi, a ja podziękowałam, stanęłam przy drzwiach, które uchyliłam stopą i popatrywałam na windy, udając, że szukam czegoś w torebce. Kilka chwil później z jednej z kabin wybiegli dwaj strażnicy z pałkami w dłoniach i pognali do biura Franklina. Wskoczyłam z kancelarii prosto do windy i nie odważyłam się odetchnąć, dopóki drzwi się za mną nie zamknęły.

Kathlyn zauważyła mnie, gdy tylko weszłam do jej biura. Przedarła się przez tłum, objęła mnie i długo tuliła.

– Tak się cieszę, że to żałosne małżeństwo wreszcie się rozpadło – powiedziała, śmiejąc się, płacząc i poklepując mnie po plecach.

Pewnie okręciłyby mnie w koło, gdyby nie tłum ludzi, balansujących broszurami i miskami z zupą, i fakt, że prawdopodobnie ważyłam już więcej od niej. Odwzajemniłam uścisk.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Z każdą minutą lepiej.

Ktoś ją zawołał i dała znak, żeby chwilę poczekał.

– Posłuchaj – powiedziałam – nie chcę ci przeszkadzać. Porozmawiamy jutro przy kolacji. Teraz potrzebny mi twój gabinet.

– Należy do ciebie.

Zamknęłam drzwi wyciszonego boksu i opadłam na krzesło. Przed oczami stanęły mi sceny w biurze Franklina. Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam. Wtargnięcie na teren prywatny z włamaniem. A może włamanie z wtargnięciem? Złamałam prawo. Popełniłam przestępstwo w celu stenografowania. Panna Mumford pewnie nasłała już na mnie służby specjalne. Pójdę do więzienia. Ciekawe, czy schudnę. Chleb i woda zawierają dużo węglowodanów. Ale ten widok wyniosłej sekretarki podczas szarży, jej twarz o ostrych rysach wykrzywiona wściekłością! Uśmiechnęłam się z satysfakcją. Ten dźwięk, kiedy przeleciała koło mnie, wpadając do łazienki! Zachichotałam. Głos Franklina w słuchawce, osiagający rejestry, których nie powstydzilaby się Yma Sumac^{35*}. Teraz parsknęłam głośnym śmiechem. Kiedy po raz ostatni tak dobrze się bawiłam? Może nie było to tak spektakularne, jak ciskanie naczyniami przez Kathlyn, ale na pewno się nie nudziłam.

Do gabinetu wszedł „Szary rekin” Kathlyn, niosąc styropianowy kubek gazpacho z posypanym grzankami, kawałkami ogórka i kostkami cebuli.

– Od szefowej – powiedziała, stawiając kubek na biurku. – Kazała pani przekazać, że zupa jest niskokaloryczna i zdrowa, ale i tak powinna ją pani zjeść.

– Jacy wszyscy dziś dowcipni – mruknęłam.

Kobieta skrzyżowała ręce na fartuchu, odczekała, aż wypiję mały łyk,

i dopiero wtedy wyszła, zamykając za sobą drzwi. Ostatni posiłek, jaki jadłam, składał się z bananowego chleba zacnej pani doktor i zapewne właśnie odpadał z butów Franklina. Może to przez tę butelkę brandy, hektolitry wypitej w nocy kawy albo z braku snu, ale dopóki nie postawiono przede mną zupy, nawet nie pomyślałam o jedzeniu. Zresztą teraz też nie byłam wcale głodna, odstawiłam więc kubek na bok i przygotowawszy listę nazwisk, które spisałam z akt Franklina, zadzwoniłam do Maca.

– Nie wiedziałem, że jesteś artystką – powiedział na powitanie. Minęła chwila, zanim przypomniałam sobie uśmiechniętą buźkę, którą przykleiłam na jego monitorze.

– Mam wiele talentów. Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Mort powiedział mi, że byłaś. Pokazał mi twój artykuł o pani Payne. Jestem cholernie zazdrosny.

– O to, że tak fantastycznie piszę? – Roześmiał się, a ja zobaczyłam w myślach zmarszczki wokół jego oczu, lekko asymetryczny uśmiech, zawadiacko przekrzywioną opaskę na oku.

– Piszesz znośnie...

– Znośnie!

– ...ale ja mówiłem o tym twoim „cudzie”, o dwojgu ludziach, którzy spędzili ze sobą czterdzieści lat i przez cały ten czas tak samo się kochali.

– Och, o tym – powiedziałam.

– Tak, o tym. No i?

– Co? – Ziewnęłam szeroko.

– Nie chciałbym cię nudzić, ale to ty dzwonicz.

– Tak, przepraszam. Mało spałam. – Czyli wcale. – Chciałabym się dowiedzieć, jak można sprawdzić, czy jakaś sprawa sądowa została zamknięta.

– Jaka sprawa?

– Uszczerbek na zdrowiu.

– Lokalna?

– Tak.

– Idź do Daley Centre i... – Posłusznie zapisywałam instrukcje. – A o co chodzi?

– O nic, chcę tylko coś sprawdzić. Jak długo czeka się na akta?

– To zależy. Może to potrwać tydzień albo dłużej – jęknęłam w duchu – jeśli sprawa jest stara i będą musieli szukać dokumentów w magazynie.

– To świeża sprawa.

– W takim razie powinnaś dostać teczkę od ręki, chociaż czasami pracownicy są strasznie zagonieni. Posłuchaj, ja dzisiaj będę w sądzie i znam tam kilka osób. Jeśli podasz mi nazwisko i wytłumaczysz mniej więcej, czego szukasz, sprawdzę to dla ciebie.

Dochodziło pół do dwunastej. Pogrzeb był o drugiej, a ja jeszcze musiałam pojechać do banku. Nie miałam czasu na wyprawę do sądu, ale umierałam z ciekawości, czy Franklin okradał swoich klientów. Problem polegał na tym, czy chciałam dzielić się podejrzeniami z takim starym ogarem jak Mac. Jeśli podyktuję mu długą listę nazwisk, na pewno zacznie zadawać pytania. Może mogłabym zmylić trop, podając tylko jedno.

– No dobrze – zgodziłam się. – Być może napiszę jeszcze krótką notkę o panu Payne i chciałam zdobyć jakieś dane, dotyczące sprawy jego żony. Jak długo musieli czekać na decyzję, kiedy i w jakiej kwocie przyznano im odszkodowanie.

– Kwota odszkodowania może nie figurować w aktach.

Mogłam się założyć, że to te cyfry, które spisałam z teczki.

– Och. Cóż, interesują mnie wszystkie informacje na temat tej sprawy, a wypytywanie człowieka, któremu właśnie umarła żona, byłoby bezduszne. Dlatego pomyślałam, że sama zdobędę te dane. Nie wiem, czy je wykorzystam, ale chciałabym je mieć.

– Nie ma sprawy. Już tam jadę i będę miał informacje przed lunchem. Zjemy razem?

– Nie mogę. Jadę na pogrzeb pani Payne, a wcześniej mam jeszcze coś do załatwienia. Zadzwoń do ciebie. I, Mac, dziękuję. – Spojrzałam na notes. Pośród bazgrołów i zawijasów wielkimi literami, złożonymi z maleńkich serc, wypisałam: MAC.

Highland Bank znajdował się w połowie drogi na cmentarz. Franklin zawsze radził owdowiałym klientkom, żeby zajrzały do skrytek depozytowych, zanim pogrążą się w rozpacz. Ja nie byłam wdową i wcale nie zamierzałam rozpaczać.

O dwunastej trzydzieści otworzyłam naszą skrytkę i wyjęłam kasetkę, którą dzieliłam z Franklinem. Postawiłam oba pojemniki na stole i przełożyłam do swojego zasoby, nad którymi dotychczas wspólnie sprawowaliśmy pieczę: akcje giełdowe, obligacje, polisy ubezpieczeniowe i nasze testamenty. Testamenty. Byłam wściekła, kiedy Franklin mi tłumaczył, jakże cierpliwie, powody, dla których opracował plan wykorzystania naszych zasobów. Przecież nie chcielibyśmy, żeby stary, zły rząd zabrał wszystkie, ciężko zarobione przez Franklina pieniądze, prawda, króliczku? Nawet po śmierci mój mąż zamierzał sprawować kontrolę nade mną i dziećmi, a nieruchomościami miał zarządzać administrator, który wydzielałby nam pieniądze.

– Barbaro, widziałem kobiety pozbawione spadków przez sekty religijne, żigolaków, chybione inwestycje...

– Ja nie jestem jedną z tych kobiet.

– A twoja przyjaciółka Karen Blackstone, która odmówiła podzielenia się pieniędzmi Melvina z dziećmi?

– Te dzieci mają trzydzieści osiem i czterdzieści dwa lata. Córka nie dzwoniła do Karen od pięciu lat, a jedyną pracą zarobkową ich syna było oficjalne kibicowanie na meczach softballu podczas całego sezonu, czyli przez trzy miesiące. Melvin uzależnił dzieci od siebie, a Karen zwróciła im wolność. Czy ja kiedykolwiek postawiłam swoje potrzeby przed potrzebami dzieci?

Mimo to Franklin ułożył chytry plan, a na jego wykonawcę wyznaczył antypatycznego, nadętego i pozbawionego humoru współpracownika z kancelarii. Na szczęście wtedy jeszcze paliłam. Puff-puff. Papierosy pomogły mi poradzić sobie ze złością. Puff-puff.

Administrator zrobił jedną dobrą rzecz: poradził, żeby Franklin sporządził szczegółową listę wszystkich naszych zasobów, zawierającą akcje, inwestycje budowlane i każde źródło dochodu. Jakże troskliwie z jego strony. Była to satysfakcjonująco długa lista. Jestem pewna, że bardzo się przyda mojemu prawnikowi przy rozwodzie. Złożyłam ją starannie, schowałam do mojej kasetki i obciążyłam pięcioma srebrnymi sztabkami i rzadkimi numizmatami w małych, plastikowych pudełeczkach. Miałam nadzieję, że znajdę gotówkę. Franklin zawsze trzymał w sejfie pieniądze, czasem kilka setek, czasem kilka tysięcy. Przez lata kwota ulegała zmianie, zawsze jednak były tu jakieś pieniądze na czarną godzinę. A teraz nic. Miałam przecucie, że kampania wyborcza nadwerżyła jego aktywa bardziej, niż się spodziewał. Lady Ashley miała kosztowne pomysły, chodziło o telewizję i całostronicowe ogłoszenia w gazetach, a Franklinowi pewnie trudno było powiedzieć „nie” kobiecie, która jemu mówiła „tak”. Ostatnie przełożyłam aksamitne pudełko z biżuterią matki.

– Cześć, mamó – powiedziałam. – Ostatnio moje życie trochę się pokiełbało. – Pogłaskałam czule aksamit. – Czy twoje życie kiedykolwiek było tak skomplikowane? Babcia i tata mówili o tobie tak, jakby nigdy nie dotyczyły cię żadne problemy tego świata. Zawsze wyobrażałam sobie siebie jako anioła w białej szacie, unoszącego się nad zmartwieniami i uczuciami prawdziwych ludzi. Ale wcale tak nie było, prawda? – Za drzwiami zaskrzypiały buty starej pani Whittiker. Z kim ja rozmawiałam? – Nie mam do nich pretensji. Współczuli małej dziewczynce bez mamy. Myśleli, że chciałam, żebyś była istotą wyjątkową, w pewien sposób lepszą od prawdziwych ludzi. Jednak to, czego naprawdę potrzebowałam, czego potrzebuję teraz, to wiara, że byłaś żywym, zwyczajnym człowiekiem, z wadami, bliznami i nieczystymi myślami. Że czasami życie cię przerastało i że ty i tata mieliście swoje problemy, jak wszyscy inni, i bardzo cię przepraszam, że zajęło mi tyle lat, żeby poznać ciebie i żeby poznać siebie, ponieważ musiało ci być ciężko być wielbioną, kiedy wszystko, czego pragnęłaś, to być kochaną. – Schowałam pudełeczka do kasetki i zatrzasnęłam wieko. – Kocham

cię – powiedziałam. – I mam, rozejrzyj się za Lucindą Payne. Ona też była naprawdę wyjątkową kobietą.

Na górze podeszłam do osobistego doradcy bankowego.

– Zupełnie nie wiem, jak to się stało, ale skończyły nam się чеки, a zapomnieliśmy zamówić nowe – powiedziałam. Och, jaki ze mnie głuptasek. – Potrzebujemy około dwudziestu pięciu sztuk, zanim dostaniemy nową książeczkę. – Podałam numer konta biura wyborczego i poczekałam, aż kobieta porówna mój podpis z podpisem osoby, która otworzyła rachunek. Dziesięć minut później jechałam na pogrzeb z dwudziestoma pięcioma pustymi czekami, schowanymi bezpiecznie w portfelu. To, czy je wykorzystam, zależało od tego, co znajdę – lub nie – w aktach sądowych.

34 Cadbury – firma produkująca słodczy i napoje.

35 Yma Sumac (1922–2008) – peruwiańska śpiewaczka i aktorka, obdarzona pięciooktawową skalą głosu.

W centrum starego cmentarza stała miniatura Łuku Triumfalnego. Od kwadratowej, kamiennej budowli rozchodziły się promieniście alejki, dzieląc nekropolię na klinowate sekcje, które z biegiem lat zostały zdominowane przez różne religie. Chociaż koniec końców bogaci i biedni, czarni i biali współczystowali na wieczność w jednej kwaterze, najbliżej Boga.

Przyjechałam pierwsza i czekałam w samochodzie do czasu, gdy już nie mogłam znieść upału. Może pozostali żałobnicy byli już w środku, tylko przyszli pieszo. Weszłam do budynku. Był pusty, tylko zamknięta trumna Lucindy stała na przypominającym nasze metalowym rusztowaniu na kółkach. Pracownikom cmentarza korona by z głowy nie spadła, gdyby zasłonili pręty kawałkiem materiału. Gdy szłam do trumny, moje kroki odbijały się echem od marmurowej podłogi i ścian. Przy głowie, w prawie dwumetrowych, złotych świecznikach stały dwie ogromne świece.

– Przykro mi, że nigdy cię nie poznałam – powiedziałam cicho.

Trumna miała wykończenie w kolorze błękitnego marmuru, przypominającego kule do kręgli. Dotknęłam go, spodziewając się chłodnego kamienia, ale pod palcami poczułam ciepły plastik. Usłyszałam samochód i po chwili podeszły do mnie cztery kobiety. Sąsiadki, jak powiedziały. Inni też chcieli być na pogrzebie, ale, widzi pani, wszyscy pracują. Wszedł puciołowaty pastor, a zaraz za nim pan Payne, który na mój widok uniósł obwisłą twarz. Uścisnęliśmy się, oferując sobie nawzajem pocieszenie. Payne powitał każdą kobietę po imieniu i podziękował za przyjście. Za naszymi plecami pastor zaczął wzdychać i szeleścić stronami Biblii jak niecierpliwy rodzic, czekający na marudzące dzieci. Ujęłam wdowca pod ramię i razem podeszliśmy do trumny.

– To nie jest nasz pastor – wyszeptał pan Payne. – Nasz pojechał na rok do Peru. Był miłym człowiekiem, na pewno zasmuci go wieść o Lucindzie. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli tego klechę. Nie można powiedzieć, żeby miał kogokolwiek pocieszyć.

Pastor natychmiast zaczął. Nie znał pani Payne i nie zadał sobie trudu, żeby czegokolwiek się o niej dowiedzieć. Jednostajnym głosem wyrecytował puste frazesy o kobietach, które nie przypominały żadnej z tych, jakie znałam, a już na pewno nie Lucinę Payne. Potem równie monotennie odczytał modlitwy. Nie mogłam oderwać oczu od maleńkich guzików kamizelki, opinającej się na okrągłym brzuchu duchownego. Mężczyzna lubiący nieczyste praktyki seksualne, który dłubie w nosie w iluzorycznej samotni swego auta, w klubie opowiada seksistowskie i rasistowskie dowcipy i z równym brakiem wyrzutów sumienia

oszukuje zarówno urząd skarbowy, jak i żonę. Gdy zamilkł, poczułam ulgę.

– Możemy już iść – dodał, popędzając nas ruchem ręki.

– Chciałbym złożyć ją do grobu – powiedział pan Payne. Ścisnęłam go za ramię.

– To może chwilę potrwać – odrzekł pastor, już nie tak uprzejmie.

– Ja mam czas – odparł pan Payne. – A za pastora czas płacę. – To był pan Payne, na którego skarżył się mój mąż, człowiek, który znał swoje prawa i upominał się o nie, wrzód na Franklinowym tyłku. Wyprowadził mnie z chłodnego budynku w żar sierpniowego popołudnia.

– Założę się, że Lucinda kochała pana przynajmniej tak samo, jak pan ją – szepnęłam.

– Bez wątpienia sprawiała takie wrażenie.

Pastor minął nas w pośpiechu i machając do pracowników domu pogrzebowego, przeciął sekcję żydowską i katolicką. Pan Payne i ja czekaliśmy przy grobie zatopieni we własnych myślach. Ostatni raz byłam na cmentarzu na pogrzebie Saryjane. Kościół wypełniały setki żałobników, ksiądz płakał tak, że nie mógł dokończyć mszy, a członkowie rodziny czytali ulubione wiersze zmarłej i wspominali wspólne chwile. Później słyszałam, jak Stanford mówił do słodkiej dziewczuszki dobrze poniżej dwudziestki:

– Och, tak – westchnął dwa razy i udał, że ociera oczy – w kondukcje pogrzebowym jechało siedemdziesiąt pięć samochodów.

Był to pogrzeb Saryjane, jego żony, a on liczył auta.

Dołączyli do nas pracownicy cmentarza i usunęli płat sztucznej trawy, przykrywający wielką dziurę, w której miały spocząć doczesne szczątki pani Payne. Potrwało chwilę, zanim ustawili nosze w odpowiedniej pozycji nad grobem. Kiedy czekaliśmy, pod cmentarz podjechała taksówka, z której wysiadł Mac. Z wielkości plam potu na jego koszuli wywnioskowałam, że samochód nie miał klimatyzacji.

– Cieszę się, że zdążyłem – powiedział, ściskając dłoń wdowca. Przedstawił się i wyjął z kieszeni wycinek. – Pomyślałem, że może zechciałby pan przeczytać nad grobem artykuł Barbary o pana żonie.

Pan Payne wziął artykuł i próbował go czytać, ale mały druk okazał się zbyt wielkim wyzwaniem dla jego pełnych łez oczu i drżących dłoni.

– Mogłaby pani to zrobić? – poprosił, podając mi wycinek.

– Będę zaszczycona.

I gdy opuszczano trumnę do grobu, czytałam głośno historię życia i miłości pewnej kobiety i tego maleńkiego skrawka wszechświata, który zamieniła w niebo dla siebie i męża. Napisanie tych słów było dla mnie morderczym wysiłkiem, a ich przeczytanie graniczyło z niemożliwością. Raz po raz głos mi się załamywał, kiedy starałam się opanować łzy.

Gdy skończyłam, nadal trwała cisza. Nawet grabarze zatrzymali się, żeby posłuchać. Nie pochlebiałam sobie, że to moje słowa tak na nich podziałały, taki wpływ wywarło na nich piękno jej życia. Opuścili delikatnie trumnę, po czym cofnęli się o krok.

Pan Payne wziął ode mnie artykuł, podszedł do grobu i rzucił wycinek na wieko.

– Teraz poznają cię wszyscy w Chicago – powiedział. – Poznają cię i pokochają. – Spojrzał w oczy pastorowi. – I mam nadzieję, że uważnie pan słuchał, pastarze, ponieważ tak właśnie powinno się żegnać zmarłych.

Wziął garść ziemi i rzucił na trumnę. Mac i ja zrobiliśmy to samo. Odprowadziliśmy pana Payne'a do jego wraka, pożegnaliśmy się i patrzyliśmy, jak odjeżdża. Samochód odpalił z rykiem, wyrzucając z rury wydechowej kłęby czarnych spalin.

– Facet nie ma zbyt dużych wymagań – zauważył Mac, kładąc mi rękę na ramieniu. Niewiele myśląc, ujęłam jego dłoń. Ścisnął moją rękę, a ja odwzajemniłam uścisk.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziałam. – Ten artykuł odmienił całą ceremonię.

– Pomyślałem, że może trochę ułatwi mu ten dzisiejszy dzień. Z tego, co wyczytałem w aktach sądowych, wynika, że razem z żoną wiele przeszli przez te ostatnie lata.

– Widziałeś akta? – Zanim zdążyłam się opanować, w moim głosie zadźwięczał entuzjazm, zbyt duży jak na jakieś nieważne informacje. Co nie umknęło uwadze Maca.

– Tu mam kopie. – Poklepał się po kieszeni marynarki.

– Czy mogę je dostać?

– Niestety nie – powiedział. – Nie sprzedaję się tak tanio. Jeśli chcesz informacji, musisz płacić. Cena wynosi podwiezienie do domu.

– Wskakuj – zaprosiłam go, pocąc się nie tylko z upału. – Możesz czytać po drodze.

Czterdzieści minut później podjechałam pod Lincoln Park. Wśród danych, zdobytych przez Maca, nie mogłam się doszukać ani jednej informacji, która stanowiłaby niezbity dowód, że Franklin nie jest złodziejem. Według akt sprawa toczyła się przez dwa lata, a stawką było odszkodowanie w wysokości pięciu milionów dolarów. Jak wynikało z dołączonej notatki, postępowanie zostało zamknięte cztery miesiące temu, brak było jednak wzmianek o jakichkolwiek sumach. Czulałam, że Mac, dawkując informacje, uważnie mnie obserwuje, przybrałam więc jak najbardziej obojętny wyraz twarzy. To nie miało sensu. Nikt

nie zamyka sprawy, jeśli praktycznie ma w kieszeni odszkodowanie. Nikt oprócz prawnika, który startuje w wyborach i natychmiast potrzebuje gotówki. Sukinsyn.

Samochody wlekły się wzdłuż Fullerton, kierowcy gapili się na młode dziewczęta idące nad jezioro. Z mojego kaftana można by wykroić setki ich bikini, a także torby plażowe do kompletu. Skręciłam w lewo, minęłam Ambrię, Un Grand Cafe i inne restauracje, do których tak lubiliśmy chodzić z Franklinem, kiedy jeszcze byliśmy piękną parą. Puff-puff. Moja kolacja składała się wtedy z przystawki, sałaty i deseru. Puff-puff. Popitych tylko kieliszkiem lub dwoma najbardziej wytrawnego białego wina z odrobiną wody sodowej. Puff.

– To tutaj – powiedział Mac. Zatrzymałam się przed starym budynkiem z widokiem na park pomiędzy ogrodem botanicznym a zoo. – Jesteś bardzo milcząca. – Nie wykonał żadnego ruchu, żeby wysiąść z auta.

– Miałam ostatnio ciężkie dni.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Pokręciłam głową. Potrzebowałam czasu do namysłu. Zamierzałam przedstawić Franklinowi wszystko, czego się dowiedziałam, i dać mu ostatnią szansę na wytłumaczenie się z tego, co zrobił. Co, jak sądziłam, zrobił. Może coś mi umknęło. Może tuż pod nosem miałam w pełni logiczne wytłumaczenie. Może zareagowałam zbyt gwałtownie.

– I znowu to robisz – powiedział Mac. Zdałam sobie sprawę, że patrzyłam gdzieś w dal, na wskroś przez niego. – Chodź na chwilę na górę. Pozwól mi się pochwalić nowym mieszkaniem.

– Nie mogę. Muszę wracać do domu.

– Pięć minut. Zrób to dla mnie.

– Mac, w tej okolicy nie było wolnego miejsca do parkowania od wielkiego pożaru³⁶. – Jakby na zawołanie przed moim autem przedefilowała rodzina, dzieci nios-ły balony z zoo, rodzice trzymali się za ręce. Wszyscy wsiedli do samochodu zaparkowanego przed nami i odjechali. Spojrzałam na Maca, wzruszając ramionami.

– Cuda się zdarzają – podsumował.

Gdy tylko weszliśmy do mieszkania, odstawił kulę na bok.

– Teraz już używam jej głównie jako rekwizytu do wzbudzania współczucia.

– A we mnie nie chcesz go wzbudzić?

– Wśród tego wszystkiego, czego od ciebie chcę, Barbaro, współczucie nie znajduje się nawet w pierwszej setce.

Uciekłam do salonu.

– Wygląda, jakbyś mieszkał tu od zawsze – powiedziałam, obchodząc wielkie, miękkie meble i oglądając zajmującą całą ścianę kolekcję minerałów, indiańskich naczyń i lalek. Mac stał w progu i patrzył, jak udaję, że czytam tytuły książek, zamkniętych za witrażowymi drzwiczkami. Nie powinnam tu się

znajdować. Nie byłam jeszcze na to gotowa.

– Podoba ci się?

Podskoczyłam na dźwięk jego głosu.

– A co tu może się nie podobać?

– Chodź, pokażę ci resztę.

To było stare mieszkanie, do którego wchodziło się przez salon, a potem długi korytarz z lśniąca sosnową podłogą prowadził do kuchni. W następnym pokoju Mac urządził warsztat szlifierski, był tu bęben, pasy papieru ściernego i stół, zarzucony wysłużonymi narzędziami. Na półkach pod ścianami stały pudełka mniejszych kamieni, dostrzegłam wśród nich opale, kwarc i mnóstwo innych, których nie rozpoznawałam. W wielkich skrzyniach na podłodze leżały niepocięte kawały skał, a w pudełkach metalowe bolce, fragmenty biżuterii i mały palnik acetylenowy.

Sypialnia Maca wyglądała zachęcająco. Sam zrobił podwyższenie na ogromne łóżko i półki za zagłówkiem, na których stały książki i lampka do czytania. Szukałam śladów jakiejś kobiety, ale żadnych nie znalazłam. Gust czytelnicy miał eklektyczny: kryminały Kaminsky’ego i Craiga, biografie przestępców i sportowców, sterty „Sports Illustrated”, seria dołączanych do gazet książeczek „Zrób to sam”, filozofia. W nogach łóżka leżała złożona letnia kołdra, w głowach cztery pulchne poduchy. Nie spałam od prawie dwóch dni. Łóżko wzywało mnie jak nirwana, chciałam tylko zwinąć się w chłodnej pościeli i spać.

Zmusiłam się, żeby wyjść z pokoju. Ominęliśmy łazienkę i zajrzeliśmy do ostatniego pokoju, gabinetu, wyposażonego w biurko, komputer i encyklopedie.

– Nie jadłem lunchu – powiedział Mac, prowadząc mnie do kuchni.

Powyjmował z lodówki mnóstwo produktów i ułożył je na klocu masarskim, stojącym na środku pomieszczenia. Usiadłam na stołku z wysokim oparciem i obserwowałam, jak się krzątał. Otworzył butelkę burgunda i nalał nam po kieliszku.

– Za mojego pierwszego gościa – powiedział, stukając kieliszkiem o mój.

– Pierwszego? – zapytałam. – Słyszałam, że masz dziewczynę.

Roześmiał się.

– Sam rozpuściłem tę plotkę, żeby trzymać miłe panie z pracy na dystans, nie raniąc ich uczuć.

– W takim razie jestem zaszczyczona – powiedziałam. – Za twój nowy dom.

– Za dobrych przyjaciół.

Spletliśmy ręce i wypiliśmy wino. Gdy opuściłam kieliszek, Mac musnął chłodnymi wargami moje usta.

– Mac.

– Jesteśmy przyjaciółmi – zapewnił niewinnie i zaczął kroić, siekać, ucierać.

Jeszcze raz napełnił kieliszki, które znów opróżniliśmy i kazał mi otworzyć

drugą butelkę, żeby wino pooddychało. Podsmażał cebulę z czosnkiem, kiedy niezłagodzony jedzeniem alkohol uderzył mi wprost do głowy.

– Przepraszam na chwilę... – powiedziałam, próbując z godnością opuścić kuchnię.

Zamierzałam pójść do łazienki, żeby spryskać zimną wodą twarz, kark i nadgarstki, jednak moje nogi wiedziały lepiej i poprowadziły mnie prosto do sypialni. W ostatnim przebłysku świadomości podeszłam do łóżka i zwałam się na nie twarzą w dół jak świeżo ścięte drzewo.

Kawa. Cykoria. Grzanki. Mmmmm. Właśnie takie zapachy powinny budzić człowieka. Babcia musiała wstać wcześniej, żeby wyprawić tatusia do pracy. Dziwny zapach na poduszce. Nie mój. Obce dźwięki w pokoju. Szum klimatyzacji, odległa muzyka. Ktoś śpiewa. Otworzyłam oczy. Jaskrawe słońce igrało w kryształkach, zawieszonych przy oknie, po ścianach tańczyły małe tęcze. Przykryłam twarz poduszką.

– O, jak dobrze, że wstałaś.

– Wcale nie wstałam.

Mac ściągnął poduszkę, przyjrzał mi się uważnie, po czym położył ją z powrotem.

– Masz rację – przyznał. – Niektóre rzeczy powinny pozostać zakryte.

– Dzięki.

– Masz dokładnie pięć minut na zrobienie tego, co robisz rano w łazience.

– A co potem?

– Śniadanie w salonie.

Wyszedł, a ja odczekałam aż ucichną jego nierówne kroki, po czym pomknęłam do łazienki.

Stare lustro w łazience pokrywała patyna lat, ale nawet miękka mgiełka nie zdołała zamaskować moich oczu szopa pracza z czarną otoczką od rozmazanego tuszu do rzęs, a także twarzy opuchniętej po nie wiadomo ilu godzinach snu. Przejrzałam szafkę w poszukiwaniu zestawu naprawczego.

Mac zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie nie masz płynu do demakijażu?

– Akurat się skończył. – Odkuśtykał, by zająć się tym, co tam robił.

Pochyliłam się nad umywalką i przekrzywiłam głowę, patrząc na swoje odbicie.

– Może nie wyglądasz wspaniale, Barbaro, ale jesteś, kim jesteś. I posłuchaj starej przyjaciółki, tak jest okey. – Uśmiechnęłam się do siebie, a potem wykrzywiłam twarz w groteskowym grymasie. – A jeśli to kupiłaś, skarbie, to w Brooklynie jest pewien most w sam raz dla ciebie.

Solidne porcje wazeliny w końcu usunęły zaschnięty tusz. Umyłam twarz i posmarowałam cienką warstwą maści. Jedyne grzebienie, jakie udało mi się znaleźć, miał cieniutkie zęby, które natychmiast zaczęły się łamać w zetknięciu z moją burzą loków. Pod umywalką znalazłam nierozpakowaną szczoteczkę i akurat szorowałam zaciekle zęby, kiedy Mac znowu zapukał do drzwi.

– Zostało ci dziesięć sekund – obwieścił. Przeplukałam usta i wypłułam wodę. – I chyba pod umywalką jest nowa szczoteczka do zębów.

– Za późno – odpowiedziałam. – Już użyłam twojej.

Odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Śniadanie było wspaniałe. Świeże truskawki, jogurt, ciepłe muffinki z otrębami i hektolitry gorącej kawy. Siedzieliśmy przy niskim stole na podłodze w salonie. Dochodziła szósta rano. Przespałam piętnaście godzin.

– Doskonały komplement dla męskiego ego – powiedział Mac.

– Powinno ci pochlebiać, że czuję się przy tobie tak swobodnie. Sam rozumiesz, nie u każdego w domu zapadam w sen zimowy.

– Ominęło cię pyszne linguini z małżami. Nie byłem pewien, czy powinienem cię budzić. – Wbił wzrok w kubek z kawą. – Ale pomyślałem, że może Franklin martwi się, gdzie jesteś.

– Wyjechał z miasta – powiedziałam, zbyt głośno i zbyt szybko.

– Zbiera fundusze. Tak, wiem. Pomyślałem, że jeśli spróbuje się do ciebie dodzwonić, a ciebie nie będzie w domu...

– Ale mnie nie obudziłeś.

– Nie. – Wyciągnął rękę i nawinął na palec jeden z moich loków. Wszystkie nerwy w moim ciele stanęły na baczność. – Bardzo długo siedziałem na brzegu łóżka i patrzyłem na ciebie, myśląc, że powinienem cię obudzić. – Przesunął kciukiem po moim policzku i ustach. Pocałowałam go w czubek palca. Nie wiem, które z nas było tym bardziej zaskoczone. – Ale gdybym cię obudził, pewnie byś pojechała do domu. – Ujął moją twarz w dłonie. – A ja chciałem, żebyś została. – Pocałował mnie w lewe oko. – Chciałem obudzić się razem z tobą. – Pocałował mnie w prawe oko. – Chciałem, żebyś ty obudziła się przy mnie.

Jego usta na moich były ciepłe i och, takie miękkie, kiedy delikatnie kładł mnie na dywanie. Przyciągnęłam go do siebie, zamykając oczy, czułam jego cudownie szorstką dłoń sunącą w górę po mojej nodze, pieszczącą mnie, dotykającą, głaszczącą. Przeszywał mnie prąd. Poruszyłam się niespokojnie w obszernym kaftanie. Mac chyba wyczuwał, że jeszcze nie byłam gotowa, by się przy nim rozebrać i nie wykonał żadnego gestu, żeby go ze mnie zdjąć.

Miał cudowne dłonie. Na początku wstrzymywałam oddech przerażona, że nie spodoba mu się moje ciało, i nagle przerwie, przypomniawszy sobie, że natychmiast musi gdzieś iść. Na przykład do dentysty. Jednak on nadal mnie dotykał, i jeszcze, i jeszcze i zaczęłam się roztopiać w tym dotyku, pozwoliłam, by

pochłonęła mnie jego magia.

Usłyszałam dźwięk rozdieranej folii i otworzyłam oczy akurat w chwili, gdy Mac rozerwał zębami opakowanie z prezerwatywą. Brałam pigułki, odkąd skończyłam dziewiętnaście lat i nigdy nie widziałam, jak mężczyzna używa kondoma. Teraz obserwowałam go, po części zafascynowana całym procesem, a po części nie mogąc uwierzyć, że naprawdę mam zamiar to zrobić. Mac zauważył, że na niego patrzę i puścił do mnie oko.

– Chcesz pomóc?

– Tak.

Jak ludzie mogą narzekać, że prezerwatywy psują radość z seksu? Mac ukląkł obok mnie, a ja głaszcząc go, nałożyłam mu prezerwatywę. Była to jedna z najbardziej podniecających chwil w moim życiu.

– Jesteś tego pewna, Barbaro?

– Cały czas czekam na choćby cień odczucia, że to złe – powiedziałam – i nic. W tej chwili żałuję jedynie, że nie zrobiliśmy tego, kiedy byłam szczupłą.

Roześmiał się, pocałował mnie i położył się obok. Kochaliśmy się z łapczywą niecierpliwością. Do diabła z grą wstępną, możemy zająć się tym później. Teraz chciałam czuć go głęboko w sobie, a on pragnął we mnie być. Och, to cudowne uczucie, kiedy we mnie wszedł, gdy mnie wypełnił, aż znowu stałam się całością. To samo ciało, którym Franklin nie potrafił sterować, żeglowało swobodnie z Makiem. Zatraciłam się w jego dotyku, zapachu, westchnieniach i pożądaniu, dopóki nie krzyknął, cały drżąc. Przytuliliśmy się mocno, śmiejąc się i całując, a ja nie mogłam nasycić się jego ciałem. Po chwili Mac zasnął z głową na mojej piersi. Po podłodze skradały się promienie słońca, podświetlając miękkie włoski na jego nogach, krople potu na piersi. Pocałowałam go w czoło, we włosy i też zapadłam w sen.

Obudził nas telefon. Aparat stał na stoliku tuż przy mojej głowie. Sięgnęłam po słuchawkę i podałam Macowi.

– Kiedy? – Usiadł, pokazując mi, bym podała mu ołówek i notes. – Dobrze. Dobrze. Rozumiem. Będę za dwadzieścia minut. – Oddał mi słuchawkę i pocałował mnie w nos.

– Właśnie znaleźli ciało Frankiego Lorenzo w bagażniku samochodu, zaparkowanego na lotnisku. – Zapiął koszulę, zasunął rozporek. – Przechodnie poczuli jakiś smród.

– Och! – Przykryłam twarz poduszką. Odsunął ją i pocałował mnie, patrząc wzrokiem tak pełnym miłości, że aż poczułam ból. Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby ktokolwiek kiedykolwiek tak na mnie patrzył. Choćby raz w życiu. Bez względu na to, ile miał oczu.

– Poczekasz tu na mnie? – zapytał.

– Żartujesz? Mam mnóstwo spraw do załatwienia.

Roześmiał się.

– Czy to oznacza „tak”?

– To oznacza „nie”. I nie patrz na mnie w ten sposób.

– Jesteś zła, że wychodzę.

– Nie myl mnie ze swoją byłą żoną. Wiem wszystko o tej robocie. Nic, co mogłabym ci zaoferować, nie może się równać z podziurawionym kulami ciałem, gnijącym w bagażniku.

– Zadźgano go nożem.

– Wszystko jedno. Ale nie tylko ty masz pracę. Poza tym wciąż jesteś mi winien kolację i zamierzam odebrać dług.

– Dziś wieczorem – powiedział. – Poczekaj chwilę. – Otworzył szufladę biurka i rzucił mi klucz. – Wróć o szóstej. Zadzwoń, gdyby coś się zmieniło. – Jeszcze jeden pocałunek i już go nie było.

Jeśli Mac miał żelazko, to dobrze je ukrył. Nie mogłam sobie pozwolić na stratę dwóch godzin tylko po to, żeby jechać do domu po czyste ubranie, a potem znowu odbyć tę samą drogę do sądu. Zresztą para z prysznicą wygładziła większość zagnieceń na kaftanie, który w nocy służył mi jako nocna koszula. Myłam się powoli, namydlając każdą część ciała ogromną gąbką, która w dotyku przypominała dłonie Maca.

O ósmej czterdzieści pięć stałam na przystanku autobusowym. Zakochałam się we wspaniałym mężczyźnie, pomyślałam, uśmiechając się do siebie, a on kochał mnie. Jak cudownie było mieć taką tajemnicę. Celowo zostawiłam samochód przed domem Maca. Nawet jeśli w ciągu dnia odzyskam zdrowy rozsądek, co było bardzo prawdopodobne, i tak muszę wrócić po auto. I zanieść Macowi klucz. A jak już wejdę do mieszkania... Czasami trzeba zmusić się, żeby zrobić to, co – jak podpowiadał mi instynkt – dla mnie najlepsze. Tak jak Mac. Wciąż byłam w szoku, jak łatwe okazało się to wszystko, jak właściwa wydawała się miłość z nim. Kto by pomyślał?

Nadjechał zatłoczony autobus i kierowca musiał długo prosić pasażerów, żeby się cofnęli, by wszyscy się zmieścili. Dotrę do sądu, akurat gdy otworzą biuro. Nie miałam pojęcia, jak długo potrwa wyszukanie akt osób, których nazwiska wykradłam z prywatnego archiwum Franklina, ale coś mi mówiło, że jest coraz mniej czasu. Skoro Franklin już wiedział, że szukałam czegoś w jego biurze, za wszelką cenę będzie próbował się dowiedzieć, co kombinuję. A jak już się dowie, zrobi wszystko, żeby mnie powstrzymać.

36 Wielki pożar Chicago wybuchł w 1871 roku.

W oknach Daley Center ujrzałam odbicie szczęśliwej kobiety z idiotycznym uśmiechem na nieumalowanej twarzy. Tata zawsze mówił, że jestem fatalną pokerzystką. Dopiero kiedy jechałam windą na ósme piętro, zdałam sobie sprawę, że mogą mnie w ogóle nie dopuścić do akt. Mac twierdził, że dokumenty są ogólnie dostępne, ale on spędził tyle lat na kopaniu w miejscach takich jak to, dając dolara to tu, to tam, że pewnie używał sztuczek, z których sam nie zdawał sobie sprawy.

Zgodnie z jego instrukcjami skręciłam w prawo i minęłam długą ladę, na której stały komputery. Wzięłam kartkę, wypisałam na niej numery spraw, wynotowane w biurze Franklina, i wróciłam do lady.

Urzędnikowi udzielił się mój nastrój, uśmiechał się i żartował, wyciągając teczki, jedną po drugiej. Nie mogłam się doczekać, żeby do nich zajrzeć, ale on trzymał wszystkie przy sobie, dopóki nie zebrał całego kompletu. Dopiero wtedy przeszedł na koniec lady i podał akta kobiecie, siedzącej przed komputerem.

– Pani z jakiej kancelarii? – zapytała, wpisując numery spraw. Mac nic nie mówił, że będę musiała powołać się na jakąś kancelarię.

– Ja... z żadnej. To znaczy, nie jestem prawnikiem. Widzi pani...

– Teczki nie wolno wносить poza to pomieszczenie – przerwała mi, niezainteresowana historią mojego życia. – Może pani usiąść przy stole, przejrzeć je i oddać nam, kiedy pani skończy.

– Dziękuję. – Wzięłam teczki i wybrałam miejsce, przygotowując się na długą lekturę.

Wszystkich dwanaście spraw zostało zamkniętych w przeciągu ostatnich kilku lat, większość w ciągu ostatnich miesięcy. Teczki zawierały wiele dokumentów, z których najciekawszym była lista żądań, złożonych przez Franklina w imieniu jego klientów przed rozpoczęciem postępowania. Dla Lucindy Payne domagał się odszkodowania w wysokości pięciu milionów dolarów. Sprawdziłam kwotę, którą spisałam z akt w jego biurze. Przy małym ptaszku, oznaczającym zamkniętą sprawę, było nabazgrane: „dwieście tysięcy”. Jeśli dobrze wszystko rozumiałam, sprzedał Lucindę za ułamek tego, ile była warta, i nigdy nie dał jej ani centa.

Reszta spraw dotyczyła o wiele mniejszych odszkodowań, od piętnastu do trzydziestu tysięcy, i każda zakończyła się przyznaniem o wiele niższych kwot. Może Franklin wybrał akurat te przypadki, żeby nie zwracać uwagi partnerów. Kilka zaginionych tysięcy można było bez trudu ukryć w kancelarii, która corocznie zajmowała się odszkodowaniami opiewającymi na miliony dolarów.

Data w aktach Lucindy Payne wskazywała, że jej sprawa została zamknięta pierwsza. Pewnie dzięki niej mój mąż miał pieniądze na rozpoczęcie kampanii. Potem zamykał kolejne sprawy, kiedy brakło mu funduszy, których ostatnio wydawał się potrzebować coraz więcej – trzy sprawy zamknięte w zeszłym miesiącu – zapewne głównie na realizację kosztownych pomysłów Ashley. Ona chciała zrobić karierę, a Franklin chciał jej. Wszystko układało się całkiem gładko. Im więcej się dowiadywałam, tym więcej emocji we mnie narastało, byłam coraz bliższa eksplozji. W południe miałam zapisane informacje dotyczące wszystkich dwunastu spraw i oddałam akta. Wysłałam z Daley Center i opuściłam ziemię.

Wychodzisz za mąż za faceta, pełnego siły i mocy, z pasją i energią, ponieważ taki był twój ojciec i właśnie te cechy podniecają cię bardziej niż cokolwiek innego na świecie, chwytasz się poły płaszcza swojego mężczyzny i trzymasz, jakby od tego zależało twoje życie. A ponieważ on strasznie się spieszy, żeby stać się wielkim, sławnym lub potężnym człowiekiem albo najprawdopodobniej wszystko to naraz, a na świecie nie ma zbyt wielu ludzi generujących ten rodzaj energii, który sprawia, że wszystko dzieje się zgodnie z ich zamierzeniami, dwoisz się więc i troisz, robiąc to, co powinny robić żony wielkich ludzi, co robiłaby twoja matka. Próbujesz dotrzymać mu kroku i stworzyć idealny dom, żeby miał niebo, do którego będzie wracał wieczorem, miejsce, w którym jest kochany, gdzie jest królem i gdzie wszyscy mówimy mu, jaki jest cudowny. Czyż tatuś nie jest cudowny i mądry?! On nam wierzy, i w jakiś magiczny sposób to staje się prawdą i sprawia, że on może wyjść w świat i robić wszystko najlepiej, jak tylko potrafi. A ty wiesz, że naprawdę na wiele go stać i przez cały ten czas jesteś tak bardzo wdzięczna, że możesz mieć swój udział w jego sukcesach, które są twoimi sukcesami. Czyż nie zazdroszczą nam wszyscy, których znamy? Piękni, odnoszący sukcesy, znani państwo Avers, jaka to idealna para. Chociaż ostatnio mieli kilka maleńkich problemów, ale któż ich nie ma, i jakaż szkoda, słyszałaś, że on okrada biedaków, by nie być zmuszonym do porzucenia z tego wspaniałego stylu życia, z którym tak mu wygodnie i tak bardzo mu do twarzy.

Nie pamiętam, jak wsiadłam do autobusu ani jak z niego wysiadłam, nie pamiętam, jak kupiłam paczkę orzeszków i usiadłam na ławce w zoo. Możliwe, że w tym czasie zamordowałam siedmioosobową rodzinę albo wypróżniłam się na ulicy. Gdyby mnie aresztowano, nie miałabym nic na swoją obronę.

– Przykro mi, wysoki sędzie, wpadłam w czarną dziurę tak głęboką, tak wszechogarniającą, że przestałam istnieć. Nie pamiętam nic z czasu między wyjściem z Daley Center a chwilą, kiedy zaczęła mnie bezdomna kobieta.

– Była pani w stanie szoku?

– W stanie szoku? Co za mdłe, żałosne i nieadekwatne określenie. Jak można go użyć, żeby opisać niesamowity, wszechogarniający, absolutnie odmienny stan, w którym się znalazłam. Nie byłam w żadnym stanie szoku. Byłam... Nie, mnie

nie było. Całe moje jestestwo zostało wciągnięte w przeszłość, tak że tam, gdzie powinnam być, nic ze mnie nie zostało. Moje życie się nie rozpadło, zniknęło. Przez te dwie czy trzy godziny, o których mówimy, po prostu mnie nie było. Nie istniałam. Nadal bym tam tkwiła...

– Gdzie?

– W nicości, gdyby uderzenie tej bezdomnej kobiety nie przywróciło mnie do rzeczywistości.

– Była pani dla niej bardzo nieuprzejma.

– Tak, cóż, zaczęła mnie w złym momencie.

– Psze pani! – Ktoś walił mnie w ramię. – Psze pani!

Łup, łup. Poczulałam oddech z miejskiego śmietnika, moje ramię przeszył ostry ból. Ktoś musiał mnie szturchać od dłuższego czasu.

– Psze pani, jest tam pani?

Czarna kurtyna uniosła się, ukazując biały dzień. Moje oczy, szeroko otwarte, wpatrywały się w jakiś przedmiot, który miałam przed sobą. Moja ręka. Wyprostowana przede mną jak w pośmiertnym stężeniu, trzymająca orzeszka. Dlaczego, u diabła, trzymałam orzeszka? Naprzeciwno mnie chwiejnie spacerowały słonie. Zoo. Byłam w zoo i wyciągałam orzeszka do słonia.

– Psze pani! – Łup, łup.

– Przestań! – wrzasnęłam, zamachnęłam się ręką z orzeszkiem i zrzuciłam moją prześladownicę z ławki. – Zostaw mnie w spokoju!

Kobieta skuliła się na ziemi, drżąc kupka niedopasowanych ubrań. Roztarłam obolałe ramię. Przewodnik wycieczki odgonił od nas grupę podopiecznych.

– Po jaką cholere mnie bijesz?

– Nie jadła pani swoich orzeszków.

– A co cię to obchodzi?

– Pani ich nie jadła. Zwierzęta ich nie jadły. Pomyślałam, że ja mogłabym je zjeść. Mogłam je ukraść, a pani by nawet nic nie zauważyła. Pani nie było.

– Racja. – Skąd ona wiedziała? – Ale już wróciłam.

– Więc?

– Więc?

– Co z tymi orzechami?

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że trzymam na kolanach pełną torbę orzeszków ziemnych.

– Pewnie. – Podałam jej torebkę.

Przecież nie będzie mi brakowało tego, o czym nie wiedziałam, że to mam. Jak klienci Franklina, prawda? Czy komuś stała się krzywda?

– Masz rację, mogłaś je ukraść. – Pomogłam kobiecie usiąść z powrotem na ławce. – Ale ty jesteś uczciwa, masz charakter i zasady moralne.

– Cholerna racja. – Przegryzła orzecha tylnymi zębami. Przednich nie miała. Wyjęłam z portmonetki dwudziestkę i wetknęłam jej do kieszeni.

– To za uczciwość – powiedziałam. – Powinna być nagradzana. A nieuczciwość karana.

– Cholerna racja.

W drodze do Maca zajrzałam do sklepu spożywczego, ponieważ marzyłam o pasztecie, brie, naleśnikach ze szpinakiem i chrupiącej bagietce. Nie jadłam nic od szóstej rano i zaczynały się pode mną uginać kolana. Mój sklepowy wózek sam przerzucił się na autopilota i ruszył w stronę ciastek, ale wdepnęłam hamulec przy jogurtach. Mały kubeczek naturalnego jogurtu powinien pomóc mi przetrwać do powrotu Maca. Chciałam zachować apetyt na kolację, jaką przyszykuje. Wzięłam kilka puszek dietetycznych napojów, nie wiedząc, czy miał jakieś w domu. Czułam się dziwnie, nie wiedząc, co lubił, a czego nie. Tak wiele będę musiała się nauczyć. Czy miałam dosyć energii, by zaczynać wszystko od nowa? Może nie jest to tak wyczerpujące, gdy ta druga osoba chce pomagać. Podjazd pod strome wzgórze związku musi być łatwiejszy na tandemie niż na jednym kole, zwłaszcza, jeśli ta druga osoba nie pedałuje w odwrotnym kierunku.

Mac jeszcze nie wrócił. Sprzątnęłam z salonu naczynia po śniadaniu. Z rana zostało kilka truskawek, które wkroiłam do jogurtu. Usiadłam w wielkim fotelu w salonie i patrzyłam na park po drugiej stronie ulicy. I co teraz? Co robi kobieta, która właśnie się dowiedziała, że jej mąż, ojciec jej dzieci, jest oszustem? A może konfrontacja, Barbara? Czy jemu nie przysługuje prawo do obrony?

Zadzwoiłam do biura wyborczego Franklina, żeby się dowiedzieć, jaki miał plan dnia. Brałam pod uwagę możliwość, że po tym, jak się włamałam do jego biurka, zabronił personelowi ze mną rozmawiać, jednak telefon odebrała młoda, pełna entuzjazmu wolontariuszka. Mało nie wyszła z siebie, żeby dostarczyć pani Avers informacji, o które prosiła. Pan Avers, powiedziała, że dzisiaj lunch z grupą farmerów, a wieczorem urządza dużą kolację dla sponsorów. Podała mi nazwę hotelu Franklina, a także telefon i numer pokoju.

– Och – nagle sobie przypomniałam – mam już te informacje, o które prosiła mnie Ashley, jeśli chodzi o preferencje gubernatora dotyczące wina. – Czary mary, hokus pokus. – Czy będzie pani tak kochana i poda mi numer jej pokoju? – Podała. No proszę, skąd wiedziałam, że Ashley będzie z Franklinem? W pokoju obok. Ten pewny siebie sukinsyn nawet nie zarezerwował pokoi na różnych piętrach.

Siedziałam z dłonią na telefonie. Wskazówki zegara, zrobionego z polerowanego kamienia, odmierzały sekundy. Biegały w koło i w koło. Wyobraziłam sobie Franklina w jego pokoju hotelowym, z szafą pełną szytych na miarę garniturów i włoskich skórzanych butów. Mężczyzna o kosztownym guście,

mający dostęp do wszelkich funduszy, jakie były mu potrzebne, by wieść wygodne życie. Tak być nie powinno. Coś trzeba zrobić, i to ja musiałam zadziałać. Jednak poza mną, Franklinem i ludźmi, których okradł, należało jeszcze pamiętać o Rikki i Jasonie. Sytuacja naprawdę wymagała namysłu. Minęło kolejne pół godziny, zanim przyszedł mi do głowy pomysł tak oczywisty i prosty, że natychmiast podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer pokoju Franklina. Czekaając, aż odbierze, wsunęłam do ust pełną łyżkę ciepłego jogurtu.

– Franklin Avers.

Źle przełknęłam i zaczęłam się krztusić, kasłałam wprost do słuchawki.

– Halo? Halo?

– To ja. – Próbowałam złapać powietrze. – Poczekaj.

– Barbara? To ty? Odpowiedz, do cholery!

Nie mogłam przestać kasłać.

– Poszło nie w tę dziurkę – wydyszałam, rżąc jak Ojciec Chrzestny.

– Gdzie ty, u diabła, jesteś? Dzwonię do ciebie od wczoraj.

– Pani Payne umarła.

– Co, do cholery, robiłaś w moim biurze? Nie miałaś prawa grzebać w aktach. Chcę, żebyś oddała mi klucz. Słyszysz mnie?!

– Poczekaj chwilę. – Odłożyłam słuchawkę, poszłam niespiesznie do kuchni, otworzyłam puszkę, wrzuciłam kilka kostek lodu do szklanki z napojem i wróciłam do salonu, mijając po drodze dwa inne aparaty telefoniczne. – Powiedziałam, że pani Payne umarła.

– A co to ma, kurwa, wspólnego z twoim włamaniem się do mojego biura i napaścią na pannę Mumford i recepcjonistkę?

– Miała trumnę ozdobioną plastikiem w kolorze niebieskiego marmuru. Myślę, że chciałaby zostać pochowana w ręcznie wykonanej trumnie z sosnowego drewna. Tyle, że, jak sam wiesz, niebieski plastik to wszystko, na co było stać pana Payne’a.

Franklin zamilkł na chwilę.

– Poszłaś na jej pogrzeb?

– Chociaż tyle mogłam zrobić. Pan Payne był u nas dwa dni temu.

– I czego, do diabła, chciał?

– Powiedział, że przyszedł poinformować cię o śmierci swojej żony, ale tak naprawdę potrzebował kogoś, kto by go wysłuchał. – Cisza. – W każdym razie okazało się, że pani Payne lubiła moją kolumnę i pan Payne pomyślał, że mogłabym jej poświęcić jeden z moich „artykułików”.

– Barbara, powiedz mi, co robiłaś w moim gabinecie?

– Doskonale wiesz, co robiłam w twoim gabinecie. Próbowałam się dowiedzieć, dlaczego pieniądze ze sprawy, którą zamknąłeś kilka miesięcy temu, nie dotarły do kieszeni pana Payne’a.

– Nie masz o tym zielonego pojęcia – oświadczył. – To skomplikowana sprawa. Trzeba uzgodnić jeszcze wiele prawnych kwestii.

– Och, spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Jeśli nie uczciwości, to chociaż bardziej wyrafinowanych wymówek. – Wyjęłam listę nazwisk i położyłam przed sobą na stole. – No dobrze, w takim razie co ze sprawą Cadbury’ego albo...

Przeczytałam wszystkie nazwiska po kolei, kierując je niczym zapalony lont w ciszę po drugiej stronie. W tamtym pokoju ktoś otworzył drzwi, jakaś kobieta coś zawołała. Słyszałam, jak pyta go, co się stało, ale musiał tylko machnąć ręką, ponieważ drzwi się zamknęły.

– Barbara, nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Znałam ten poirytowany ton, którego używał Frank-lin, masując sobie powieki kciukiem i palcem wskazującym, próbując zyskać na czasie, żeby przegrupować siły, zanim przystąpi do ataku.

– Ojejku! Uwielbiam, jak papcio Flanklin tłumaczy wielkie splawy malutkiej Balbusi.

– Chryste, nigdy nie zrozumiem, jakim cudem wytrzymałem z tobą tak długo. Czy ty nic nie rozumiesz? Nic tym ludziom nie zabrałem.

– Jestem ciekawa, czy byliby tego samego zdania.

– Ich sprawy mogły się ciągnąć latami, a nawet wtedy nie mieliby gwarancji wygranej.

Otworzyły się drzwi i do salonu wszedł Mac. Pocałował mnie mocno w usta, po czym wyszedł, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie. Franklin nie przestawał mówić.

– Oni jeszcze się nie spodziewają pieniędzy. Trzecia część odszkodowania i tak należy do mnie, a z reszty korzystam tylko chwilowo, dopóki nie podreperuję finansów kampanii. Wszyscy tak robią. Każdy klient dostanie swoje pieniądze z powrotem, z nadwyżką. Nie mogę uwierzyć, że widzisz w tym coś niewłaściwego.

A więc tak. Żadnych wymówek, żadnego tłumaczenia. Ukradł te pieniądze, tak po prostu. Mój wkrótce były mąż okradał biednych i dawał sobie.

– Co do jednego masz rację, Franklin. Ja też nigdy nie zrozumiem, jakim cudem wytrzymałeś ze mną tak długo. Ale teraz jestem ci cholernie wdzięczna, że odszedłeś.

– Chyba nie zrobisz nic głupiego?

– Jak pójdzie na policję? Byłabym tam w sekundę, gdyby nie dzieci. Obawiam się, że już dosyć złego im wyrządziliśmy. Nie, Franklin, nie doniosę na ciebie glinom. Wymyśliłam coś o wiele lepszego.

– Nie bądź głupia. Przez te wszystkie lata uwielbiałaś swoje życie, mieszkałaś w pięknym domu, nosiłaś drogie ciuchy i jeździłaś w egzotyczne miejsca. To twoja wina, że musiałem pożyczyć pieniądze na kampanię.

– I ty, Brutusie?
– Jesteś wściekła, bo cię zostawiłem. Chcesz się zemścić.
– Boże, zadziwia mnie sposób, w jaki pracuje twój umysł. Najkrótsza droga między dwoma oddalonymi od siebie punktami prowadzi przez moje poczucie winy.

– Nic nie rób, dopóki nie wrócę!
– A kiedy wracasz?
– W następną niedzielę.
– Doskonale. Będę w domu. I myślę, że będzie na ciebie czekała cudowna niespodzianka.

– Barbara! Tu chodzi o moją przyszłość.
– I moją. I dzieci. Kto liczy się najbardziej, Frank-lin? Czemu to zawsze ty?
– Ostrzegam cię...

Trzęsąc się cała, odłożyłam słuchawkę.
– Wszystko w porządku? – Mac wszedł z dwoma drinkami i podał mi szklankę.

– Dzięki – powiedziałam. – Rozmawiałam z Franklinem. Mieliśmy małą różnicę zdań. – Mac przekrzywił głowę. – No dobrze, dobrze, wielką awanturę.
– Tak lepiej.

Włączył stereo i dołączył do nas Vivaldi. Zamknęłam oczy, zatapiając się w muzyce. Mac przysunął sobie drugi fotel i opuszkami palców przesunął po moim ramieniu. Długo milczeliśmy.

– Co to jest? – zapytał.
Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że czyta listę nazwisk i kwot, którą zostawiłam na stole. Zabrałam kartkę.

– Nic – bąknęłam speszona. Mac zawsze zaskakiwał mnie w chwili, kiedy byłam najmniej czujna.

– Barbara, na tej liście jest Lucinda Payne. – Wcisnęłam kartkę do torebki. – Coś mi w tym wszystkim śmierdzi.

– O co ci chodzi?
– W aktach, o które mnie prosiłaś, była notatka o porozumieniu. Co oznacza, że sprawa Lucindy Payne została zamknięta. Nie wiem, jakie przyznano im odszkodowanie, ale wnioskując z jej trumny, jego stroju i samochodu nie sądzę, żeby do Payne'ów trafił choć cent z tej kwoty.

Tak jak się obawiałam, Mac zaczynał kojarzyć fakty. Nie zamierzałam go okłamywać, ale pomagać też nie chciałam. Popijałam drinka, próbując podjąć decyzję, co robić.

– Barbara, w kuluarach mówi się, że Franklinowi brakuje funduszy na kampanię.

Bingo!

– Wydawało mi się, że jesteś zwolennikiem walenia prosto z mostu i mówienia, co myślisz.

– No dobrze – zgodził się Mac. – Myślę, że Franklin postawił wszystko na jedną kartę, żeby zostać senatorem Aversem.

– Na jedną kartę?

– Myślę, że ryzykuje prawo do wykonywania zawodu prawnika. Wydaje mi się, że finansuje swoją kampanię z pieniędzy klientów.

– Muszę iść. – Rozejrzałam się po pokoju, szukając szpilek. – Gdzie moje buty?

– Przypuszczam, że dowiedziałas się o tym wszystkim i z jakiegoś idiotycznego powodu go kryjesz.

– Sądzisz, że gdyby Franklin kradł, byłabym na tyle głupia, żeby podsunąć ci trop? – Poprzewracałam poduszki, zajrzałam pod kanapę. – Co zrobiłeś z moimi butami?

– Może poprosiłaś mnie, żebym znalazł akta Payne’ów bo chciałaś, żeby został zdemaskowany.

– A może ty nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz.

– Dlaczego go bronisz? On odszedł, zniknął z twojego życia. Jest aroganckim, egocentrycznym, pompatycznym dupkiem. A twoje buty są pod biurkiem, tam gdzie je zostawiłaś.

Wkładałam je na stojąco, co oznaczało, że kicałam po pokoju na jednej nodze. Miewałam chwile, w których zachowywałam się z większą godnością.

– Nie wiem, po jaką cholere mu pomagasz, chcesz, żeby uszło mu to na sucho?

– Ty nic nie rozumiesz. Ciągłe obracasz się w towarzystwie łotrów i wydaje ci się, że każdy facet w trzyczęściowym garniturze to oszust.

– Ja tego tak nie zostawię, Barb. Chcę, żebyś miała tego świadomość. Nie mogę zignorować czegoś takiego.

W pokoju zaczęło brakować powietrza.

Czułam więź łączącą mnie i Maca. Stałam tam, czekając, żeby mnie przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. I wiedziałam, że on też tego chciał.

– Właśnie o to cię proszę, Mac.

– On skrzywdził niewinnych ludzi.

Skinęłam głową i przeszłam przez salon, żeby wziąć torebkę. Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki Mac nie otarł mi łez z policzka.

– Nie chcę, żeby tak było między nami, Barbaro.

– Ja też nie. – Przykryłam jego rękę dłonią i przytuliłam do twarzy.

– Zostań.

– Nie mogę. Tu nie chodzi o mnie ani o Franklina. Nie masz dzieci, więc chyba nie potrafisz ci tego wytłumaczyć, ale Rikki i Jason są częścią mnie, tak jak

nic innego na świecie. I nie pozwolę ani Franklinowi, ani tobie, ani nikomu innemu zrobić niczego głupiego, co zrujnowałoby im życie. Świadomość, że mają ojca w więzieniu, mogłaby je załamać.

- Może twoje dzieci są silniejsze, niż ci się wydaje?
- Może istnieje inny sposób, żeby to załatwić.
- Wiesz, że nie mogę tego tak zostawić.
- Nie skrzywdź moich dzieci, Mac. Nigdy bym ci tego nie wybaczyła.

Ruszyłam na zachód, do Edens, a potem jechałam pięć godzin na północ, aż dotarłam do hotelu położonego najbliżej obozu dzieci. Rano zabiorę je gdzieś, z dala od przyjaciół i codziennych zajęć, i wyjaśnię, że rozstaliśmy się z Franklinem. Powiem, że tatuś już nie mieszka w domu. Że jest mi przykro, że nasze małżeństwo się rozpadło, ale życie toczy się dalej. Życie nas wszystkich. Ale przede wszystkim przytulę oboje i powiem im, że je kocham i zawsze będę kochała, i że do nich należy decyzja, czy chcą zostać na obozie czy wracać do domu. Przypuszczałam, że będą woleli zostać z przyjaciółmi, ale wybór należał do nich.

Potem pojedę do domu i rozpocznę przygotowania do powrotu Franklina.

Gdzieś między drugą a trzecią skrzynką szampana przyjęcie, które rozpoczęło się sztywno, jak oficjalne spotkanie kółka parafialnego, zrzuciło buty i poluzowało krawat. Zaprosiłam klientów Franklina wraz z rodzinami i przyjaciółmi na uroczysty brunch i ci sami ludzie, którzy nieśmiało weszli do naszego domu w południe, o piętnastej hulali jak gromada milionerów po wygranej w totka.

Minęły wieki, odkąd ostatni raz urządziłam przyjęcie. Teraz uwijałam się po domu, gawędząc, śmiejąc się i dbając, by pracownicy firmy cateringowej regularnie napełniali opróżniane półmiski. Od czasu do czasu opierałam się o drzwi i z uśmiechem patrzyłam na hałaśliwych gości, którzy niczym szarańcza pochłaniali delikatesowe przekąski: małe wędzone łososie z jeziora Michigan, serwowane w całości, omlety, smażone na zamówienie przez dwóch kucharzy w wysokich, białych czapach, stosy świeżych owoców, bliny z serem i marmoladą, opróżniając przy tym koszyki pełne podgrzewanych nowojorskich bajgli i cebularzy oraz niezliczone termosy gorącej kawy. Sama byłam zbyt podekscytowana, by odczuwać głód, przegryzłam tylko kilka cienkich plasterków melona. Przez ostatnich kilka dni straciłam trzy kilogramy, zaczynając od owej nocy, kiedy zwymiotowałam ciastka w szafie Franklina. Więcej tam nie zaglądałam, doszedłszy do wniosku, że jego szafa to już nie mój problem.

Nic nie ogrzewa domu tak jak śmiech i gwar rozmów i ja też doskonale się czułam, widząc, jak dobrze się bawią nasi goście. Kazałam ustawić w salonie okrągłe stoły, by ludzie nie musieli balansować talerzami na kolanach. Franklin nienawidził jeść na kolanie, uznałam więc, że nie będzie miał nic przeciwko wydaniu tych kilku dodatkowych setek, żeby wszyscy mogli wygodnie usiąść. Bukiety na stołach stanowiły małe dzieła sztuki, między miniaturowe orchidee powtykano ulotki z programem wycieczek na Bora Bora, Tahiti, Maui, do Amazonii, Nowej Zelandii i Australii. Miejsca ze snów, które dla moich gości mogą stać się jawą, zwłaszcza z bonami Biura Podróży „U Mamy”, opiewającymi na pięć tysięcy dolarów, które dołączałam do czeków. Doszłam do wniosku, że przynajmniej tyle Franklin był winien swoim klientom.

Na koncie kampanii nie było wystarczających funduszy na pokrycie czeków, chociaż bardzo pomogły spore sumy, które Franklin wpłacił w ciągu ostatniego tygodnia. Reszta pieniędzy pochodziła ze sprzedaży akcji, inwestycji na rynku nieruchomości, naszego domu, dzieł sztuki i innych przedmiotów. Pieniądzy mieliśmy pod dostatkiem, w tej czy w innej postaci. Zadziwiające, jak szybko udało mi się obrócić większość naszych dóbr w gotówkę i zlecić spieniężenie

reszty. Franklin kazał mi podpisywać dokumenty przez tak wiele lat, że nie miałam żadnego problemu z umieszczeniem jego „podpisu” na wszystkich niezbędnych umowach.

A on nie mógł nic powiedzieć, bo gdyby spróbował, zostałyby zdemaskowany, co oznaczałoby usunięcie z palestry i absolutną katastrofę. Nie, żeby na to nie zasługiwał – oby po seksie dostawał swędzącej wysypki w miejscach, w które nie mógł się podrapać – jednak chodziło mi o dzieci. Rikki, Jason i ja będziemy musieli zacząć wszystko od nowa. Zamierzałam być dla nich taką matką, jak podpowiadał mi to instynkt. Nie taką, jaką byłaby moja mama czy jaką zaakceptowałby Franklin. Perfekcja nie popłaca. Nie miałam pojęcia, jakie będzie to moje macierzyństwo, dobre czy złe, ale będzie tylko moje. Wierzyłam jednak, że okażę się dobrą matką, i modliłam się, żeby nie było za późno.

Sprawdzałam w kuchni tace z deserami, kiedy usłyszałam okrzyki i brawa. Dobiegłam do drzwi akurat na czas, żeby zobaczyć wyraz twarzy Franklina. Wymuszony uśmiech nie zdołał do końca zamaskować czystego przerażenia, jakie wywołało w nim wejście do domu pełnego klientów – tego domu, pełnego tych klientów. Jego cera przybrała odcień przedziwnej zieleni.

– Sto lat, sto lat... – zaintonowałam, lawirując między stołami.

Pozostali podjęli toast, klaszcząc do rytmu i wznosząc wesołe okrzyki. Ashley stała za Franklinem, nieruchoma niczym posąg. Pewnie przyprowadził ją jako wsparcie, zawsze lubił mieć widownię. Wzięłam męża pod ramię i posłałam dziewczynie mój najśłodszy uśmiech, mówiąc bezgłośnie: „dziękuję”, po czym odwróciłam się do gości.

– Przyjrzyjcie się dobrze – powiedziałam. – Właśnie udało wam się sprawić, że politykowi zabrakło słów.

Wybuchnęli śmiechem. Dopiero się rozpędzałam. Ramię Franklina było sztywne niczym stalowy pręt, ale nie odważył się go wyrwać na oczach rozentuzjanzmowanego tłumu. Nie mógł ryzykować, że tamci zaczną się zastanawiać, czemu nie jest równie uszczęśliwiony jak oni.

– Franklin tak się ucieszył, że po ostatniej rewizji w sądzie udało się tak błyskawicznie pozamykać wasze sprawy – kompletne bzdury, ale tylko on o tym wiedział – że nie wyobrażał sobie, abyśmy nie uczcili tego razem. – Wzięłam z kredensu plik kopert i pomachałam nimi w powietrzu. – A teraz, panie i panowie, zapraszam po odbiór.

Podawałam Franklinowi koperty, po jednej. Ludzie wiwatowali, gdy wyczytywał kolejno nazwiska klientów, podawał kopertę każdemu i ścisnął dłoń niczym dziekan na rozdaniu dyplomów.

– Mowa! Mowa! Mowa! – skandowali, aż w końcu Franklin musiał coś powiedzieć. Cokolwiek.

– Uhm – odchrząknął. – Bardzo się cieszę, że was tu wszystkich widzę.

Yyy... Obawiam się, że po tygodniu w Springfield jestem wykończony, dlatego przeproszę was na chwilę, chciałbym tylko zamienić kilka słów z panią Avers i już do was wracamy.

Dałam znak kelnerom, żeby zaczęli podawać desery, po czym pozwoliłam, by Franklin poprowadził mnie między stołami do przedpokoju. Gdy tylko znaleźliśmy się w jego gabinecie, wyszarpnęłam ramię z jego uścisku. Jego palce zostawiły na mojej skórze wściekle czerwone ślady.

– Mógłbym cię zabić – powiedział.

– Nie powinieneś tak mówić przy świadkach.

Obrócił się gwałtownie. Ashley weszła za nami i właśnie zamykała drzwi.

– Boisz się, że będziemy się całować? – zapytałam ją.

Uśmiechnęła się krzywo i stanęła obok Franklina. Jej uśmiezek był bardzo podobny do jego uśmiešku. Podejrzywałam, że bawiły ich te same rzeczy: plagi, epidemie, zarazy. Oczami duszy widziałam ich w łóżku, dwa twarde jak żelazo ciała, zderzające się z łoskotem i tymi krzywymi uśmieškami na twarzach. Nie potrafiłam powstrzymać chichotu.

– Barbara – odezwał się Franklin – czy ty w ogóle masz pojęcie, co narobiłaś?

– Co ja narobiłam? Naprawdę nie widzisz, co ty zrobiłeś, prawda, Franklin? Zastanawiałam się, jak tym razem obrócisz kota ogonem. Okradłeś ludzi, których spotkały niewyobrażalne tragedie, i jeszcze masz czelność mówić mi, że to moja wina, że moje życie legło w gruzach.

Franklin wbił ręce w kieszenie spodni, pewnie po to, żeby mnie nie uderzyć, i zaczął krążyć po małym pokoju.

– Ty nigdy nie rozumiałaś, na czym polega przywilej siły, Barbara, Twój ojciec powinien był ci wyjaśnić, że ludzi potężnych nie obowiązują te same zasady co wszystkich.

– Nawet nie waż się wspominać o moim ojcu.

– Właśnie w ten sposób wygrywa się wybory i gdybyśmy sądzili, że jesteś bardziej zainteresowana i nam przychylna, to spróbowalibyśmy ci to wytłumaczyć.

– My?

– Och, nie udawaj idiotki, Barbara. To do ciebie nie pasuje.

– Ashley, skarbie – powiedziałam – a co jeżeli Frank-lin przegra?

Roześmiała się, szczerze rozbawiona.

– Franklin to urodzony zwycięzca, pani Avers.

Usiadłam w wielkim fotelu przy biurku i okręciłam się z namysłem.

– Nie odpowiedziałas mi. A jeśli przegra?

– Przegra tylko wtedy, jeśli ujawni pani tę drobnostkę.

– „Drobnostką” nazywasz fakt, że okradał swoich klientów, żeby zdobyć fundusze na kampanię? Jeśli jest takim zwycięzcą, to dlaczego nie mógł zdobyć

pieniędzy w legalny sposób?

– Czy pani pomyślała o dzieciach? – zapytała. – Nie tylko Franklin ucierpi, ale przede wszystkim one.

– Nieee. – Zaczęłam czyścić paznokcie jego nożykiem do listów. – Ani przez chwilę nie pomyślałam o dzieciach.

Franklin natychmiast podchwycił temat.

– No właśnie, Barbara, zrobiłem to dla nich. Żeby miały ojca, z którego mogłyby być dumne. Senatora Aversa.

A teraz wzniescie czerwono-błękitne sztandary i machajcie tymi flagami, właśnie tak, doskonale. Robiło mi się niedobrze na myśl, że on naprawdę w to wierzy. Podałam mu kopertę z nadrukiem Agencji Detektywistycznej Halseya.

– To też zrobiłeś dla dzieci? – zapytałam.

Franklin otworzył kopertę. On i Ashley lubili się trzymać za ręce i przytulać w zacisznych restauracyjkach, jedząc kolacje przy świecach. Zwłaszcza w Kansas City, gdzie latali na noc lub dwie, kiedy podobno byli w Springfield.

– Czy to też zrobiłeś, żeby dzieci były z ciebie dumne, Franklin?

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz, prawda? – Rzucił zdjęcia na biurko. – Jesteś aż tak kurewsko głupia?

– Już nie. Dlaczego nikt z obecnych nie chce odpowiedzieć na moje pytanie? Co się stanie, jeśli przegrasz? Czy twoja Imelda³⁷ nadal pozwoli ci zapychać dziurę w jej starej wyborczej urnie?

Franklin pochylił się nad biurkiem.

– Nie bądź ordynarna.

– No tak. Ale naprawdę myślę, że wy dwoje powinniście rozważyć taką ewentualność. Nie sądzę, żeby Ashley była typem kobiety, która zostanie przy przegranym. Nie jak niektórzy z nas, którzy przysięgali sobie na dobre i złe.

– Barbara, myślisz, że uda ci się mnie zatrzymać?

– Na samą myśl o takiej ewentualności robi mi się niedobrze.

– Jednak – wtrąciła Ashley – wizerunkowo byłoby lepiej, gdybyście zostali ze sobą, dopóki Franklin nie wygra wyborów.

Oparłam się wygodniej i położyłam nogi na biurku.

– Rozumiem, że dzieci zamieszkają z wami?

– Oczywiście będą mogły nas odwiedzać, kiedy tylko będą chciały – odpowiedziała szybko Ashley, nie zdając sobie sprawy, że pytanie było skierowane do Franklina.

– Och nie, Ashley – zaprotestowałam. – Myślę, że z wami będą o wiele szczęśliwsze. Wygląda na to, że ze mną już nie chcą mieszkać. Franklin zrobił, co w jego mocy, żeby uświadomić im, jak żalosaną jestem kreaturą. Jak wielką, żalosaną kreaturą. Oczywiście będę zabierała oboje na wakacje i święta, ale na pewno będą szczęśliwsi z ojcem senatorem i jego nową, szczupłą żoną. – Twarz Ashley

poszarzała jak popiół.

Franklin nic z tego nie rozumiał, usłyszał tylko to, co chciał usłyszeć.

– Chcesz powiedzieć, że nie pójdziesz z tym do prasy?

– To właśnie chcę powiedzieć, Franklin. Myślę, że masz rację, jeśli chodzi o dzieci. Dorastanie jest wystarczająco trudne, nawet bez ojca oszusta.

– Cieszę się, że zachowałeś zdrowy rozsądek.

– Och, Franklin, akurat rozsądku nigdy mi nie brakowało. – Zdjęłam nogi i z szuflady biurka wyjęłam księgę rachunkową. – Pewnie chciałbyś zerknąć na te liczby, zanim wrócisz do swoich zachwyconych klientów. – Otworzyłam na stronie pełnej imponujących kwot. – Zobacz, tyle wypłaciłeś każdemu z nich. – Franklin obszedł biurko, a ja podsunęłam mu krzesło. Będzie go potrzebował. – Przyznałam każdemu pełne odszkodowanie, nie odliczając twojego honorarium. To bardzo szlachetne z twojej strony, że zrzekłeś się wynagrodzenia. Do tego dochodzą bony podróżne. Naprawdę, powinieneś zacząć trochę poskramiać swoją hojną naturę – dodałam. – Dom został sprzedany niemal na pniu, a nasz broker sprzedał akcje i... cóż, tu masz wszystko wyszczególnione. Ja powinnam wracać do gości. Jestem pewna, że sami znajdziecie drogę do wyjścia.

Franklin potrząsał głową, wpatrując się w stronę pełną cyfr.

– Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś. To koniec wszystkiego.

– To akurat – powiedziałam, wypływając z pokoju niczym Loretta Young³⁸ – w pełni zależy od punktu widzenia.

37 Imelda Marcos – twarda i stanowcza żona prezydenta Filipin, w czasie choroby męża faktycznie sprawowała władzę.

38 Loretta Young (1913–2000) – amerykańska aktorka.

Luty. 68 kg – ?

Lodowate powietrze uderzyło nas w twarze, gdy tylko wyszliśmy z ciepłego kościoła na Michigan Avenue. Objęłam ramionami Rikki i Jasona i pochylając się w podmuchach porywistego wiatru, brnęliśmy przed siebie. Ciężko było oddychać, ale chwyciłam małe porcje powietrza, żeby oczyścić nos i usta z duszącego słodyczą zapachu wody po goleniu, żelu pod prysznic czy też szamponu Stanforda. Po uroczystości zbliżyłam policzek do jego policzka, kiwając uprzejmie głową damie, przyklejonej do jego ramienia. Jednak nie w rozmiarze trzydzieści cztery, raczej trzydzieści osiem/czterdzieści. Było jasne, że poza Stanfordem nie widzi świata. No cóż, każda potwora... Może w tym małżeństwie będzie szczęśliwszy. Poczta przez pomyłkę przesłała mi zaproszenie dla Franklina, które mu odesłałam, ale miał na tyle rozsądku, by nie przyjść.

Złapaliśmy się za ręce i przebiegliśmy przez Michigan Avenue do Water Tower Place, a ja zerknęłam na Rikki i Jasona.

Zapnijcie się, poleciłam im w myślach. Włóżcie rękawiczki, czapki i nauszniki.

Ale nic nie powiedziałam.

Pewnego wieczoru dzieciaki kazały mi usiąść i wyjaśniły, że jeśli mnie jest zimno, to mogę zrobić, co tylko chcę, żeby się rozgrzać, ale oni są już wystarczająco duzi, by im również przysługiwało takie samo prawo. Odparłam, że trudno będzie mi pozbyć się siedemnastoletnich przyzwyczajzeń i poprosiłam, żeby byli wyrozumiali, jeśli raz czy dwa się zapomnę. Pod pewnym względem poczułam ulgę, że już nie jestem odpowiedzialna za każdy najmniejszy szczegół ich życia. Rozchorują się, ostrzegła dawna Barbara, jednak jak na razie nie nabawili się kataru, odmrożeń, zapalenia płuc ani grypy.

Kiedy się zapominałam i zaczynałam zdanie od: „Lepiej by było, gdybyś...”, jakbym chciała powiedzieć: „Lepiej by było, gdybyś czytał przy mocniejszym świetle” albo: „Lepiej by było, gdybyś włożyła kapcie”, robili minę, która natychmiast przywoływała mnie do porządku.

W ramach rewanżu oni przestali wpędzać mnie w poczucie winy z powodu nieugotowanych obiadów czy niezrobionego prania. Nauczyłam ich, jak się obsługuje kuchenkę i pralkę i ustaliliśmy grafik prac domowych. Kiedy zaczęli narzekać, wyjaśniłam im, że nie mogą być traktowani jak dorośli, wtedy kiedy im to pasuje, a jak dzieci, gdy chodzi o podział obowiązków.

– Albo jedno, albo drugie – oświadczyłam. – Wybór należy do was.

Wybrali dorosłość.

Minęło kilka miesięcy, zanim nauczyliśmy się żyć jak troje bliskich sobie

ludzi, którzy kochają się i szanują nawzajem. Najpierw musieliśmy wygonić kilka starych, upartych demonów. Dzieci pomogły mi znaleźć mieszkanie i w końcu zdecydowaliśmy się na przytulne, sześciopokojowe przy Armitage, niedaleko Lincoln. Było nas na nie stać tylko dlatego, że od dawna go nie remontowano. Co oznaczało, niestety, potworne przeciągi za każdym razem, gdy wiał wiatr z północnego zachodu. Jednak mieszkanie znajdowało się blisko nowych szkół dzieci, centrum miasta i przystanków autobusowych. Jason i Rikki po raz pierwszy w życiu przestali być wszędzie podwożeni samochodem, bardzo szybko nauczyli się poruszać transportem publicznym.

Na ruchomych schodach Water Tower tłoczyli się sobotni zakupowicze, ścisnęliśmy się więc we trójkę na jednym stopniu.

– No dobrze – powiedziałam. – Gdzie zjemy lunch?

– Mikey D’s! – zawołał Jason.

– Tam wszystko jest panierowane i smażone w głębokim tłuszczu – zaprotestowała Rikki.

– Są też sałatki.

– Ale nie mają nic, na co miałabym ochotę.

Wygładziłam niesforny kosmyk na karku Jasona. Czy on już naprawdę jest tego samego wzrostu, co ja?

– Mam pomysł, Jase, może ja zabiorę Rikki do Eaternity a ty, jak skończysz hamburgera, przyjdiesz do nas na deser.

Rikki stanęła w kolejce, a ja czyhałam na stolik przy oknie, przy którym jacyś ludzie właśnie kończyli drugiego, poobiedniego papierosa. Jeden z nich posłał mi pytające spojrzenie z serii: „Skąd ja cię znam”, co często się zdarzało, odkąd „Globe” zaczął zamieszczać moje zdjęcia. Moje felietony ukazywały się teraz cztery razy w tygodniu, kupowało je też kilka innych gazet w kraju, co zapewniało mi jakieś dodatkowe fundusze. Z niewytłumaczalnego powodu, może z desperacji albo z powodu niskiego budżetu, różne lokalne stowarzyszenia i grupy zaczęły mnie zapraszać na spotkania. Na początku szło mi fatalnie, w dziesięć minut wyszcze kiwałam materiał przygotowany na pół godziny, za każdym razem jednak radziłam sobie lepiej, a pieniądze przydawały się na buty, pościel i lunch w Water Tower. Nie jesteśmy bogaci, ale wystarcza mi na czynsz i jedzenie. Teraz trochę lepiej rozumiem Franklina. Miał rację, że utrzymywanie domu łączy się z poważną odpowiedzialnością, nigdy jednak nie wspomniał o poczuciu samowystarczalności i wolności, jakie daje każdy czek.

Palacze wstali akurat w chwili, gdy Rikki podeszła z tacą.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, siadając i ustawiając jedzenie na stole.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Och, no wiesz, pomyślałam, że po tej mszy za Sarejane może być ci

ciężko.

Sięgnęłam przez stół i ujęłam dłonie córki. Na jej palcu lśnił szafirowo-diaamentowy pierścionek mojej matki. Rikki, uradowana prezentem, przestała nawet obgryzać paznokcie. Żeby zacząć nasze nowe życie, sprzedałam kilka sztuk biżuterii, które ani mnie, ani dzieciom się nie podobały.

– Nie, Rikki, nie jest mi ciężko. Już dawno pogodziłam się ze śmiercią Saryjane. A dzisiaj ludzie, którzy ją kochali, mogli się spotkać, żeby uczcić jej pamięć. To było słodko-gorzkie przeżycie, ale nie sprawiło mi bólu. – Ścisnęłam jej dłonie. – I dziękuję – dodałam.

– Za co?

– Za to, że zapytałaś o moje uczucia. To bardzo pomaga, kiedy ludzie, których kochasz, troszczą się o ciebie.

– Jesteś zła, że tata nie przyszedł?

– On nie kochał Saryjane, skarbie. Nawet jej nie lubił. A zresztą to, co on robi lub czego nie robi, nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Żułyśmy nasze sałatki.

– W ostatni weekend pokłóciłam się z tatą. – W milczeniu przesuwalam sałatę po talerzu. Nie chciałam być jedną z tych byłych żon, które wyciągają z dzieci informacje. Powiedz mi, proszę, powiedz. – Zabrał nas na sushi, a wiesz, jak Jason „uwielbia” sushi.

– Zwłaszcza, jeśli robi je McDonald. – Roześmiałyśmy się.

– No właśnie. Ale Panna Wiesz-Kto po prostu uwieeelbia sushi. W każdym razie Jason i ja opychaliśmy się ryżem, ponieważ nic innego tam dla nas nie było, i tata powiedział, że powinnam uważać na to, co jem, bo inaczej będę wyglądała jak ty.

– Cholera – mruknęłam pod nosem.

– Więc mu odpowiedziałam, że moim zdaniem jesteś piękna. – Uśmiechnęłam się, tak cudownie brzmiały te słowa, zwłaszcza w ustach mojej córki. – A on zrobił tę swoją głupią minę, pokazał na Pannę Wiesz-Kogo i powiedział: „To jest piękna kobieta”. Ojciec tak mnie wkurza. Ciąga ją wszędzie, jakby należała do naszej rodziny, jakby nie mógł wytrzymać sam na sam z Jasonem i ze mną. Wiesz, kiedy ona jest przy nim, tata w ogóle z nami nie rozmawia, mówi tylko, czego nam nie wolno. Więc ja powiedziałam, chociaż wiem, że pewnie nie powinnam, ale powiedziałam: „Cóż, ona i tak nie jest taka piękna, jak twoje inne kochanki”. – Mój świat stanął w miejscu. Wpatrywałam się w usta Rikki, z całej siły zmuszając się do koncentracji na jej słowach. Powiedz mi, powiedz. – Wtedy tata zrobił się cały czerwony, złapał mnie za nadgarstki i ścisnął tak mocno, aż krzyknęłam, i oświadczył, że mam niewyparzoną buzię. A ja mu powiedziałam, że akurat to odziedziczyłam po nim. I myślałam, że zaraz mnie uderzy, ale w restauracji było mnóstwo ludzi, rzucił więc tylko pieniądze na stół i wybiegł,

a Panna Wiesz-Kto popędziła za nim. – Rikki spojrzała na mnie tymi ogromnymi, brązowymi oczami łani. To nie było dla niej łatwe. – Tata miał inne kochanki przed Panną... przed Ashley – powiedziała cicho. – Na długo przed nią. Matka Lizbeth Raleigh widziała go w mieście z jedną z nich. Kiedy go o to zapytałam, powiedział, że chodziło o interesy. Ale potem Lizbeth powiedziała mi jeszcze inne rzeczy o nim i o tej kobiecie, więc za drugim razem podałam mu nazwy miejsc, w których z nią był, i powiedziałam, że wiem, co robi. Naprawdę myślałam, że powie mi, że się mylę, że wcale nie ma żadnego romansu. Ale on postanowił dopuścić mnie do swojej tajemnicy. Opowiedział mi o waszych kłopotach.

– Kiedy... kiedy to było?

– Jak skończyłam czternaście lat. Pamiętam, jak powiedział, że Julia w wieku czternastu lat wyszła za męża, dlatego jego zdaniem jestem już wystarczająco duża, by zrozumieć problemy dorosłych. I dotrzymać tajemnicy. Poczulałam się wtedy taka dojrzała.

Trzy lata temu? Trzy lata temu nie mieliśmy żadnych problemów. Och, czy na pewno, kotku? Puff-puff.

– I dźwigałaś taki ciężar przez cały ten czas? Och, Rikki. Jak on mógł ci to zrobić?

Po jej policzkach powoli spływały wielkie łzy.

– W jego ustach to brzmiało tak logicznie. Ty nie dawałaś mu miłości, jakiej potrzebował. Byłaś tak zajęta Sarajane, swoimi organizacjami i nami, że nie miałaś już dla niego czasu. Dlatego tak często nie było go w domu.

– On to wszystko obrócił na swoją korzyść. Staralam się czymś zapełnić długie godziny, kiedy go nie było.

– Teraz to wiem. Ale wtedy nie wiedziałam. I kiedy zaczęłaś tak bardzo tyć, pomyślałam, no właśnie, oto najlepszy dowód, że miał rację. Tobie po prostu przestało na nim zależeć. – Szlochała cicho, a ja usiadłam obok niej, objęłam ją mocno i zaczęłam kołysać. – Ja... przepraszam. Ppp...pewnie nie ppp...powinam ci tego mówić.

– Ciii. Już wszystko dobrze. Ciii. Och, kochanie, tak bardzo się cieszę, że zrzuciłaś to z serca.

Jakież to był cud, tulić moją córkę, gdy tak niedawno bałam się, że ją straciłam, głaskać Rikki po głowie i pocieszać. Kiedy wróciła z obozu, zawarłyśmy niełatwy rozejm. Obie dałyśmy sobie słowo, że zaczniemy od nowa. Na początku chciała zamieszkać z ojcem i chociaż sama myśl rozdzierała mi serce, powiedziałam, że wybór należy do niej. Powiedziałam jej też, że ją kocham i że będę za nią tęskniła. Rikki wahała się, może wyczuwając obojętność Franklina. Przez tych kilka miesięcy nauczyłyśmy się ufać sobie, troszczyć się o siebie nawzajem i okazywać sobie miłość. Została.

– Ja... po prostu nie chciałam, żebyś mu uwierzyła, że wdał się w romans

z Ashley, bo ty przytyłaś.

– Dziękuję ci, skarbie. Ale w głębi duszy chyba zawsze wiedziałam, że to nieprawda.

Jason usiadł naprzeciwko nas i wyciągnął z kieszeni kurtki torebkę frytek. Nie wolno było wnosić do restauracji jedzenia z innych barów, ale nic nie powiedziałam. Jeśli go wyproszą, to poczeka na nas na zewnątrz. Miło jest żyć z osobami, które same ponoszą odpowiedzialność za swoje czyny. Rikki głośno wydmuchała nos w serwetkę.

– Co jej jest? – zapytał.

– Babskie pogaduchy.

Przewrócił oczami.

– Czy mogę dostać pieniądze na deser?

– Gdzie w tobie się mieści to całe jedzenie? – Potruchtał po pączka z posypką, a ja pocałowałam Rikki w czoło. – Kocham cię – powiedziałam.

– Na tyle, żeby zabrać mnie na zakupy?

– Nie rozpędzaj się.

– Och Boże, tylko powąchaj to pieczywo czosnkowe. – Kathlyn wtoczyła się do kuchni obładowana pudełkami z piekarni. – Naprawdę umarłam i poszłam prosto do włoskiego nieba.

– Mówiłam ci, żebyś nic nie przynosiła. Gdzie ja to wszystko schowam?

– Schowasz? Kotku, masz w domu dwójkę nastolatków, to jedzenie nie dotrwa nawet do wieczoru. – Już była w ruchu, układała pudełka, wycierała okruchy z blatów, czyściła sitko w zlewie. – Gregory? Gregory! Chodź tu i poznaj moją przyjaciółkę. – Do kuchni wszedł mężczyzna pod trzydziestkę, z bicepsami jak talia Kathlyn. – Gregory, to jest Barbara. Barbara, Gregory.

Wytarłam mokre ręce w fartuch i uścisnęliśmy sobie dłonie. Miałam wrażenie, że złamał mi jakąś kość.

Jason i jeden z jego nowych przyjaciół wpadli do kuchni z kijami i krążkami hokejowymi w dłoniach i poprosili Gregory'ego o autograf. Okazało się, że przyjaciel Kathlyn jest jakąś gwiazdą hokeja. Wygoniłam wszystkich trzech z kuchni. W poniedziałek popularność Jasona w szkole wzrośnie.

– A zatem, kto będzie na kolacji? – zapytała Kathlyn, rozdzierając nad miską liście sałaty.

– Och, ty i Gregory. Jason i jego przyjaciel. Rikki i jej przyjaciółka. I ja, i mój przyjaciel.

Zaniosiłam pieczywo czosnkowe na stół. Kiedy wróciłam, Kathlyn czekała na mnie z nożem w dłoni.

– No dobrze, dobrze – powiedziałam. – Mac przyjdzie.

– Najwyższy czas. Miałam już serdecznie dosyć słuchania o waszym platonicznym związku.

– Nie powiedziałam, że coś się w tej kwestii zmieni.

– Nie musisz. Zrobiłaś się bardziej czerwona niż ta papryka.

– Przecież widuję go każdego dnia w pracy.

– To nie o dni tu chodzi, króliczku, tylko o noc. Ja dokończę sałatkę, a ty idź, nałóż trochę szminki.

– Dobrze, mamó.

Kolacja była wspaniała. Nawet Kathryn spróbowała wszystkiego po trochu. Doszła do wniosku, że podoba się sobie, ważąc pięćdziesiąt cztery kilo i nigdy nie pozwalała sobie przytyć więcej niż kilogram.

– Kilogram to nie problem, ale dwa już tak.

Ja porzuciłam wszystkie diety i zaczęłam jeść tylko tyle, żeby nie czuć głodu. Rzadko jadałam na mieście, ale kiedy już weszłam do restauracji, zamawiałam to, na co miałam ochotę, dzieliłam porcję na pół i drugą część zabierałam do domu. Jeśli jakaś potrawa łatwo się psuła, po prostu ją zostawiałam. Nauczyłam się walczyć z nawykiem zjedzenia wszystkiego, co jest na talerzu.

W domu odgrzewałam w mikrofalówce dania Strażników Wagi i posiłki z Nutrisystemu, które jeszcze mi zostały. Polecane przez dietetyków „jabłko dziennie” kroiłam na cienkie jak papier plasterki i pogryzałam jako przekąskę przy wieczornej lekturze. Każdego dnia wypijałam osiem szklanek wody i brałam multiwitaminę i witaminę B. Ostatnio dodałam jeszcze wapń. Nie sądzę, żeby jakikolwiek dietetyk pochwalił moje metody, ale na razie mi odpowiadały.

Do redakcji „Globe” miałam trzy kilometry piechotą i pokonywałam tę odległość w nieco ponad pół godziny. Kilogramy spadały ze mnie powoli, lecz systematycznie. Już nie pozwalałam, aby wahania wskazówki wagi miały wpływ na mój nastrój. Wiedziałam, że waga podskoczy po brunchu w Cricket’s, na który pozwalałam sobie raz w miesiącu, czy po paście w Pronto, potem jednak znowu spadnie. Nie miałam pojęcia, ile w końcu będę ważyła, choć wiedziałam, że na pewno nie wrócę do czterdziestu ośmiu kilo. Zresztą tak naprawdę nawet już teraz nie pamiętałam, dlaczego to było aż takie ważne. Zniknął też mój głód nikotyny. Potrafiłam przez dzień albo dwa z rzędu ani razu nie pomyśleć o papierosie i pewnie udawałoby mi się to dłużej, gdyby nie palacze, otaczający mnie w pracy. Chęć na papierosa pojawiała się niepodziewanie, po posiłku albo gdy rozmawiałam przez telefon, na szczęście równie szybko zniknęła.

Jason nakrył stół, przyciskając serwetki kawałkami skał, które sam przyciął i wypolerował u Maca. Rikki przyniosła z kuchni ogromny półmisek przystawek, pełen krążków papryki, plasterków szynki parmeńskiej, oliwek, kaparów i czterdziestu innych delikatesowych przysmaków, które cofnęły nasz budżet o dwie dekady. Wszystko to było niemal zbyt piękne, by jeść, ale jakoś daliśmy

radę. Mac przyszedł z kilkoma butelkami włoskiego czerwonego wina, długą różą i obdarzył mnie obiecująco zmysłowym pocałunkiem. Kathlyn porwała go natychmiast, by poznać jej nowego przyjaciela.

Nadal przechodzi mnie dreszcz, kiedy tylko pomyślę, jak bliska byłam utraty Maca. Oczywiście badał dalej sprawę Payne'ów, ale na szczęście dotarł do pana Payne'a już po moim małym przyjęciu i George powiedział mu, że dostał odszkodowanie. Mac zadzwonił do mnie i obiecał, że zostawi ten temat, lecz jasno dał mi do zrozumienia, że drążyłby go dalej, gdyby Franklin nie wycofał się z wyborów.

Mac nadal sądzi, że powinnam była donieść na Franklina, chociaż zrozumiał moją decyzję. Kiedy się pogodziliśmy, Mac zaczął spędzać u nas coraz więcej czasu i coraz lepiej poznawał Rikki i Jasona. A także mnie. Potrwało to kilka miesięcy, ale w końcu gotowi byliśmy pójść dalej.

Siedziałam u szczytu stołu i patrzyłam, jak moje dzieci i przyjaciele cieszą się jedzeniem, winem i swoim towarzystwem. W tym starym, pełnym przeciągów mieszkaniu czułam, że jestem w domu – bardziej niż gdziekolwiek indziej w ciągu całego swojego życia. Mac ścisnął mnie za rękę. Już pora.

Za chwilę Kathlyn zawiezie Jasona i Rikki do Franklina na weekend. Pewnie on, jak zwykle, odwiezie ich w sobotę. Przez pierwszych kilka weekendów zostawał z dziećmi w domu, ale potem zaczął wychodzić na randki, tłumacząc, że ma spotkania w interesach. Mieszkał w odległej dzielnicy i dzieciaki dzwoniły do mnie, błagając, żebym zabrała je do domu. Teraz, ku uldze wszystkich zainteresowanych, Franklin po prostu je odwozi i oszczędza nam swoich wymówek.

Byłoby miło spędzić cały weekend tylko z Makiem, ale i tak wykorzystamy tę jedną noc najlepiej jak się da. I jeśli dobrze nam pójdzie, może spróbujemy ją powtórzyć. I jeszcze raz. Jednak na razie mamy tylko tę noc i ona nam wystarczy.

Spis treści

Podziękowania Luty. 48 kg 1 Marzec. 52–59 kg 2 3 Kwiecień. 59–66 kg 4 5 6
Maj. 66–71 kg 7 8 9 Czerwiec. 71–75 kg 10 11 12 13 14 Lipiec. 75–80 kg 15 16 17
Sierpień. 80–86 kg 18 19 20 21 22 23 24 Luty. 68 kg – ? 25

